

# Woon Yvonne

## Piękni i martwi

### Książka I z Piękni i Martwi



calibre 0.9.43

Piękni i Martwi

Yvonne Woon

Przekład

Ewa Skórska

1

*A jeśli kiedy taki czy jakikolwiek inny człowiek przypadkiem znajdzie swą drugą połowę, wtedy nagle dziwny na nich czar jakiś pada, dziwnie*

*jedno drugiemu zaczyna być miłe, bliskie, kochane, tak że nawet na krótki czas nie chcą się rozdzielać od siebie. I niektórzy życie całe pędzą tak przy*

*sobie, a nie umieliby nawet powiedzieć, czego jedno chce od drugiego. Bo chyba nikt nie przypuści, żeby to tylko rozkosze wspólne sprawiały, że im*

*tak dziwnie dobrze być, za wszystko w świecie, razem. Nie. Ich obojga dusze, widocznie, czegoś innego pragną, czego nie umieją w słowa ubrać, i*

*dusza swe pragnienia przeczuwa tylko i odgaduje.*

Platon *Uczta* przeł. Władysław Witwicki

2

## **Prolog**

Nie wiedziałam o śmierci nic, dopóki nie zaczęłam się uczyć filozofii. To wtedy poznałam prawdę o Kartezjuszu,

o cywilizacji starożytnej Grecji i Rzymu, o mojej własnej przeszłości. Moja mama często mawiała, że materia

nigdy nie umiera i nigdy się nie rodzi, że jedynie się przekształca. Znała mnóstwo starych teorii, które kazała mi

powtarzać, zupełnie jakby próbowała przekazać mi coś ważnego o świecie, ale nie potrafiła znaleźć właściwych

słów. Nie zastanawiałam się nad tym aż do chwili, gdy moi rodzice umarli, ale wtedy było już za późno na

zadawanie pytań. Dopiero później, gdy znalazłam się w Akademii Gottfrieda, zaczęłam rozumieć, kim jestem i

co jest moim przeznaczeniem. Pozwólcie jednak, że najpierw opowiem o szczególnych okolicznościach śmierci

moich rodziców. To właśnie ich śmierć zapoczątkowała łańcuch niesamowitych wydarzeń, które doprowadziły

mnie do miejsca, w którym teraz jestem. Podczas pierwszego roku w Akademii Gottfrieda zrozumiałam jedno:

czasem trzeba obejrzeć się za siebie, by zrozumieć to, co niesie przyszłość.

## **Spotkanie w środku lasu**

Moi rodzice zmarli pewnego gorącego sierpniowego dnia. Akurat skończyłam szesnaście lat i razem z moją

przyjaciółką Annie wymknęłyśmy się do Santa Rosa, żeby to uczcić. Pojechałyśmy jej samochodem i spędziłyśmy całe popołudnie na Buzzard's Point Beach. Opalałyśmy się, przeglądałyśmy czasopisma i spacerowałyśmy

po molu. Koło piątej po południu, gdy zaczął się przypływ, spakowałyśmy ręczniki i zaczęłyśmy się zbierać do

domu, żeby zdążyć przed powrotem rodziców z pracy.

Prowadziła Annie, jej długie jasne włosy rozwiewał wiatr, gdy jechałyśmy wzdłuż Prairie Creek Drive, malowniczą drogą, która zaczynała się na wybrzeżu i biegła w głąb lądu między sekwojami. Annie nie chciała

jechać przez park narodowy, gdzie droga się zwężała i stawała bardziej mroczna, przyprawiając ją o dreszcze.

Nie wiedzieć czemu czułam, że właśnie wtedy powinnyśmy jechać. Po dziesięciu minutach zapewnien, że to

najszybszy sposób dostania się do Costa Rosa, Annie skapitulowała.

- Kiedy spotkasz się z Wesem? - zapytała, poprawiając okulary przeciwsłoneczne.

Wes chodził do ostatniej klasy

Wysoki, błyskotliwy, uśmiechnięty, był kapitanem drużyny i jedynym chłopakiem w naszym liceum, z którym warto się było umówić. Niestety, wszystkie inne dziewczyny były tego samego zdania. Ciągle kręciły się

obok niego, chichocząc i próbując zwrócić jego uwagę. Nigdy w życiu nie zrobiłabym czegoś

takiego! Po

pierwsze dlatego, że według mnie to było żałosne, a po drugie - zwyczajnie nie miałam czasu. Miałam treningi

lacrosse'a, naukę i pracę w weekendy. Wprawdzie byłam dość lubiana, ale nigdy nie należałam do ludzi zbyt

towarzyskich. Ostrożnie dobierałam przyjaciół, stawiając raczej na jakość niż na ilość, poza tym skupiałam się

głównie na pracy albo czytaniu i nie obchodziły mnie imprezy. Byłam przekonana, że Wes nawet nie wie, jak

mam na imię. Gdy zaproponował mi spotkanie, dosłownie mnie zatkało.

- Chyba w sobotę. Ale powiedział, że jeszcze zadzwoni, a jest już czwartek. Może się rozmyślił?

Annie przewróciła oczami.

- Nie wygłupiaj się. Zadzwoni na bank.

Miałam nadzieję, że tak właśnie będzie. W weekendy pracowałam na targu przy stoisku z owocami. Wes

zatrzymał się przed nim dwa tygodnie temu i poprosił, żebym pomogła mu wybrać jabłka dla mamy. Nerwowo

przeczesując włosy, przyznał się, że nie zna się na owocach, jest tyle odmian jabłek.. Gdy potem zapytał, czy nie

poszłabym z nim do kina, z wrażenia upuściłam torbę, a jabłka rozsypały się na ziemię przy naszych nogach.

Po naszej randce mogłam już myśleć tylko o jednym: o pocałunku w ciemnościach i jego ustach o smaku

popcornu i soli.

Odsunęłam od siebie te myśli i wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem, czy on mnie w ogóle lubi - westchnęłam. Nie chciałam robić sobie zbyt dużych nadziei.

- Moim zdaniem jesteście dla siebie stworzeni -oznajmiła Annie, odchylając się na oparcie siedzenia.

- Dzięki, An. - Uśmiechnęłam się i podgłośniłam radio.

Obydwie podkochiwałyśmy się w Wesie od wieków, ale Annie nigdy nie pozwoliłaby, żeby to wpłynęło na

naszą przyjaźń. Annie była śliczna, skromna, urocza i miła - trudno było jej nie lubić. Za to ja byłam impulsywna, chuda i niezgrabna - typowy mól książkowy marzący

O tym, żeby być taką jak bohaterki książek i przestać wygadywać nieodpowiednie rzeczy w nieodpowiedniej

chwili. Miałam szare oczy, duże i dzikie, gęste brązowe włosy

I grzywkę, która początkowo wydawała się dobrym pomysłem, ale gdy wyszłam od fryzjera, zaczęła żyć

własnym życiem. Wolałam być na dworze niż w domu, biegać, niż chodzić, i w efekcie moje kolana zawsze były

pozalepiane plastrami, a policzki opalone i piegowate.

Droga zwężała się, skręcając gwałtownie i niespodziewanie, gdy jechałyśmy coraz bardziej na północ, zagłębiając się w las sekwoi. Moje mokre włosy powiewały na ramionach, a ja rozczesywałam je palcami, susząc w

ciepłym kalifornijskim wietrze. Wzdłuż drogi rosły wiekowe drzewa, słońce zachodziło, a niebo nabierało

złowieszczej czerwonej barwy. Tego lata pogoda była dziwna, nieprzewidywalna, po całym dniu pięknej pogody na horyzoncie pojawiały się chmury.

Annie zwolniła na zakręcie. Auto pachniało kremem do opalania i aloesem, właśnie sprawdzałam w lusterku, gdzie się opaliłam, gdy spostrzegłam samochód. To był podrdzewiały biały džip z bagażnikiem na

dachu, zaparkowany na poboczu, pod drzewami.

Usiadłam prosto.

- Zatrzymaj się - powiedziałam.

- Co?

- Zatrzymaj się!

Annie zaparkowała obok džipa, gdy ostatnie promienie słońca zniknęły za horyzontem.

- To wóz twojego taty? - zapytała, wyjmując kluczyki ze stacyjki.

- Tak - odparłam zaniepokojona i otworzyłam drzwi.

- Ale dlaczego tutaj? - spytała. Usłyszałam, jak zamyka drzwi.

Nie miałam pojęcia. Tata powinien być w pracy, on i mama uczyli w liceum w Costa Rosa, prawie godzinę

drogi stąd. Zajrzałam do samochodu. Był pusty, na siedzeniu leżały rozrzucone rzeczy, jakby wysiadano z niego

w pośpiechu. Gigantyczne pnie sekwoi znajdowały się w odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów,

oddzielając drogę od pogrążającego się w ciemności lasu. Sięgnęłam po kurtkę.

- Co robisz? - Annie drgnęła nerwowo.

- Musi gdzieś tutaj być - rzuciłam, idąc w stronę drzew.

- Że co?

- Może spaceruje.. Czasem z mamą urządzają sobie w weekend takie wyprawy - usiłowałam mówić z przekonaniem, ale sama w to nie wierzyłam. - Sprawdzę.

- Zaczekaj! - zawołała Annie. - Renee, zaczekaj! Robi się ciemno. Może lepiej wracajmy do domu?

Nie odpowiedziałam, okrążyłam samochód Annie i przechyliłam się przez okno od strony pasażera. Sięgnęłam do schowka i wyjęłam latarkę, którą jej rodzice trzymali tam na wszelki wypadek.

- Nie martw się, zaraz wrócę. Czekaaj tu na mnie. -A potem odwróciłam się i pobiegłam do lasu.

Las był chłodny i wilgotny. Pędziłam między drzewami, mokry kostium kąpielowy przemoczył ubranie,

adidasy zapadały się w ziemię, paprocie chłostały mnie po łydkach.

- Tato?! - wołałam w ciemność, ale szumiący w gałęziach wiatr tłumił mój głos. - Tato, jesteś tam?!

Biegłam, a promień latarki podskakiwał między drzewami jak szalony, oświetlając je nagłymi, krótkimi

rozbłyskami. Otaczały mnie ogromne, ciemne sekwoje, ich pnie strzelały w górę, wysoko ponad mgłą, która zaczynała ścielić się nad ziemią.

Gdy w końcu przystanąłam, by złapać oddech, czułam się jak po wielokilometrowym biegu. Kątem

oka

dostrzegłam, że coś błyszczy na ziemi, ruszyłam w tamtą stronę. Ręce mi się trzęsły, gdy skierowałam światło

latarki na to miejsce. To była moneta. Podważyłam ją czubkiem buta, obok leżał strzęp białego materiału.

Poszłam dalej.

Tu, w głębi lasu, było chłodniej. Zadrzałam, zapięłam kurtkę i oświetliłam ziemię. Była usiana monetami i

kawałkami białego materiału. Zaintrygowana, schyliłam się, żeby przyjrzeć im się z bliska i wtedy niedaleko

mnie poruszyły się liście. Potem rozległ się szelest i miękki odgłos czyichś kroków.

Zamarłam. Z oddali dobiegał dźwięk przejeżdżających samochodów, ich światła wyglądały niczym świetliki. Wpatrzyłam się w krzaki wokół mnie, ale nie dostrzegłam żadnego ruchu, jedynie w górze szumiały

gałęzie. Odetchnęłam z ulgą, zrobiłam krok do przodu i wtedy moja stopa natrafiła na coś dużego i miękkiego.

Żołądek mi się ścisnął, gdy dostrzegłam dłoń, białą, z delikatnymi palcami wbitymi w ziemię. Przesunęłam

strumień światła na nadgarstek, ramię, szyję i twarz pokrytą ziemią i okoloną długimi orzechowymi lokami.

Krzyknęłam cicho i odwróciłam wzrok. W powietrzu czuć było silną woń gnijących liści. Zmusiłam się, żeby

ponownie spojrzeć na ciało.

- Mamo - szepnęłam.

Leżała na plecach, z rękami wzdłuż tułowia. Miała zamknięte oczy i można by pomyśleć, że śpi, gdyby jej

skóra nie była tak strasznie blada. Szczupłe, umięśnione nogi, które po niej odziedziczyłam, teraz sztywne,

nadal miały ten dziewczęcy kształt, z którego była taka dumna. Wyglądała bardzo spokojnie, jakby po długiej

przechadźce po lesie położyła się na chwilę, żeby odpocząć.

Pochyliłam się i przyłożyłam palce do jej szyi, tuż poniżej szczęki. Skóra była lodowato zimna. Nie wiem

czemu sprawdzałam puls, przecież wiedziałam, że nie żyje. Wyglądała, jakby śmierć postarzyła ją o co najmniej

dziesięć lat. Policzki miała zapadnięte, okularów nigdzie nie było. Bez nich skóra wokół oczu wydawała się

naga i odsłonięta, pod oczami pojawiły się cienie.

Mój tata leżał kilka metrów dalej, wokół jego ciała lśniły monety. Nie mogłam na to dłużej patrzeć, wypuściłam latarkę z rąk. Upadła miękko na ziemię, potur-lała się do nóg taty. Patrzyłam na jego buty, rozrzucone

nienaturalnie na boki i czułam, że zaczyna brakować mi powietrza. Chciałam do niego podbiec, ale nie mogłam

zmusić się do ruchu. Chciałam zawołać Annie, ale słowa ugrzęzły mi w gardle. Zrobiło mi się niedobrze,

chciałam odwrócić wzrok, pobiec w stronę drogi i wezwać pomoc, ale nie zrobiłam nic. Wiedziałam, że to moje

ostatnie chwile z rodzicami.

- Dlaczego? - wykrztusiłam.

Gdy byłam mała, rodzice zawsze potrafili znaleźć odpowiedź na najtrudniejsze pytania, a teraz po raz

pierwszy w życiu milczeli. Przetarłam oczy i dotknęłam ręką ust mamy. Były rozchylone, widać było wystający

z nich cienki materiał. Wyjęłam go delikatnie i podniosłam do światła. Był postrzępiony na brzegach jak gaza.

Obróciłam go w rękę i spojrzałam na mamę. Na jej ciele nie było żadnych śladów przemocy, żadnych siniaków

czy ran, żadnej krwi. Ale ta gaza, te monety - ktoś przecież musiał to zrobić! Zadrżałam. Odwróciłam się i

wpatrzyłam w ciemność, zastanawiając się, czy jest tu ktoś jeszcze oprócz mnie.

Drzewa sklepiały się nade mną, wierzchołki drzew zginały się i łączyły. W mojej głowie wirował



obraz martwych rodziców, czułam się zdezorientowana i zagubiona. Ściskając gazę w dłoni, położyłam głowę na piersi

mojej mamy, zamknęłam oczy i wsłuchiwałam się w szum gałęzi nade mną. Tak bardzo pragnęłam, żeby był już

ranek, a las okazał się pusty i pełen słońca, i żeby to był tylko zły sen. Czułam zimne powietrze na skórze,

strzępy białej gazy poruszały się na ziemi, niczym ćmy na siatce w drzwiach.

W dniu pogrzebu moich rodziców upomniała się o mnie przeszłość. Leżałam na podłodze w salonie, wpatrując się w owady, które gromadziły się na brzegach szyb w oknie, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Mama Annie,

Mar-gerie, która była przy mnie przez cały czas, otworzyła je.

- Panie Winters! Tak się cieszę, że pan przyjechał -szepnęła.

Słuchałam dźwięków. Cichy szmer głosów, szuranie butów wycieranych o wycieraczkę, a potem głęboki kaszel. I kroki.

- Renee? - powiedziała delikatnie Margerie.

Nie poruszyłam się. Dwie stopy zatrzymały się przede mną. Patrzyłam na brązowe buty, na frędzle na końcach sznurowadeł, na zagniecenia tuż przed dużym palcem.

- Przyjechał twój dziadek.

Usiadłam, włosy przywarły mi do tyłu głowy.

4

- Witaj, Renee - odezwał się mężczyzna głębkim głosem i wyciągnął do mnie dużą twardą dłoń, żeby pomóc mi wstać. Wyglądał na profesora z tymi białymi włosami, długimi płatkami uszu i dużą, jakby rozciągniętą

twarzą. Jego ubrania pachniały słodko tytoniem do fajki.

Ignorując dłoń, położyłam się z powrotem. Brownie Winters, ojciec mojej mamy. Nie widziałam go, odkąd

skończyłam siedem lat. To, że nosiłam takie nazwisko jak on, wydawało się co najmniej dziwne. Między nim i

rodzicami doszło do kłótni, dziadek wyszedł, trzaskając drzwiami. Od tamtej pory nie dawał znaku

życia. Nie

przysyłał nawet kartek na urodziny.

- Nie byłeś na pogrzebie - odparłam oskarżycielsko, patrząc na jego pomarszczoną szyję.

Westchnął. Miał takie same oczy jak mama, wodniście niebieskie i smutne.

- Aż do dzisiaj nie miałem pojęcia o tym, co się stało. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Nie odezwałam się. Mama często opowiadała mi o surowych zasadach, które panowały w jej domu w

Massachusetts. O tym, że dziadek dbał jedynie o pieniądze, pozory i nazwisko - to on nalegał, żebym

nosiła jego nazwisko, a nie taty. Dzieciństwo mamy wydawało mi się tak różne od mojego! Dorastała w ponurej

posiadłości wśród lasów. Często powtarzała, że było to odludne miejsce i więcej czasu spędzała z

gosposią niż z rodzicami. Pewnie właśnie dlatego ona i mój tata przenieśli się do Kalifornii. Nasz dom był

miejscem, w którym każdy czuł się swobodnie. Skromny, ale pełen życia i przytulny. Na ścianach wisiały zdjęcia, przez

duże okna wpadało światło. Trawa na podwórku nigdy nie była koszona na czas, w basenie na tyłach pływały

liście i żuki, które wplątywały mi się we włosy, ale w letnie upalne popołudnie cudownie było zanurzyć się w wodzie.

Wpatrywałam się w buty mojego dziadka. Wyglądały na niewygodne.

- Zostanę z tobą przez jakiś czas - oznajmił, zakładając okulary. - Dłuższy czas. Twoi rodzice

wyznaczyli mnie na twojego prawnego opiekuna, co jest dla mnie sporym zaskoczeniem, zwłaszcza po tym, jak

skończyło się nasze ostatnie spotkanie. Miłym zaskoczeniem, rzecz jasna, chociaż wolałbym nie dowiadywać

się o tym w tak tragicznych okolicznościach. Zawsze żałowałem, że nie mogę być częścią twojego życia. . -

przerwał, a gdy

znów się odezwał, jego głos brzmiał nieco łagodniej. - Czasem warto skupić się na dobrych wspomnieniach.

Przypominają człowiekowi, że szczęście jednak istnieje, nawet jeśli w tej chwili jest to mniej oczywiste - Gdy nie

zareagowałam, poruszył się. - No cóż, w każdym razie mam nadzieję, że zobaczymy się na kolacji, która

zostanie podana punktualnie o dziewiętnastej trzydzieści.

Zamknęłam oczy, usiłując się nie rozplakać. Wprawdzie dziadek był moim prawnym opiekunem i jedynym

krewnym, ale nie obchodziło mnie to, czy tu zostanie, czy też wyjedzie na zawsze, a już na pewno nie miałam

zamiaru jeść kolacji. Od czasu tamtej nocy w lesie nie jadłam prawie nic. Zostałam sama, zupełnie sama i nie

miałam pojęcia, co się teraz stanie, jak będzie wyglądać moje życie po śmierci rodziców. Ludzie przychodzili i

wychodzili, ale dla mnie byli jedynie niewyraźnymi cieniami.

Mój dziadek nadal stał nade mną, ale ja leżałam nieruchomo. W końcu usłyszałam, jak klepie się po kieszeniach spodni i oddała do kuchni. Wiatrak pod sufitem mełł powietrze, czułam na swojej szyi ciepłe, mocne podmuchy

Następny tydzień minął jak w malignie. Większość czasu spędzałam, włócząc się po domu, usiłując zachować spokój i unikając dziadka, który najwyraźniej chciał porozmawiać o mojej przyszłości, chociaż ja nadal

tkwiłam w przeszłości. Był emerytowanym profesorem (babcia zmarła, jak byłam mała) i odkąd się wprowadził,

zostałam niemal zniewolona we własnym domu, a moje życie stało się nieznośną rutyną. Jak powiedział: „Reguły pomagają nam żyć normalnie, nawet wtedy, gdy stracimy chęć do życia”. Ściągnął tu swojego majordomusa,

starego, łysego Dustina, który sprzątał, gotował i pełnił funkcję kierowcy. Posiłki podawano trzy razy dziennie:

śniadanie o siódmej, obiad o trzynastej, a kolację o dziewiętnastej trzydzieści. Zaspanie na śniadanie było surowo zabronione, a do tego musiałam zjeść wszystko, co miałam na talerzu, zanim pozwolono mi wstać od stołu.

Nie byłby to żaden problem, gdyby nie to, że dania serwowane przez Dustina były ciężkie i wyszukane: foie

gras, ślimaki, kawior, czarny pudding (który właściwie nim nie był), słodki chleb (który wcale nie był słodki, a

nawet nie przypominał chleba), środki sałat, które przypominały raczej jakiegoś gada niż warzywo.

Dziadek uczył mnie dobrych manier przy stole, zerkając z dezaprobatą na podarte dżinsy czy wydekoltowane podkoszulki. Powiedział, że się garbię, co woła o pomstę do nieba, i że trzymam widelec jak barbarzyńca.

Rzucałam mu spojrzenia spode łba i miałam ochotę się odciąć, ale się powstrzymywałam. Dzisiaj nie miałam

czasu na klótnie. Planowałam wyjść z domu. Zerknęłam na zegarek, była dwudziesta. Spojrzałam na talerze, na

srebrne sztucce, na papierowy ręcznik wiszący nad umywalką, na stojący na półeczce nad kominkiem dzban z

monetami, które przywodziły na myśl rodziców i ich śmierć. Jeśli chciałam wyjść, musiałam zrobić to szybko,

ponieważ pierwszy raz w życiu obowiązywała mnie godzina policyjna - o dwudziestej drugiej powinnam być z

powrotem.

- Wychodzę - wymruczałam.

Dustin stał w rogu pokoju, ubrany w garnitur, z rękami założonymi za plecami i wpatrywał się w sufit, udając, że nie słucha. Rzuciłam mu nieprzyjazne spojrzenie.

Dziadek opuścił widelec.

- Czy mogłabyś powtórzyć? Powtórzyłam, głośniej i ze złością.

- Teraz lepiej. - Spojrzał na zegarek. - Robi się późno, wolałbym, żebyś została w domu.

Słońce właśnie skryło się za domami przy ulicy.

- Przecież jest widno - zaprotestowałam.

- Wolałbym, żebyś nie wychodziła sama późnym wieczorem, to nie jest bezpieczne.

- Nie będę sama, będzie ze mną... Annie - rzuciłam szybko, improwizując.

- Wolałbym, żebyś została - odparł stanowczo.

- To może pójdę do pokoju i spędzę w nim resztę życia? To na pewno będzie bardzo bezpieczne - oznajmiłam, zabierając swój talerz i wstając od stołu.

Dustin poruszył się, pewnie chciał zabrać moje nakrycie, ale dziadek powstrzymał go gestem. Odwróciłam

się do nich tyłem i wymaszerowałam do kuchni, czując się jak zwycięzca.

- Renee! - zawołał dziadek. - Chciałbym cię o coś spytać.

Bez słowa odkręciłam kran.

- Jak znalazłaś rodziców?

To mnie zaskoczyło. Gąbka wypadła mi z ręki i zatonała w mydlinach.

5

- Już ci mówiłam.

- Owszem - przyznał spokojnie. - Ale myślę, że to jeszcze nie wszystko.

Nie odpowiedziałam.

- Nie rozmawialiśmy dotąd o twoich rodzicach. . Uznałem, że będzie lepiej, jeśli pozwolę, żebyś przeżyła

żałobę na swój własny sposób...

Ciasna, niewielka kuchnia była tuż obok salonu, cały czas czułam na sobie uważne spojrzenie dziadka.

- Nie było mnie w twoim życiu aż do teraz, ale wierz mi, wiem, jak to jest, gdy traci się kogoś, kogo się

kocha. Twoja mama, Lidia, była przecież moją córką. Oboje doskonale wiemy, że jej śmierć to nie wypadek. A to

właśnie ty ich znalazłaś... - urwał. - Proszę, zaspokój ciekawość starego człowieka.

Po raz pierwszy, odkąd przyjechał, jego słowa brzmiały sensownie. Odwróciłam się i spojrzałam mu prosto

w oczy.

- Ja i Annie wracaliśmy samochodem z plaży. Poprosiłam, żeby pojechała Prairie Creek Drive

zamiast U.S.

101. - Dlaczego?

- Bo uznałam, że tak będzie szybciej. - Nie wyjawiałam prawdziwego powodu, że niespodziewanie poczułam, że powinnyśmy nią pojechać.

- Co się stało potem?

- Zobaczyłam samochód taty na poboczu. Zatrzymałyśmy się i ja poszłam w stronę lasu, a Annie została w

samochodzie.

- A potem?

Przed moimi oczami pojawiły się migawki z biegu przez las sekwoi.

- Zaczęłam biec. Nie wybierałam kierunku, wiedziałam tylko, że muszę biec dalej, w głąb lasu.

- A później?

- Zobaczyłam monety.

Z odkręconego kranu na talerze lał się strumień wody.

- Co było dalej? - spytał łagodnie dziadek. Odwróciłam się do niego gwałtownie.

- Co się stało? Właśnie to! Znalazłam ich ciała. Nie żyli. Chcesz, żebym przeszła przez to wszystko jeszcze

raz? Dobrze wiesz, co się stało, czytałeś raport policyjny, powiedziałam im wszystko, co wiedziałam!

Odwróciłam się do zlewu, otarłam oczy.

- Przepraszam - odezwał się łagodnie. - Wiem, że to dla ciebie bardzo trudne; najpierw śmierć rodziców, a

teraz moja obecność. To niesamowite, że los zetknął nas ze sobą po tylu latach. Ale zastanów się: czy nie wydało

ci się dziwne, że znalazłaś samochód taty na poboczu drogi, że odszukałaś ciała rodziców ponad półtora

kilometra na północ od samochodu? Las zajmuje prawie osiemset kilometrów kwadratowych, a tobie udało się

na nich trafić w ciągu trzydziestu minut!

- Może to.. przypadek? - Tak w każdym razie uważała policja.

Dziadek uniósł białą krzaczastą brew.

- Tak myślisz?

- Co sugerujesz?

- Niczego nie sugeruję - zapewnił. - Próbuję tylko zrozumieć.

- Nie wiem, dlaczego udało mi się ich znaleźć. To się po prostu stało. Nie myślałam, dokąd biegnę, po prostu

biegłam.

Dziadek już miał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Odchylił na oparcie fotela i oparł podbródek na dłoniach.

Wyglądał na zafrasowanego.

- Powinnaś mieć nowe buty. Te są zbyt dziecinne dla osoby w twoim wieku. Wybierzemy się na zakupy w

przyszłym tygodniu.

Kompletnie zbита z tropu, popatrzyłam na swoje trampki i się wkurzyłam. Przyjeżdża tu z tymi swoimi pytaniami, zasadami i godziną policyjną, zmusza mnie, żebym na nowo przeżywała chwile, o których chcę jak najszybciej zapomnieć, rozwala moje i tak zrujnowane życie, a teraz jeszcze chce wyrzucić moje ukochane trampki!

- Nie chcę nowych butów! - krzyknęłam. - Chcę z powrotem moich rodziców! - Pobiegnęłam na górę, trzasnęłam drzwiami i siadłam na podłodze. Bez zastanowienia zadzwoniłam do Annie, podniosła słuchawkę po

trzecim sygnale. - Muszę się stąd wydostać - sapnęłam. - Przyjedziesz po mnie?

- Będę za dziesięć minut.

Pojechałyśmy na przystań. W ciągu ostatnich dni rzadko widywałam Annie. Gdy tamtej nocy nie wróciłam z

lasu, wezwała policję, przyjechali i zaczęli mnie szukać. Gdy znaleźli mnie przy ciałach rodziców i zabrali do

domu, Annie nie pytała, co widziałam ani jak się czuję. Poczułam ulgę, że nie wie, co powiedzieć -

bo i ja nie

wiedziała. Jak mogłabym jej wyjaśnić, że gdy zmarli moi rodzice, ja również umarłam? Że już nie jest

ważne? Że wszystko, co kochałam: lacrosse, plaża, książki, historia, filmy, zupełnie straciło sens?

Potem wokół mnie kręcili się ludzie - sąsiedzi, dziewczyny z drużyny, krewni, ludzie z miasta - którzy

przychodzili i mówili, że znali moich rodziców i że też ich im brakuje. Po raz pierwszy w życiu cieszyłam się,

że rodzice nie kupili mi komórki, miałam o jeden problem mniej. Co chwila pojawiali się policjanci, zadawali

pytania. „Czy wiesz, dlaczego rodzice byli tamtego dnia w lesie? Może ostatnio zachowywali się nietypowo?

Może mieli jakichś wrogów?”

„Nie - odpowiadałam. - Nie. Nie”.

Ale najgorsze było to, że nie mogłam zrozumieć, co się dzieje. Przyczyną śmierci rodziców rzekomo miał być

atak serca, co nawet mogłoby być prawdopodobne, gdyby nie okoliczności. Jednoczesna śmierć, w tej samej

chwili, z tego samego powodu? Czy to nie zbyt duży zbieg okoliczności? Sekcja zwłok wykazała, że na ciałach

nie było żadnych śladów przemocy, żadnej walki, w ogóle niczego niezwykłego, z jednym wyjątkiem: w ich

ustach znaleziono ziemię i strzępki białego materiału. Gdy spytałam, czy to jakiś szczególny materiał,

odpowiedziano mi, że zwykła gaza, którą można kupić w każdej aptece. Ale nikt nie potrafił mi wyjaśnić, czemu znalazła się w ich ustach.

Zdaniem policji powodem ataku serca był wypadek podczas marszu. Oczywiście nie uwierzyłam w to wyjaśnienie. „Jaki wypadek?! - krzyczałam na policjantów, lekarzy i pielęgniarki. - Oboje nie mogli umrzeć na atak

serca dokładnie w tej samej chwili! To niemożliwe! Byli zupełnie zdrowi! Powinni być w pracy! Mieli w ustach



gazę! Czy to jest normalne?!" Patrzyli na mnie ze współczuciem, jakbym zwariowała i mówili, że to straszna

6

tragedia, że rozumieją i że zrobią wszystko, żeby wyjaśnić tę sprawę. Ja jednak wiedziałam, że jest za mało

dowodów. Czyżby moi rodzice zostali zamordowani? Dlaczego ktoś miałby pragnąć ich śmierci? Dlaczego las,

skąd monety i gaza? Jeśli ktoś

to zrobił, nie był to przypadek. Teraz jest na wolności i gdzieś się czai. Ale dlaczego mama wyglądała po śmierci

dużo starszej niż jeszcze dzień wcześniej? Jak to możliwe? Może po prostu wybrali się na wycieczkę i dostali

ataku serca. Albo popełnili samobójstwo. Traciłam rozum.

Gdy przyjechał dziadek, rozmawiał z policją bardzo spokojnie, udzielając lakonicznych odpowiedzi: „Tak.

Nie. Nie wiem". Ponieważ jednak od dawna nie miał kontaktu z moimi rodzicami, nie naciskano go.

Ja i Annie dojechałyśmy do przystani, zdjęłyśmy buty i poszłyśmy się przejść po kamienistej plaży, przy pomoście po przeciwnej stronie zatoki. Zarówno pomost, jak i łódzie, w dzień tak kolorowe, teraz wydawały się

niebieskawe.

- Dzięki, że przyjechałaś. - Zanurzyłam czubki palców w wodzie.

- Zawsze do usług. - Annie usiadła na kamieniach. - Rozmawiałam z Wesem... - urwała, spojrzałam na nią

wyczekująco. - Pytał o ciebie. Chciał wiedzieć, jak tam. . no wiesz. Mówił, że dzwonił do ciebie, ale nie

odebrałaś i nie oddzwoniłaś.

- Dzwonił? - zapytałam zaskoczona. Zupełnie o nim nie myślałam przez ostatni tydzień, nie przyszło mi

nawet do głowy, że mógł się o mnie martwić. Od tamtej nocy w lesie telefon dzwonił prawie bez przerwy,

przyjaciele, sąsiedzi, policja, firmy ubezpieczeniowe. . W końcu po prostu przestałam podnosić słuchawkę, zostawiając załatwianie tych spraw dziadkowi.

- Mówił, że zostawił wiadomość na sekretarce. Chciał jedynie zapytać, jak się czujesz.

- Czuję się tak, jakby całe lata minęły od czasu, gdy widziałam go po raz ostatni - rzuciłam bardziej do siebie niż do Annie i się uśmiechnęłam. Po raz pierwszy od śmierci rodziców poczułam coś innego niż odrętwienie. Pomyślałam o Wesie, jego szorstkim podbródku, gładkich umięśnionych rękach, brązowych kręconych

włosach, o jego dłoni na moim karku, gdy mnie całował, i przez chwilę miałam wrażenie, jakby nic się nie stało

i że wrócę do dawnego życia. Od śmierci rodziców nic nie czułam, a przez ostatni tydzień byłam jak w transie -

moje ciało przemieszczało się po domu, ale bez udziału mózgu, który wydawał się martwy.

I teraz nagle zapragnęłam poczuć ból, szczęście, nieważne! Popatrzyłam na wodę, była zupełnie gładka,

jakby nocne powietrze naciskało na nią.

Nie miałam na sobie kostiumu, ale to było bez znaczenia, nocą nikogo tu nie było. Rozebrałam się szybko i

wskoczyłam do wody; płuca ścisnęły się pod wpływem szoku spowodowanego nagłą zmianą temperatury, słona woda szczypała w oczy.

Wynurzyłam się i zobaczyłam, że Annie wchodzi do wody, jedną ręką przytrzymując włosy. Chlapnęłam na

nią wodą, krzyknęła cicho. Zanurkowałam i popłynęłam w głąb zatoki. Wokół mnie łodzie kołysały się, ich

odbicia ciągnęły się aż po horyzont. Popatrzyłam na brzeg, Annie leżała przy skałach i wpatrywała się w niebo,

a potem zerknęłam na wodę. Zobaczyłam, jak coś wynurza się na powierzchnię.

Było okrągłe i duże, trupio blade w długich postrzępionych szmatach, które poruszały fale. Wrzasnęłam i zaczęłam szybko płynąć do brzegu, młócąc rękami wodę.

- Co się stało? - spytała osłupiała Annie.

- Tam coś pływa. - Pokazałam na zatokę. Annie wstała i spojrzała na wodę.

- Boja - odparła w końcu.

- Myślałam - dyszałam ciężko - myślałam, że to ciało...

Annie popatrzyła na mnie zaniepokojona.

- To tylko boja z wodorostami.

Speszona, zamrugałam i zmusiłam się do spojrzenia na wodę. Odetchnęłam z ulgą. Annie miała jednak rację.

- Przepraszam - sapnęłam. - Chyba zaczynam wariować.

W tej samej chwili ktoś poświecił na wodę reflektorem.

- Kto tam jest?! - zawołał głos z przycumowanej łodzi.

- A niech to! - Nie chciałam, żeby ludzie zobaczyli mnie w samej bieliźnie. - Spadajmy stąd.

W świetle księżyca pobiegłyśmy do brzegu.

Annie podwiozła mnie do domu, wśliznęłam się przez tylne wejście, mając nadzieję, że dziadek jest już w

łóżku. Właśnie przechodziłam przez kuchnię, gdy w drzwiach zamajaczyła jakaś postać.

Znieruchomiałam i

wymruczałam:

- O cholera.

- Widzę, że pływałaś - odezwał się dziadek. Nawet teraz miał na sobie drogi tweedowy garnitur.

- Dusiałam się tutaj.

Mój sarkazm nie uszedł jego uwagi.

- Myślisz, że to zabawne? - zapytał ostro, a ja podskoczyłam, zaskoczona. - Mogłaś zostać zamordowana!

Myślisz, że ustaliłem te zasady złośliwie? Że narzucam ci je tylko po to, żeby cię karać?

- Zamordowana. . Tak jak moi rodzice, prawda? Może to wcale nie byłoby takie złe, biorąc pod uwagę, że

wtedy nie musiałabym żyć tak jak teraz.

Dziadek przyglądał mi się uważnie, a ja stałam, przyciskając bluzę do piersi i czekając, co powie.

Było lak

cicho, że słyszałam, jak woda z moich włosów kapie na linoleum.

- Przykro mi, jeśli tak się czujesz - powiedział. - Nie to było moim zamiarem. Wysusz się i prześpij, porozmawiamy rano. Myślę, że uda nam się w końcu dojść do porozumienia.

Rano obudziłam się późno. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu dziadek pozwolił mi przespać śniadanie,

jednak zamiast cieszyć się z tego małego zwycięstwa, zaczęłam coś podejrzewać. Zeszłam po cichu na dół,

dziadek był w salonie, siedział w fotelu taty z gazetą na kolanach. Dustin właśnie zabierał filiżankę i spodeczek

ze stolika obok. Weszłam do pokoju, usiłując nie zwracać na siebie uwagi.

- Renee - odezwał się dziadek niemal ciepło. - Podejdz, proszę. - Wskazał sofę naprzeciwko siebie.

7

Ubrany był w spodnie, elegancką marynarkę i jedną z tych koszul z podwójnymi mankietami, które Dustin

krochmalił i prasował co wieczór. Jego rzadziejące białe włosy, zwykle nienagannie uczesane, teraz były

zmierzwione z jednej strony, pewnie dlatego, że opierał głowę na rękę. Napił się wody, a ja czekałam na karę.

- Siądź, proszę - powtórzył.

Dustin odsunął krzesło, położył serwetkę i nakrycie.

- Dużo o tobie myślałem. . - ciągnął dziadek.

Skubałam spodenki i przyglądałam się jego wielkiemu czerwonemu nosowi - był tak ogromny, że aż trudno

było wyobrazić go sobie na innej, młodszej twarzy.

- . . i zdecydowałem, że wyślę cię do szkoły - oznajmił w końcu.

Pokręciłam głową.

- Słucham? Ja już chodzę do szkoły.

- Mówię o elitarnej szkole z internatem.

Wstałam, wzburzona. Całe moje życie było tutaj: Annie, przyjaciele, nauczyciele, ludzie, wśród których

dorastałam. . Byli wszystkim, co mi zostało! Teraz szłam do drugiej klasy, byłam w reprezentacji szkoły w

lacrossie, dostałam się na rozszerzoną historię, normalnie niedostępną dla drugoklasistów. . Poza tym tutaj

mieszkał Wes...

- Nie możesz tego zrobić! - krzyknęłam, choć wcale nie byłam tego taka pewna. Jak mógł mnie stąd zabrać,

skoro moje życie właśnie się zaczynało?

Splótł dłonie na kolanie.

- Najwyższa pora, żebyś uzyskała właściwą, klasyczną edukację. Wiem dobrze, jak funkcjonują dzisiejsze

szkoły, pozwalając młodym ludziom wybierać to, co im się podoba. To nieskuteczna metoda, udowodniono to

wielokrotnie. Akademia Gottfrieda jest szkołą, która istnieje od stuleci i jestem pewien, że da ci te same podstawy, jakie dała twojej mamie.

Już miałam mu przerwać, ale wzmianka o mamie powstrzymała mnie. Nie wiedziałam, że chodziła do szkoły z internatem. Dużo opowiadała o swoim dzieciństwie, o liceum, o tym, jak poznała tatę, ale nigdy nie

wspomniała, że była w szkole z internatem, w dodatku prestiżowej, ani o tym, że tata też tam chodził, a przecież

musiał, skoro poznali się na angielskim. Czemu to przemilczała?

- Nigdzie się nie wybieram - rzuciłam wyzywająco. - I nie możesz mnie zmusić.

Westchnął i pokręcił głową.

Ależ mogę i zrobię to. Twoi rodzice mi zaufali Moim obowiązkiem, jako prawnego opiekuna, jest zynienie

tego, co uważam za najlepsze dla twojej przyszłości.

- Wcale cię nie lubili! Nie chcieli, żebym się z tobą widywała! Skąd możesz wiedzieć, co jest dla mnie najlepsze? W ogóle mnie nie znasz!

- Być może - powiedział spokojnie. - Ale to nie zmienia faktu, że się tobą opiekuję, a ty jesteś niepełnoletnia.

Nie zamierzam tolerować takiego braku szacunku. Wiem o tobie więcej niż ty sama. Usiądź, proszę.

Wzdrygnęłam się i usiadłam.

- Czy ci się to podoba, czy nie, jestem twoim opiekunem i zaczniesz naukę w Akademii Gottfrieda. Porozmawiajmy szczerze i otwarcie. Nie jesteś tu bezpieczna, Renee.

- Co masz na myśli?

- Twoi rodzice nie żyją. Nie wiem dlaczego, nie wiem, kto i dlaczego ich zabił, ale z całą pewnością nie

zmarli śmiercią naturalną.

- Ale policja. .

- Policja uważa, że zmarli na atak serca. Myślisz, że to prawda?

- Nie.

- Ja też nie.

- No to.. no to co z tego? Myślisz, że ktoś ich zamordował? Myślisz, że ktoś gonił ich po lesie i w końcu

zabił?

Dziadek pokręcił głową, jego obwisłe policzki zafalowały.

- Nie wiem, Renee. Wiem tylko, że nie żyją, i to nie był wypadek. Właśnie dlatego musimy stąd wyjechać.

Natychmiast.

Mój mózg pracował na pełnych obrotach. Mogę uciec i zamieszkać z Annie i jej rodzicami. Albo uciec daleko

stąd i jeździć pociągami. Muszę pogadać z Annie. Może zdoła przekonać swoją mamę, żeby mnie adoptowała.

Dziadek chyba wyczuł moje zdenerwowanie.

- Wyjeżdżamy jutro rano. Jeśli zajdzie taka potrzeba, wsadzę cię do samochodu siłą.

- Jutro?! Nie mogę wyjechać jutro! A moi przyjaciele?!

Nie obchodziło mnie, czy na zewnątrz czai się jakiś morderca, który pragnie poćwiartować mnie na kawałki.

Miałam zamiar tu zostać i dowiedzieć się, co się stało z moimi rodzicami.

- Nigdzie nie jadę - sprzeciwiłam się stanowczo. - Ani z tobą, ani z twoim głupim kamerdynerem.

Dustin chrząknął w kącie pokoju, ale mnie było już wszystko jedno.

- Nie ma czasu na takie sprzeczki - rzekł dziadek. - Za tydzień zaczyna się nowy rok szkolny i powinnaś być

wdzięczna, że przyjmą cię do akademii mimo tak późnego zgłoszenia. Gdyby nie moje koneksje, w ogóle nie

rozpatrywaliby twojej prośby.

- Nie rozumiem - wściekałam się. Czulałam, że oczy pieką mnie od łez. - Czemu uważasz, że w innej szkole

będzie bezpiecznej? Czemu po prostu nie pójdziemy na policję?

- Policja już tu była. I cóż, okazali się pomocni? Akademia Gottfrieda to bezpieczne miejsce. Na korytarzu

przed twoim pokojem stoi walizka. Nie bierz zbyt wielu rzeczy. Pogoda na Wschodnim Wybrzeżu jest zupełnie

inna, a w akademii obowiązują mundurki. - Zmierzył wzrokiem moje szorty i podkoszulek. -

Śmiem twierdzić, że twoja obecna garderoba zupełnie ci się tam nie przyda. Na miejscu znajdziemy ci coś bardziej odpowiedniego.

- Na Wschodnim Wybrzeżu? - Myślałam, że się przesłyszałam.

- Akademia znajduje się w północnej części Maine. Omal nie spadłam z krzesła. Spodziewałam się, że

8

jest godzinę, najwyżej dwie godziny od Costa Rosa, ale przeprowadzka do Maine to zupełnie inna sprawa! Nigdy w życiu nie byłam na Wschodnim Wybrzeżu. Oczyma wyobraźni ujrzałam surowych, bezimiennych ludzi

ubranych na czarno i długie mroźne zimy. To jakiś koszmar!

- Nigdzie nie jadę! - zawołałam. - Nie będę... Ale dziadek mi przerwał.

- Naprawdę myślisz, że twoi rodzice chcieliby, żebyś tu została, snując się po domu i rozczulając nad sobą,

tak jak robiłaś to przez ostatni tydzień? - Spojrzał na mnie chłodno. - Nie, chcieliby, żebyś żyła dalej własnym

życiem. I to właśnie zrobisz.

Rozmowa była skończona, wyleciałam z pokoju jak z procy. Nie obchodziło mnie, co mówił dziadek, nie

miałam zamiaru wyjeżdżać do Nowej Anglii. Musiałam coś wymyślić. Usiadłam na parapecie. Przez łyzy patrzyłam na gorące powietrze, które wibrowało nad chodnikiem w porannym słońcu. To niewiarygodne - minął

zaledwie tydzień, a moje życie zmieniło się nie do poznania. Mama i tata nie żyli, a ja nie wiedziałam, co mnie

czeka. Ale nie czułam strachu. Wybrałam numer Annie, zamknęłam oczy i obiecałam moim rodzicom, że

zawsze będę cenić życie.

## **Akademia Gottfrieda**

Gdy powiedziałam Annie o akademii, zareagowała jeszcze bardziej histerycznie niż ja.

- Nie możesz się wyprowadzić! Kto będzie moją najlepszą przyjaciółką? A twoją? Zamieszkać ze mną,

nareszcie będziemy prawdziwymi siostrami, tak jak chciałyśmy w dzieciństwie. Możesz wciąć gabinet. .

Dokładnie to samo chciałam jej zaproponować, ale teraz zrozumiałam, jak bardzo jest to nierealne. Annie

miała dwóch młodszych braci i siostrę, co oznaczało brak wolnych pokoi. Gdyby moi rodzice żyli, chcieliby,

żebym była dzielna i niezależna. Ukrywanie się w domu przyjaciółki nie rozwiąże moich problemów. Poza tym

jedyne miejsce, w którym tak naprawdę chciałam się znaleźć, to mój dom razem z rodzicami, a tak już



nigdy nie

będzie. Niespodziewanie zaczęłam pocieszać Annie.

- Daj spokój, a gdzie będzie pracował twój tata?

- W kuchni. Albo w salonie. Miejsce się znajdzie. Westchnęłam.

- Nie mogę tego zrobić. Twoja mama i tak ma już za dużo na głowie.

-

Ale co ze szkołą? Ze znajomymi? Z Wesem? Skrzywiłam się na samą myśl, że będę musiała zostawić ich

wszystkich. A jednak musiał być jakiś powód, dla którego rodzice zdecydowali się właśnie na dziadka, a nie

mamę Annie.

- Może w Maine nie będzie aż tak źle? Skoro moi rodzice tam wytrzymali, to i mnie się uda. Poza tym będziemy codziennie do siebie dzwonić, będę przyjeżdżać na wakacje i święta...

Po tej płaczliwej rozmowie ustaliłyśmy, że spotkamy się wieczorem na Baker's Field.

Spędziłam mój ostatni dzień w Kalifornii, udając, że się pakuję, w nadziei, że jeśli nie skończę do rana, to

wyjazd jakimś cudem zostanie przełożony. Włączyłam się po domu. Usiłowałam zapamiętać wszystkie szczegóły. Delikatny zapach chleba, miękki dotyk dywanu pod stopami, skrzypiące schody.. W końcu poszłam do

gabinetu taty. Jego papiery nadal zaścielały biurko; nie chciałam na nie patrzeć, odsunęłam je i usiadłam przy

komputerze. Najpierw wrzuciłam w wyszukiwarkę „atak serca”, chcąc się dowiedzieć, co może go spowodować. Gdy wyskoczyło mi ponad milion stron, zmieniłam zapytanie na „atak serca i gaza w ustach”.

Wyników było mniej, ale ograniczały się do powikłań w czasie zabiegów stomatologicznych i zębów mądrości.

Po kolejnych próbach „atak serca, gaza i monety”, „podwójny atak serca i gaza w ustach”, które nie dały mi nic

prócz sugestii: „Czy chodziło ci o: »Podwój-ny arak tercja, baza w USA?«”, sfrustrowana wpisałam:

„Akademia

Gottfrieda".

Wyrzuciło jedną jedyną odpowiedź. Kliknęłam i znalazłam się na prostej stronie, ze złoto-niebieską ramką

(zapewne barwy szkoły) i napisem:

„Akademia Gottfrieda

*Vox sapientiae clamans ex interno*

Szkoła z internatem poświęcona studiom natury egzystencjalnej, w samym sercu Gór Białych.

Kontakt:

207 Attica Crossing, skrzynka pocztowa 4 Attica Falls, Maine 04120"

Pod spodem były herb i bardzo realistyczny szkic budynku, pewnie szkoły. Kamienny i neogotycki, otoczony gigantycznym murem, wyglądał jak wyjęty ze średniowiecza. Gdyby na rysunku znalazły się jeszcze

zagroda dla świń i wodopój, obraz dopełniłby całości. Niebo nad gmachem pokrywały złowieszcze chmury.

Zaciekawiona, sprawdziłam pogodę w Attica Falls na najbliższy tydzień - zimno i deszczowo. Codziennie.

No dobrze, ale co to za dziwaczna szkoła? Otworzyłam nowe okno i wrzuciłam „egzystencjalny”. Słownik

zdefiniował to jako „dotyczący egzystencji”. Jakże pomocne, pomyślałam i wróciłam do strony akademii.

Kliknęłam herb, potem „kontakt”, usiłując wejść głębiej, ale okazało się, że nie ma żadnych podstron. Sfrustrowana zamknęłam okno. W samym sercu Gór Białych nie mają widocznie ani normalnej pogody, ani

porządnego informatyka czy webmastera. Fantastycznie. Po całych stuleciach ewolucji technicznej cofnę się w

czasie.

Wyłączyłam komputer i wyszłam na korytarz. Przez cały tydzień nie wchodziłam do pokoju rodziców; podchodziłam do drzwi, kładłam rękę na klamce, wyobrażając sobie, że są w środku i śpią. A teraz, nie mając już

nie do stracenia, weszłam.

Pokój wyglądał dokładnie tak samo jak zawsze: pościelone łóżko, książki na szafce, drzwi od szafy otwarte,

na nich ubrania mamy. Gałęzie uderzały w okno, było wczesne popołudnie. Na stoliku nocnym mrugała

automatyczna sekretarka - skrzynka była zapchana. Kilka wiadomości od Annie, od koleżanek ze szkoły, z

firmy ubezpieczeniowej i od jakichś ludzi, których nie znałam. Przewijałam je, dopóki nie usłyszałam głosu

9

Wesa. „Renee. Tu Wes. Słyszałem, że... no wiesz... Chciałem się tylko dowiedzieć, jak się czujesz i powiedzieć, że

mi przykro. Tak strasznie mi przykro.. " Przewinęłam do następnej. „To znowu Wes. Pewnie jesteś zajęta, ale

chciałem się tylko przywitać, no więc. . cześć. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz miała ochotę pogadać".

Usiadłam na łóżku, przytuliłam do siebie poduszkę. „Cześć, to znowu Wes, dzwonię, żeby spytać, co słychać.

Pomyślałem, że może potrzebujesz z kimś pogadać. . To chyba wszystko". Przewinęłam taśmę i wśliznęłam się

pod kołdrę. Wdychałam zapach moich rodziców i słuchałam głosu Wesa, dopóki nie zasnęłam.

Wieczorem wymknęłam się z domu. Mój rower stał oparty o ścianę w tym samym miejscu, w którym zostawiłam go dwa tygodnie temu. Po cichu wyprowadziłam go na podjazd, w oddali zaszczekał pies. Wzdrygnęłam

się i zawołałam:

- Hej? - A potem zaśmiałam się z własnej głupoty. Zerknęłam na okno pokoju dziadka i pojechałam do

Baker's Field.

Stadion był szeroki i płaski, niesamowicie cichy, miejsce, w którym czas się zatrzymał. Reflektory już

wyłączono, jedyne oświetlenie dawały gwiazdy. Było pusto, nie licząc poświaty z lewej strony, usłyszałam

śmiech i specyficzny odgłos otwieranych puszek piwa. Zsiadłam z roweru i poszłam w stronę głosów.

Najpierw zobaczyłam Annie. Stała z kilkoma dziewczynami ze szkoły, na mój widok podbiegła.

- Renee! - zawołała, ściskając mnie. - Jesteś! Już zaczęłam się martwić!

Patrzyłam zupełnie osłupiała na tych wszystkich ludzi. Dziewczyny z drużyny siedziały na trawie, znajomi z

lekcji historii stali przy trzech lodówkach turystycznych wypełnionych piwem. Z tyłu zobaczyłam chłopców z

drużyny futbolowej, którzy z kilkoma kumplami z wyższych klas pili coś i palili, końcówki papierosów jarzyły

się w ciemności.

- Co się tu dzieje? - zapytałam.

- To twoje przyjęcie pożegnalne! Chyba nie sądzisz, że pozwoliłabym ci wyjechać bez zobaczenia się ze

wszystkimi?

Przyjęcie pożegnalne. Takie zwyczajne, takie obce. W obliczu śmierci moich rodziców wydawało mi się

dziwne, że takie rzeczy jak imprezy nadal mają miejsce. Uśmiechnęłam się, przytuliłam Annie, wyszeptałam:

- Będę za tobą tak okropnie tęsknić!

Z tyłu zamajaczyła sylwetka wysokiego chłopaka, o którym nie chciałam myśleć. Wes. Annie rzuciła mi

zagadkowe spojrzenie i poszła porozmawiać z przyjaciółmi. Wes podszedł i powiedział łagodnie:

- Niespodzianka.

Wyglądał, jakby dopiero co zszedł ze stron katalogu reklamującego sprzęt do surfowania, jego postrzępione

szorty i wypłowiałą koszulkę targał wiatr. Zdenerwowałam się, przełknęłam ślinę i poprawiłam

grzywkę,

mając nadzieję, że nie wyglądam na kogoś, kto nie spał dobrze od tygodnia, nawet jeśli była to prawda.

- Wyglądasz wspaniale - odparł.

- Dzięki. - Zaczerwieniłam się.

- Martwiłem się o ciebie.

- Byłam bardzo... - urwałam, próbując znaleźć właściwe słowo - zajęta. Nie chciałam...

- Daj spokój. Nie musisz się tłumaczyć. Odetchnęłam z ulgą. W niewiarygodny sposób Wes potrafił sprawić, że wszystko stawało się proste.

- Przejdziemy się?

Skinęłam głową. Wziął mnie za rękę, szliśmy przez tłum, witając się ze wszystkimi. To niesamowite, że

przyszli tu tylko po to, żeby się ze mną pożegnać. Przecieliśmy boisko i dotarliśmy do trybun. Weszliśmy na

samą górę; metalowe stopnie dudniły pod naszymi stopami. Wes próbował mówić o wakacjach, drużynie i

szkole, ale nie potrafiłam podtrzymać rozmowy. W końcu opowiedziałam mu o akademii.

- To tylko nowa szkoła, prawda? - zapytał po chwili ciszy. - Nadal będziemy się spotykać.

- To jest w Maine.

- Och - westchnął i zapadła cisza. - Ale będziesz wracać do domu na weekendy - odezwał się w końcu. Będziemy rozmawiać i zanim się obejrzymy, znów będą wakacje.

Nocny wiatr przywiał głosy z dołu. Ci ludzie byli częścią świata, do którego już nie należałam. Nie potrafiłam rozmawiać z nimi o szkole, sporcie czy lekcjach, to miejsce stało się dla mnie przeszłością, pogrzebaną

razem z rodzicami. Chciałam powiedzieć Wesowi, jak strasznie tęsknię za rodzicami i jak to boli, że czuję się

okropnie samotna. Nie mogę ani spać, ani jeść, bo to wszystko nie ma sensu. Chciałam mu opowiedzieć o okolicznościach, w jakich zginęli, że się boję i że gdzieś niedaleko jest ktoś na tyle zły, kto mi ich odebrał. Chciałam,

żeby mnie zapewnił, iż mnie uratuje przed dziadkiem i razem dokądś wyjedziemy. On by mnie chronił, a ja

byłabym szczęśliwa. To było idiotyczne, kompletnie nierealne marzenie, ale nie mogłam pozbyć się nadziei, że

jednak tu zostanę.

Wes spytał, czy mi nie jest zimno, i otulił mnie swoją bluzą. Siedzieliśmy w ciszy, słuchając śmiechu przyjaciół, pragnąc, żeby to nie był nasz ostatni wspólny wieczór i usiłując się przekonać, że jeśli tylko będziemy

bardzo chcieli, zdołamy to przetrwać. Bałam się odezwać, żeby nie zniszczyć magii tej chwili.

- Będę za tobą tęsknił - szepnął w końcu Wes.

To nie rozwiązywało moich problemów, ale wystarczyło.

- I ja... - zaczęłam, ale położył palec na moich ustach. Jego skóra była ciepła, nad górną wargą lśniły kropelki

potu. Patrzyłam na niego, a on splótł palce z moimi, pochylił się i mnie pocałował. Chłodny, mokry pocałunek

pachnący latem, rosą, świeżo skoszoną trawą, tymi wszystkimi rzeczami, które wydawały się zbyt proste, by

były prawdziwe.

To była moja ostatnia noc w Kalifornii.

Wylądowaliśmy w Massachusetts, gdzie czekał na nas Dustin, resztę drogi pokonaliśmy samochodem. Droga w głąb Gór Białych była długa i wąska. Siedziałam wciśnięta w tylne siedzenie astona martina dziadka, robionego na zamówienie, a Dustin jechał przez okolice Nowej Anglii, wzgórza, doliny i wielkie połacie lasów.

- To zachodnia część Massachusetts - odezwał się dziadek. - Kolebka transcendentalizmu.

Transcendentalizmu? Zabrzmiało jakby znajomo, słyszałam o tym, chyba na angielskim. Emerson, zdaje się,

i Thoreau? Dokładnie nie pamiętałam, a nie chciałam pytać dziadka. Otworzyłam okno, pozwalając, żeby wiatr

rozwiewał mi grzywkę.

Przyjechaliśmy przez most, minawszy lasy, kamieniste strumienie i nieliczne drewniane domy.  
Wyglądałam

przez okno, przyklejając się do skórzanego siedzenia; drzewa, które zwykle wyglądały pięknie, teraz wydawały

się posępne i mroczne.

W końcu samochód zwolnił i wjechał na długi, wysypany żwirem podjazd z małymi latarniami, który prowadził do wiktoriańskiej rezydencji otoczonej całymi hektarami nienaganych trawników.

Zatrzymaliśmy się

przed marmurową fontanną; po prawej stronie dwaj mężczyźni w zielonych swetrach klęczeli przy krzaku róży,

obok nich leżały szpadle i sekatory.

Dustin otworzył moje drzwi.

- Panno Winters - powiedział i skłonił się lekko. Wysiadłam, nie odrywając osłupiałego wzroku od rezydencji. Nad wejściem widniał napis „Posiadłość Wintershire”.

- To tutaj.

- Dziękuję, Dustinie - rzekł dziadek, gramoląc się z samochodu.

- To już akademia? - spytałam.

-

Nie do końca. Robimy małą przerwę. Ogrodnicy odwrócili się i wstali, gdy dziadek przechodził obok nich.

- To twój... twój... - szukałam odpowiedniego słowa. - Dom?

Dziadek się uśmiechnął.

- Tak, to mój dom. Transcendentalny, nieprawdaż?

Wprawdzie nie do końca rozumiałam sens tego słowa, ale wydało mi się bardzo na miejscu. Takie domy

widywałam jedynie na filmach i sądziłam, że można je spotkać wyłącznie na francuskich wsiach czy na angielskich wrzosowiskach. Nie przypuszczałam, że są również w Ameryce i że jeden z nich należy do mojego

dziadka.

Drzwi frontowe otworzyły się, ukazując olbrzymi hol z podłogą w czarno-białą kratkę i wielkimi żyrandolami. W oknach wisiały ciężkie kotary. Wpuszczały do środka słabe światło. Po obu stronach holu wznosiły

się schody prowadzące do skrzydeł wschodniego i zachodniego. Pomędzy nimi w ścianie umieszczono różę

wiatrów, a niżej znajdował się wysoki zegar stojący, którego mosiężne wahadło poruszało się leniwie. Jakże

stosownie i na miejscu.

- Dustin oprowadzi cię po rezydencji, a ja w tym czasie załatwię kilka niecierpiących zwłoki spraw.

- To nie zostaniemy tutaj?

- Tylko na jedną noc. - Uśmiechnął się i zostawił mnie z Dustinem.

Zwiedzaliśmy kolejne pokoje, z których każdy miał swoją nazwę i styl.

- Oto Biblioteka w Kratę - oznajmił Dustin, gdy weszliśmy do ośmiokątnego pokoju z mahoniową podłogą i

niezliczonymi półkami pełnymi książek w skórzanych oprawach. Dotknęłam drabiny, która stała oparta o

ścianę, zupełnie jak na filmach.

Następnie przeszliśmy do Pokoju Czerwonego, który był aksamitnym salonikiem, zapewne dla pań. Dustin

otworzył przede mną drzwi, wpuszczając mnie do środka i zostając na zewnątrz. Stały tu pluszowe otomany i

małe stoliczki, na których mogłyby się zmieścić jedynie filiżanka i spodeczek.

Następnie był Pokój Pergaminowy, gabinet, w którym stał stary komputer, nieużywany od lat. Z przodu

były maszyna do pisania, pudełko z taśmami i plik kartek oraz kilka drogich długopisów. Szliśmy dalej, każde

następne pomieszczenie wydawało się jeszcze wspanialsze od poprzedniego. Usiłowałam zapamiętać nazwy,



ale w końcu wszystko mi się pomieszało:

Salon Dziesięciu Gier

Salonik Hearsta

Hol z Marmuru i Szkła

Galeria Verlaine'a

Cisza Równikowa: Piwniczka z Winami Palarnia Augusta I wreszcie: Salon Drugi.

To był zwyczajny salon, może trochę bardziej elegancki, z perskim dywanem i dwoma kominkami na dwóch

końcach pokoju. Były tu wiktoriańskie sofy i kanapy, wielki fortepian, regały, żyrandol wykonany z

jelenia. Głowy jeleni i portrety dystyngowanych ludzi ozdabiały ściany.

- Zaczekaj - powiedziałam, gdy Dustin zamykał przeszklone drzwi. - To gdzie jest Salon Pierwszy?

Dustin popatrzył na mnie wzrokiem bez wyrazu.

- Nie ma.

Gdy skończyliśmy oglądać parter i piwnicę, dziadek czekał na nas w holu.

- Dziękuję ci, Dustinie. Teraz ja zajmę się naszym gościem. - I poprowadził mnie schodami na górę.

Na pierwszym piętrze ściany były pokryte tapetami i obwieszane portretami. Mijaliśmy pokoje sypialne, jak

wyraził się dziadek, głównie gościnne, chociaż nie potrafiłam wyobrazić sobie dziadka przyjmującego gości.

Na końcu wschodniego skrzydła weszliśmy na spiralne schody, prowadzące do wysuniętej najbardziej na

wschód wieży Na górze był krótki korytarz z oknami i drzwiami na końcu. Dziadek otworzył je, wpuszczając

mnie do środka.

To była sypialnia rodem z baśni. Miała wysokie zaokrąglone okna i stożkowaty sufit, na liliowych ścianach

wisiałe stare lustra i obrazki przedstawiające sielskie widoczki. Na środku pokoju stało gigantyczne

łóżko z

baldachimem, usłane małymi poduszkami. Z trudem oparłam się pokusie, żeby na nie wskoczyć. Przesunęłam

palcem po monogramie na prześcieradłach. L.C.W. Inicjały mojej mamy.

- To był jej pokój - oznajmił dziadek, patrząc, jak się wszystkiemu przyglądam. Pożółkłe papiery na biurku,

pudełeczka z kosmetykami i wsuwki do włosów na toaletce. Spod łóżka wystawało pudełko z papeterią.

Antyczny regał był wypełniony podniszczonymi książkami i wyblakłymi obwolutami. Nie potrafiłam wyobrazić sobie mamy mieszkającej w tym pokoju, leżącej wśród tych poduszek. Zawsze była taka pragmatyczna,

lubiła sportowe buty i ubrania, których nie trzeba prać ręcznie, duże wygodne kanapy i bibeloty, które nie potłuką się, gdy je upuścisz. Nigdy nie nosiła żadnej biżuterii poza obrączką, rzadko się malowała. I zawsze zachęcała mnie do robienia tego samego.

- Jeśli chcesz, spędź noc w tym pokoju. Myślałem, że to może być. . kojące. Oczywiście, jeśli pokój ci się nie

podoba, każę przenieść twoje rzeczy do jednego z pokoiów gościnnych.

Rozejrzałam się.

- Nie, chcę tu zostać - powiedziałam szybko. Moja walizka, prawie pusta, stała w rogu.

11

- Dobrze. Dobrze. - Dziadek zaprowadził mnie do dwuskrzydłowych przeszklonych drzwi w rogu pokoju. -

A tutaj - przekręcił gałkę - była jej szafa.

Zrobiłam krok do przodu, zapach potpourri zakręcił mnie w nosie. Pociągnęłam za sznurek przy żarówce.

W świetle szafa przeistoczyła się ze składu staroci w zaczarowany buduar wypełniony biżuterią, butami i

ubraniami - szykownymi ubraniami, których nigdy przedtem nie miałam okazji oglądać. Już sam widok

wprawił mnie w podniecenie; weszłam głębiej, przesuając rękami po strojach. Jedwab, aksamit,

zamsz, tafta,

kaszmir, bawełna. . Dłuższą chwilę zajęło mi przypominanie sobie, że wcale nie lubię takich ubrań. Były drogie,

ekstrawaganckie, snobistyczne. Moi rodzice często mawiali, że nie potrzebuję modnych ciuchów, by wyrazić,

kim jestem. Teraz jednak nie mogłam się oprzeć pokusie przymierzenia tych wszystkich rzeczy.

- To należało do twojej mamy, gdy była mniej więcej w twoim wieku. Zdaje się, że masz podobny rozmiar.

Tak czy inaczej, to wszystko jest teraz twoje. Ubrania spełniają wymogi regulaminu w akademii, więc możesz

wziąć wszystko, co zechcesz.

Zerknęłam na szafę, próbując wyobrazić sobie mamę w moim wieku, ubraną w te wszystkie swetry, koszule,

sukienki, buty z okrągłymi noskami i paseczka-mi, kurtki. Nie potrafiłam. Dotknęłam rękawa jakiegoś swetra.

Był bardzo miękki.

- No cóż, zostawię cię teraz, obiad podamy o wpół do drugiej.

Skinęłam głową, patrząc na odbicie dziadka w lustrze, gdy wychodził z pokoju.

Następną godzinę spędziłam na przymierzaniu rzeczy mojej mamy Miała całe pudełka spinek do włosów, i

przeróżnych opasek, szuflady pełne jedwabnych piżam, szali, nauszników i wełnianych rękawiczek z jednym

palcem. Myślałam, że będą pachniały nią, ale pachniały tylko lawendą, dzięki temu łatwiej mi było zapomnieć,

że do niej należały, że jej już nie ma. Jedynym śladem był brązowy włos na swetrze z szerokim golfem. Zdjęłam

go i przyjrzałam mu się w świetle. Był dłuższy niż jej włosy. Wyobraziłam ją sobie w jednym ze wzorzystych

swetrów, z długimi włosami związanymi wstążką.

- Co ja mam teraz zrobić? - zapytałam mamę schrypniętym głosem. Wyobraziłam sobie tatę obok niej, z

krótkimi włosami, z przedziałkiem z boku. Nosił koszulę i krawat, jak na ślubnym zdjęciu. - Tato - zwróciłam

się do pustej szafy - co mam zrobić?

Puste wieszaki poruszyły się, zakłócając ciszę. Nagle poczułam złość. To było nie w porządku. Dlaczego

właśnie moi rodzice musieli umrzeć? Dlaczego to ja musiałam ich znaleźć? Przez to ciągle widziałam ich ciała

leżące w lesie.

Jednym szybkim ruchem strąciłam wieszaki z drążka, upadły na podłogę. Z pasją zaczęłam zrzucać pudełka

z biżuterią, kolekcje spinek i opasek, szali, rękawiczek i kapeluszy, a potem usiadłam, płacząc i przytulając

ubrania mamy do piersi. Co powiedziałby tata, gdyby tu był? Przypomniałam sobie, jak w zeszłym roku nie dostałam się do drużyny lacrosse'a. „Płacz w niczym ci nie pomoże - zganił mnie wtedy. - Czemu nie potrenujesz?

Wtedy będziesz miała szansę dostać się do drużyny w przyszłym roku". Wytarłam oczy jedną z sukienek

mamy, wstałam i podeszłam do lustra. Myślałam, że może zobaczę jakiś jej ślad, ale ujrzałam tylko swoje gęste

włosy, grzywkę, która wpadała mi do oczu, piegi, szare oczy, teraz zapuchnięte i czerwone. Czy wyglądałam

tak jak ona?

Przetrzęsnęłam szuflady w poszukiwaniu nożyczek, w końcu znalazłam. Stałam przed lustrem. Wzięłam

do ręki kosmyk włosów i go odciąłam. Potem kolejny i kolejny. Zamknęłam oczy. Po chwili moje włosy były o

połowę krótsze i sięgały mi do ramion. Poczułam się niespodziewanie wolna, potrząsnęłam głową, loki spadły

na ziemię, tworząc plątaninę zawijasów. Zadowolona, zdjęłam z wieszaka sukienkę, włożyłam i

obejrzałam się

w lustrze. Pasowała idealnie.

Po zapakowaniu do trzech walizek mnóstwa spódnic, sukienek, koszul, swetrów, grubych rajstop i zimowych płaszczy, poczułam się przygotowana na wszystko, co mogła mi zgotować pogoda w Nowej Anglii.

- Obcięłaś włosy - zdziwił się dziadek, gdy zeszłam po schodach na obiad.

Skinęłam głową.

- Potrzebowałam zmiany.

- Bardzo ładnie wyglądasz - dodał.

- Dzięki - odparłam ze słabym uśmiechem.

Po lunchu na tarasie, który składał się z herbaty, kanapek i sałatki ogórkowej, Dustin zaproponował mi

partycjkę krokieta. Dźwigając młotki do gry, poszłam za nim na trawnik na tyłach domu. Po zaledwie kwadransie wyprzedzał mnie o sześć uderzeń. Zmarszczyłam brwi i przygotowałam się do strzału. Nie lubiłam

przegrywać. Skoncentrowałam się i uderzyłam z całej siły - a potem oparłam młotek na ramieniu i patrzyłam,

jak piłka leci na drugi koniec trawnika, w zupełnie innym kierunku niż powinna. Dustin stłumił chichot, a ja

jęknęłam i pobiegłam po nią. Leżała na skraju lasu, w cieniu brzozowego zagajnika. Dustin zawołał coś, ale go

zignorowałam. Szukałam piłki w trawie, gdy nagle moje palce natknęły się na kłębek piór. Zobaczyłam zaschniętą krew i nienaturalnie wygięte kości. Nie mogąc się powstrzymać, wrzasnęłam.

Dustin podbiegł do mnie, zaskakująco zwawy jak na swój wiek i sztywny strój. Przywołał ogrodnika, pojawił

się też dziadek.

- Pozbądź się tego, proszę - polecił jednemu z ogrodników i poklepał mnie po ramieniu. - To tylko martwy

ptak. Nie ma się czego bać.

- Tak - powiedziałam zakłopotana, że narobiłam takiego szumu. Przecież znajdowałam już martwe zwierzęta.

- Wejdźmy do środka.

Zapadł zmierzch. Jedliśmy kolację na końcu nieprawdopodobnie długiego stołu. Rozmawialiśmy o tym,

jakie lubię przedmioty. Nie byłam pewna, co odpowiedzieć. Byłam dobra z historii, rodzice uczyli jej w liceum,

tata specjalizował się w starożytnej Grecji, mama - w starożytnym Rzymie. Zawsze mnie zachęcali, żebym dużo

czytała.

- Ale co ciebie interesuje? - nie ustępował dziadek. Zawahałam się.

- Nie wiem. Lubię czytać. Może biologia, anatomia, sekcja zwłok? Wydaje mi się, że to mogłoby być ciekawe. Ale nigdy nie zajmowałam się tym na poważnie, więc kto wie, czy mi się spodoba.

Popatrzył na mnie zaskoczony.

- Czemu tak mówisz?

12

- Tata często powtarzał, że nauka jest niedoskonała. Że to jedynie inna forma wróżenia z fusów. Że próbuje

wyjaśnić tajemnicę życia i śmierci, używając niezwykle wąskiego zasobu słów. Przynajmniej tak mówił tata.

Dziadek potarł podbródek.

- Rozumiem. Ale może warto spróbować, a nuż twój tata się mylił?

Skinęłam głową. Czy dziadek próbował mnie zachęcić, żebym podjęła pierwszą samodzielną decyzję? Może

wcale nie był taki zły?

Gdy dziadek poszedł spać, zapaliłam światło przy łóżku, oglądając pokój mojej mamy. Był niczym doskonale zachowana ekspozycja w muzeum, jakby moja szesnastoletnia mama poszła na randkę z tatą i miała

niedługo wrócić, wślizgując się przez tylne drzwi. Przesunęłam palcami nad jej perfumami, porcelanowymi

figurkami, ołówkami i długopisami, nie dotykając ich, nie naruszając ich spokoju. Miała mnóstwo książek,

głównie powieści fantasy i bajki, stare zeszyty od matematyki, przynajmniej tak wyglądały, pełne cyfr i równań,

i bruliony do angielskiego. Na marginesach widniało imię taty. Przesunęłam palcami po literach. „Robert

Redgrave". Wyobrażałam sobie, jak to było, gdy oboje mieli tyle lat co ja i przesyłali sobie liściki na lekcjach.

Ziewnęłam, przytuliłam zeszyt do piersi i wśliznęłam się do łóżka. W otoczeniu jej rzeczy wreszcie poczułam

się bezpieczna i po raz pierwszy od tygodni przespałam spokojnie całą noc.

Wyjechaliśmy wcześniej rano. Dustin wiozł nas wśród trawiastych wzgórz Vermontu, granitowych szczytów

New Hampshire do Gór Białych w Maine. Było już późne popołudnie, słońce rozlewało się pomarańczowo na

horyzoncie. W oddali leciał samolot, zostawiając za sobą biały pas, przyglądałam się, jak znika za górami, był to

pierwszy przejaw cywilizacji od kilku godzin.

Przed nami otwierała się ciemna paszcza tunelu wydrążonego w skale. Dustin zablokował drzwi, radio

zaczęło trzeszczeć, potem w ogóle przestało działać. Gdy dotarliśmy do drugiego końca tunelu, byliśmy w

górach. Górską drogą była wykuta w granicie. Gigantyczne szczyty strzelały w górę, wyglądając niczym szczęki

na horyzoncie. Im wyżej wjeżdżaliśmy, tym temperatura bardziej spadała. Woda z topniejącego na szczytach

śniegu spływała na drogę, Dustin zwolnił.

Nagle zobaczyłam dom z ciemnego drewna. Na wpół rozwalony, wydawał się opuszczony, a jednak za

pękniętym oknem w kuchni zobaczyłam jakiś ruch.

Przycisnęłam twarz do szyby, minęliśmy kolejny dom, mniejszy i lepiej utrzymany, spoczywający na granitowym podłożu. Pojawiły się kolejne budynki. Dojechaliśmy do skrzyżowania, gdzie były sklep, stacja benzynowa i restauracja z wyblakłym napisem: „U Beatrice”.

- Co to za miejsce?

- Attica Falls.

Na poboczu stało kilka samochodów, na stacji mężczyzna tankował podrdzewiałego pikapa, bezdomny kot

schował się pod werandą. Dustin skręcił w lewo, w ulicę biegnącą stromo w górę. Miasteczko skończyło się

równie nagle, jak się zaczęło. Odwróciłam się, żeby spojrzeć na nie ostatni raz, zanim zniknęło z pola widzenia.

Attica Falls.

Niedługo potem zatrzymaliśmy się przed przytuloną do lasu wysoką żelazną bramą. Jej skrzydła były połączoną ze sobą niczym gałęzie drzewa. Na środku wisiała mosiężna tablica z napisem: „Akademia Gottfrieda”. Poniżej widniały skrzyżowane ramiona i napis: *Vox sapientiae clamans ex inferno*.  
Niewysoki mężczyzna

w mundurze wartownika podszedł do samochodu od strony kierowcy.

Dustin odkręcił okno i powiedział:

- Pan Brownell Winters.

Wartownik cofnął się i stanął na baczność.

- Sir. - Kiwnął sztywno głową i pobiegł otworzyć bramę. Gdy przejeżdżaliśmy, wpatrywał się badawczo w

samochód, a potem szybko odwrócił wzrok.

Teren szkoły znacznie różnił się od tych dzikich pagórków, które go otaczały. Było tu płasko i zielono,

wszędzie trawniki i drzewa. Uczniowie przechadzali się w parach i grupkach, niektórzy leżeli na trawie i

czytali, inni siedzieli na schodach. Kampus tworzyły masywne gmachy z ciemnej cegły, poplamionej i



pociemniałej, co nadawało im przydymiony odcień. Po ścianach piał się gęsty bluszcz, a budynki sprawiały

wrażenie, jakby nie zostały zbudowane, lecz wyrosły z ziemi.

Wjechaliśmy na półkolisty podjazd i zaparkowaliśmy u stóp wielkiego kamiennego gmachu z napisem:

„Kolegium Archebalda” wrytym nad wejściem. Dustin wysiadł z samochodu, nie wyłączając silnika, i wyjął

walizki z bagażnika.

- Mogę jakąś wziąć - zaproponowałam, ale się nie zgodził. Pochylony, zaniósł je do holu, zostawiając mi

jedynie plecak.

- I tu się rozstaniemy - oznajmił dziadek.

- Wyjeżdżasz? - spytałam zaskoczona. Nagle poczułam się bardzo samotna.

- Chciałabyś, żebym został? - Popatrzył na mnie uważnie. - Edith Lumbar. Uczy tutaj i jest moją dawną

koleżanką. Jak będziesz miała jakikolwiek problem, zwróć się do niej; pomoże ci.

Skinęłam głową, skubiąc brzeg swetra.

- Masz również mój numer telefonu. Dzwoń, nie krępuj się.

- Dobrze.

- Przypominasz mi swoją mamę, gdy była w twoim wieku. Byłbym szczęśliwy, gdybyś była taka jak ona.

Przytulił mnie sztywno, choć pewnie miało to być serdeczne pożegnanie, i weszłam do Kolegium Archebalda.

Stałam w ogromnym holu z wysokim sklepieniem i mahoniowymi ścianami, które nasuwały na myśl wnętrze kościoła. Szłam powoli, dopóki nie dotarłam do otwartych drzwi po prawej stronie. Zajrzałam.

- Proszę - usłyszałam przyjazny głos. Zaskoczona weszłam do środka. Młoda kobieta

z ustami pomalowanymi czerwoną pomadką, wyglądająca jak sekretarka, siedziała za biurkiem.

Sortowała stos

teczek. Była jednocześnie piękna i zwyczajna, zupełnie jak gwiazdy kina z lat pięćdziesiątych. Spodziewałam się

nawet, że zaraz odsunie maszynę do pisania i wyjmie długiego papierosa. Gdy podeszłam, uśmiechnęła się.

- Dzień dobry - przywitałam się. - Jestem... nową uczennicą.

Skinęła głową.

- Jak się nazywasz?

13

- Renee Winters.

Przebierała teczki szczupłymi palcami i w końcu podała mi kopertę. Obróciłam ją w rękę, niepewna, co mam

zrobić. Chyba zrozumiała, bo wyjaśniła:

- W środku jest twój plan zajęć. - Wskazała kopertę. - Wszystko, czego mogłabyś potrzebować, jest już w

twoim pokoju, razem z walizkami, które dostarczono tam w czasie naszej rozmowy. Jesteś w pokoju 12E, w

internacie dla dziewcząt. Gdy wyjdiesz z tego budynku, skręć w prawo i idź chodnikiem przez skwer. Gdy

dotrzesz do jeziora, powinnaś zobaczyć internat po lewej stronie.

Wsunęłam kopertę do kieszeni i powiedziałam:

- Dziękuję.

Poszłam przez kampus ścieżką wyłożoną kocimi łbami, wzdłuż której rosły dęby, klony i jakieś krzewy.

Wszędzie kręcili się uczniowie, dziewczyny w plisowanych spódnicach i bluzkach, chłopcy w koszulach z

kołnierzykami i krawatach. Spojrzałam na mój sweter i bluzkę z kołnierzykiem, które wyjęłam z szafy mamy i

włożyłam do szortów. To była ostatnia chwila, kiedy mogłam tak chodzić, i ku mojej zdziwieniu dziadek nawet

się nie zająknął na ich temat. Jednak teraz poczułam się jak odmieniec; przyspieszyłam kroku, pragnąc jak

najszybciej znaleźć się w zaciszu mojego pokoju.

Ścieżka się zwężyła, zobaczyłam wielki zielony teren otoczony drzewami, to pewnie skwer. Zaraz potem

wyłoniło się jezioro, szerokie i spokojne. Budynki odbijały się w wodzie, rozmazując się i falując. Na brzegu

znajdował się posąg: niedźwiedź naturalnej wielkości. Stał na czterech łapach i wyciągał pysk ku niebu.

Budynek internatu dziewcząt zbudowano z miękkiego szarego kamienia, jakby z kostek mydła, wyglądał na

bardzo czysty. Po drugiej stronie jeziora była niemal identyczna budowla, tylko z ciemniejszego kamienia. W

cieniu dębów wyglądał ponuro; w jego stronę szło kilku chłopców.

Weszłam do środka i odkryłam, że ogrzewanie jest włączone, wszystko jest w kolorze mleka. Na górę prowadziły szerokie kamienne schody. Gdy po nich wchodziłam, przesuwałam palcami po poręczy

Mój pokój okazał się duży i słoneczny, z wysokim sufitem i kominkiem. Ściany miały optymistyczny żółty

kolor, pachniało słodko drożdżami i pieczonym chlebem, przypominając mi dom. Dwa duże okna wychodziły

na jezioro i trawnik. Moje walizki stały przy parapecie, już zaczęłam je rozpakowywać, gdy powiał północny

wiatr, poruszając jakimiś papierami.

Na biurku leżała duża prostokątna paczka owinięta w brązowy pergamin, na którym widniał napis drukowanymi literami: „Renee Winters”. Na niej leżał podręcznik z emblematem akademii na okładce. Otworzyłam:

*Regulamin dyscypliny w Akademii Gottfrieda.* Miał sto pięćdziesiąt siedem stron. Jakim cudem mogło tu być tyle

zasad? Odłożyłam go na bok i otworzyłam karton, w środku był stos książek.

*Łacina* Evangeline Rhine

*Mitologia i rytuały* Gandra McPhersona

*Zagubione liczby* pod red. J.L. Prouty'ego & Linusa Mossa

*Gleba* Brendy Hardiman

*Geneza egzystencji* Paula F. Dabneya

*Medytacje* Rene Descartes'a

*Republika* Platona.

Pod spodem były jeszcze książki Nietzschego, Ary-stofanesa, Arystotelesa i innych autorów, których nazwisk nie zdołałam wymówić.

Speszona, wyjęłam z kieszeni kopertę. W środku była kartka z nagłówkiem: „Plan zajęć, klasa druga, Winters”.

*Łacina podstawowa, poziom 1*

*Starożytne cywilizacje*

*Arytmetyka urojona*

*Ogrodnictwo*

*Plastyka*

*Nauki podstawowe.*

Ogrodnictwo? Arytmetyka urojona? W Kalifornii mieliśmy zwykle przedmioty, takie jak angielski, matematyka, biologia czy języki współczesne, hiszpański czy francuski. I co to są nauki podstawowe?

Wzięłam do ręki *Mitologię i rytuały*, co jak przypuszczałam, było podręcznikiem o cywilizacjach starożytnych. W Kalifornii historia była moim ulubionym przedmiotem, to pewnie będą jedyne zajęcia z całego

planu, które mi się spodobają. Najwyraźniej nie miałam innego wyboru... Zresztą jak ze wszystkim w ciągu

ostatnich kilku tygodni.

Moje rozmyślenia przerwał odgłos kroków. Ktoś podszedł do drzwi; zdumiona wstałam, widząc, że

gałka

przekręca się i drzwi uchylają ze skrzypnięciem.

Do środka weszła dziewczyna, ciągnąc za sobą dwa wypchane worki marynarskie. Szopę kręconych blond

włosów miała spiętą na czubku głowy, okrągłe policzki czerwone od wspinaczki po schodach. Z westchnieniem

ulgi zdjęła torbę z ramienia, stawiając ją na podłodze z głuchym odgłosem.

- Kim jesteś? - spytałam zaskoczona.

- Eleanor - odparła, wachlując się ręką. - Eleanor Bell.

Jej zaróżowioną twarz okalały jasne loki. Była bardzo ładna i wyglądała, jakby właśnie zeszła z prywatnego

jachtu w Nantucket.

- Ale co robisz w moim pokoju?

- O co ci chodzi? - Popatrzyła na mnie tak, jakbym zwariowała. - Mieszkamy razem.

- Och... - Poczułam, że się czerwienię. Zajęta rozpakowywaniem paczki, nie zwróciłam uwagi, że w pokoju

stały dwa łóżka. Teraz rozejrzałam się dokładniej i zrozumiałam, wszystkiego było po dwa: dwa biurka, dwa

krzesła, dwie szafy, przedzielone kominkiem. - Nie powiedziano mi, że mam współlokatorkę.

- Mnie też nie. Moja koleżanka wyjechała z akademii w ostatniej chwili, miałam cały pokój dla siebie.

Poruszyłam się niespokojnie.

-Przepraszam.

Wzruszyłam ramionami.

- No coś ty, nie ma sprawy. We dwie będzie weselej. Jak się mieszka samemu, robi się nudno. - Spojrzała na

moje nogi i zamarła. - Wiesz, że jesteś ubrana niezgodnie z regulaminem?

Spojrzałam na swoje szorty, a

potem na nią. Miała na sobie niemożliwie krótką wełnianą spódniczkę, idealnie wyprasowaną białą koszulę i

czarne podkolanówki. Pomyślałam, że pewnie jej rodzice należą do ludzi, którzy mają stadninę, a w weekendy

grają w tenisa, po tym jak już objadają swoją posiadłość.

- A ty nie?

- Eleanor zignorowała moje pytanie.

- Żadnych dżinsów i ubrań z napisami - wyrecytowała. - Wyłącznie spódnice, koszule z kołnierzykami i

pończochy. A jeśli chcesz nosić spodnie, musisz włożyć marynarkę.

Przewróciłam oczami. Po jakie licho tak się stroić do szkoły? |

- Wydawało mi się, że wyglądam nieźle.

Eleanor prychnęła, zadzierając guzikowaty nos.

Nieźle, jeśli wybierasz się na plażę, ale my jesteśmy w Akademii Gottfrieda! Jednej z najstarszych i najbardziej elitarnych szkół! Wiesz, ilu ludzi dałoby się zabić, żeby być na twoim miejscu?

Ja po raz pierwszy usłyszałam o tej szkole od dziadka i jej elitarność mnie nie obchodziła. Oddałabym wszystko,

żeby znaleźć się z powrotem w mojej starej szkole.

Wiesz, musiałam zostawić przyjaciół... - Odsunęłam suwak jednej z walizek i dodałam:

- Jestem tu nowa.

- Wiem. - Eleanor rzuciła jeden z worków na łóżku. - Po pierwsze, akademia jest mała. Wszyscy wszystko

wiedzą. - Rozpuściła włosy, blond loki spadły jej na ramiona, pokój wypełnił zapach cytrusów - Po drugie,

tajemnice, które nie wyszły na jaw, są skrzętnie ukrywane i na pewno nie bez powodu.

Skinęłam głową, w głębi ducha myśląc, że po prostu przesadza. Chodziłam do liceum, tajemnice zawsze

wychodzą na jaw.

Eleanor urwała i przez chwilę myślałam, że skończyła i że w końcu zdołam się rozpakować. A wtedy ona

oznajmiła:

- Ty na przykład masz na imię Renee. Masz sto pięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i przyjechałaś tu ze

szkoły w Costa Rosa, jesteś w drugiej klasie, tak jak ja, i interesujesz się historią i naukami społecznymi. Twój

rodzice byli nauczycielami, ale zmarli. Twój dziadek tu cię przysłał. Nazywa się - urwała, usiłując sobie

przypomnieć - Brownell Winters.

Popatrzyłam na nią zaskoczona.

- Skąd...

- I teraz sobie myślisz, że jestem rozpuszczoną egoistką, z fiołem na punkcie makijażu i markowych ciuchów. I że znalazłam się w akademii, ponieważ moi rodzice finansują szkołę.

- Nieprawda. To nie. . wcale tak nie myślę. - wykrztusiłam. Zabrzmiało to sztucznie, a najgorsze było to, że

rzeczywiście coś takiego przyszło mi do głowy.

- Nie przejmuj się, każdy tak myśli. I chyba aż tak bardzo się nie mylą. Twoja rodzina też się przyczyniła do

powstania akademii, dlatego tu jesteś. Nie musiałaś nawet przechodzić przez ten idiotyczny test. I chociaż nie

jesteś bogata, no wiesz, twoi rodzice byli nauczycielami, to jednak jesteś jedynaczką i pewnie strasznie rozpuszczoną. Ja mam przynajmniej starszego brata. Każdy wie, że jedynacy nie potrafią się dzielić.

Wpatrywałam się w nią, czując złość i zakłopotanie. Skąd to wszystko wiedziała? Miałam ogromną ochotę

zapytać, czy dlatego jest tak wredna, bo ma kasę, ale wykrztusiłam tylko:

- Umiem się dzielić!

- Już ci powiedziałam - odparła, jakby czytała w moich myślach. - Tu się wie takie rzeczy. Moi rodzice są

rozwiedzeni, więc prawie ich nie widuję. Rozwiedli się kilka lat temu. To dopiero była afera. Moja mama ma

dom w Aspen, tata w Wyoming, ale nadal walczą o resztę. - Przewróciła oczami. - A raczej robią to za nich ich

prawnicy. Moi starzy nie mogą znieść, kiedy znajdują się w tym samym stanie, więc zaciekle walczą o to, gdzie

będziemy mieszkać. Właśnie dlatego nas tu wysłali. No i dlatego, że cała nasza rodzina ukończyła Akademię

Gottfrieda. - Uśmiechnęła się. - Teraz też wiesz o mnie wszystko. - Zajrzała do mojej otwartej walizki i zawołała:

- Jaka śliczna spódnica!

Patrzyłam, jak pochyła się nad moimi rzeczami, cała różowozłocista, najwyraźniej zadowolona ze swojego

wyglądu.

- Dzięki - odparłam. - To mojej mamy.

- Twoja mama miała świetny gust. Mogę zerknąć? - I nie czekając na pozwolenie, zaczęła grzebać w

walizce. - Zawsze chciałam mieć normalną rodzinę, mieszkać w małym przytulnym domku, gdzie rodzice

smażą naleśniki na śniadanie i pożyczają jajka od sąsiadów. Jeździłabym do szkoły autobusem i pracowała w

wakacje. To takie romantyczne! Mogłabym pracować jako kelnerka, nosić fartuszek i w ogóle.

Spojrzałam na nią zaskoczona.

- Romantyczne?! Chyba żartujesz. Autobus jest zatłoczony, można usiąść na gumie do żucia. I z chęcią nie

pracowałabym w wakacje. Ale pewnie wtedy nie poznałabym chłopaka. Zaprosił mnie na randkę.



Eleanor spojrzała na mnie z zachwytem.

- Widzisz! To takie romantyczne! Musisz mi wszystko opowiedzieć!

Roześmiałam się. Jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo, kto marzyłby o wakacyjnej pracy albo mieszkaniu w

małym domu.

- Zaczniemy od początku. - Wyciągnęłam rękę. - Mam na imię Renee.

Eleanor się uśmiechnęła.

- Miło mi. - Podniosła jasnobrązową bluzkę z kołnierzykiem wykończonym falbanką. - Ale czad! Mogę

pożyczyć? Pasuje idealnie do mojej nowej spódnicy.

Roześmiałam się.

- Pewnie. Skąd tyle wiesz?

- To proste. Mój brat, Brandon, należy do Straży Uczniowskiej. Jest w ostatniej klasie i jest ulubieńcem

dyrektorki. Gdy się dowiedziałam, że będę miała nową współlokatorkę, poprosiłam go, żeby zajrzał do twojej

teczki i dowiedział się czegoś. Nie powinien był tego robić, ale dla mnie zrobi wszystko.

To wcale nie było takie proste. A nawet wymagało sporo zachodu. Eleanor mogła po prostu zdobyć te

informacje ode mnie. Patrzyłam, jak przerzuca moje ubrania, wyjmując je i przymierza do siebie.

-

Dlaczego twoja współlokatorka nie wróciła? Dziewczyna uśmiechnęła się zagadkowo, jakby tylko czekała,

aż zapytam.

- Nie tak łatwo odpowiedzieć na to pytanie.

15

**Przebudzenie**

Nazywała się Cassandra Millet - tylko tyle udało mi się wyciągnąć, zanim przerwał nam dźwięk kościelnych

dzwonów. Eleanor zawołała wstrząśnięta:

- Już szósta? Musimy lecieć!

- Dokąd?

- Na przebudzenie, oczywiście. Chodź, bo się spóźnimy!

- Czekaj, co to za przebudzenie?

Eleanor chwyciła sweter, ja wzięłam swój. Złapała mnie za łokieć i pociągnęła do drzwi.

Biegłyśmy przez kampus. Minęłyśmy Teatr Verninga, masywny kamienny budynek z greckimi kolumnami,

Kolegium Horacego - czerwona cegła i wysokie okna z widokiem na góry. Zdołałam dojrzeć napis wyryty na

wejściem: Cogito ergo sum.

- Tu odbywają się lekcje - wyjaśniła Eleanor. Potem minęłyśmy obserwatorium, kamienną wieżę, służące do

astronomicznych obserwacji i jako laboratorium naukowe. Gdy dotarliśmy do skweru, słońce już zachodziło.

Usłyszałyśmy gwar rozmów i ruszyłyśmy w tamtą stronę, dopóki nie dotarliśmy na miejsce.

Na środku kampusu drzewa rosły bliżej siebie, zamykając trawnik półkolem dębów i drzew iglastych. Ponad

nimi wносиło się ciemniejące niebo z purpurowymi i pomarańczowymi smugami. W oddali widać było kaplicę,

dzwony nadal biły.

- To właśnie przebudzenie - powiedziała Eleanor. Uczniowie byli podzieleni na cztery sekcje, według

roczników, wyjaśniła Eleanor. Wszyscy siedzieli już na długich ławach ustawionych w literę U. Pierwszy rząd

w każdym z roczników był pusty. Eleanor przeciskała się do swojej ławki w sekcji drugoklasistów, byłam tuż za

nią, ale gdy zobaczyła, że chce usiąść obok niej, pokręciła głową.

- Mamy siedzieć w porządku alfabetycznym - wyjaśniła. - Czyli powinnaś być z tyłu, razem z tymi na literę

W... Obejrzałam się. Jedyne wolne miejsce było daleko z tyłu, między kościstym blondynem w okularach, który

odganiał muchy, a pulchną dziewczyną z brązowymi włosami, która nie wyglądała zbyt sympatycznie.

- Och... No dobra, to idę - zawahałam się, przyglądając się blondynowi. Wyglądał, jakby coś liczył, ale nikt

tego nie mógł dostrzec. - Kto to jest? - zapytałam.

Eleanor zignorowała moje pytanie.

- Ale skoro nie ma koleś, który powinien siedzieć obok mnie, to klapnij tu - powiedziała, gdy już miałam

odejść. - Na pewno będziesz miłszym towarzystwem. On z nikim nie rozmawia, nie uśmiecha się, nie żartuje.

Próbowałam go zaczepiać, ale nie reagował. Chyba w ogóle mnie nie dostrzega. Zresztą w taki sam sposób

traktuje pozostałych. Nawet z przyjaciółmi przestał rozmawiać. Pasowałby na wyrzutka społeczeństwa, gdyby

nie to, że wszyscy mają obsesję na jego punkcie.

- Jak to? Przecież mówiłaś, że z nikim nie rozmawia.

- Bo nie. Problem w tym, że... że jest boski. Niewiarygodnie, nieziemsko przystojny i nie wiadomo dlaczego

wybrał samotność. Do tego jest inteligentny i biegle posługuje się łaciną. Ludzie nie mogą się zdecydować, czy

go lubić, nienawidzić, czy się go bać; a może wszystko naraz. Mój brat Brandon nie znosi, gdy o nim mówię, a

co dziwniejsze, zamienili ze sobą najwyżej kilka słów.

- Jak on się nazywa?

- Dante Berlin - wyszeptała Eleanor, wymawiając to imię niczym mroczny sekret.

Parsknęłam śmiechem.

- Dante? Jak ten od Boskiej komedii? Nie wydaje ci się, że wybrał to imię dla podtrzymania mrocznego i

tajemniczego image'u?

Eleanor pokręciła głową z dezaprobatą.

- Poczekaj, aż go zobaczysz; odechce ci się śmiać. Przewróciłam oczami.

- Założę się, że tak naprawdę nazywa się bardziej banalnie, Eugene albo Dwayne.

Myślałam, że Eleanor się roześmieje, ale ona rzuciła mi niespokojne spojrzenie. Nie zwróciłam na to uwagi i

mówiłam dalej:

- Moim zdaniem to snob. Na pewno jest jednym z tych koleśków, którzy świetnie wiedzą, jacy są przystojni.

Pewnie nawet nie czytał Boskiej komedii. Łatwo udawać bystrzaka, jak się nie mówi.

Eleanor wymruczała tylko:

- Ciii..

Ale nim zapytałam, o co chodzi, usłyszałam chrząknięcie. O Boże, pomyślałam i odwróciłam się powoli.

- Cześć - rzucił stojący za mną chłopak z kpiącym półśmiechem.

To właśnie był Dante Berlin.

Jak można opisać kogoś, kto odebrał ci mowę?

Rzeczywiście był boski. Ale nie było to piękno z obrazów Moneta czy piaszczystej plaży, nawet nie piękno

Wielkiego Kanionu. Był zniewalający i subtelny zarazem; gdy się na niego patrzyło, miało się wrażenie, że ma

się przed sobą niebo nocą. Albo muszelkę, zastanawiając się, jak natura mogła stworzyć coś tak złożonego i tak

doskonałego. Miał ciemne melancholijne oczy, brązowe włosy założone za uszy i mocne dłonie.

Chciałam powiedzieć coś błyskotliwego czy dowcipnego, ale wykrztusiłam jedynie:

- Cześć.

Popatrzył na mnie z mieszanką dezaprobaty i ciekawości.

- Ty pewnie jesteś Eugene - zagadnęłam.

- Zgadza się - odparł ze śmiechem i pochylił się do mnie. - Ale nie zdradzisz nikomu mojej prawdziwej

tożsamości? Imię Eugene zniszczyłoby mój wizerunek.

Zaczerwieniłam się. Nie pasował do opisu Eleanor.

- A ty jesteś.. - zaczął.

- Renee - dokończyłam.

- Chciałem raczej powiedzieć: na moim miejscu, ale Renee też może być.

Zamarłam.

16

- Ach, no tak. Przepraszam.

- Renee jak Rene Descartes? Jakież to ezoteryczne. Nic dziwnego, że wydaje ci się, że wiesz wszystko. Zapewne przybrałaś to imię, żeby poprawić swój image?

Popatrzyłam na niego. Wiedziałam, że się ze mną droczy, ale zabołało.

- Miło było cię poznać - rzuciłam lakonicznie i odwróciłam się, zanim odpowiedział. Machnęłam na pożegnanie Eleanor, która zamarła z wrażenia.

A potem usłyszałam głos Dantego:

I szliśmy, by wnet wyrzeć na lazury. Idziem i w drodze wcale się nie lenim. Wciąż wyżej: pierwszy on, ja za nim

wtóry, Aż obaczyłem niebios światła cudne Przez krągły otwór migocące z góry. Tędyśmy na świat wyszli, witać... [1](#)

Spojrzałam przez ramię i powiedziałam, jednocześnie z nim:

- Gwiazdy [2](#)...

Popatrzyliśmy na siebie, tak samo zaskoczeni i zdumieni. To był ostatni wers Pieśni Dantego. Bez słowa

odwróciłam się i poszłam do ostatniego rzędu, siłą woli zmuszając się, żeby się nie odwrócić i na niego nie patrzeć.

- Przepraszam - powtarzałam, kiedy przeciskałam się do swojego miejsca. Deptałam ludziom po stopach i

potrącałam ich łokciami. W końcu stanęłam przed jasnowłosym chłopakiem. Popatrzył na mnie przez grube

szkła okularów, a potem szybko odwrócił wzrok, jakby zrobił coś złego. - Tutaj jest W? - spytałam.

Gdy już zrozumiał, że mówię do niego, skinął głową.

- Tak. Welch jak sok - powiedział, najwyraźniej o sobie. - I Wurst - dodał, zniżając głos do szeptu wskazując dziewczynę po lewej stronie - jak kiełbasa.

Roześmiałam się.

- Ja jestem Renee Winters jak zima. - Usiadłam obok niego.

Był niski, miał jasne włosy, brwi i rzęsy, niewiarygodnie kościste ręce i wyglądał, jakby większość czasu

spędzał w piwnicy rodziców, grając w gry. Jednak było w nim coś interesującego, chociaż nie mogłam zrozumieć co. Może to, że nie zamrugał ani razu od chwili, Hdy zaczęliśmy rozmawiać? A może dlatego, że pochylał

się do przodu, gdy mówił? Nie, to było coś innego.

- Jestem Nathaniel. W sensie, tak mam na imię. -Poprawił okulary. Jego skłębione włosy wyglądały, jakby od

dawna ich nie mył i nie czesał, cerę miał jak woskowany papier, z kolekcją pryszczu na czole i podbródku.

Uśmiechnęłam się.

- Załapałam.

- Jesteś tu nowa, nie? Skinęłam głową.

- Ja też. W sensie, byłem, w zeszłym roku. Teraz już nie jestem.

Tłum uciszył się, na skwer wkroczyli jacyś ludzie.

- To nauczyciele - wyjaśnił Nathaniel.

Sztywnym krokiem podeszli do miejsc w pierwszych rzędach; gdy usiedli, ich identyczne błękitnożłote

szaliki zawisły luźno.

Po środku skweru rósł ogromny dąb; jego sękaty pień był tak gruby, jakby powstał z połączenia trzech

drzew. Nad gałęziami wisały dwie flagi, granatowe z konstelacją Wielkiej Niedźwiedzicy wyhaftowaną żółtą

nicia i z herbem akademii. Pomiędzy nimi znajdowało się niewielkie podium. I wtedy z ciemności wynurzyła

się wysoka kobieta, wyglądała jak zjawą.

- To dyrektorka, Calysta von Laark - oznajmił Nathaniel.

Miała co najmniej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, niebieskie oczy, duże dłonie i szczupłą, nieco

męską figurę. Jej falujące białe włosy były upięte z tyłu głowy.

Podeszła do podium i zastygła. Wiatr ucichł, wszyscy zamarli.

- Uczniowie, nauczyciele, pragnę powitać was na początku kolejnego wspaniałego roku szkolnego w

Akademii Gottfrieda. . - Jej niski, głęboki głos odbijał się echem od budynków otaczających skwer. - Mam

nadzieję, że mieliście piękne wakacje i że w tym czasie korzystaliście z tego wszystkiego, co oferuje nam lato.

Szczególnie serdecznie witam nowych uczniów. Jak już zapewne wiecie, pełną listę praw obowiązujących w

akademii znajdziecie w Regulaminie, który otrzymaliście razem z podręcznikami i planem zajęć. W razie pytań

zwracajcie się do starszych kolegów oraz opiekunów internatu, pani Lynch i profesora Blissa.

Kobieta i mężczyzna podnieśli się ze swoich miejsc i pomachali do uczniów.

- W naszej akademii wyznajemy zasadę, że ograniczenia wyzwalaają umysł. Spodziewamy się, że wszyscy

nasi uczniowie będą przestrzegać reguł. Mimo że jest to nie do końca zgodne z procedurą, korzystając

z okazji,

chciałabym przypomnieć o kilku, które mogą się wydać dość dotkliwie, zwłaszcza w świetle tego, co wydarzyło

się ubiegłej wiosny.

Nad tłumem przeleciał szmer. Co takiego stało się ubiegłej wiosny? Zastanowiłam się. Pochyliłam się do

Nathaniela, żeby go spytać.

- Zginął jeden chłopak - wyjaśnił. - Z pierwszej klasy, Benjamin Gallów.

- Słucham? - Byłam zaskoczona. - Jak to? Przerwał nam głos dyrektorki, wyliczającej reguły:

- Po pierwsze, chłopcy mają zakaz przebywania w internacie dziewcząt i vice versa. Po drugie, opuszczanie

terenu szkoły jest zabronione i będzie karane wydaleniem ze szkoły. I wreszcie, po trzecie - dyrektorka

przerwała, odsuwając z oczu pasmo białych włosów - żaden z uczniów, i nie ma od tej reguły żadnego wyjątku,

nie może nawiązywać romantycznych związków w szkole.

- Co takiego? - zdziwiłam się, że ktoś w ogóle mógł pomyśleć o zakazaniu randek. Ale nikt inny nie wyglądał na zdumionego. Słońce zachodziło za biblioteką, niemal w tym samym czasie w budynku zapaliły się

światła. Wokół nas zapadał purpurowy zmierzch.

- Przypominam również, że po zachodzie słońca nie wolno zapalać sztucznego światła, żadnego, z wyjątkiem świec. Ciemność zawsze majaczy na horyzoncie, a my w akademii jej nie unikamy, lecz stawiamy jej

czoło. Jako dyrektorka zachęcam was do postępowania tak z nauką oraz każdą przeszkodą, z którą przyjdzie

1 Dante Alighieri Boska Komedia, pieśń 35, przełożył Edward Porębowicz Warszawa 1990

17

wam się zmierzyć. Nie gódźcie się na granice, jakie niesie życie. Szukajcie tego, czego nie możecie zobaczyć.



Wokół nas jest cały wszechświat, jedynym zwycięstwem w starciu z ciemnością jest dostrzeżenie światła.

W ciszy, jaka zapadła wokół, słychać było cykające w trawie świerszcze.

- A teraz, kontynuując tradycje wielkich myślicieli, odrzucmy wszystko, co wiemy i przyjmijmy świat takim,

jakim jest.

Dyrektorka zamknęła oczy i pochyliła głowę, wszyscy zrobili to samo, ja również, a potem zaczęła mówić w

języku, którego nigdy przedtem nie słyszałam. Cichy szept powoli przeszedł w śpiewną recytację. Otworzyłam

jedno oko, usiłując dojrzeć Dantego, ale zobaczyłam tylko jego kark - piękny i gładki nad kołnierzykiem koszuli.

Moje rozmyślenia przerwał szept Nathaniela.

- Przynies nam śmierć - powiedział.

- Co takiego?

- To właśnie mówi. Przynies nam śmierć, żebyśmy mogli ją zbadać. Zdobyć nieśmiertelność przez zrozumienie umysłu dziecka. - Jego głos się załamał. - A gdy umrzemy, nasze umysły będą żyły po wsze czasy.

- Że co? - Brzmiało to zbyt makabrycznie jak na motto liceum. W mojej starej szkole nigdy nie było żadnych

przemów powitalnych, nie mówiąc już o dziwacznych ceremoniach wieczornych.

- To po łacinie - wyjaśnił Nathaniel. Nadal miał zamknięte oczy, podobnie jak wszyscy inni. - Mówi, że

nawet jeśli nasze ciała umrą, nasze dokonania będą żyć wiecznie.

- Ciii - wysyczał ktoś z boku przed nami. Sztywna, elegancka dziewczyna rzuciła nam oburzone spojrzenie i

zamknęła oczy.

- Genevieve Tart - wyjaśnił szeptem Nathaniel. - Jest w trzeciej klasie i mnie nie znosi.

- Niby dlaczego? - zdumiałam się.

- Drażni ją moja obecność.

- Powiedziała ci to?

- Nie, po prostu wiem. Prawie się do mnie nie odzywa i myśli, że mam na imię Neil.

- Głupota. Skąd możesz wiedzieć, że cię nie znosi, jeśli nawet z tobą nie rozmawia?

- Ciii - syknęła Genevieve, tym razem na mnie. Nathaniel popatrzył w ziemię.

- Widzisz?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, w jednym z pierwszych rzędów wstał chłopak - wysoki i dobrze zbudowany, jego twarz do złudzenia przypominała twarz Eleanor. Domyśliłam się, że to jej starszy brat.

Przeszedł wzdłuż ławek w swojej sekcji wolnym krokiem, i w końcu zatrzymał się za dziewczyną i dotknął

jej ramienia. Była smukła i ładna, miulu migdałowe oczy, a na włosach kraciatą opaskę.

Potem ona się podniosła i ruszyła przed siebie. Dotknął niskiego, kościstego chłopca, który zbliżył się do

ławek uczniów trzeciej klasy i położył dłoń na ramieniu piegowatej dziewczyny o rudych włosach. Ta z kolei

klepnęła poważnego chłopaka, który wyglądał na mola książkowego. On zaczął iść w naszą stronę, prosto na

mnie.

Zatrzymał się przy naszym rzędzie, a ja zacisnęłam powieki, bojąc się, że mnie wybierze, ale tak się nie stało.

Dotknął dziewczyny przed nami. Genevieve Tart wstała i z gracją poszła wzdłuż przejścia.

Szóstka uczniów ustawiła się w szeregu przed podium, z pochylonymi głowami i zamkniętymi oczami.

- Wybierają nową Straż Uczniowską - wyjaśnił Nathaniel. - Wzorowi uczniowie - dodał z goryczą w głosie. -

Mają pilnować, żebyśmy przestrzegali reguł.

- Jak się ich wybiera?

- Robią to profesorowie, ale ciężko wyczuć, czym się kierują. Podobno jest jakiś test, ale nikt nie wie jaki, a

strażnicy milczą. Może właśnie dlatego się ich wybiera, że są lizusami.

Dyrektorka przerwała swój monotony śpiew i zeszła z podium. Zwróciła się do pierwszego chłopaka i

położyła mu rękę na ramieniu.

- Brandon Bell - oznajmiła.

A potem szła wzdłuż szeregu, wymawiając kolejne imiona:

- Ingrid Fromme, Schuyler Soverel, Laney Tan-nenbaum, Maxwell Platkin, Genevieve Tart.

Nathaniel wyjaśnił, że zwykle wybiera się trzecioklasistów i najstarszych uczniów, Brandon, Ingrid, Schuyler

byli w ostatniej klasie, z trzeciego roku byli Laney, Maxwell i Genevieve. Dyrektorka wydeła ciemnoczerwone,

eleganckie usta.

- Straży Uczniowska. Dzisiaj zostaliście związani z Akademią Gottfrieda. Od tej chwili ciało uczniów jest

waszym ciałem. Głos uczniów jest waszym głosem. .

Za drzew wychylił się ogromny księżyc. Dyrektorka podniosła głowę i rozejrzała się wokół.

- A teraz obudźmy się - oznajmiła.

Członkowie Straży po kolei otwierali oczy i podnosili głowy; wszyscy inni uczniowie zrobili to samo. Nocne

niebo było czyste, w jeziorze odbijał się księżyc, chłodny powiew wiatru poruszył liśćmi olbrzymiego drzewa.

Dyrektorka wyjęła spod podium niewielki nóż i głęboko nacięła korę. Z nacięcia wypłynęła gęsta czerwona

żywica. Zanurzyła w niej palce, a potem przesuwała nimi po czole każdego ze strażników, zostawiając

czerwoną linię tuż nad oczami. I znów przemówiła po łacinie.

Nathaniel tłumaczył:

- Krwi dębu, krwi naszych przodków, spoczywająca w jego korzeniach. Spraw, by nasze umysły mogły się

odradzać, niechaj to robią wciąż na nowo.

A potem odwróciła się do strażników. Z tą czerwoną kreską na czole wyglądali przerażająco, niemal biblijnie. Nigdy w życiu nie widziałam drzewa, które miałyby czerwoną żywicę.

- Akademio Gottfrieda, przedstawiam ci nową Straż Uczniowską! Jednocześnie pragnę zaprosić wszystkich

na pierwszą w tym roku ucztę w Megaronie.

W końcu kobieta odwróciła się od Straży Uczniowskiej i odeszła, a oni kolejno podążyli za nią w stronę

budynków internatu. Za nimi ruszyli profesorowie. Nikt nie klaskał. Nikt nic nie mówił. Wysoko w górze wiał

wiatr, sprawiając, że kampus wydawał się opuszczony.

Zaraz potem wszyscy wstali. Próbowałam wypatrzeć Dantego, ale już go tam nie było, jedynie Eleanor

rozmawiała z grupką dziewcząt. Reszta uczniów zmierzała do Megaronu, czyli, zdaje się po grecku stołówki.

Jedynie Nathaniel stał przy ławkach, jakby na coś czekał.

18

- Idziesz na ucztę? - zagadnęłam go w końcu. Wyprostował się, jakby zaskoczony.

- Idę - odparł. Przez chwilę bawił się guzikami przy koszuli, potem strzepnął komara z ramienia.

- Usiądziesz obok mnie? - spytałam. Sprawiał wrażenie dziwaka, ale był miły i zabawny, a ponieważ do tej

pory nikt go nie zaczepił, pomyślałam, że nie ma z kim usiąść przy kolacji.

Popatrzył na mnie, poprawiając okulary.

- Naprawdę? To znaczy: no pewnie.

Eleanor spotkaliśmy już przy stole w Megaronie. Jej koleżanki były dokładnie takie same jak ona:

ładne, bogate i beztroskie. Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony - dziewczyny, gdy zobaczyły idącego ze mną Nathaniela, czy Nathaniel, gdy zrozumiał, że będzie siedział z najładniejszymi dziewczynami na roku. Próbowałam

uczestniczyć w rozmowie, ale nie mogłam się powstrzymać przez rozglądaniem się na boki. Miałam nadzieję, że

zauważę Dantego pod jednym ze stalowych żyrandoli. Niestety, widziałam tylko obce twarze.

Nagle usłyszałam jego imię. Odwróciłam się do naszego stolika. Dziewczyny i Nathaniel gapili się na

mnie w oczekiwaniu na odpowiedź.

-Prawda, Renee? - rzuciła Eleanor.

-Co? Przepraszam, zapatrzyłam się na... na stół strażników.

- Powiedziałam właśnie, że sprowokowałaś Dantego Berlina do rozmowy. Chyba nawet się śmiał.

Zaczerwieniłam się.

- Niby tak, ale to nic poważnego. Właściwie to był raczej nieprzyjemny.

- W przypadku Dantego wszystko jest poważne. Nigdy się nie uśmiecha ani nie śmieje - zakomunikowała

Greta, atletyczna rudowłosa dziewczyna.

- Nie jest aż tak źle - odparłam, nakładając sobie spaghetti. - Chyba nawet ma poczucie humoru.

- Przy tobie był inny - oznajmiła Eleanor. - Po raz pierwszy widziałam, żeby z kimś tak długo rozmawiał, w

każdym razie od zeszłej wiosny.

- A co takiego stało się zeszłej wiosny? Odpowiedziała mi Rebecca, delikatna dziewczyna

z krótkimi czarnymi włosami.

- Tak naprawdę nikt tego nie wie. - Oparła łokcie na blacie. - Tyle tylko, że zmarł Benjamin Gallów. Najpierw zniknął, a kilka dni później znaleziono go martwego w lesie.

- Źle to opowiadasz - przerwała jej Eleanor, zaczęła, aż skupię się na niej i zaczęła opowieść: - Była

połowa drugiego semestru, gdy pewnego dnia Benjamin po prostu nie przyszedł na zajęcia. Należał

do

chłopaków, którzy nie zdają sobie sprawy, jacy są super. Piątkowy uczeń, najlepszy szermierz, miły dla

każdego, nawet dla kucharek. Wszyscy lubili Benjamina, a on lubił wszystkich. Gdy

Im niego dnia nie przyszedł na zajęcia, pomyśleliśmy, że jest chory. Problem w tym, że nie było go również w

pokoju. Szukano go, wypytywano przyjaciół, kolegę z pokoju, jego dziewczynę, niemal każdego, kto go znał,

ale nikt nie miał bladego pojęcia, gdzie on może być.

Eleanor powiodła po nas dramatycznym wzrokiem, jej oczy płonęły podnieceniem.

- W końcu znaleziono go w lesie. To był poniedziałek, pamiętam, bo włożyłam niebiesko-różową opaskę,

którą zawsze noszę w poniedziałki. Mieliśmy naukę

o Ziemi i byliśmy na dworze, gdy zobaczyliśmy, że wnoszą Benjamina przez bramę. Nie żył. Twarz miał przykrytą

plaszczem. Wydać było tylko jego rękę zwisającą nad trawą, gdy profesor Bliss i profesor Starking nieśli go do skrzydła

szpitalnego. Była tak blada, że niemal niebieskawa.

Przy stole zapanowała niezręczna cisza, szcęk sztućców o talerze tworzył jednostajny szum wokół nas, gdy

siedzieliśmy w milczeniu, wyobrażając sobie rękę Benjamina zwisającą bezwładnie nad ziemią.

- Ale najdziwniejsze, że nie wiedzieliśmy, co spowodowało jego śmierć - mówiła dalej Eleanor. - Nie był

ranny, nie miał siniaków ani skaleczeń. Nikt go nie zaatakował i nie zamordował. Nie znaleziono przy nim

żadnych rzeczy, więc nie uciekł. Pielęgniarki w końcu orzekły, że to musiał być atak serca.

Znieruchomiałam

- Zaczekaj. - Moje serce zaczęło bić szybciej. - Zmarł na atak serca? - Brzmiało to nieprzyjemnie znajomo.

- Dokładnie tak. Początkowo zupełnie to do nas nie docierało. No bo jak to, piętnastoletni chłopak

I atak serca? Ale tak właśnie było.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam moich rodziców. Samochód, las, atak serca...

- Znaleźli coś przy nim? Coś niezwykłego? Może znaleźli coś na jego ciele?

Popatrzyła na mnie speszona.

- Nie przypuszczam...

- Nie, nic niezwykłego, poza martwym chłopakiem -odparła sarkastycznie Rebecca i ugryzła pomidora.

Eleanor przewróciła oczami.

- No dobrze, ale co Dante ma z tym wspólnego? -spytałam.

Eleanor spojrzała na mnie tak, jakby to było oczywiste.

- To właśnie on go znalazł. Przestałam żuć.

- Nikt nie rozumiał, jak mu się to udało. Benjamin leżał tak daleko w głębi lasu, że odnalezienie go było

praktycznie niemożliwe.

Poczułam, że oblewa mnie pot.

- Potem krążyły plotki, że to Dante go zabił i dlatego wiedział, gdzie go szukać.

- Ale dlaczego miałby to zrobić? - zapytałam, siląc się na obojętność.

- No wiesz - Eleanor napiła się wody - Benjamin chodził z moją współlokatorką, Cassandrą Millet.

- Jak to? Wydawało mi się, że randki są zabronione? A tak przy okazji, dlaczego?

Eleanor spojrzała na mnie z wyższością.

- To chyba jasne, nie? Nauczyciele myślą, że ma to negatywny wpływ na naukę. Dlatego dawniej były oddzielne szkoły dla chłopców i dziewcząt, stąd też nasze stroje. Żadnych krótkich spódniczek czy gołych ramion. Ale to jeszcze nie znaczy, że nikt tego nie robi. No więc Cassandrą była śliczna: kremowa cera, wielkie

zielone oczy, falujące złote włosy, mała Afrodyta. Wszyscy ją uwielbiali, nawet Dante. Byli przyjaciółmi,

należeli do Klubu Łacińskiego. Dlatego niektórzy myśleli, że Dante podkochał się w Cassandrze i zabił

Benjamina, żeby ją zdobyć.

- To chyba jednak przesada - zawyrokowałam. Eleanor wzruszyła ramionami.

- To tylko plotka.

- No i co, są teraz razem?

- Cassandrą rzuciła szkołę. - Rebecca pokręciła głową.

- Albo została przeniesiona - dodała Eleanor. - Tak czy inaczej, nie ma jej w akademii.

- Może to ona zabiła Benjamina? - zasugerowała dziewczyna o imieniu Bonnie.

Eleanor machnęła ręką.

- Wtedy całą sprawą zajęłaby się policja. A w ogóle, czemu miałyby to robić?

Bonnie wzruszyła ramionami.

- Poza tym - ciągnęła Eleanor - przyczyną śmierci był atak serca. Myślicie, że ktoś go u niego wywołał?

- Może go pocałowała? - odezwał się po raz pierwszy Nathaniel. - Mnie na pewno doprowadziłoby to do

ataku serca.

Popatrzyliśmy na siebie z rozbawieniem i parsknęliśmy śmiechem.

Po kolacji wróciliśmy do internatu. Dziewczyny poszły do swoich pokoi; Eleanor zapaliła świecę i przebrała

się w różową piżamę. Miałam zamiar poczytać i zapominając o tutejszych zasadach, chciałam zapalić światło,

ale nie znalazłam włącznika. No tak, faktycznie żadnego światła po dwudziestej pierwszej.

- Nie widzę sensu w tych wszystkich zasadach - mruknęłam.

Eleanor wzruszyła ramionami.

- Nauczyciele powiedzieliby pewnie, że chodzi o nasze bezpieczeństwo.



- Ale jak można odrabiać lekcje bez światła? Jak w ogóle można robić cokolwiek?

- Masz świece. Poza tym oczy się przyzwyczajają. Po prostu odrabiaj lekcje wcześniej. Po co się uczyć w

nocy, skoro można wtedy robić coś znacznie ciekawszego?

Brzmiało niezłe, choć osobiście podejrzewałam, że zdaniem dyrektorki nie powinniśmy mieć nic ciekawszego do roboty niż odrabianie lekcji. Nic dziwnego, że mój dziadek tak lubił tę szkołę. W porównaniu z zasadami panującymi tutaj, jego godzina policyjna o dwudziestej drugiej wydawała się całkiem znośna.

- Poczekaj - powiedziała Eleanor. - Zaraz... -Otworzyła szufladę w komodzie i szperała w niej, aż wreszcie

znalazła wypaloną do połowy świecę. - Weź ją. Wiesz co, zawsze myślałam, że Nathaniel to straszny dziwak,

ale dzisiaj był całkiem miły. I zupełnie normalny.

Skinęłam głową, chociaż w tej chwili nie myślałam o Nathanielu.

- A więc Dante przyjaźnił się z Cassandrą? - spytałam ostrożnie, szcزتkując włosy.

Eleanor podniosła wzrok znad pamiętnika, jej oczy były rozszerzone podnieceniem, jakby czekała tylko na to

pytanie.

- Oboje należeli do Klubu Łacińskiego. To znaczy, my to tak nazywamy, to klasa zaawansowanej łaciny.

Oprócz nich byli tam jeszcze Gideon DuPont i Vivian Aletto z drugiej klasy, i Yago Castiliar. Inteligentni,

można powiedzieć, elita. Wiedzieli wszystko o języku i literaturze starożytnych Greków i Rzymian, biegle posługiwali się łaciną i zawsze siedzieli razem w bibliotece, szepcząc po łacinie, tak żeby nikt nie mógł ich zrozumieć.

Eleanor podeszła do otwartego okna, a potem usiadła na łóżku obok mnie.

- Ja to zrobię. - Zaczęła zaplatać moje włosy w warkocz. - Gdy Benjamin zmarł, a Cassandrą zniknęła, grupa

się rozpadła. To znaczy, właściwie to Dante się od nich odsunął. Pokłócił się Gideonem, Vivian i Yago-nem.

Pamiętam, że stali na skwerze po godzinie policyjnej i krzyczeli tak, że słysząc ich było w pokojach.

Podciągnęłam kolana do brody.

- I co mówili?

Eleanor zaśmiała się cicho.

- Kto to może wiedzieć? Przecież mówili po łacinie. Profesorowie nie interweniowali, pojawili się dopiero,

gdy już było po wszystkim. Wtedy Dante wyniósł się ze szkoły. Przestał rozmawiać z ludźmi. Myślę, że jest

jedynym uczniem akademii, któremu pozwolono mieszkać w Attica Falls.

- Może on coś wie? - zasugerowałam, wyglądając przez okno na drzewa za murami szkoły.

- O czym? - spytała Eleanor, zaciskając mój warkocz. - Siedź spokojnie.

- O śmierci Benjamin. To przecież dziwne, mam na myśli przyczynę jego śmierci. Poza tym to właśnie

Dante go znalazł. Musi coś wiedzieć. - Odwróciłam się do Eleanor. - Może odkrył coś na jego ciele i nie powiedział o tym nauczycielom? Może właśnie o to się kłócili?

Eleanor zmarszczyła czoło.

- Coś na jego ciele? Co masz na myśli?

- Na przykład monety albo coś w tym stylu. Jakiś materiał..

Eleanor prychnęła.

- Na pewno miał na sobie ubranie i niewykluczone, że jakieś drobne w kieszeniach. Jakże to może mieć

znaczenie? Benjamin zmarł śmiercią naturalną. Czy to ważne, o co się pokłócili? Zmarł ich przyjaciel, Cassandra

została przeniesiona, może po prostu byli zdenerwowani?

Westchnęłam.

- Może.

To, co mówiła Eleanor, brzmiało sensownie, ale nie potrafiłam w to uwierzyć.

- Ale jeśli Dante coś ukrywa, może zdołasz to z niego wyciągnąć - podsumowała, zakładając gumkę na koniec warkocza. - Chyba cię polubił.

- Powiedział do mnie trzy słowa, a potem, że zajęłam jego miejsce. Nie wiem, czy to oznacza lubienie.

- No dobra, ale nie zaprzeczysz, że jest cudny. Nie jesteś przynajmniej ciekawa?

Byłam, ale nie dlatego, że był taki piękny. Było coś w sposobie, w jaki na mnie patrzył, w tym, że pierwszy

raz od śmierci moich rodziców czułam, że żyję. I chociaż nasze spotkanie było krótkie i nie nieznaczące, nie

mogłam przestać o nim myśleć. Dlaczego rozmawiał tylko ze mną? I czy to zbieg okoliczności, że znalazł

Benjaminia martwego w lesie i że przyczyną śmierci był atak serca - dokładnie tak, jak w przypadku moich ro20

dziców? Rzecz jasna nie było żadnego dowodu na to, że Dante cokolwiek wie, mógł pokłócić się z przyjaciółmi z

wielu powodów. Ale może coś w tym było?

Już miałam odpowiedzieć, gdy ktoś zastukał w ścianę nad łóżkiem Eleanor. Na jej twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. Wskoczyła na swoje łóżko i zastukała trzy razy, odczekała chwilę i zastukała jeszcze raz.

Potem podeszła na palcach do drzwi, nasłuchując, żeby się upewnić, czy nikogo nie ma na zewnątrz.

- Idę do pokoju obok. Idziesz ze mną?

- A co jest w pokoju obok?

- Dziewczyny - wyjaśniła, wkładając kapcie. - Chodź, będzie tam Genevieve, pewnie zdradzi jakieś plotki o

Straży Uczniowskiej.

- A są jakieś plotki? Myślałam, że to wzorowi uczniowie.

- Daj spokój, każdy ma jakiś mroczny sekret. - Uniosła brwi i dodała: - Nie tylko Dante.

- Przecież twój brat należy do Straży, czemu jego nie spytasz?

Pokręciła głową.

- To jedyna rzecz, na temat której na pewno się nie wygada. Nie rozumie, że to uwarunkowanie psychologiczne: im bardziej on coś ukrywa, tym bardziej ja chcę się tego dowiedzieć.

Zaproszenie było kuszące, ale wolałam najpierw w spokoju przemyśleć to wszystko, czego dowiedziałam się

o Benjaminie.

- Może następnym razem. Jestem wykończona. Eleanor wzruszyła ramionami.

- Jak sobie chcesz.

Włożyła sweter i wysliznęła się na korytarz, gdzie już czekały Rebecca i Bonnie.

- Słodkich snów, Renee - powiedziała melodyjnym głosem, zamykając drzwi. Został po niej jedynie zapach

perfum i oddalający się chichot.

Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, wzięłam telefon i wybrałam numer Annie. Odebrała jej mama.

- Ha... halo? - wychrypiałam. Wyjechałam zaledwie dwa dni temu, ale wydawało mi się, że minęły całe

wieki. Sądziłam, że naprawdę chcę porozmawiać z kimś znajomym, ale znowu powróciły wszystkie emocje

związane ze stratą rodziców, oderwaniem od przyjaciół i całego kalifornijskiego życia.

- To ty, Renee? - Usłyszałam głos Margerie, dobiegający ze świata, o którym niemal zapomniałam.

Przełknęłam ślinę.

- Tak - szepnęłam. - Czy zastałam Annie?

- Kochanie, właśnie wyszła. Czy mam jej przekazać, żeby do ciebie oddzwoniła?

- Tak, proszę. - Usiłowałam ukryć rozczarowanie.

- Czy wszystko w porządku?

- Tak, wszystko dobrze - wykrztusiłam. - Świetnie. Po drugiej stronie słuchawki zapadła długa cisza, jakby Margerie zastanawiała się, czy mi wierzyć, czy nie.

- No dobrze. Odzywaj się, gdybyś czegoś potrzebowała. Przekażę Annie, że dzwoniłaś.

- Dziękuję. - Zamknęłam telefon.

Pomyślałam o tych wszystkich miejscach, w których Annie mogła teraz być - przystań, kafejka, dom Lauren,

o tych miejscach, do których ja też chodziłam, a których już nigdy nie zobaczę. Żeby oderwać się od złych

myśli, zawinęłam się w kołdrę, wzięłam Zbiór reguł akademii i otworzyłam na spisie treści. Rozdziałów było

kilkaście: Regulamin stroju, Godzina policyjna, Granice szkoły, Zajęcia w czasie wolnym, Pokój i internat,

Attica Falls i wiele innych. Znalazłam rozdział o historii akademii i zaczęłam czytać.

W Akademii Gottfrieda pierwotnie znajdował się szpital dziecięcy. Pacjenci zajmowali dwa budynki, je-

chłopcy, drugi dziewczęta. Pomiedzy budowlami znajduje się jedyne na Wschodnim Wybrzeżu słone jezioro.

Założyciel i ordynator szpitala, Bertrand Gottfried, wykorzystywał właściwości lecznicze słonej wody, która

miała zapobiegać chorobom. Jezioro stało się kąpieliskiem dla pacjentów. Rozbudowujący się teren szpitala

został otoczony czteroipółmetrowym murem, który miał chronić pacjentów przed naturalnymi zagrożeniami,

jakie niesły Góry Białe. .

Byłam zmęczona, a jednak nie mogłam przestać czytać. I tak właśnie zakończył się mój pierwszy dzień w

Akademii Gottfrieda - na rozmyślaniu o zasadach, nakazach i zakazach, o śmierci Benjamina Gallowa i moich

rodziców, dopóki nie zapadłam w mocny sen bez snów.

## Pierwsze prawo przyciągania

Pierwszy tydzień szkoły obfitował w niezwykle wydarzenia. Zaczęło się od łaciny.

Kolegium Horacego, gdzie odbywały się wszystkie lekcje, był wielkości niewielkiego pałacu wiktoriańskiego. Kamienne wieżyczki, duże drewniane drzwi okute żelazem, tak ciężkie, że z trudem udawało mi się je

otworzyć. Front gmachu pokrywała winorośl. Wiła się wokół okien wychodzących na skwer.

W środku było foyer z czerwoną wykładziną na podłodze, ściany wykładane drewnem, wysokie sklepienie

wsparte dębowymi belkami. W oknie wisiały ciężkie niebieskie kotary ścielące się na podłodze, za nimi brzęczały grzejniki. Pośrodku pomieszczenia widniały szerokie schody z lśniąca balustradą, które prowadziły do

zewnątrznych skrzydeł budynku.

Lekcja łaciny - pierwsza tego dnia - miała się odbyć gdzieś w głębi gmachu. Eleanor pobiegła spóźniona do

stołówki, żeby zjeść coś przed zajęciami, więc musiałam radzić sobie sama. Na kilka minut przed dzwonkiem

nadal stałam we foyer, wpatrując się w rozkład zajęć.

„Łacina, poziom podstawowy MWF 8.00 WS, II, VII, Kolegium Horacego”

liyałam prawie pewna, że to oznacza wschodnie ikrzy dło, drugie piętro i salę numer 7. Albo wschodnie

skrzydło, drugi pokój, siódme piętro. A może były In inicjały nauczyciela prowadzącego? Chciałam kogoś

wipytać, ale wszyscy spieszyli się na lekcje, migaly mi przed oczami koszule, krawaty, mokasyny i spinki do

21

mankietów. No nie, to przecież nie może być trudne, pomyślałam. Z jakiegoś powodu byłam przekonana, że

klasa musi znajdować się na siódmym piętrze, więc po chwili wahania podeszłam do schodów prowadzących

ilo wschodniego skrzydła.

Zadzwonił dzwonek, gdy wreszcie znalazłam salę. Zasapana i spocona, gwałtownie otworzyłam drzwi i

wpadłam do środka. Uczniowie odwrócili się do mnie i już wiedziałam, że się pomyliłam. To była niewielka

grupka, wszyscy siedzieli przy drewnianym stole, pochylając się nad książkami. Wszyscy wyglądali na

starszych ode mnie i raczej nieprzyjaznych, szczególnie ponury chłopak z krótkimi brązowymi, starannie

uczesanymi włosami. Ubrany był w drogi czarny garnitur i okulary w szylkretowych oprawkach. Obok niego

siedziała dziewczyna, chyba jego siostra. Ciężko powiedzieć, które z nich lepiej wyglądało. Ona również miała

na sobie męski garnitur, chociaż dopasowano go do szczupłej figury. Krótkie czarne włosy z przedziałkiem na

środku głowy i zaczesane do tyłu; przypominała bogatego finansistę z lat dwudziestych.

Profesor był młodym wysokim mężczyzną o jasnych włosach, które przywodziły na myśl sierść golden

retrievera. Mówił w języku, którego nie rozumiałam, prawdopodobnie po łacinie, ale najwyraźniej nie była to

klasa, której szukałam. Profesor urwał i popatrzył na mnie wyczekująco. Poczułam, że się czerwienię.

- Czy to łacina, poziom podstawowy? - zapytałam. Chłopak, który siedział najbliżej mnie, odwrócił się

i zdumiona spostrzegłam, że to Dante. Uniósł swoją piękną brew i popatrzył na mnie rozbawiony. Poczułam się

zakłopotana i podekscytowana jednocześnie. Siedział odchyłony na oparciu krzesła, jego koszula opi-  
nała się

delikatnie na szerokich ramionach, falujące brązowe włosy były ściągnięte z tyłu gumką, kilka kosmyków

wisiało nad podbródkiem. Wyobraziłam sobie, że ich dotykam...

Nasze oczy spotkały się i poczułam, że oblewam się purpurą.

- Nie - odpowiedział profesor, zdejmując okulary. Za nim wisiała tablica pokryta zdaniami po łacinie.

Jedyne słowa, jakie udało mi się rozpoznać to Cartesius i Romulus et Remus. Obok nich widniała, w różnych

literacjach i rozmiarach, prosta sześciokątna figura. Wpatrywałam się w nią wstrząśnięta - to było to, co

prześladowało mnie w snach przez ostatnie dwa tygodnie: trumna.

- Prze... przepraszam - wybąkałam i odwróciłam się do drzwi. Wtedy Dante wstał i podszedł, nie odrywając

ode mnie oczu. Poprawiałam torbę, gdy stanął za mną. Dotknął mojej spódnicy, gdy otwierał drzwi. Uśmiechnął

się ledwie dostrzegalnie i szepnął:

- Cześć.

Gdy dotarłam spóźniona na swoją lekcję łaciny, cała scena się powtórzyła: wszystkie głowy zwróciły się w

moją stronę i zapadła martwa cisza. Oczy Eleanor były bardzo niebieskie i szeroko otwarte z przerażenia.

„Co się stało?” - Poruszała bezgłośnie wargami, nawijając nerwowo pasmo włosów na palec. Nie odważyłam

się odpowiedzieć; nauczycielka przerwała wykład.

- Prze... przepraszam za spóźnienie. Zabłądziłam - powiedziałam.

- Nie spodziewam się wyjaśnień, spodziewam się, że usiądziesz - odparła, jakbym powinna była o tym

wiedzieć.

Usiłując nie rzucać się w oczy, podniosłam torbę i poszłam na koniec sali.

Nauczycielka łaciny wyglądała jak twierdza w workowatej sukience i grubych okularach. Na tablicy pochyłym pismem widniało: profesor Edith Lumbar.

Edith Lumbar. Czyli kobieta, do której miałam się zgłosić, gdybym potrzebowała pomocy. Zamknęłam oczy i



westchnęłam, mając nadzieję, że jeszcze jej nie podpadłam.

- Kontynuując w miejscu, w którym nam przerwano, na moich lekcjach panuje kilka zasad. Po pierwsze,

żadnego garbienia się.

Wszyscy jak na komendę zaczęli się prostować.

- Adeptci łaciny muszą dążyć do doskonałości, jeśli chcą opanować zawilości i subtelności tego języka. Nauczycielka zaczęła chodzić po sali. - Nie wolno wam się odzywać, dopóki nie zostaniecie o to poproszeni. I

wreszcie, najważniejsze, nie wolno wam nigdy, pod żadnym pozorem, mówić po łacinie.

Jakim cudem mamy się nauczyć języka, którym nie możemy się posługiwać? I jaki to ma sens?

- Dlaczego? - wypaliłam, zanim zdołałam się powstrzymać.

Profesor Lumbar odwróciła się i popatrzyła na mnie zdumiona.

- Czy nie słuchałaś, gdy wspomniałam o zasadach? - spytała retorycznie. - Jak się nazywasz?

- Renee Winters - odpowiedziałam.

Patrzyła na mnie przez chwilę, a potem powtórzyła:

- Renee. Aby narodzić się ponownie. Stare imię pochodzące od łacińskiego i francuskiego czasownika

naitre, urodzić się. Nosił je wielki myśliciel Kartezjusz. Choć najwyraźniej posiadasz jego skłonność do

kwestionowania wszystkiego, to brakuje ci cierpliwości i mądrości, by poprowadzić logiczny wywód do końca.

Z trudem nadążałam za jej tyradą.

- A więc, Renee, czego właściwie nie rozumiesz? - spytała uprzejmie tonem podszytym sarkazmem. Zapanowała taka cisza, że słyszałam, jak mi burczy w brzuchu.

Przełknęłam ślinę.

- Ja tylko... zastanawiałam się, dlaczego nie możemy mówić w języku, którego mamy się uczyć.

- Interesujące pytanie. Czy ktoś chciałby na nie odpowiedzieć?

Chłopak z pierwszego rzędu podniósł rękę.

- Tak? Jak masz na imię? - zapytała profesor Lumbar.

- Prem - odpowiedział.

- A więc, Prem, jak sądzisz?

- Dlatego, że łacina jest martwym językiem?

- Łacina jest uznawana za martwą od stuleci, a jednak nadal jest całkiem żywa. Kiedyś była językiem elit,

tylko nieliczni mogli pisać i czytać, a co najważniejsze, mówić po łacinie. Na naszych zajęciach przytoczę wam

historie osób, które dostały zaszczytu posługiwania się łaciną. Ponieważ jest to poziom podstawowy, to naturalnie w tej sali nie ma nikogo, kto zostałby pobłogosławiony tym językiem. Próby posługiwania się nim

byłyby arogancją. Jeśli jednak pogimnastykujecie wasze umysły, nauczę was, jak wyrażać to, co niewyrażalne.

Jak opisać najsubtelniejsze uczucia. Zapach, który ostatni raz czuliście w dzieciństwie. Radość, którą sprawia

22

widok rodzącego się zwierzęcia. Niewiarygodny smutek, jaki odczuwamy, stając oko w oko ze śmiercią. Nie

jesteśmy w stanie wyrazić tak złożonych emocji. A jednak łacina potrafi rozróżniać te subtelności, których

istnienia nawet sobie nie uświadamiacie.

Nikt nie odrywał wzroku od nauczycielki. Nagle łacina wydała mi się interesująca. Już jako dziecko czułam

się odizolowana od innych, byłam pewna, że nikt mnie tak naprawdę nie zna, nawet moi rodzice. A teraz oni

nie żyją, a ja czuję się jeszcze bardziej samotna. Czy mogłabym przekazać komuś to wszystko, co czułam? Może

łacina mogłaby mi pomóc. .

Profesor Lumbar wzięła kawałek kredy i zaczęła pisać na tablicy: Latinum: lingua mortuorum. Przepisałam

to zdanie do zeszytu.

- A teraz otwórzcie podręczniki na stronie dwunastej - poleciła. Do końca lekcji zajmowaliśmy się przepisywaniem koniugacji.

Po dzwonku wertowałam słownik, próbując odszyfrować łacińskie zdanie. Gdy już mi się to udało, rozejrzałam się podejrzliwie.

Łacina: język umarłych.

Reszta dnia upłynęła na gonitwie. Biegaliśmy z jednej sali do drugiej niczym stado owiec, nosząc książki z

góry na dół po starych schodach Kolegium Horacego, z krótką przerwą na obiad. Było mi tym trudniej, że byłam nowa. Nie miałam przyjaciół, a wszyscy zachowywali się tak, jakby właśnie skończyli partyjkę polo z księciem Walii w swojej angielskiej posiadłości. Jeśli wziąć pod uwagę, że akademia miała drużynę polo i że jeden

koleś z najstarszej klasy był spokrewniony w dalekiej linii z księżną Kentu, to zapewne była to prawda. Eleanor

była najbardziej rozchwytywaną dziewczyną na naszym roku, biegała od jednej grupki do drugiej, opowiadając,

jak spędziła wakacje. Ponieważ miałyśmy razem tylko dwie lekcje, i prawie nie było czasu, żeby pogadać na

przerwach, ustaliłyśmy, że spotkamy się na obiedzie.

Pozostawiona własnym rozmyślaniom, zastanawiałam się, co robią moi przyjaciele w Kalifornii. Annie miała

pewnie biologię, siedziała z tyłu i przesyłała liściki do Lauren, podczas gdy pan Murnane opowiadał o anatomii

człowieka. A gdzie był Wes? Pewnie na lekcji historii Ameryki, a może na literaturze angielskiej? Zwykle

lubiłam myśleć o Wesie, ale teraz zrobiło mi się smutno. Czy jeszcze mnie pamiętał, czy zajął się kimś innym?

Myśl o tym, że może być z inną dziewczyną, była nieprzyjemna; odsunęłam ją i skupiłam się na lekcjach. To był

jedyny sposób, żeby przetrwać pierwszy dzień w szkole i nie zwariować.

Właśnie szłam na filozofię, gdy usłyszałam, że coś upadło. Szczupła dziewczyna z brązowymi

włosami

klękała, usiłując pozbierać podręczniki, zeszyty i ołówki, które wypadły jej z torby.

Zrobiło mi się jej żal, odstawiłam torbę i podeszłam do niej. Wyglądała nieprzytomnie z zapuchniętymi

oczami i nieobecny spojrzeniem, jakby właśnie się obudziła.

- Pomóc ci? - zapytałam.

Odwróciła się do mnie i z wdzięcznością skinęła głową.

Jej brązowe włosy naelektryzowały się i pojedyncze kosmyki uniosły się śmiesznie. Na pończosze

oczko, od pięty aż do spódnicy.

- Jestem Renee - powiedziałam.

- Minnie - odparła nieśmiało.

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, poczułam, że ktoś klepie mnie w ramię.

Na twarzy dziewczyny pojawił się grymas przerażenia, w pośpiechu upchnęła resztę rzeczy do torby i uciekła w drugi koniec korytarza, zostawiając na podłodze kilka ołówków.

Za mną stała kobieta z długą linijką. Była niska i krępa, miała grube łydki i za duży sweter z broszką w

kształcie pawia na lewej klapie. Miała krótkie przy lizane brązowe włosy.

- Wstań! - rozkazała.

Gdy wstałam, mogłam zobaczyć czubek jej głowy.

- Jak się nazywasz?

- Renee - odparłam. Miałam już dość tego dyrygowania mną i pytania o imię. O ile profesor Lumbar potrafiłam zrozumieć, skoro spóźniałam się i przerwałam wykład, o tyle teraz nic złego nie zrobiłam, pomagałam

jedynie pozbierać podręczniki. - A pani?

Popatrzyła na mnie wstrząśnięta moją impertynencją.

- Co za bezczelność... - sapnęła, bardziej do siebie. - Nazywam się Lynch. Ale nie musisz zawracać sobie

głowy zapamiętywaniem mojego nazwiska, to przyjdzie z czasem. Obawiam się, że taka niesubordynowana

osoba jak ty będzie często miała ze mną do czynienia.

Wzięła mnie za ramię i zaprowadziła w stronę schodów.

- Co pani robi?

- To standardowa procedura.

- Nie zrobiłam nic złego!

- Uklęknij - warknęła.

Zszokowana tym idiotycznym poleceniem, uklękłam przed schodami, tłumacząc sobie w duchu, że nauczyciele

od dawna nie biją uczniów linijkami. Prawda, że nie? Wokół nas zaczynał zbierać się tłumek uczniów, jakieś

dziewczyny wskazywały na mnie i szeptały. Usiłowałam nie zwracać na to uwagi, ale czułam, że zaczynam się

czerwienić. Chropowata drewniana podłoga wbijała mi się w kolana, poruszyłam się.

Pani Lynch obeszła mnie dokoła, jej brązowe drewniaki uderzały w podłogę niczym metronom.

- Brak pończoch - wymruczała, dotykając linijką moich nóg. - Wypuszczona koszula. - Opuściła linijkę,

końcówka stuknęła głucho o podłogę. Przez tłum uczniów przebiegł szmer. Zacisnęłam powieki, czekając na

uderzenie, ale ona jedynie pochyliła się i przyłożyła linijkę do moich ud. Popatrzyła na moją spódnicę i

zmartwiała. - Sześć centymetrów ponad kolanami. Regulamin mówi wyraźnie, że spódnica nie może być wyżej

niż pięć centymetrów nad kolanami.

- To spódnica mojej mamy!

- Widocznie twoja mama była niższa niż ty. - Pani Lynch uśmiechnęła się, ukazując rząd drobnych żółtych

zębów.

23

Spojrzałam na nią i wstałam, wygładzając spódnicę. To tylko centymetr różnicy, jak można kogoś karać za

coś takiego?

- Idź do swojego pokoju i się przebierz.

- Muszę iść na filozofię... Zignorowała mnie.

- W drodze powrotnej wstąpisz do gabinetu dyrektorki.

- Mam teraz lekcję!

- A więc ją opuścisz - rzuciła, odchodząc.

- Ale to pierwszy dzień! Odwróciła się do mnie.

- Młoda damo, masz wielkie szczęście, że to jest pierwszy dzień. W przeciwnym razie kara byłaby znacznie

dotkliwsza.

Wstałam. Właśnie otrzępywałam kolana, gdy usłyszałam za sobą głos kobiety.

- Przepraszam - odezwała się do pani Lynch. Ta, zdumiona, odwróciła się.

Nowo przybyła była szczupła, miała proste brązowe włosy i lnianą spódnicę. Mogła być w wieku mojej mamy, wokół oczu miała zmarszczki od częstego uśmiechania się.

- To jedna z moich uczennic - oznajmiła. - Zajmę się tym.

Nie widziałam jej nigdy wcześniej. Pani Lynch spojrzała na nią podejrzliwie, ja również.

- Chciałam powiedzieć, że ją zaprowadzę - dodała kobieta, patrząc na mnie tak, jakby już mnie kiedyś widziała. - Jest nowa.

Pani Lynch mruknęła coś w odpowiedzi i wróciła do swojego biura, stukając linijką. Gdy zniknęła, kobieta

odwróciła się do mnie.

- Chodź.

Tłum we foyer rozproszył się, szłam z podniesioną głową, unikając spojrzeń, próbując ukryć

upokorzenie.

Gdy wyszliśmy z holu, nieznajoma zatrzymała się i rozejrzała.

- Idź do pokoju i się przebierz.

- A co z dyrektorką?

- Naprawdę chcesz się z nią zobaczyć? Zaprzeczyłam.

- Tak właśnie myślałam.

Nie miałam pojęcia, kim jest ani dlaczego mi pomaga.

- Czemu mi pani po... - zaczęłam, ale mi przerwała.

- I nie daj się więcej przyłapać na noszeniu niere gulaminowego stroju.

Skinęłam głową i pobiegłam do pokoju. Przejrzałam wszystkie ubrania mojej mamy i znalazłam skrom

niejszą plisowaną spódnicę. Włożyłam ją, potem pończochy, do środka wpuściłam koszulę, naciągnęłam

sweterek i przejrzałam się w lustrze. Z trudem się rozpoznałam. Gdyby Annie spotkała mnie na ulicy, przesłaby obok. Czemu ta kobieta, która wybawiła mnie z opresji, patrzyła na mnie tak, jakby mnie znała? Kim ona

była? Wzdychając, przeczesałam ręką włosy i spięłam je z tyłu spinką mojej mamy.

Pod koniec dnia spotkałam Nathaniela i razem poszliśmy na ostatnie zajęcia, nauki podstawowe. Odbywały się

w obserwatorium, w wysokiej wieży. Po drodze . opowiedziałam mu, jak pomyliłam klasy, szukając zajęć § z

łaciny. Jak spotkałam Minnie i panią Lynch, a potem o tajemniczej kobiecie.

- Tak - przytaknął Nathaniel, jego źle zawiązą-, ny krawat był za długi i zwisał smętnie, gdy chłopak ] niósł

książki, idąc obok mnie. - Lynch uwielbia znęcać się nad ludźmi. Mnie się zawsze czepia z powodu zarostu. -

Wskazał trzy albo cztery samotne włoski sterczące na policzkach. - A przecież nie mam nawet żyletki. -

Zaczerwienił się, głos mu się załamał. - Następnym razem nie przejmuj się Minnie, ona wiecznie coś upuszcza

albo o coś się potyka; wszyscy uważają, że jest stuknięta.

- Czemu? - spytałam, ściskając torbę.

- W zeszłym roku urządziła scenę w jadalni. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, nie było mnie tam.

Wzruszyłam ramionami.

- Skoro już mowa o stukniętych, co to była za klasa, do której weszłam? Na tablicy były jakieś złowieszcze

rysunki, nauczyciel mówił chyba po łacinie, a uczniowie wyglądali bardzo ponuro. Też bym była nieszczęśliwa, gdybym musiała oglądać takie rysunki przez cały dzień.

Nathaniel wytarł pot z czoła końcem krawata.

- Nie wiem. Mnóstwo ludzi potrafi mówić po łacinie.

- Naprawdę? Kto? Ja nie znam nikogo.

- To pewnie była klasa dla zaawansowanych.

- Pewnie tak. Ale co z rysunkami na tablicy? No i Dante tam był, a przecież jest na naszym roku. Nie powinien być razem ze mną?

Nathaniel uniósł okulary

- Nie. Ja też jestem w klasie zaawansowanej - powiedział z dumą. - W akademii nie ma dużo uczniów, więc

dzielią nas na grupy w oparciu o umiejętności, nie wiek. A jeśli chodzi o rysunki, to pewnie chodziło o naukę

słówek.

Popatrzyłam na niego sceptycznie.

- Trumny i trumny? Szczerze wątpię. Obserwatorium w środku było znacznie większe,

niż mogłoby się wydawać. Ściany były białe, pojedyncze spiralne schody prowadziły na górę do szklanej kopuły dachu. Gdy weszliśmy na szczyt, znaleźliśmy się w laboratorium z długimi koncentrycznymi blatami, na

których leżały zlewki, wagi i metalowe instrumenty; na ścianach stały rzędem butelki z kolorowymi



płynami i

fiolki z proszkami. Na środku pomieszczenia umieszczono gigantyczny teleskop wymierzony w niebo.

Nathaniel i ja siedzieliśmy w pustej ławce z tyłu, profesor stanął w pozycji, która uwydatniała jego wystający

brzuch i kościste nogi. Czubek jego głowy otaczały kępki kędzierzawych włosów, na nosie spoczywały okulary,

mężczyzna sprawia! wrażenie szalonego naukowca, który wierzy w Obcych i teorie spiskowe. Z kieszeni jego

koszuli wystawały długopisy. Popatrzył na zegarek, a potem zapalił i zgasił światło, żeby zasygnalizować

początek lekcji.

Już miałam zapytać Nathaniela o lekcje łaciny, gdy poczułam, że ktoś na mnie patrzy. Spojrzałam i zobaczyłam Dantego. Siedział po przeciwnej stronie sali. Rozpuszczone ciemne włosy okalały mu twarz, która teraz

wydawała się bardzo blada i gładka.

24

Nasze oczy spotkały się, spróbowałam się uśmiechnąć, ale Dante rzucił mi jedynie zaciekawione i jakby

zakłopotane spojrzenie. O czym myślał?

Profesor po raz ostatni zapalił i zgasił światło, sprawiając, że twarz Dantego zniknęła, a potem pojawiła się

niczym duch. Gdy światło znów się zapaliło, Dante nadal się na mnie patrzył; poczułam dziwny dreszcz

przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

- Nazywam się Starking, tak dla formalności. Szczegóły naszej tożsamości giną w bezmiarze sił wypełniających nasz Wszechświat.

Poklepał teleskop i popatrzył w górę, przez szklany sufit. Po niebie płynęły chmury, pod nimi leciało stadko

ptaków.

- Ale zanim zaczniemy badać kosmos, powinniśmy poznać nasz świat. Dlatego właśnie uczymy się nauk

przyrodniczych: biologii, chemii, fizyki. Dopiero gdy je zgłębimy, możemy ruszyć w kierunku planet i gwiazd.

Profesor Starking pochylił głowę i przez chwilę przyglądał się klasie ponad szklarni okularów.

- W czasie naszych lekcji spróbuję przekształcić wasze galileuszowe umysły. Uprzedzam, że możecie odczuwać dyskomfort, poszerzanie horyzontów zwykle bywa bolesne.

Nie mogąc się oprzeć, spojrzałam na Dantego. Wszystko w nim było takie pociągające - falujące włosy,

podbródek. .. Mogłabym patrzeć na niego cały dzień i nadal miałabym problem z odtworzeniem rysów jego

twarzy.

- Historia uczy nas, że jesteśmy bardziej efektywni, kiedy łączymy nasze siły - kontynuował profesor Starking. - Platon miał swojego Sokratesa, Galileusz Archi-medesa, doktor Frankenstein Igora. - Zaśmiał się cicho.

Śmiech przeszedł w kaszel. Odchrząknął i powiedział: -Każdy z was będzie miał swojego laboratoryjnego

partnera, z którym będzie pracował przez cały semestr.

Zaczął wyczytywać nazwiska. Proszę, pomyślałam, odczytaj moje nazwisko razem z nazwiskiem Dantego.

Proszę.

- Nathaniel Welch i Morgan Leicester. Nathaniel wzruszył ramionami i się przesiadł.

- Greta Platt i Christian Treese.

- Paul McLadan i Maggie Hughes.

- Renee Winters i Dante Berlin. Zesztywniałam z wrażenia. W Kalifornii zawsze

pracowałam w parze z tłustym Jeremym, chłopakiem, który okropnie cuchnął, albo z Samantha Watson, która

potrafiła gadać tylko o lakierze do paznokci. Krzesło zaszurało o podłogę i Dante przeszedł przez całą salę, żeby

zająć wolne miejsce obok mnie. Jego ramiona drgnęły pod koszulą, gdy pochylał się nad stołem. Przez chwilę mi

się przyglądał, a potem odwrócił się bez słowa do profesora. Zszokowana jego nieuprzejmością i niepewna, co

mam robić, skupiłam się na tablicy, udając, że go ignoruję. Siedzieliśmy w ciszy, dopóki profesor Starking nie

skończył odczytywać nazwisk.

- Prawa przyciągania - oznajmił, wskazując tablicę. Jego głos utonął w szeleście papieru.

- Pierwsze prawo przyciągania głosi, że przyciąganie i odpychanie to dwa bieguny tej samej siły..

Gdy profesor Starking opowiadał o fizyce i magnetyzmie, odwróciłam się do Dantego.

-

Dlaczego ciągle się na mnie gapisz? - szepnęłam. Rozejrzał się dyskretnie, czy nikt nie słucha, i pochylił do

mnie.

- Masz długopis na policzku - szepnął. - Tutaj. -Dotknął swojego policzka obok nosa.

- Och. - Poczułam, że się czerwienię, i potarłam policzek ręką.

- Poza tym przypominasz mi kogoś, kogo znam. Albo znałem. Ale nie mogę sobie przypomnieć kogo.

- Myślałam, że nie masz przyjaciół - rzuciłam wyzywająco.

Dante się uśmiechnął.

- To prawda. Mam tylko wrogów. Co nie wróży dobrze, biorąc pod uwagę, że wobec tego musisz przypominać któregoś z nich.

Uniosłam brew.

- Dobry jesteś w prawieniu komplementów. Jak ktoś tak czarujący może mieć wrogów? - palnęłam, zanim

się powstrzymałam. No nie, w ten sposób nigdy nie zdołam spytać go o Benjamina Gallowa! Rozpływanie się

pod jego wzrokiem również mi nie pomoże.

- A więc myślisz, że jestem czarujący? - zapytał Dante. - To właśnie dlatego mi się przyglądasz?

- Powiedziałybyśmy raczej: niepokojący. I nie, nie dlatego, jestem tylko ciekawa.

- Ciekawa? - Dante rzucił mi speszone spojrzenie i odchylił się, kładąc rękę na oparciu krzesła. - Czego?

- Czemu z nikim nie rozmawiasz?

- Myślałem, że właśnie to robię.

- Czemu nie rozmawiasz z innymi?

- Mówienie nie jest jedynym sposobem komunikacji. Mówię, gdy mam coś do powiedzenia.

- W takim razie musisz być nudny, sądząc z tego, co inni o tobie mówią.

Dante zaśmiał się cicho.

- A co takiego mówią?

- Że nie rozmawiasz z nikim, bo czujesz się lepszy.

- A jeśli tak jest? Zmrużyłam oczy.

- Nie. Ty jedynie tak myślisz.

Dante uśmiechnął się i pochylił do mnie.

- A więc potrafisz czytać w moich myślach? Przełknęłam ślinę.

- Nie. Po prostu to wiem.

- Naprawdę? To o czym teraz myślę? - droczył się ze mną, przysuwając do mnie twarz.

Cieężko było zachować spokój, gdy wpatrywał się tak intensywnie, z tak bliska. Zadrżał mi głos.

- Zastanawiasz się, skąd jestem. Twarz Dantego się rozluźniła.

- Dokładnie o tym myślałem - stwierdził, przyglądając mi się badawczo. Nie byłam pewna, czy żartuje, czy

nie. - Myślę, że tam musi być zielono - dodał. - I dużo słońca.

- Skąd wiesz?

Przesunął w powietrzu palcem nad moją twarzą, nie dotykając jej.

- Piegi.

Zaczerwieniłam się.

- Jestem z Kalifornii. A ty?

- Stąd i zowąd - rzucił ogólnikowo. - Tak właściwie to znikąd.

Spojrzałam na niego podejrzliwie. Co chciał przez to powiedzieć? Choć tak właściwie nie potrafiłam wyobrazić sobie, że mógłby skądś pochodzić. Był zbyt przystojny, zbyt tajemniczy, żeby należeć do jakiegoś miejsca.

Nim zdążyłam zadać kolejne pytanie, Dante zapytał:

- To dlaczego tu jesteś? Nie wyglądasz jak typowa uczennica akademii.

- Dlaczego? - obruszyłam się. - Bo nie mam funduszu powierniczego i letniego domku?

- Dlatego że mówisz to, co myślisz.

- Och. - Odwróciłam wzrok. - A ludzie w akademii tak nie postępują?

- Nie tak jak ty w czasie przebudzenia. Albo z panią Lynch dzisiaj rano.

Westchnęłam. A więc był tam i widział.

- Nie jestem przyzwyczajona do tak wielu zasad. Moja szkoła była bardziej... luzacka.

- Rodzice cię tu przysłali? Pokręciłam głową.

- Mój dziadek.. - zawiesiłam głos.

Czułam, że Dante nadal mi się przygląda, studiuje moją twarz.

- Masz rodziców? - spytałam, zanim zdałam sobie sprawę z głupoty tego pytania. Każdy ma rodziców.

Dante się zawahał.

- Nie, nie do końca.

- Co masz na myśli?

- Nic. Po prostu... Nieważne.

Oparłam podbródek na rękach, zastanawiając się nad jego powściągliwością.

- Czy to jakaś straszna tajemnica?

- Żadna tajemnica - odparł z uśmiechem. - Po prosi u nie mam nic do powiedzenia.

Zmarszczyłam brwi.

- Albo nic, co chciałbyś powiedzieć.

Profesor Starking opowiadał o siłach, a wszyscy przerzucali strony w podręczniku. Ja też przewracałam

kartki na chybił trafił, bardziej zaintrygowana bliskością Dantego niż wektorami w książce.

Dante popatrzył na mnie, na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech.

- Wiesz co, myślę, że źle to zaczęliśmy. Spróbujmy jeszcze raz. - Wyciągnął do mnie rękę pod ławką i powiedział głębokim głosem: - Jestem Dante.

Zapatrzyłam się na linie na jego dłoniach, na żyły biegnące w górę, a potem odpowiedziałam:

- Renee. - I wsunęłam dłoń w jego rękę.

Jego skóra był zimna, poczułam w palcach mrowienie. Nasze oczy spotkały się, poczułam, że się czerwienię,

wszystko we mnie tłukło się niczym ptak w klatce. To było niesamowite, nigdy wcześniej nic podobnego mi się

nie przytrafiło. To nie było zwykłe zdenerwowanie czy drzenie, które czułam, gdy byłam z Wesem, to było coś

zupełnie innego, przerażającego, nienaturalnego. Otworzyłam usta, żeby przerwać ciszę, ale nie zdołałam

wykrztusić ani słowa.

Szybko odsunął rękę i moje palce znów stały się normalne, ciepło powracało powoli. Zamrugałam; cały

świat, z wyjątkiem Dantego, wydawał się odległy i stłumiony, zgaszony i wyciszony. Gapiłam się na niego, speszona, przestraszona i podekscytowana - na jego usta rozchylające się i chwytające powietrze, jakby próbował

zrozumieć, co się właściwie stało. Wiedziałam, że już nic nie będzie takie samo.

## Ogrodnictwo

Dante nie był chłopakiem dla mnie. Nietowarzyski. Poważny. Protekcyjny intelektualista. A w każdym razie

tak powiedziałam Annie, gdy rozmawialiśmy w czwartek, pod koniec mojego pierwszego tygodnia w akademii. Zadzwoiłam do niej po zgaszeniu świateł. Poskręcany kabel telefonu ciągnął się przez cały pokój, a

ja siedziałam pod kołdrą, szukając namiastki prywatności i szeptałam do słuchawki.

- Jest dokładnym przeciwieństwem Wesa. A przecież on jest doskonały, prawda? Możesz wobec tego wyobrazić sobie Dantego? - pytałam ją. Przez cały tydzień usiłowałam sobie wmówić, że mnie nie interesuje, że

chcę się do niego zbliżyć wyłącznie po to, żeby wypytać go o Benjamina. Ale szanse na taką rozmowę

zmniejszyły się drastycznie. Wtedy kiedy nasze ręce się zetknęły i Dante cofnął swoją, wpatrywał się w nią z zakłopotaniem pomieszanym z niedowierzaniem. Trzymał dłoń pod ławką, otwierał ją i zaciskał, aż zbieleły mu

kostki palców

Odwrócił się do mnie i zapytał niemal niesłyszalnie:

- Czy ty...

Przyglądał się mojej twarzy i głos mu zamarł. Czy czuł to samo co ja? Nie zdołałam się tego dowiedzieć,

ponieważ wstał bez słowa. Cała klasa spojrzała na niego, gdy odsuwane krzesło zaszurało po podłodze. Profesor Starking przerwał wykład.

- Muszę wyjść - wykrztusił Dante. Zebrał rzeczy i rzucił mi ostatnie spojrzenie. A potem wyszedł, trzaskając

drzwiami.

Próbowałam rozmawiać z nim na następnych zajęciach z nauk podstawowych, ale był zbyt zajęty przeglądaniem pod ławką książki od łaciny i notowaniem w notesie w skórzanej oprawie, żeby zniżyć się do rozmowy ze mną. Właściwie nawet na mnie nie patrzył, co wyprowadzało mnie z równowagi.

26

- Możesz mi podać... - zaczęłam w czasie zajęć o motylach, ale nim zdążyłam dokończyć, podał mi szkło

powiększające. Nasze ręce dotknęły się przypadkiem, Dante szybko cofnął swoją dłoń.

- Nie dotykaj mnie - rzucił, odwracając wzrok.

- Słucham? - spytałam osłupiała.

- Przepraszam - wymruczał. - Nie powinienem był tego mówić. - A potem wrócił do książki na kolanach

0 przewrócił kartkę, sunąc palcem po wersach, zanim znalazł linijkę, której szukał. - To motyl z rodziny rusałkowatych.

- Skąd... skąd wiesz, przecież nawet nie spojrzalesz...

Nie odpowiedział. Przyjrzałam się motylowi, stwierdziłam, że Dante miał rację i odwróciłam się do niego,

sfrustrowana. Trzymając szkło powiększające przy oku, zajrzałam mu przez ramię, próbując zobaczyć, co czyta.

Tekst był po łacinie.

- To na zajęcia? - zainteresowałam się, przyglądając się jego rzymskiemu profilowi. W powiększeniu wyglądał jeszcze bardziej imponująco.

Dante popatrzył na mnie zaskoczony.

- Nie - odparł i zamknął książkę. - Szare - oznajmił, przyglądając się mojemu oku przez lupę. - Zupełnie jak

niebo. Ładne.

No więc być może był niesamowicie przystojny, a jego głos głęboki i aksamitny. Być może był błyskotliwy i

potrafił podać właściwą odpowiedź, nawet jeśli spędził prawie całą lekcję, czytając zagadkowe książki po

łacinie. Ale był dokładnie taki, jak mówiła Eleanor: arogancki, powściągliwy i nieobecny. Jednak jeśli to

wszystko było prawdą, czemu nie mogłam przestać o nim myśleć?

- Ale najdziwniejsze wydarzyło się później, gdy nasze dłonie się zetknęły, przez moją rękę przebiegł prąd!

Potem Dante wstał i wyszedł. Od tamtej pory mnie ignoruje.

Annie się zaśmiała.



- Daj spokój, Renee! Zawsze przesadzasz, jeśli chodzi o chłopców.

- Nie, mówię poważnie. Nigdy nie czułam nic podobnego. Zupełnie jakby mi ręka zdrętwiała.

Usłyszałam głos Margerie. Annie zasłoniła mikrofon dłonią i zawołała:

- Zaczekaj, mamó, to Renee! - Po czym wróciła do naszej rozmowy. - Nie bardzo łapię. Chodzi o krążenie?

Jesteś pewna, że się nie zdenerwowałaś? Może oparłaś o coś łokieć i ręka zaczęła mrowić?

Zmarszczyłam brwi.

- Nie. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale tak właśnie było. Naprawdę!

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

- Nie denerwuj się - powiedziała w końcu Annie. - Wierzę ci. - Ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. -

Słuchaj, skoro ten koleś to zwykły buc, czemu masz fioła na jego punkcie?

- Ponieważ on coś wie. I wcale nie mam fioła - dodałam i zaczęłam opowiadać o Benjaminie Gallowie i o

tym, co się wydarzyło ubiegłej wiosny. Gdy wspomniałam o ataku serca, Annie milczała.

- Niezwykły zbieg okoliczności, prawda? - spytałam miękko.

Annie się zawahała.

- To zupełnie inna sprawa, Renee. Twój rodzice... oni mieli swoje lata, gdy...

- Gdy co?

- Nic, po prostu... Jestem pewna, że lekarze i policja wiedzą o tych sprawach znacznie więcej niż my.

Przecież nikt oprócz ciebie niczego nie podejrzewał, prawda?

Nie odpowiedziałam.

- Jestem pewna, że takie rzeczy zdarzają się znacznie częściej, niż nam się wydaje.

Nawinięłam kabel od telefonu na palec i mruknęłam:

- Tak, być może...

Rozmawialiśmy jeszcze kilka minut o Kalifornii i mojej starej szkole. Annie mówiła o nowych nauczycielach,

o tym, kto z kim chodzi i kto doszedł do drużyny, ale jakoś zupełnie mnie to nie interesowało. Gdy wreszcie

skończyliśmy rozmowę, zrzuciłam kołdrę i zapatrzyłam się w sufit. Słuchawka leżała na mojej piersi, w

ciemnym pokoju rozlegał się przerywany sygnał. Co się ze mną dzieje? Annie była moją najlepszą przyjaciółką,

jedyną osobą, która wiedziała o mnie wszystko. Więc dlaczego poczułam ulgę, gdy powiedziała, że musi

kończyć?

- Myślę, że to zupełnie normalne - usłyszałam głos Eleanor.

Zaskoczona, usiadłam. Eleanor siedziała na swoim łóżku w jedwabnej piżamie z różowym zakreślaczem i

Ucztą Platona. Do połowy wypalona świeczka mrugała na szafce nocnej.

-Co takiego?

-Dante.

-Słyszałaś, co mówiłam?

- Oczywiście, że tak. Przecież byłaś w tym samym pokoju, a szeptanie nie jest twoją mocną stroną. No więc,

uważam, że to, co zaszło między tobą i Dantem, jest bardzo romantyczne.

- Raczej nie, to znaczy... wiesz, myślę, że to nie to. Lubię kogoś innego. To znaczy, lubiłam przed przyjazdem

tutaj - tłumaczyłam, chociaż zdawałam sobie sprawę, że Kalifornia staje się coraz bardziej odległą. Annie

wspomniała, że Wes o mnie pytał, ale ja nie miałam od niego żadnej wiadomości od chwili przyjazdu do

akademii, nawet jednego żalostnego e-maila. - Nie mam zamiaru wiązać się z Dantem. To nie jest chłopak dla

mnie.

Eleanor uniosła doskonale wyregulowane brwi.

- To dziwne, biorąc pod uwagę, że niemal o niczym innym nie rozmawialiście.

- Nie bardziej niż to, że cały czas podsłuchiwałaś, chociaż powinnaś czytać - odcięłam się.

- Czy ja wiem, według mnie to normalne. Cóż innego mogłabym robić? Poza tym z kim pogadasz o Dantem

jak nie ze mną? Wyświadczam ci przysługę. No więc uważam, że Dante się tobą interesuje. Ta cała akcja z

rękami... To jednak o czymś świadczy.

Zaśmiałam się sarkastycznie.

- Pewnie jestem uczulona na jego wodę kolońską.

27

- Nie bądź śmieszna. Poza tym nie sędzę, żeby to było aż tak niezwykle.

Spojrzałam na nią sceptycznie.

- Mówisz serio? Zdarzyło ci się już kiedyś coś takiego?

- Oczywiście, że nie. Nigdy nawet nie słyszałam o czymś podobnym. Ale coś takiego mogłoby się wydarzyć tylko z Dantem Berlinem. Albo z Gideonem Du-Pontem. Ale wtedy musiałabyś się zmierzyć z rozwścieczoną Vivian.

- To jego przyjaciele, tak?

- Dawni przyjaciele. Gideon jest w ostatniej klasie, zawsze nosi czarny garnitur i staroświeckie okulary,

jakby właśnie wrócił z czasów Wielkiego Kryzysu.

Nagle zrozumiałam, że to musiał być ten chłopak, który siedział w klasie, w której odbywała się lekcja zaawansowanej łaciny. Vivian to pewnie ta dziewczyna obok niego.

- Vivian Aletto jest jego najlepszą przyjaciółką, chociaż wszyscy są absolutnie pewni, że łączy ich coś więcej.

Zawsze są razem, zawsze się kłócą jak rodzeństwo. Ale kiedyś widziałam, jak Gideon przesunął palcami po jej

nadgarstku, a Vivian nosi czasami jego okulary. To naprawdę dziwne.

- Przyjaźnili się z Dantem i Cassandrą Millet? Eleanor skinęła głową.

- I jeszcze z Yagonem Castilliarem. Musiałaś go widzieć, zawsze ubiera się bardzo kolorowo. Nosi bawełniane spodnie, które z trudem mieszczą się w regulaminie, półbuty bez skarpetek i wygląda, jakby pilnie

potrzebował fryzjera. Jednak nigdy nie miał z tego powodu kłopotów, pewnie dlatego, że flirtuje z panią Lynch.

Faktycznie go widziałam; zresztą łatwo było go dostrzec, choćby dlatego, że tylko on odważył się nosić różową koszulę.

- No więc byli niczym rodzina. Najstarsi i najbardziej przerażający z całej piątki to Gideon i Vivian, oni i

odgrywali rolę rodziców. Yago był kłopotliwym dzieckiem, Dante starszym bratem, chociaż tak właściwie

był od niego młodszy, a Cassandrą była słodkim maleństwem.

- Nie mają prawdziwej rodziny?

- Zdaje się, że nie. Chociaż nie, Yago ma. Jego ojciec jest jakimś hiszpańskim magnatem, więc krąży między

Hiszpanią a Nowym Jorkiem. Zdaje się, że Gideon jest również z tych okolic, może z New Hampshire. A Vivian,

kto wie? Nie zdziwiłabym się, gdyby zamordowała i zjadła całą swoją rodzinę. Cassandrą straciła krewnych w

wypadku w górach, na nartach i odziedziczyła cały majątek. Myślę, że jej prawnym opiekunem jest cioteczna

babka, ale zawsze wyjeżdżała na wakacje z rodziną Yagona, albo ze swoim chłopakiem, Benjaminem, zanim on,

no wiesz... Atak serca. - Eleanor zamknęła książkę i przesunęła palcem nad płomieniem świecy, czekając na

pytanie, które, jak obie wiedziałyśmy, musi paść.

- A Dante?

Eleanor usiadła prosto i zmrużyła oczy.

- On jest najbardziej zagadkowy. Zdaje się, że jest sierotą, w każdym razie tak mówi. Nigdy nie wyjeżdża z Attica Falls, nawet na wakacje czy święta.

Attica Falls. Stacja benzynowa, sklep i restauracja. Wyglądało na opuszczone miasto. Kot włóczęga i zardzewiała ciężarówka były jedynymi oznakami życia.

- Wynajmuje pokój w pensjonacie. Widziałam ten budynek jedynie z zewnątrz, ale wygląda przygnębiająco.

- Nic dziwnego, że byli ze sobą tak blisko - wymruczałam. - Skoro nie mają nikogo prócz siebie.

- Prawda? Potrafisz sobie wyobrazić, że nie masz rodziny?

- Tak - szepnęłam. - Potrafię.

Eleanor umilkła, a ja poczułam się nieswojo, jak zawsze na myśl o śmierci rodziców.

- Ale czekaj, skąd o tym wszystkim wiesz? Znowu twój brat?

Eleanor pokręciła głową.

- Nie pamiętasz? Cassie była moją współlokatorką.

W piątek rano wstałyśmy wcześniej niż zazwyczaj, na pierwsze zajęcia z ogrodnictwa. Wszystkie lekcje

zaczynały się o ósmej, a ta z nieznanego mi powodu o szóstej. Widocznie ma to coś wspólnego ze słońcem i

roślinami, pomyślałam. Eleanor miała zajęcia razem ze mną czekając, aż się wyszykuje, zerknęłam na mój plan

lekcji.

„Ogrodnictwo. P 6.00, Kaplica”.

- Hej, czyżby ogrodnictwo miało być w kaplicy?

- Tak myślę - odparła Eleanor, jednocześnie wkładając wełnianą spódnicę i próbując spiąć włosy. - Co za

ironia, biorąc pod uwagę, jakim bezeceństwem jest zmuszanie nas do wstawania bladym świtem. - Zerknęła w

lustro po raz ostatni i wzięła torbę. - Dobrze, chodźmy.

To był pogodny jesienny dzień. Szłyśmy brukowaną ścieżką pomiędzy wznoszącymi się nad nami dębami.

Kaplica znajdowała się w najbardziej wysuniętej na zachód części kampusu i wyglądała niesamowicie z gotycką

wieżyczką prosto ze średniowiecza. Łuki sprawiały wrażenie przechylonych, jakby były zmęczone stuleciami

stania prosto. Na fasadzie widniały posągi świętych, otaczali wejście niewidzącymi twarzami. Po kamiennych

figurach spływała woda, między dwoma apostołami wciśnięte było ptasie gniazdo.

- Nie używano jej od wieków - wyjaśniła Eleanor. - Zdaje się, że jakieś sto lat temu jeszcze jej używali, ale potem

kaplica stała opuszczona. Chyba wybuchł pożar, prowadzono tu nawet jakieś prace renowacyjne, ale nigdy nie

widziałam żadnych robotników.

Dotarliśmy do wysokich nitowanych drzwi i chciałyśmy je otworzyć, ale okazały się zamknięte. Eleanor i ja

popatrzyłyśmy na siebie zdziwione. Pociągnęłam kilka razy za klamkę, nawet uderzyłam w nie ze złości, ale

bez efektu.

- Może odwołali zajęcia? - zasugerowała Eleanor z nadzieją. - Wracajmy do pokoju.

Już miałam się z nią zgodzić, gdy usłyszałyśmy głosy dobiegające z za budynku. Cała klasa stała na czymś, co

wyglądało jak zarośnięty cmentarz. Były tam bliźniaczki mieszkające na naszym piętrze, kilka osób, których

nigdy nie wiedziałam, a także przystojny chłopak, bardzo podobny do Wesa. Podeszłyśmy do nich.

28

Profesor Betty Mumm była szczupłą, delikatną kobietą. Miała ogorzałą, pokrytą zmarszczkami twarz po

wielu dniach spędzonych na powietrzu i krótkie brązowe włosy, obcięte po chłopięcemu. Włożyła wysokie kalosze, rękawiczki ogrodowe i kapelusz.

- Witam na zajęciach z ogrodnictwa - powiedziała, wyciągając torbę z cebulkami kwiatów z leżącego na ziemi

jutowego worka. - Dzisiaj zajmiemy się glebami - dodała i zaczęła rozdawać cebulki, łopatkę, pudełko zapalek i

rękawiczki. Była zadziwiająco żwawa, choć wyglądała na starszą od mojego dziadka. - Pierwszą rzeczą, jakiej

musicie się dowiedzieć o ogrodnictwie, jest to, że każda roślina wymaga odpowiedniej ziemi. Jeśli nie będziecie

przestrzegać tego warunku, nie spodziewajcie się wyników. Istnieją dziesiątki rodzajów gleb, a każda z nich ma

własną charakterystykę. Na szczęście dla nas, niemal wszystkie można znaleźć w tym ogrodzie, przez ostatnie

dwa stulecia ten teren został gruntownie przekopany.

Gdy profesor Mumm przeszła do omawiania pięciu najbardziej powszechnych gleb, rozejrzałam się po

cmentarzu. Mokra od rosy trawa była upstrzona dzikimi kwiatami, które sięgały mi do połowy łydki, między

chwastami widać było kawałki płyt nagrobkowych. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam ogrodnictwo w swoim

planie zajęć, właściwie nie wiedziałam, co mam o tym sądzić. Spodziewałam się raczej zwykłej biologii niż wykopków na porzuconym cmentarzu.

- Czy to nie makabryczne? - zapytałam Eleanor, patrząc na nauczycielkę, która pokazywała, jak prawidłowo

trzymać łopatkę.

- Czemu tak mówisz? - odezwał się głęboki głos. Obejrzałam się zaskoczona. Eleanor podeszła bliżej

kaplicy i właśnie szeptała coś do jednej z bliźniaczek; na jej miejscu stał teraz przystojny sobowtór Wesa.

- Jestem Brett - powiedział z uśmiechem.

- Renee - odparłam, czując nagle onieśmienie. Brett był wysoki i dobrze zbudowany, jakby właśnie

zszedł z boiska do rugby. Jego rysy wydawały się zbyt wyraziste. Wyglądał atletycznie i męsko niczym postać z

bajki.

- Z kim rozmawiałaś, zanim ci tak brutalnie przerwałem?

- Z moją przyjaciółką, Annie. To znaczy, Eleanor. Z moją współlokatorką Eleanor.

- To w końcu z Annie czy z Eleanor?

- Eleanor. Eleanor Bell. - Wskazałam stojącą nieopodal koleżankę. - Przepraszam, Annie to moja przyjaciółka

z Kalifornii, stamtąd pochodzę. Niedawno się tu przeniosłam i jeszcze nie oderwałam się od tamtego życia.

- Dziewczyna z Kalifornii! Myślałem, że wszystkie jesteście blondynkami - powiedział, ujmując w palce

pasmo moich brązowych włosów.

Poczułam, że się czerwienię, i odgarnęłam włosy za uszy. Brett wyglądał mi na chłopaka, który uważa, że

może mieć każdą dziewczynę. Może nawet gra we fris-bee z odsłoniętą klatką i podwiniętymi spodniami. I nigdy, ale to nigdy, nie zwraca uwagi na takie laski jak ja. Tak jak Wes. A jednak stał obok, najwyraźniej ze mną

flirtując.

- A ja sądziłam, że wszyscy mieszkańcy Maine to brodaci farmerzy.

Brett się zaśmiał.

- To musiało być gorzkie rozczarowanie!

- Straszliwe - odparłam, poczym oboje zaczęliśmy słuchać profesor Mumm, która kazała nam iść za sobą do

ogrodu.

- Każdy z was ma inną cebulkę. Chciałabym, żebyście odnaleźli dla niej odpowiednią glebę i włożyli garść



ziemi do woreczka - oznajmiła, pokazując sakiewki z materiału.

Jedna z bliźniaczek podniosła rękę.

- Ale skoro nie wiemy, jaką konkretnie mamy cebulkę, to skąd możemy wiedzieć, jaką glebę wybrać?

Profesor Mumm uśmiechnęła się zagadkowo.

- Kierujcie się intuicją. To pierwsza zasada ogrodnictwa. Intuicja. Idźcie za jej głosem. - Stuknęła obcasami. -I

pamiętajcie, o czym mówiliśmy! POROSTU: powąchaj, rozetrzyj, ogrzej, spróbuj, trzymaj. A teraz do dzieła!

Włóżcie rękawice i chwycie za łopatkę!

Wszyscy rozeszli się po cmentarz. Nagle poczułam, że ktoś zniecka dotyka mojego łokcia. Podskoczyłam.

- Hej! - powiedziała Eleanor, za nią stały bliźniaczki.

- Cmentarz nie jest dobrym miejscem do zaskakiwania ludzi!

Eleanor się roześmiała.

- Przecież to biały dzień! Poza tym nie tylko ja cię zaczepiam. - Zerknęła na Bretta.

- On to robi ze wszystkimi dziewczynami - rzuciła jedna z bliźniaczek, April; jej siostra Allison skinęła głową.

- To jeszcze nie znaczy, że nie możemy popatrzeć - odparła Eleanor.

Wszystkie przyglądałyśmy się, jak podnosi swoją łopatkę. Wyprostował się, odwrócił do nas i uśmiechnął.

Zakłopotana, spuściłam wzrok, a Eleanor przeciwnie, pomachała do niego ręką.

- Myślę, że będę szukać gleby w pobliżu Bretta. Jego dołeczki w policzkach nigdy mi się nie znudzą.

Zaśmiałam się, Eleanor niepostrzeżenie podążyła za chłopakiem. Z trawy wystawały dziesiątki nagrobków

tak zniszczonych, że napisy były nieczytelne. Pomyślałam, że moi rodzice, dokładnie tak samo jak ci ludzie

tutaj, zostali zredukowani do epitafiów, nagrobków i trumien. Odrzuciłam od siebie tę myśl, wzięłam

moją

cebulkę i podrzuciłam na dłoni. Była brązowa, węzłasta niczym korzeń imbiru. Powąchałam, ale poczułam

tylko ziemię. Intuicja, pomyślałam i ruszyłam.

Nie miałam pojęcia, dokąd idę, po prostu szłam przed siebie, co jakiś czas zmieniając kierunek, posłuszna

nieznanej sile. Co chwila schylałam się, żeby sprawdzić ziemię. Porost, powtórzyłam w myślach. Powąchać:

czułam mieszaninę aromatu jabłek, trawy i orzechów. Rozetrzeć ziemię w palcach, porównując jej kolor i

fakturę z barwą mojej cebulki. Ogrzać, chociaż żadna ziemia nie była wystarczająco oleista, by się zapalić, gdy

przykładałam do niej zapalkę. Spróbować: podnosiłam ją do ust. Trzymać: ważyłam ją na dłoni. Żadna nie

wydawała mi się odpowiednia. Każda była albo za sucha, albo zbyt tłusta, pachniała jak pastrami albo miała

zbyt gorzki smak.

Oddaliłam się od reszty klasy, zbliżyłam do drzew. Pochyliłam się i podniosłam garść ziemi, która była tak

mokra, że niemal oleista. Powąchałam ją. Nic. Co mówiła nauczycielka, gdy gawędziłam z Brettem? Jeśli gleba

jest ziarnista i pachnie jak wędzone mięso, jest dobra dla leśnych roślin. Jeśli jest sucha i smakuje jak sól, to znaczy, że ma dużo minerałów i jest odpowiednia dla roślin jednorocznych. A może wieloletnich? Nie pamiętałam.

29

Odruchowo roztarłam ziemię w palcach i podniosłam do ust. Początkowo smakowała po prostu jak piasek,

potem pojawił się delikatny posmak melasy. Przyjrzałam się mojej cebulce, która była włóknista i sucha, i miała

ten sam brązoworudy odcień. Pomyślałam, że powinna pasować. Pochyliłam się i włożyłam garść do woreczka.

Chyba nikt oprócz mnie jeszcze nie skończył. Niektórzy kręcili się wśród chwastów, inni przyklękali, wachając ziemię i brudząc się. Profesor Mumm krążyła wokół, sprawdzając, jak im idzie i udzielając rad dotyczących kopania. Nie wróciłam do reszty, szłam dalej, coraz bardziej zbliżając się do lasu. Nie wiem, czemu to

zrobiłam, czułam się tak, jakbym miała coś ważnego do zrobienia właśnie tam i zapomniała o tym.

Szłam przez trawę, wybujałą, sięgającą mi do kolan. 1'N/czoła latała leniwie nad kwiatkami, z tyłu usłyszałam głos Eleanor:

- Renee! Dokąd idziesz? Wiesz już, jaką masz cebulkę?

Obejrzałam się przez ramię, zobaczyłam, że biegnie

w moją stronę.

- Nie - odpowiedziałam. - Rozglądam się. Poranne słońce grzało mnie w kark. Weszłam w cień

drzew i się zatrzymałam. W trawie coś było, coś brązowego, wyglądało jak gałąź. Otarłam spocone czoło; słysząc, że Eleanor podchodzi, schyliłam się, odsunęłam zielsko łopatką i znalazłam to, co ciągnęło mnie do siebie.

Stojąca za mną Eleanor wrzasnęła.

To był jelonek, martwy, zwinięty na trawie. Nogi miał nienaturalnie wygięte, nad głową krążyły muchy,

brązowa sierść pokryta była plamkami.

Kilka chwil później była już przy nas cała klasa, wszyscy gapili się to na mnie, to na jelonka. Profesor Mumm

przecisnęła się, zdjęła kapelusz i popatrzyła na martwe zwierzę, a potem na mnie.

- Właśnie... właśnie go znalazłam. - wyjaśniłam. - Szukałam ziemi... - dodałam, choć to nie była prawda.

Twarz profesor Mumm złagodniała, objęła mnie ręką.

- Chodź, kochanie - uspokoiła mnie. - Nie ma sensu tu stać. Nic już nie możemy zrobić.

Zaprowadziła nas z powrotem do kaplicy, gdzie pozbierała nasze cebulki i woreczki z glebą. Przeglądając je,

komentowała - żadna gleba nie pasowała do cebulki.

Gdy przyszła moja kolej, profesor Mumm wzięła mój woreczek i wysypała jego zawartość.

- Niezwykle połączenie - powiedziała jakby do siebie. - Krokusy lubią suchą, zimną i słoną glebę.  
To

mogłoby się sprawdzić... Tak... Ciekawe, bardzo ciekawe. Mieszanka czerwonej gliny i oleju... To naprawdę

mogłoby się sprawdzić. .

Profesor Mumm popatrzyła na mnie z zaciekawieniem i oznajmiła:

- Lekcja skończona.

Wszyscy się rozeszli, Eleanor szła obok mnie.

- Jak to się stało? - spytała.

- Po prostu szłam przed siebie i wpadłam na niego - wyjaśniłam, czując, że nawet tutaj przyciąganie do

martwego zwierzęcia nie jest normalne.

- Dziwne. Wyglądało na to, że dokładnie wiedziałaś, dokąd idziesz.

- Nie wiedziałam - odparłam szybko.

- A jak udało ci się znaleźć właściwą glebę? To było sprytne.

- Brałam po trochu do ręki, wahałam i próbowałam. Ta wyglądała tak, jakby stanowiła jedność z moją

cebulką. Miała tę samą barwę, poza tym cebulka była sucha, a ziemia tłusta. - Wzruszyłam ramionami. Uznałam, że powinna pasować.

- Głos intuicji! - zawołała Eleanor, przedrzeźniając profesor Mumm. - Przeczucie!

Roześmiałam się.

- Przesadza trochę, no nie?

- Wiesz, uczy ogrodnictwa, potrzebuje odrobiny ekscytacji w życiu.

Dołączył do nas Brett.

- Masz wrodzone zdolności! - zawołał.

- O, Brett. - Eleanor uśmiechnęła się i starła kciukiem ziemię z jego twarzy. - Teraz wyglądasz jak prawdziwy farmer - stwierdziła.

- To źle? - zaśmiał się.

Bardzo miłutki farmer - dodała kokieteryjnie Eleanor.

Brett się uśmiechnął, a ja przewróciłam oczami. Jego podobieństwo do Wesa było nie tylko zewnętrzne. Miał

podobny sposób chodzenia, mówił tym samym tonem, miał nawet identyczne zęby. Właściwie powinien mi się

jeszcze bardziej podobać, ale o dziwo, to wszystko sprawiało, że stawał się zwyczajny i nieciekawym.

- Co teraz macie, dziewczyny?

- Filozofię - odparłam, choć ogrodnictwo skończyło się wcześniej, tak że miałyśmy teraz trochę wolnego

czasu.

- Nic - powiedziała szybko Eleanor.

- Nic? - spytał Brett. - To może zrobimy z tego coś? Może śniadanie?

Parsknęłam śmiechem, ale pod wpływem spojrzenia Eleanor udałam, że kaszlę. Ile dziewczyn poderwał w

taki właśnie sposób?

- Byłoby super - rzuciła Eleanor. - Właśnie przed chwilą Renee mówiła, jakie jesteśmy głodne. - Szturchnęła

mnie w bok.

- Hm, taa. Umieramy z głodu.

W Megaronie Brett opowiadał o swoich lekcjach, o rodzinie i przyjaciółach, których zostawił w domu.

Właściwie zapomniałam już, że to Brett, i rozmawiałam z nim tak jak z Wesem. Nawet się nie zdziwiłam, gdy

okazało się, że ich życie wyglądało niemal identycznie. Był najstarszy z trójki rodzeństwa, przed przyjazdem do

akademii grał w rugby i piłkę nożną i był bardzo rozczarowany, gdy odkrył, że tu nie będzie tego robił. Teraz

był kapitanem drużyny lekkoatletycznej. Miał labradora, z którym latem grał we freesbee, lubił kolor niebieski,

słuchał wszystkich rodzajów muzyki z wyjątkiem country. Jego ulubionym autorem był Hemingway (typowe),

a w każdym razie tak mówił, choć wątpiłam, żeby czytał coś poza lekturami. Zjedliśmy śniadanie i się]

pożegnaliśmy. Ruszyliśmy w stronę Kolegium Horacego. Oczy Eleanor płonęły zachwytem.

30

- Jest taki śliczny - mówiła, gdy wchodziłyśmy po schodach na drugie piętro. - Taki męski. Taki amerykański, taki. . opalony.

- I wygadany. - Otworzyłam drzwi do klasy.

Pomieszczenie miało wysoki sufit i dwa okna wychodzące na skwer. Kilka osób już tam siedziało, rozmawiając albo przeglądając notatki. Usiadłyśmy z przodu i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie sprawdzić,

czy jest Dante. Nie było go.

Nathaniel wbiegł do środka, uginając się pod ciężarem plecaka, który upodobił go do zółwia. Chłopak

usiadł ciężko w ławce obok mnie i wtedy zadzwonił dzwonek.

- Cześć, Renee - sapnął, krzywiąc się. Był spocony. Odgarnął włosy z twarzy i poprawił okulary. - Napisałaś wypracowanie? Pracowałem nad swoim niemal całą noc. Przepisywałem je cztery razy, zanim uznałem, że

jest dobre.

Poczułam dreszcz.

- Wypracowanie? - Spojrzałam na Eleanor w nadziei, że dla niej to również będzie nowina, ale ona wyjęła

swoje z zeszytu.

- Tak, o mitach, w które chcielibyśmy wierzyć. Nie masz?

- Nie, przecież nie było mnie na tamtej lekcji, Lynch kazała mi się przebrać, pamiętasz?

- Och, faktycznie. - Eleanor popatrzyła na mnie z miną winowajcy - Przepraszam, sądziłam, że wiesz.

Wyglądałaś na taką zajęętą, myślałam, że właśnie nad nim pracujesz.

Westchnęłam, zastanawiając się, co teraz zrobić.

- Nie, to moja wina - westchnęłam. - Powinnam była spytać, co zadane. Gdybym tylko nie była tak za-|ęła

rozmyślaniami o Dantem, rodzicach i Benjaminie (iallowie, na pewno bym to zrobiła).

- Mam kilka wersji mojego - oznajmił Nathaniel. -Może nie są wybitne, ale można je wykorzystać. -  
Podał mi

kilka pogniecionych kartek papieru.

To było bardzo miłe z jego strony, ale nie lubiłam zrzucać. Wprawdzie Nathaniel był uznanym  
geniuszem

matematycznym, ale nie byłam przekonana co do jego umiejętności pisarskich.

- Nie, dzięki. Po prostu powiem nauczycielowi, co

się stało.

Ale Nathaniel się uparł.

- Naprawdę, weź - mówił z zapalem, wciskając mi wypracowania. W końcu wzięłam je i zaczęłam  
czytać.

Bazgrolił jak kura pazurem i wszędzie były ślady gumki. Na pierwszej stronie widniał tytuł:  
Chciałbym

uwierzyć w siebie. Spojrzałam na następne wypracowania: Chciałbym wierzyć, że kalkulatory  
zastąpią umysł

człowieka. Ostatnie nosiło tytuł: Chciałbym wierzyć w liczby urojone. To wydawało się najbardziej  
obietujące,

choć przypominało raczej dowód matematyczny niż wypracowanie i chyba nie bardzo pasowało do  
tematu.

Zagryzłam usta.

- Są naprawdę... dobre. - Oddałam mu kartki. -Ale źle bym się czuła, spisując od ciebie. Po prostu  
porozmawiam z nauczycielem po lekcji, może zrozumie.

Nathaniel wzruszył ramionami i włożył wypracowania do zeszytu.

- To nie facet, to babka.

Jakby na potwierdzenie jego słów drzwi otworzyły się i weszła kobieta ze stertą papierów. Położyła je na

biurku i wyszła na środek klasy z książką w ręku. Patrzyłam na nią wstrząśnięta. To była ta sama kobieta, która

uratowała mnie przed wizytą w gabinecie dyrektorki.

Annette LaBarge nie była piękną; właściwie była całkiem przeciętna. Nosła funkcjonalne i proste

ubrania, głównie w kolorach ziemi; dzisiaj miała na sobie lnianą spódnicę, która eksponowała jej smukłe łydki i

korkowe buty. W tej pozycji przypominała jedną z modelek z katalogu stojącą na kamienistej plaży i trzymającą

w ręce jakąś gałąź lub kawałek drewna wyrzuconego przez morze.

- Bajki. - Jej głos brzmiał jak dzwoneczki wietrzne. - A gdyby tak przyjąć, że są prawdziwe? - Rozejrzała się po

salu z oczami rozszerzonymi podnieceniem. Była niewysoka, delikatna i krucha, a jednak wydawało się, że

wypełnia całą salę swoją osobą. - Może kiedyś naprawdę istniały wiedźmy i czarownice, zwierzęta potrafiące

mówić i straszliwe potwory? Bajki są podstawą naszej cywilizacji, opiera się na nich niemal cała zachodnia

filozofia. Książki, które będziemy czytali w tym roku, traktujcie nie jak opowieści filozoficzne, ale jak

rzeczywistość. - Otworzyła książkę i przewróciła pierwszą stronę. - A więc udajmy się do kraju za górami, za

lasami, gdzie żyli długo i szczęśliwie, i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Dawno, dawno temu...

Słuchając jej delikatnego głosu, wydawało mi się, że śnię na jawie, że jestem w miejscu, gdzie ludzie są

dobrzy albo źli, gdzie miłość trwa wiecznie, problemy rozwiązują się dlatego, że mocno w to wierzę, a wróżki i



fauny pomagają odnaleźć drogę.

Po lekcji poczekałam, aż wszyscy wyjdą, a potem podeszłam do biurka panny LaBarge; właśnie układała

wypracowania. Odchrząknęłam, spojrzała na mnie.

- O, cześć, Renee.

Zdumiało mnie, że zapamiętała moje imię i poczułam się jeszcze gorzej z powodu nienapisanego wypracowania.

- Pani profesor, ja...

- Nie było cię na lekcji tydzień temu i nie wiedziałaś, co było zadane? Wiem.

Popatrzyłam na nią wstrząśnięta, potem utkwiałam wzrok w swoich stopach.

- Przepraszam.

- Po prostu napisz na następną lekcję - powiedziała delikatnie. - Napisz, w co nie wierzysz, ale chciałybyś

wierzyć. A na przyszłość po prostu zapytaj.

Skinęłam głową, przyciskając książki do piersi. Pomyślałam o moich rodzicach. I o Benjaminie Gallowie. O

omentarzu za kaplicą. W co chciałabym wierzyć? W życie po śmierci.

Gdy przyszedłam na zajęcia z nauk podstawowych pod koniec dnia, Dante czekał na mnie w ławce, tym razem

bez łacińskiej książki czy notesu.

- Cześć. - Odsunął mi krzesło.

Zaskoczona usiadłam obok niego, usiłując nie gapić się na jego perfekcyjne ramiona.

31

- Cześć - rzuciłam nonszalancko.

- Jak tam? - zapytał; czułam, że mi się przygląda.

- Dobrze - odparłam ostrożnie, profesor Starking właśnie rozdzielał zadania laboratoryjne.

Dante zmarszczył brwi.

- Nie jesteś dziś zbyt rozmowna.

Włożyłam termometr do zamulonej wody w akwarium, które miało udawać zamknięty ekosystem.

- Czyżbyś chciał pogadać? A co, nie odrabiasz już łaciny?

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- To były poszukiwania.

- Czego?

- Czegoś, co już nie ma znaczenia. Rzuciłam mu podejrzliwe spojrzenie.

- Dlaczego?

- Ponieważ zrozumiałem, że skupiałem się na niewłaściwej rzeczy.

- Co to za rzecz? - zapytałam, zerkając do tyłu na tablicę i wygładzając spódnicę.

-Ty.

- Nie jestem okazem laboratoryjnym - odparłam szybko.

- Chciałem cię tylko poznać.

Odwróciłam się do niego, pragnąc zadać mu milion pytań, ale ograniczyłam się do jednego.

- Ale ja nie mogę się o tobie niczego dowiedzieć? Dante odchylił się na oparcie krzesła.

- Mój ulubiony autor to oczywiście Dante - powiedział kpiąco - choć bardzo lubię Rosjan. Kocham muzykę,

różną, ale najbardziej Musorgskiego i Wagnera, a także partie na wiolonczelę. Trochę mroczne, prawda?

Kiedyś lubiłem operę, ale wyrosłem z tego. Co jeszcze? Jestem mało odporny na upały, nie lubię słodczy, ale

kiedyś uwielbiałem wiśnie. Mój ulubiony kolor to czerwony. Często przechadzam się po lesie, żeby się odprężyć, w efekcie świetnie znam florę i faunę Ameryki Północnej. Poza tym - jego oczy spoczęły na mnie, gdy

próbowałam skupić się na naszym zadaniu - pamiętam wszystko, co kiedykolwiek mi powiedziano. To taki

swoisty talent.

Zalana niespodziewanym potokiem informacji, wpatrywałam się w niego, niepewna, co odpowiedzieć.

Dante zmarszczył brwi.

- Czyżbym coś opuścił?

Pomyślałam o Benjaminie i moich rodzicach. To był idealny moment.

- A co z przyjaciółmi? - spytałam miękko.

- Myślałem, że już to omówiliśmy, że nie mam żadnych.

- Myślę, że coś ukrywasz.

Dante popatrzył na mnie zamyślonym wzrokiem.

- Powiedzmy, że kiedyś miałem przyjaciół.

- I co się stało?

- Okazało się, że są inni, niż sądziłem.

- To znaczy?

- Że robią rzeczy, o które nigdy bym ich nie podejrzewał.

Co to niby miało znaczyć?

- Na przykład co?

- Na przykład, wszystko. O to właśnie chodzi.

- Czy to ma coś wspólnego z Benjaminem Gallowem? - wypaliłam.

Dante popatrzył na mnie niemal groźnie.

- Z Benjaminem? - syknął tak cicho, że ledwie go usłyszałam. - Co o nim wiesz?

- Nic - odparłam spokojnie. - Tylko tyle, że chodził z twoją przyjaciółką, że zmarł i że ty go znalazłaś.

- To dlatego chcesz ze mną rozmawiać! Żeby plotkować o jego śmierci!

- Nie! Nie miałam zamiaru, ja... ja tylko nie wierzę, że zmarł na atak serca.

Dante już miał odpowiedzieć, ale powstrzymał się, gdy dotarło do niego to, co mówię.

- A na co zmarł?

- Nie wiem, myślałam, że ty wiesz.

- Czemu aż tak cię to interesuje? Chcesz mieć nowy temat do plotek?

Poczułam się tak, jakby mnie spoliczkował.

- Moi rodzice umarli trzy tygodnie temu. Znalazłam ich. Oboje zmarli na atak serca, w tym samym czasie, w

tym samym miejscu w lesie. Tak jak Benjamin.

Odwróciłam się od niego i patrzyłam na tablicę, ale czułam na sobie jego wzrok.

Milczał dłuższą chwilę, w końcu powiedział:

- Nie potrafię ci pomóc.

- Czy to znaczy, że mam rację? Dante zniżył głos.

- Może i tak - stwierdził. - Może to nie był atak serca. Może to serce go zaatakowało.

W sobotę opowiedziałam Eleanor o moich podejrzeniach na temat śmierci Benjamin i moich rodziców.

Uznała, że sfiksowałam.

- Masz kręćka - rzuciła, patrząc w lustro i układając włosy. Zaczynał się weekend i pomagała wydziałowi

humanistycznemu przesłuchać kandydatów do przedstawienia szkolnego.

Milczałam.

- To nie to samo? - dorzuciła. - Dostał ataku serca i zaatakowało go serce?

- Kto go tam wie, może po prostu ze mnie kpił?

- I co mu powiedziałaś?

- Nic. Zadzwoił dzwonek i on wyszedł.

- Może to on fiksuje - zawyrokowała Eleanor i w końcu spięła włosy z tyłu. - Widzisz, mówiłam, że pasujecie do siebie.

Wywróciłam oczami.

- Raczej znęca się nade mną, zamiast odpowiedzieć na moje pytania.

- Po prostu za bardzo się tym wszystkim przejmujesz. - Wzięła torbę. - No dobra, muszę iść.

Upредиła, że będzie zajęta cały dzień, więc ustaliłyśmy, że spotkamy się na obiedzie w stołówce.

- Radziłabym ci, żebyś wzięła udział w przesłuchaniu - dodała jeszcze - ale tylko chłopcy mogą grać w

sztukach.

- Dlaczego?

Eleanor wzruszyła ramionami.

- No, wiesz, jak za czasów Szekspira.

- Czy to czasem nie jest niezgodne z prawem? Sek-sizm? - Nawet jeśli nie było, nie podobało mi się.

Eleanor znowu wzruszyła ramionami.

- To szkoła prywatna, mogą robić, co im się podoba.

Kiedy indziej wściekłabym się na tak idiotyczne zasady, chociaż w porównaniu z innymi zasadami akademii

ta nie wyglądała jeszcze aż tak źle. Poczułam ulgę, w końcu miałam trochę czasu tylko dla siebie. A w każdym

razie tak mi się wydawało. Miałam tak dużo zadane, że spędziłam w pokoju niemal cały dzień, wertując książki.

Wyszłam dopiero na obiad. Eleanor się nie zjawiała. Czekałam przed Megaronem, rysując kółka czubkiem buta i

patrzac, jak przychodzą niemal wszyscy oprócz niej. Zrezygnowana, weszłam do środka sama. Zobaczyłam

Nathaniela, który siedział w kącie w towarzystwie notatek i szklanki mleka. Był jeszcze bardziej przejęty pracą

domową niż ja, zjedliśmy coś szybko i wróciliśmy do swoich pokojów.

Eleanor nadal nie było. Zastanawiałam się, co się stało. Może ciągle tkwiła ze swoją reżyserską ekipą?

Usiadłam przy biurku, nie bardzo wiedząc, co mogłabym zrobić. Spróbowałam napisać wypracowanie z filozofii, ale gdy patrzyłam na słowa na kartce, litery rozmazywały się, przybierając postać moich rodziców. Gdy

w końcu udało mi się uwolnić od ich widoku, zaczęłam myśleć o Annie, Dantem, Wesie i Bretcie. Zerknęłam na

zegar na ścianie, minęła kolejna godzina, a ja nadal byłam w lesie. Powinnam się zrelaksować, jednak Eleanor

nie było i nie miałam z kim pogadać. Mogłabym pójść do pokoju obok i zobaczyć, czy są tam dziewczyny, ale

jedyne, co nas łączyło, to Eleanor. Znowu spojrzałam na zegarek. Skoro u nas była ósma, w Kalifornii powinna

być piąta. Podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do Annie, ale nikt nie odebrał. Odłożyłam słuchawkę na

widelki, zaczęłam kręcić się po pokoju. Wszędzie leżały porozrzucane ubrania. Pozbierałam je, pochowałam do

szafy, a potem w zapale porządków zajrzałam pod łóżko, żeby wyjąć sweter z walizki. Wszędzie były kłębki

kurzu, pajęczyny zwisały z ramy łóżka. Sięgnęłam do walizki; dotknęłam czegoś miękkiego. Wyciągnęłam to i

zobaczyłam, że to kłęb martwych, pokrytych kurzem ciem. Krzyknęłam i potrząsnęłam ręką, strzepując je na

dywan. Nie, stanowczo powinnam stąd wyjść. Bez zastanowienia wrzuciłam książki do torby i wybiegłam na

korytarz.

Hol powitał mnie cierpkim aromatem kobiecości. Cytrusowo-kwiatowy zapach wypływał spod drzwi pokojów, z pryszniców buchały gorące kłęby pary, delikatny aromat goździków unosił się od strony skrzydła

dziewczyn z ostatniej klasy. Korytarz był zupełnie pusły, ale zewsząd dobiegały stłumione rozmowy, zupełnie

jakby każdy pokój był odrębnym wszechświatem.

Została mi godzina do dwudziestej pierwszej, zbiegłam ze schodów prosto w rześkie powietrze nocy. Dotarłam do rozwidlenia ścieżki i się zatrzymałam. Nie wiedziałam, dokąd idę i co chcę zrobić...

Decyzja pojawiła się

nagle, skręciłam w prawo i poszłam w stronę biblioteki.

Biblioteka Coplestona była masywną budowlą w stylu greckim z doryckimi kolumnami na przedzie, trójkątna fasada przedstawiała antyczną scenę wojenną, nad którą widniała łacińska sentencja: Homo nihil quāam quid

sciet est.

Potężne metalowe drzwi skrzypnęły, gdy je otworzyłam, uderzył we mnie ciepły powiew powietrza przesyconego kurzem. Przygarbiona bibliotekarka, z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami i śladem wąsika pod nosem wyglądała jak kret. Zatrzymała mnie przy wejściu i oznajmiła:

- Bibliotekę zamykamy o dziewiątej. - Podskoczyłam na dźwięk jej głosu, zbyt głośnego jak na bibliotekę. -

Żadnego jedzenia czy picia. Żadnego palenia, grania w gry, gadania oraz gwizdania.

Według mnie to i tak było oczywiste, ale skinęłam głową.

- Dobrze.

- Cii.

Przewróciłam oczami i ruszyłam, usiłując zachowywać się najciszej jak mogłam.

To było wysokie pomieszczenie, ściany pokrywały książki. Nigdy wcześniej nie wiedziałam aż tylu w jednym pomieszczeniu. Szłam w głąb biblioteki, mijając stoliki i katalogi, zapadał zmierzch, a od ścian płynął zapach starej skóry i papieru. Czułam się jak w muzeum.

Posuwałam się głównym korytarzem, próbując znaleźć miejsce do siedzenia. Zapaliły się lampy oliwne,

dając migoczące żółte światło.

W bibliotece było sporo ludzi, przy każdym stoliku siedziała przynajmniej jedna osoba. Podłogi pokrywał

czerwony dywan. Słysząc było jedynie szelest przewracanych kartek. Szłam dalej, jakby ciągnęła mnie nieznana

siła: po schodach w górę, potem przejściem, potem przez podwójne drzwi prowadzące do zachodniego

skrzydła. Nie miałam pojęcia ani dokąd idę, ani w jakim dziale właśnie jestem, ale chyba nie przychodziło tu

zbyt wielu uczniów, większość stolików była pusta. Minęłam gigantyczne regały z książkami i znalazłam stolik

z widokiem na kampus. Już miałam usiąść, gdy usłyszałam szepty po drugiej stronie regału. Przyciskając

notatki do piersi, podeszłam na palcach do półek i zajrzałam przez szczelinę między książkami.

- Straż Uczniowska erat - głos Gideona DuPonta był chłodny i głęboki. Chłopak w czarnym garniturze i

szylkretowych okularach, z kasztanowymi włosami zaczesanymi na lewą stronę siedział odchyłony na oparciu

krzesła z nogą założoną na nogę. Obok niego byli Vivian i Yago. Na stoliku wznosiły się stosy książek.

Próbowałam przeczytać tytuły, ale mi się nie udało. Podeszłam bliżej, przykucnęłam, żeby się przyjrzeć i

dostrzegłam martwą mysz na podłodze. Stłumiłam okrzyk, ale Gideon, Vivian i Yago i tak odwrócili się w moją

stronę. Zasłoniłam usta dłonią, żeby stłumić oddech. Bałam się, że zaraz tu zajrzą i zobaczą mnie, skuloną za

regałem, z martwą myszą u boku, ale na szczęście kontynuowali rozmowę, tylko ciszej. Pewnie uznali, że skoro

mówią po łacinie, to i tak nikt ich nie zrozumie. Nie pomylili się - nie miałam bladego pojęcia, o czym

rozmawiają, ale sądząc po ich reakcji, musiało to być coś tajnego.

- Quis id fecit? - spytała Vivian mocnym, władczym głosem. Miała na sobie dopasowany garnitur z marszczoną białą muchą zawiązaną pod kołnierzykiem.

33

- Non scio - odparł Gideon.

- Puto dyrektorka von Laark esse - odezwał się Yago. Miał na sobie błękitną koszulę i białą lnianą marynarkę z luźno zawiązanym krawatem pod szyją.

- Erant dlil - powiedziała złowieszczo Vivian. - Nonne quis Ula puella ad ferret meministi?

- Brandon erat. Brandon Bell - oznajmił Gideon. Vivian chciała coś dodać, ale Gideon mówił dalej:



-At-gue

modus ad eum castigandum per Eleanor sororem eius est.

Krzyknęłam cicho na dźwięk imienia Eleanor, na szczęście Yago zakasłał w tej samej chwili. O co chodziło? Z

tego, co mówili, zrozumiałam jedynie te słowa: Straż Uczniowska, dyrektorka von Laark, Brandon Bell i chyba

Eleanor. Szkoda, że nie przykładałam się bardziej do łaciny. Zerknęłam na martwą mysz. Była częściowo

rozłożona i pokryta kurzem, musiała tu leżeć od kilku tygodni.

Wstałam, otrzepując kolana, z mocnym postanowieniem zabrania się do nauki, ale gdy się odwróciłam,

zobaczyłam Dantego. Zaskoczona cofnęłam się i zrzuciłam książkę z regału. Z niewiarygodną szybkością Dante

ją złapał, nim spadła na podłogę, a potem przyłożył palec do moich ust. Jego skóra była zimna, ten chłód powoli

we mnie wsiąkał. Chłopak czym prędzej odsunął palec, a ja wzdrygnęłam się, widząc, że mój oddech przemienił

się w mgiełkę. Co się stało? Popatrzyłam na niego, ciekawa, czy zauważył.

- Renee. - Moje imię spłynęło z jego ust, jakby szeptał mi do ucha tajemnicę. Otaczało nas tysiące' książek;

nachylił się do mnie, ciemne włosy opadały mu na twarz, czułam, jak jego oczy wędrują po mojej twarzy,

studiują ją. Nikt nigdy tak na mnie nie patrzył. Poczułam, że robi mi się gorąco, chciałam coś powiedzieć, gdy

zdałam sobie sprawę, że Gideon zamilkł, i usłyszałam szuranie krzesel.

- Chodźmy. - Dante podniósł moją torbę.

- Dokąd? - spytałam, idąc za nim.

- Tam, gdzie będzie mniej tłoczno - odparł, chociaż akurat ta część biblioteki była prawie pusta.

Zatrzymaliśmy się w półmrocznej czytelnicy. W każdym rogu były drzwi i wszędzie leżały stosy

książek.

Ukryliśmy się za jednym z nich, słuchając, czy ktoś za nami idzie.

- Co się stało? Moje wargi zrobiły się nagle takie zimne.

Spojrzał na mnie stropiony.

- Naprawdę?

A może mi się wydawało?

-

Co ty właściwie tam robiłeś? - spytałam. Popatrzył na mnie, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

- Uczyłem się. A ty?

- Ja również.

- Na podłodze, po ciemku?

Przygryzłam wargę i sięgnęłam po torbę, którą Dante nadal trzymał w ręku, ale gdy ją wzięłam, upadła na

podłogę i wszystkie moje papiery rozsypały się po dywanie.

- Przepraszam - westchnęłam, gdy oboje schyliliśmy się, by je pozbierać. Ołówki poturlały się w stronę

przejścia, pozbierałam je i spostrzegłam, że Dante przegląda moje zeszyty. Próbowałam mu je odebrać, ale

nie mógł mi ich oddać, bo było za wysoko.

Życie po śmierci - przeczytał tytuł wypracowania. - Naprawdę, ze wszystkich mitów właśnie w ten sposób  
chciałabyś wierzyć?

- Nie czytaj tego! - zawołałam, wrywając mu kartki. Popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

- Nie wierzysz w życie po śmierci?

- Nie chodziło mi o sens religijny. Popatrzył na mnie z uwagą.

- A jaki, dosłowny? - wymruczał. - Ludzie żyjący po swojej śmierci?

Utkwiłam wzrok w podłodze. Wiem, że to głupie i szczeniackie, ale właśnie w to chciałam wierzyć.

- Brakuje mi rodziców - szepnęłam. To było żalosne, ale niestety prawdziwe.

Jego twarz złagodniała.

- Mam wrażenie, że łączy nas więcej, niż ci się wydaje. - Oddał mi plik kartek.

Wcisnęłam je do torby. Co chciał przez to powiedzieć? Że on też tęskni za rodzicami? Że też chciałby wierzyć

w życie po śmierci? Przynajmniej nie uważał, że jestem śmieszna czy głupia, ale pewnie by tak pomyślał, gdyby

zobaczył moją pracę domową z łaciny z wielkim czerwonym trzy plus.

- A propos łaciny... Szczeka mi opadła.

- Widziałeś ją?! - zawołałam. Pragnęłam umrzeć.

- Wiesz, jestem całkiem niezły z łaciny. Mógłbym ci pomóc. - Oparł się o regał, rękawy koszuli uniosły się i

odsłaniały płataninę żył okalającą mięśnie na przedramieniu, po czym nikły pod podwiniętymi mankietami.

- Skąd mogę wiedzieć, czy jesteś dobry? Może po prostu chcesz sabotować moją pracę domową? - spytałam

sarkastycznie.

Roześmiał się.

- Sabotaż? Chyba żartujesz. Przecież wiesz, że jestem w klasie dla zaawansowanych, zajrzałaś wtedy na

zajęcia. To ci nie wystarcza?

- Przekonaj mnie - palnęłam. Dante spojrział na mnie zdumiony.

- Co miałbym zrobić?

- Powiedz, o czym rozmawiali Gideon, Vivian i Yago.

Dante patrzył na mnie, połowę jego twarzy skrywał cień.

- Nie wiem.

- Wiesz. - Zmrużyłam oczy.

- Rozmawiali o Straży Uczniowskiej. O tym, kto co zrobił. Nic więcej nie usłyszałem.

Nie wiedziałam, czy mówi prawdę, czy tylko próbuje mnie zbyć.

- Nie wierzę ci - odparłam.

Pochylił się tak, że jego twarz znalazła się tuż obok mojej, kosmyki jego włosów dotykały moich policzków.

Patrzył na mnie z intensywnością, jaką mogła zrodzić jedynie gwałtowna namiętność albo nienawiść, ale w tym

momencie było mi wszystko jedno. Zamknęłam oczy i czekałam.

- Nie ufasz mi - szepnął mi do ucha, jego oddech był zaskakująco zimny.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie.

34

Lampy olejowe zaczęły migotać, sygnalizując, że biblioteka za chwilę zostanie zamknięta.

- Ale ze mną rozmawiasz. Czyli jesteśmy umówieni na lekcję łaciny?

Chciałam powiedzieć, że nie, ale wbrew swojej woli zgodziłam się.

Żadne z nas nie odzywało się przez dłuższą chwilę. Zastanawialiśmy się nad tym, co właśnie ustaliliśmy.

W końcu przemówił Dante:

- Spotkajmy się w foyer kolegium Horacego w przyszły piątek.

Skinęłam głową. Przeszliśmy korytarzem i schodami na dwór, w chłodne powietrze Maine.

Po powrocie do pokoju zastałam Eleanor siedzącą na łóżku i szczotkującą włosy przy świetle świecy, na jej

kolanach leżał jakiś podręcznik. Widząc mnie, opuściła szczotkę.

- Gdzie ty byłaś? - zapytała z wyrzutem, patrząc na mnie niespokojnie.

- A ty? - odparowałam, zła, że zostawiła mnie samą na obiedzie.

- Przesłuchania się przeciągnęły, nie mogłam wyjść. Myślałam, że się domyślisz.

Położyłam torbę na podłodze i usiadłam na łóżku.

- Domyśliłam się. Czego się uczysz?

- Jak to czego, matmy - powiedziała, jakby to było oczywiste. - W poniedziałek mamy pierwszy sprawdzian,

pamiętasz?

- No tak, faktycznie... - Kompletnie o tym zapomniałam!

- A ty czego się uczyłaś?

- Nie uczyłam się - wyznałam z westchnieniem. - Widziałam Dantego w bibliotece. I Gideona.

Twarz Eleanor się ożywiła.

- Opowiadaj!

Usiadła naprzeciwko mnie na moim łóżku, a ja opowiedziałam jej o Gideonie, Vivian i Yagonie, o Dantem,

moim wypracowaniu i łacinie.

- Wiesz, że wymienili również imię twojego brata? - dodałam.

Eleanor wyprostowała się zaskoczona.

- Że co? Czemu mieliby rozmawiać o Brandonie? Pokręciłam głową.

- Nie wiem, ale to jeszcze nie wszystko... - zawahałam się, czy powinnam jej o tym powiedzieć, skoro nie

miałam pewności, czy dobrze usłyszałam. - Wspomnieli również o tobie.

- O mnie? Nawet ich nie znam! To pewnie dlatego, że Brandon ich nienawidzi, a oni nienawidzą Brando-na i

całej Straży Uczniowskiej. Wszyscy o tym wiedzą.

Przygryzłam wargę. Myślałam, że Eleanor się zdenerwuje na wieść, że rozmawiali o niej i o jej bracie, a ona

wcale nie wyglądała na zaniepokojoną.

- No, nie wiem. Wyglądało na to, że coś knują. A Dante chyba ich szpiegował. Tylko dlaczego? - spytałam. -

Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby to z niego wyciągnąć. Gideon mi raczej nie powie...

Eleanor spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Nie wierzę, że myślisz o Gideonie w chwili, gdy Dante Berlin zaproponował ci korepetycje z łaciny!

Zaśmiałam się.

- Czyli nie sądzisz, że oni coś knują?

- Oni wiecznie coś knują. Wiecznie noszą trzyczęściowe garnitury, rozmawiają wyłącznie po łacinie i trzymają się mrocznej części kampusu. Ale co właściwie mogliby zrobić, kogo to obchodzi? Dante Berlin umówił się

z tobą na randkę? To wydarzenie epokowe! Epokowe!

- Jest coś jeszcze..

Eleanor wbiła we mnie wzrok.

- Co? Poprosił cię, żebyś uciekła z nim do Transylwanii, czy skąd on tam pochodzi?

Roześmiałam się.

- Nie. Gdy mnie dotknął, jego palce były lodowate, a gdy przyłożył je do moich ust, mój oddech stał się zupełnie zimny.

Popatrzyłam na nią nerwowo, mając nadzieję, że -w przeciwieństwie do Annie - nie myśli, że tracę rozum.

Cóż, nie zdziwiłabym się, to wszystko było zupełnie nierealne.

- Jak to zimny? Tak jak wtedy, gdy wdychasz zimne powietrze?

Skinęłam głową.

- Brzmi niesamowicie. No nie wiem. Może po prostu się denerwowałaś, że jesteś tak blisko niego, no wiesz,

każdy by był. I wydawało ci się, że twój oddech jest zimny, podczas gdy to był przeciąg albo coś w tym stylu.

No tak, w bibliotece było chłodno. A Dante powiedział, że on nic takiego nie poczuł. Pewnie to mój mózg

robi sobie żarty.

Usłyszałyśmy, jak korytarzem przechodzi pani Lynch, stukając linijką. Wprawdzie nie było zakazu

rozmawiania po godzinie policyjnej, ale w drzwiach nie było zamka - wolałyśmy nie dawać jej pretekstu do

ukarania nas. Eleanor ścisnęła mnie porozumiewawczo za kostkę i wyskoczyła z mojego łóżka. Gdy wyjmowała

zeszyty z torby, wśliznęłam się pod kołdrę z podręcznikiem do matmy. Gdy go otworzyłam, cyfry i słowa

zaczęły wirować i zobaczyłam Dantego. Położyłam się wygodnie, wyobrażając sobie, że stoi przede mną, że

mogę się na niego patrzeć do woli, że czuję jego zapach, jego głos... Jedyne, co zapamiętałam, to szept mojego

imienia.

## **Zapomniana historia**

Łacina nie jest taka zła, gdy uczysz się jej razem z najprzystojniejszym chłopakiem we szkole. W następnym

piątek spotkałam się z Dantem we foyer Kolegium Horacego na swoich pierwszych korepetycjach. Siedział na

kaloryferze, włączonym, mimo że jeszcze był wrzesień. No tak, w końcu to Maine. Opierał się o grube niebieskie

zasłony i wyglądał tak romantycznie i samotnie. Poczułam, że drzę. Przesunęłam ręką po włosach, poprawiłam

spódnicę i podeszłam do niego.

- Nie gorąco ci? - zapytałam.

Spojrzał na mnie zakłopotany, a potem spostrzegł, że gapię się na kaloryfer pod nim.

35

- Och. Nie, nawet nie zauważyłem. Chyba jestem zimnokrwisty. - Uśmiechnął się i unióśł brew. - Ale pewnie

wszyscy już o tym wiedzą.

Zaśmiałam się, a on wziął ode mnie torbę. Myślałam, że będziemy się uczyć w bibliotece, ale

bibliotekarka

była tak wrażliwa na każdy szmer, że pewnie nie moglibyśmy się nawet odezwać. Dante zaproponował,

żebyśmy skorzystali z pustej klasy w Kolegium Horacego.

- Myślisz, że możemy to zrobić? - spytałam.

- Dopóty, dopóki będziemy cicho - odpowiedział z uśmiechem.

Doszliśmy do sali, w której zwykle miałam łacinę. Zanim wszedł, uchylił drzwi i zajrzał. Pokój pachniał

perfumami pani Lumbar.

- Śmiało. - Wśliznęliśmy się do środka.

- Twój problem to deklinacja - stwierdził, przeglądając mój zeszyt. - Magia deklinacji polega na tym, że

każde słowo zyskuje własną osobowość. W zależności od tego, z jakimi częściami mowy występuje dany rzeczownik, przyjmuje inną formę i ma inne brzmienie.

Nad jego czołem wisiał kosmyk włosów, odsunął je za ucho i popatrzył na mnie.

- Każde dziwnie brzmiące słowo może stać się piękne, tworząc parę z odpowiednim zaimkiem. To tak, jakby

dwoje ludzi dawało z siebie wszystko to, co mają najlepsze.

Zaczerwieniłam się. Przy mnie Dante stawał się rozmowny, nawet miły I chociaż nie chciałam się do tego

przyznać, gdy był obok mnie, prawie nie myślałam o śmierci rodziców.

- Przepraszam - powiedział, widząc, że się czerwienię i oddał mi zeszyt. - Nie umiem ładnie mówić.

- Coś ty, twoje słowa bardzo mi się podobają. Już teraz więcej rozumiem.

- Mnie czy łacinę?

- Łacinę. O tobie wiem tylko, jaką muzykę i jakie książki lubisz. O twojej przeszłości nie wiem nic.

Dante się pochylił. Spojrzał na moją niebieską plisowaną spódnicę, czarne pończochy i golf.

- Co chciałabyś wiedzieć?



-  
Skąd jesteś? Zawahał się.

- Z zachodu. Z północnego zachodu. Kolumbia Brytyjska, stan Waszyngton, Oregon. Często się przeprowadzaliśmy.

- To znaczy, twoja rodzina? Dante skinął głową.

- Ja i moja siostra, młodsza siostra. Ale to było dawno temu. Zginęła w wypadku, razem z moimi rodzicami.

- Jakim wypadku?

- Samolotu - odparł szybko.

- Jak miała na imię?

Odchylił się na oparcie krzesła, popatrzył na mnie dziwnie.

- Cecelia.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Przykro mi - wykrztusiłam w końcu.

- To było dawno temu. - Dante przyglądał mi się badawczo.

- Wtedy tu przyjechałeś?

- Nie, początkowo byłem w rodzinie zastępczej, przez rok. Nienawidziłem tego miejsca i chciałem się

stamtąd wynieść. Wtedy znalazłem akademię.

- Tęsknisz za nimi? No, za rodziną?

- Szczerze mówiąc, to wszystko wydarzyło się tak dawno temu, że nawet nie mam jakichś konkretnych

wspomnień. Tęsknię za nimi - Jego twarz złagodniała. Po chwili ciszy, poprosił miętko: - Opowiedz mi o swoich rodzicach.

- Byli nauczycielami - zaczęłam i urwałam. Zobaczyłam ich, zobaczyłam mamę i tatę razem, w naszym

domu. Tęskniłam za nimi każdego dnia, a jednak nigdy nie myślałam o tym, jacy byli, jacy byliśmy.

- Co jeszcze?

Opowiedziałam mu, jakimi byli ludźmi, o życiu w Kalifornii, o tym, jaka byłam przed ich śmiercią. Dante nie

odrywał ode mnie wzroku, gdy mówiłam, jak znalazłam ich w lesie i jak przyjechałam do akademii. A potem

nagle wróciłam do terażniejszości.

Zapanowała długa cisza, Dante napisał w moim zeszycie łacińskie zdanie:

*Mortui in nobis vivunt.*

- Co to znaczy?

- Umarli żyją w nas.

I znowu zapanowała cisza, którą przerwał Dante.

- Rozmowa nie jest moją mocną stroną. Znam niewielu ludzi, z którymi chciałbym pogadać, a więc brakuje

mi wprawy. Jesteś inna.

Zaczerwieniłam się. Nigdy nie umiałam przyjmować komplementów.

- Skąd tak dobrze znasz łacinę? – zainteresowałam się.

- Nie wiem. To trochę tak, jak obudzić się pewnego ranka i stwierdzić, że doznałaś olśnienia. Rozumiesz?

Skinęłam głową. Dante wrócił do przeglądania moich notatek. I wtedy stało się coś dziwnego. W pewnej

chwili, gdy przewracał kolejną kartkę, jej brzeg rozciął mu opuszek kciuka. Szybko cofnął rękę.

Wyprostowałam się.

- Wszystko w porządku?

- Czemu pytasz? - Udał zdziwienie, chowając kciuk w zwiniętej pięści.

Popatrzyłam uważnie najpierw na niego, potem na jego dłoń.

- Mogę zobaczyć?

Dante zerknął na mnie speszony, ale się nie poruszył.

- Pokaż dłoń - poprosiłam, biorąc go za rękę. Była lodowato zimna; zaskoczona, puściłam ją.

36

Dante przyglądał mi się, jakby czekając na moją reakcję.

- Otwórz dłoń - powtórzyłam. - Proszę.

Powoli otworzył dłoń. Spojrzałam na jego kciuk, ale nie było tam nic - kompletnie nic. Żadnego skaleczenia,

żadnej krwi, nie było nawet śladu po skaleczeniu. Wstrząśnięta, chwyciłam jego rękę. Moje dłonie zaczęły

mrowić, ale nie przejmowałam się tym, uniosłam jego kciuk do światła, oglądając go ze wszystkich stron. Nic.

Popatrzyłam mu w oczy, zdumiona.

- Przed chwilą się skaleczyłeś, a jednak nie ma żadnego śladu.

- Mówiłem przecież - bronił się. - Nic się nie stało.

- To dlaczego schowałeś rękę? Twoja skóra, widziałam, że zaczyna krwawić... Widziałam...

-Może pióro cieknie. Podniosłam pióro i nim potrząsnęłam.

- Nie.

Dante spojrzał mi prosto w oczy.

- Renee, coś ci się przywidziało. Jakim cudem skaleczenie mogłoby zagoić się tak szybko? Musiałbym być

potworem.

Skonsternowana, pokręciłam głową.

- Nie jesteś potworem.

- To co o mnie myślisz?

Jesteś błyskotliwy. Niebezpieczny, choć w dziwny sposób czuję się przy tobie bezpieczna. Inny niż wszyscy

ludzie, jakich kiedykolwiek spotkałam.

- Zdumiewająco doskonały - wypaliłam, zanim zdołałam się powstrzymać.

Popatrzył na mnie zaskoczony. Przez jakiś czas, który wydawał mi się wiecznością, panowała cisza; zakłopotana, utkwiałam wzrok w swoich butach.

- Jeśli naprawdę tak uważasz, to masz marne pojęcie o doskonałości. - Zamknął mój zeszyt i mi podał. -

Widzimy się w następnym tygodniu? W tym samym miejscu, o tej samej porze?

Skonsternowana, nadal gapiłam się na niego i jego kciuk. Czy naprawdę to widziałam, czy może Dante miał rację?

- Nikt nie jest doskonały, Renee.

Skinęłam głową. Zrozumiałam, że i on ma wady, ale one sprawiały, że był jeszcze bardziej atrakcyjny. Osamotnienie, obojętność, nieprzewidywalność, to wszystko mnie do niego ciągnęło.

- Zawsze wiedziałam, że jest inny - oznajmiła Eleanor półzartem, gdy opowiedziałam jej o tym, co się stało.

Próbowałam pogadać o tym z Annie, ale chyba uznała, że tracę rozum. Zapytała, czy na pewno dobrze się czuję

i czy nie powinnam pogadać z psychologiem. Wiem, że chciała dobrze, ale to mnie jeszcze bardziej zirytowało.

Wiem, co widziałam, a Annie traktowała mnie jak małe dziecko. Za to Eleanor wręcz przeciwnie.

- Nie wierzę, że powiedziałam mu, że jest doskonały. - Opuściłam widelec, właśnie jadłyśmy obiad w Megaronie. - Zrobiłam to niechcący.

- No wiesz, ja też uważam, że jest chodzącą doskonałością na swój ponury, zarozumiały sposób. Co z drugiej strony czyni go niedoskonałym.

- Albo doskonałym w innym znaczeniu - odparłam. W tym momencie podszedł do nas Nathaniel z tacą.

- Mogę się do was przysiąc?

- Jasne. - Uśmiechnęłam się.

Eleanor odsunęła swoją tacę, żeby zrobić mu miejsce i mówiła dalej:

- Może jest nadczłowiekiem? Półbogiem? Tak czy inaczej, jest adonisem.

Zaprzeczyłam.

- Jest zbyt mroczny, żeby być superbohaterem.

- W takim razie musi być łajdakiem - rzuciła Eleanor z przekornym uśmiechem. - To nawet lepiej.

Nathaniel uniósł okulary.

- O kim mówicie?

Eleanor zerknęła na mnie pytająco, wzruszyłam ramionami.

- Potrafisz dochować tajemnicy? - spytała Eleanor, ścisząc głos.

Nathaniel spojrzał nerwowo najpierw na nią, potem na mnie.

- Oczywiście. Poza tym niby komu miałbym powiedzieć?

- Rozmawialiśmy o Dantem Berlinie.

- O? - Chyba nie zrobiło to na nim wrażenia. -1 co u niego?

Opowiedziałam mu o skaleczeniu i zapytałam:

- Słyszałeś kiedyś o czymś takim? - Nathaniel wiedział przecież wszystko o naukach przyrodniczych i matematyce.

Popatrzył na mnie oczami powiększonymi przez szkła okularów.

-Ja... No nie wiem, Renee. Może ci się przywidziało? Wzruszyłam ramionami. Może i tak. Tylko dlaczego

tak bardzo chciałam, żeby tak nie było? Nathaniel dziobał widelcem tuńczyka.

- Nie rozumiem, co jest w nim takiego niesamowitego? Że nie ma przyjaciół? Mnóstwo ludzi nie ma!  
Co

sprawia, że jest taki interesujący?

- No wiesz? Nie widziałeś go?! - zawołała Eleanor.

- Chodzi o to, że jest taki wysoki? No tak, jego wzrost i te długie włosy.

Nawet ten pobieżny opis sprawił, że zapragnęłam znów zobaczyć Dantego. Niestety, nigdy nie przychodził

na obiad, pewnie dlatego, że mieszkał poza kampusem.

- Jest inteligentny - wymruczałam.

- I pewny siebie - dodała Eleanor.

37

- I sprawia wrażenie starszego, niż jest w rzeczywistości - dorzuciłam. - Jakby dokładnie wiedział, czego

chce od życia.

- Według ciebie jest męski? - Eleanor się uśmiechnęła. - Chociaż wydaje mi się, że chodziło ci o to, iż jest

wyniosły.

Roześmiałam się, Nathaniel nie wyglądał na rozbawionego.

-

Jest jedno wyjaśnienie - rzekł. Eleanor i ja ucichłyśmy, czekając, co powie.

- Zimna skóra, starszy od innych, trzymający się na uboczu? Wszyscy ludzie odpowiadający takiemu opisowi są martwi.

Zapadła długa cisza. Nathaniel miał rację, ale przecież Dante był żywy, oddychał, chodził!

- Sugerujesz, że Dante Berlin jest martwy? - zapytałam ze śmiechem.

Nathaniel się zaczerwienił i pochylił nad talerzem, nadal pełnym.

- No, nie wiem. Tak tylko gadam.

Eleanor uśmiechnęła się zagadkowo, nawijając na palec pasmo włosów.

- Zabójczo piękny.

W połowie października już wszystkie drzewa stały w barwach jesieni, cały kampus zdawał się płonąć

złotem i czerwienią. Wiatr zrywał liście i rozrzucał je po całym terenie; każdego ranka, gdy szłam na lekcje,

wirowały pod moimi stopami niczym motyle. Po miesiącu w akademii czułam się zupełnie zaaklimatyzowana.

Dziadek dzwonił, żeby zapytać, co słyhać, ale nasze rozmowy były krótkie. Opowiadałam mu o lekcjach,

głównie o moim ulubionym ogrodnictwie. Co ciekawe, prawie nie uczyliśmy się o roślinach.

Wprawdzie

poznawaliśmy różne gatunki flory i klimat, w którym rosły, ale głównie skupialiśmy się o glebach, systemach

korzeniowych, systemach nawadniających i sądownictwie. Byłam najlepsza w klasie i uwielbiałam to.

Zawierałam nowe przyjaźnie, między innymi z dziewczynami z naszego piętra, jadłyśmy razem obiady, gdy

Eleanor była zajęta. Zbliżyłam się również z Brettem. Ja i Eleanor ciągle wpadałyśmy na niego przy wyjściu z

internatu dla dziewcząt albo przed stołówką. Wyglądał, jakby na kogoś czekał, a jednak zawsze przyłączał się

do nas. Zwykle rozmawialiśmy o rzeczach błałych i nieistotnych. To było miłe, przypominało mi spotkania z

Wesem, który, skoro już o tym mowa, ani razu nie dał znaku życia. Ja i Annie nadal usiłowałyśmy dzwonić do

siebie raz na tydzień, choć z biegiem czasu rozmowy coraz bardziej się nie kleiły. Oddalałyśmy się od siebie,

każda z nas zagłębiała się w swój świat.

A mój świat kręcił się wokół Dantego.

Nie przestaliśmy się spotykać po tamtym incydencie ze skaleczeniem, chociaż nadal się przyznawał, że

wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Już po dwóch tygodniach zaczęłam dostawać lepsze oceny z łaciny i w

końcu profesor Lumbar zrobiła się dla mnie miła. Gdy zobaczyłam piątkę na swoim kolejnym sprawdzianie,

powinnam oszaleć z radości, ale martwiłam się tylko tym, że stracę Dantego. Nie potrzebowałam już korepetycji. Zrozumie to, gdy tylko zobaczy moje stopnie. A ja musiałam się z nim widywać, pretekst był nieważny. Piątek stał się moimi ulubionym dniem tygodnia. Za każdym razem, gdy przyglądałam się Dantemu, odkrywałam coś nowego; piegi na jego szyi albo biały ślad po bliźnie obok lewego ucha. Teraz, gdy już wiedziałam, że on również stracił rodziców, czułam, że łączy nas silna więź. Był jedyną osobą, z którą mogłam o tym

pogadać. Wiedział, co powiedzieć, żebym poczuła się lepiej. Tak dobrze radził sobie ze śmiercią, że

niemal

uzależniłam się od jego rad. Nie miałam innego wyboru, zaczęłam świadomie robić błędy w sprawdzianach i

pracach domowych z łaciny, wpisywałam błędne formy czasowników, robiłam błędy gramatyczne, myliłam

słowa i wreszcie, ku mojej uldze, moje stopnie się pogorszyły. Dante oglądał podejrzliwie moje testy, pokreślone

na czerwono i zaproponował, żebyśmy spotykali się dwa razy w tygodniu. Zgodziłam się natychmiast.

Ciągle chciałam zapytać go o Benjaminą Gallowa, Gideona i jego dawnych przyjaciół, o to, co się wydarzyło

zeszłej wiosny, ale od ostatniej rozmowy nie posunęłam się zbytnio do przodu. Postanowiłam spróbować

inaczej.

- Jak jest w Kanadzie? - Siedzieliśmy w klasie języka łacińskiego, światło świec rzucało cienie na belkowany

sufit.

- Zimno - odparł Dante. Pochylił się do mnie, jego ciemne oczy błyszczały. -1 dziko.

- Dziko?

- Rodzice mieli ranczo. Ojciec polował na dzikie zwierzęta, a potem sprzedawał mięso i skórę handlarzom,

mama była wypychaczką zwierząt. Mieszkaliśmy tak daleko na północ, że w okolicy więcej było drzew niż

ludzi. Nasz dom był pełen martwych zwierząt, ale na zewnątrz było jeszcze gorzej, niedźwiedzie, dziki... Zdarzało się, że zimą śnieg padał całymi tygodniami, wiał lodowaty wiatr. Gdyby człowiek skręcił nogę w trakcie

polowania czy zbierania drewna, mógłby zamarznąć na śmierć. W takich miejscach myśli się o śmierci, o

potędze i okrucieństwie natury. To uczy pokory.

Patrzyłam na niego, wyobrażając sobie, jak idzie przez las z siekierą w jednej ręce i strzelbą w drugiej, z



martwą zwierzyną przerzuconą przez ramię. Wiele bym dała, żeby znaleźć się razem z Dantem w domku

zasypanym śniegiem.

- W porównaniu z tym Maine musi ci się wydawać tropikami - zażartowałam.

- Nie do końca. - Dante się zaśmiał.

- Lubisz to miejsce? Zastanowił się.

- Myślę, że dobrze mi tutaj.

Jego odpowiedź trochę mnie rozczarowała. Wolałabym usłyszeć: „Byłem taki nieszczęśliwy, nim cię poznałem”. Albo: „Sprawiasz, że warto tu być”. A najchętniej: „Renee, jesteś miłością mojego życia. Pójdę za tobą na

koniec świata, dźwigając na ramieniu jelenia, którego zabiłem gołymi rękami, żeby dowieść ci moich uczuć”.

Czy: „Pragnę cię objąć i szeptać ci do ucha łacińskie słówka”.

- I myślę, że dobrze mi z tobą - dodał Dante. Zamrugałam. Powiedział to naprawdę, czy to była część moich marzeń? Pochylił się, jakby czekał na moją odpowiedź.

- Słucham? - spytałam słabo.

- Chciałem powiedzieć, że dobrze mi robią rozmowy z tobą. Już prawie zapomniałem, jak to jest mieć

przyjaciół.

38

Przyjaciół, pomyślałam i serce mi podskoczyło. Teraz!

- Co tak naprawdę się z nimi stało? - chciałam się dowiedzieć. - Nigdy mi nie mówiłeś.

Dante studiował moją twarz.

- Po prostu odsunęliśmy się od siebie. Po śmierci Benjamina i po tym, jak Cassie... została przeniesiona,

zrozumiałem, że się różnimy i oddaliliśmy się od siebie.

- Co masz na myśli? - Annie i ja też się oddaliśmy, ale to dlatego, że dzielą nas kilometry, nie dlatego, że

nie chcę się już z nią przyjaźnić.

- Spotykaliśmy się na zajęciach przekładów z łaciny. Kiedyś pociągały nas te same idee, mity i opowieści

ludowe, rozmyślenia o moralności, jak żyć, żeby być dobrym człowiekiem i podejmować właściwe decyzje.

Mnie nadal to fascynuje, a ich już chyba nie.

-

Czy to ma jakiś związek ze śmiercią Benjamina? Dante się zastanowił.

- Nie. To tylko zbieg okoliczności.

Zbieg okoliczności. Ostatnio przytrafiają się aż nazbyt często.

- To, że znalazłeś Benjamina w lesie, to również zbieg okoliczności? - Dokładnie tak samo, jak moi rodzice...

Dante odchylił się do tyłu, skrzyżował ręce i odpowiedział takim tonem, jakby to było oczywiste:

- Tak.

- A czy nie wydaje ci się dziwne, że on nagle, nie wiadomo dlaczego, zmarł na atak serca, podobnie jak moi

rodzice? - Spojrzałam na niego kątem oka, mając nadzieję, że z czymś się zdradzi.

- Jeśli spodziewasz się jakichś sensacyjnych rewelacji, to niestety, nie mam żadnych. Znalazłem go martwego w lesie. Zmarł na atak serca.

Przyglądałam się Dantemu, usiłując odgadnąć, czy mówi prawdę.

- To czemu szpiegowałeś Gideona w bibliotece?

- Nie szpiegowałem, uczyłem się.

- Akurat tam? Dante poprawił krawat.

- Z tego co pamiętam, również tam byłaś.

Miał rację. Jakim cudem na nich wpadłam? Kolejny zbieg okoliczności? No dobrze, może to była prawda, ale

ja nadal miałam wątpliwości i pytania.

- Mówili o Eleanor i jej bracie, a ja słyszałam, że Brandon nie lubi ciebie i Gideona. Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Może nie jestem w jego typie? Wiesz, dlaczego ludzie cię nie lubią?

- Kto mnie nie lubi? - zapytałam gwałtownie. Uważałam się za osobę sympatyczną i bezkonfliktową, dlaczego ktoś miałby mnie nie lubić?

- To było pytanie teoretyczne. - Dante uśmiechnął się lekko.

Zaczerwieniłam się.

- Och. No dobrze, a dlaczego nigdy nie rozmawiasz z Eleanor, chociaż siedzicie obok siebie na apelu?

- Nigdy się do mnie nie odzywa.

Zmarszczyłam brwi. Kpi sobie ze mnie? Wykręca się od odpowiedzi? Nie chce mówić o Benjaminie i swoich

dawnych przyjaciółach. Chociaż czego się spodziewałam?

- Dlaczego mieszkasz poza kampusem?

- Nie lubię wspólnych łazienek.

- Czemu twoje ręce są takie zimne?

- Problemy z krążeniem.

Westchnęłam, odgarnęłam włosy z twarzy i zapadłam się w krzesło.

Bębniąc palcami w biurko, Dante popatrzył na mnie pytająco.

- Jest jeszcze coś, prawda?

- Dlaczego tylko ze mną rozmawiasz? - spytałam. Dante się zawahał.

- Jesteś impulsywna, uparta i szybko osądzasz. Wszystko krytykujesz i nie potrafisz zachować swoich sądów dla siebie, nawet gdy nie masz racji...

Zaskoczona, wpatrywałam się w niego i już miałam mu przerwać, ale mi nie pozwolił.

- Poza tym jesteś szczera, dociekliwa i lubisz wyzwania. Nawet gdy się złościś, życie aż z ciebie kipi.

Myślisz, że nikt cię nie rozumie - dodał - ale to nieprawda.

Usta mi zadrżały, nie wiedziałam, czy od płaczu, czy uśmiechu.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Usiłowałam ukryć drżenie głosu.

Dante się uśmiechnął.

- Rozmawiam z tobą, ponieważ potrafisz mnie rozbawić.

Opowiedziałam Eleanor o wszystkim, to znaczy o tym, że niczego się nie dopowiedziałam i, idąc za jej radą,

postanowiłam na razie zrezygnować ze śledztwa. Nie wspomniałam jej tylko o ostatniej części naszej rozmowy.

Może dlatego, że chciałam zachować ją dla siebie, a może dlatego, że Eleanor nie dała mi dojść do głosu.

Zadurzyła się w naszym nauczycielu od historii, panu Blissie, i nie mogła przestać o nim mówić. Nawet jeśli był

młody i przystojny jak na nauczyciela, to mógłby być naszym ojcem. Palił papierosy przed lekcją w otwartym

oknie i codziennie jadł kanapki, po których pachniał cebulą.

- Nie chodzi o to, jak wygląda - mówiła Eleanor, grzebiąc łyżką w owsiance. - Chodzi o to, co mówi. Jest

błyskotliwy.

Przewróciłam oczami. Siedziałyśmy w stołówce, trwało śniadanie.

- Na przykład to, co powiedział w zeszłym tygodniu. Jak to szło?

Wzruszyłam ramionami, bawiąc się okruchami po toście.

- Już wiem! - zawołała. - Powiedział: „Prawdę często się widzi, ale rzadko słyszy”. Jakie to prawdziwe!

Kilka miesięcy temu zapewne przyznałabym jej rację, ale teraz nie byłam już taka pewna. Nic, czego byłam

świadkiem przez ostatni miesiąc, nie wydawało się prawdą. Jak umarli moi rodzice? Jak umarł Benjamin?

Zaczynałam wątpić, czy prawda w ogóle istnieje.

- To ciekawe, że powiedział to głośno - wymruczałam.

- Po prostu masz zły humor z powodu testu z łaciny.

Częściowo miała rację. Z ostatniego egzaminu dostałam troję, no ale robiłam błędy specjalnie, jednak nie

miałam zamiaru mówić o tym Eleanor. Niezależnie od łaciny byłam przekonana, że sporo z tych rzeczy, których

uczył nas profesor Bliss, było zmyślonych.

- No dobra, a co z tym, że Napoleon był rzekomo małym facetem? Albo ta jego teoria o istnieniu duchów?

- Po prostu jest uduchowiony - odparła Eleanor. - Poza tym, skąd wiesz, jaki Napoleon był tak naprawdę?

Nie żyłaś w jego czasach.

Westchnęłam. Na szczęście dla mnie musiałyśmy iść na lekcję. I na szczęście dla Eleanor to miała być historia.

Profesor Bliss miał trzydzieści kilka lat i pierwszego dnia oznajmił: „Mówcie do mnie pan B.” Ku mojemu

zdumieniu był to ten sam nauczyciel, na którego wpadłam pierwszego dnia w akademii, szukając mojej klasy.

Myślałam, że będzie chłodny i nieprzystępny jak tamci uczniowie, ale okazało się, że jest wręcz przeciwnie.

Był typem wiecznego chłopca z rozmarzonym uśmiechem i rozwichrzonymi włosami, które opadały mu na

oczy, gdy prowadził lekcję. Zawsze ubierał się na sportowo: spodnie z odpinanymi nogawkami, koszule khaki z

podwiniętymi rękawami... Zawsze miałam wrażenie, jakby właśnie wrócił z wykopalisk w jakimś egzotycznym

miejscu.

- Pochówek - powiedział i podszedł do tablicy. Najpierw narysował kredą piramidę, potem stos pogrzebowy, a

w końcu trumnę, dokładnie taką samą, jaką widziałam na tablicy w tamtej klasie. Na ogrodnictwie również

uczyliliśmy się o grzebaniu, ale wtedy chodziło o cebulki roślin. - Czemu chowamy naszych zmarłych?  
- Nos

profesora Blissa miał wgłębienie na górze, zupełnie jak nos sfinksa. Pewnie pamiątka po jakimś wypadku na

wykopaliskach.

Pomyślałam o moich zmarłych rodzicach. W testamencie wyrazili życzenie, że chcą być pochowani obok siebie

na małym cmentarzu, kilka kilometrów od naszego domu.

-

Z powodu szacunku? - zaryzykowałam. Pokiwał głową.

- Owszem, ale to nie jest jedyny powód.

Jak to nie? Patrzyłam na pana B. przez kilka chwil, w końcu znowu podniosłam rękę, zdecydowana podać

dobrą odpowiedź.

- Ponieważ pozostawianie ciał na otwartym powietrzu jest niehigieniczne?

Pan B. zaprzeczył i potarł zarost na szyi. Wpatrywałam się w niego, pewna, że moje odpowiedzi są prawidłowe.

- Dlatego że jest to najlepszy sposób pozbycia się ciała?

Pan B. się zaśmiał.

- Przecież to nieprawda! Pomyślcie o tych wszystkich pomysłach, na które wpadali masowi mordercy, żeby

tylko pozbyć się ciał! Nie mówiąc już o tym, że taki na przykład kanibalizm byłby znacznie łatwiejszy i

praktyczniejszy niż te wszystkie trumny, ceremonie pogrzebowe i nagrobki.

Słyszając o kanibalizmie, Eleanor skrzywiła się ze wstrętem, wzmianka o masowych mordercach obudziła

resztę klasy. Ale nadal nikt nie potrafił podać właściwej odpowiedzi. Zawsze wiedziałam, że profesor Bliss

przesadza, ale teraz czułam się urażona. Jak on śmie twierdzić, że nic nie wiem o ceremoniach pogrzebowych!

Widziałam przecież pogrzeb moich rodziców, prawda?

- Ponieważ to jest to, co robimy od wieków - wypaliłam. - Chowamy ludzi po śmierci. Czy wszystko musi

mieć jakiś powód?

- Tak jest. - Pan B. wyjął ołówek zza ucha i zaczął nim wymachiwać. - Zapomnieliśmy, dlaczego grzebiemy

naszych zmarłych! Wyobraź sobie, że żyjesz w starożytności. Twój ojciec umiera, a ty nagle, ni z tego, ni z

owego postanawiasz umieścić go w sześciokątnym pudle, przykryć wiekiem, a potem pochować półtora metra

pod ziemią. Te decyzje nie wzięły się znikąd, moi drodzy. Dlaczego sześciokątne pudło? Dlaczego półtora metra

pod ziemią? I w ogóle, po co pudło? A przecież każde społeczeństwo ma własny, latami wypracowany rytuał

chowania zmarłych! Nikt nie odpowiedział.

Ale zanim pan B. wrócił do wykładu, rozległo się pukanie do drzwi. Wszyscy odwrócili się i zobaczyli stojącą na progu panią Lynch.

- Profesorze Bliss, Brett Steyers proszony jest do gabinetu dyrekcji. W trybie natychmiastowym.

Profesor Bliss skinął głową, Brett wziął swoją torbę i wstał, krzesło zaszurało o podłogę.

Gdy drzwi się zamknęły, pan B. narysował na tablicy mumię, która bardziej przypominała kościotrupa z gry w

wisielca.

- Egipcjanie usuwali mózg przed mumifikacją. Po co to robili, do licha?

Cisza.

- No, zastanówcie się, przecież musiał być jakiś powód! Dlaczego mózg? Co starali się zachować?

Gdy nikt się nie odezwał, sam udzielił odpowiedzi na swoje pytanie.

- Umysł! - zawołał. - Duszę!

Chociaż uważałam i brałam udział w lekcji, większość czasu spędziłam, wymieniając liściki z Eleanor. Mimo

całego entuzjazmu profesor Bliss powtarzał się ze swoją obsesją śmierci i nieśmiertelności. Gdy odwrócił się do

tablicy, żeby narysować hieroglificzny symbol Ra, przeczytałam kartkę od Eleanor.

*Kto jest bardziej słodki:*

*A. Profesor Bliss*

*B. Brett Steyers*

*C. Dante Berlin*

*D. Mumia*

Zaśmiałam się cicho. Moja ręka zawahała się pomiędzy B i C, ale nie byłam pewna, czy można nazwać

Dantego słodkim. Zabójczo przystojny i tajemniczy -owszem, ale słodki? W końcu zaznaczyłam D i dopisałam:

40

„To oczywiste!” I rzuciłam kartkę do Eleanor. Ta przewróciła oczami, napisała coś pod spodem i odrzuciła do

mnie.

„Całowaliście się?”

Napisałam: „Nie”, i odrzuciłam.

Po chwili znowu ostrożnie rozwijałam kartkę na kolanach.

„Czemu z tym zwleka? Może nie wie, jak to się robi?” Uśmiechnęłam się; sama się nad tym zastanawiałam.

„Może mnie nie lubi w ten sposób. Prawie nic o nim nie wiem. Bagatelizuje wszystkie moje pytania i nazywa

mnie przyjacielem”.



Po przeczytaniu odpowiedzi Eleanor wyglądała na zaskoczoną. Zobaczyłam, że zgniata kartkę i wrzuca do

plecaka, a potem poruszyła bezdźwięcznie ustami: „Później”, i zaczęła uważać.

Gdy pan B. znów się odwrócił, żeby napisać coś na tablicy, w rękę uderzył mnie złożony kawałek różowego

papieru i spadł na podłogę. Podniosłam i rozwinęłam. Na kartce widniały wymyślne zawijasy, niepodobne do

pisma Eleanor:

„Gdy ciemność zapadnie i zamkną się oczy.

Otwiera się łańcuch szeptów.

Niech płonie wosk, dając oddech śmierci.

Pokój 21

Piątek, 31 października 23.00"

Rozejrzałam się podejrzliwie po klasie, zastanawiając się, kto mógł to napisać, ale wszyscy wyglądali na

skupionych na tablicy.

- Od ciebie? - szepnęłam do Eleanor.

- Co? - Pokazała mi identyczny kawałek papieru, a potem przyłożyła palec do ust, pochyliła się nad zeszytem i zaczęła szybko przepisywać z tablicy.

Pan B. mówił o kremacji, ale mój umysł oddalił się od śmierci i pochówku. Myślałam o liściku. Zaczęłam

gryzmolić na marginesach zeszytu.

*Renee* napisałam kursywą, potem to samo okrągłymi literami i ozdobnym pismem. Narysowałam księżyc

nad jeziorem, a potem kilka pływających w nim osób. A potem, nie wiadomo dlaczego, napisałam: „Dante”.

Najpierw drukowanymi, potem dużymi, pochyłymi literami, a potem ozdobnie. „DANTE. Dante. Dante”.

Właśnie kończyłam, gdy usłyszałam swoje imię.

- Renee?

Ocknęłam się i zobaczyłam, że pan B. i cała klasa wpatrują się we mnie.

- Ziemia do Renee. Jak nazywały się najbardziej prymitywne grobowce?

W poszukiwaniu odpowiedzi zajrzałam do swoich notatek, ale zobaczyłam jedynie gryzmoły.

- Dante - wypaliłam, odcytując pierwsze słowo, jakie mi się nawinęło. Zaczerwieniłam się i wyjąkałam: -

Przepraszam, chciałam powiedzieć: dolmeny.

Zacisnęłam powieki, mając nadzieję, że się nie mylę i że uniknę dalszej kompromitacji. Co za szczęście, że

Dante nie chodził z nami na te zajęcia.

Pan B. się uśmiechnął.

- Dobra odpowiedź - powiedział i wrócił do tablicy. Narysował schemat kamiennego daszku, który cudem

rozpoznałam. Już do końca lekcji robiłam notatki i siedziałam z pochyloną głową.

Po dzwonku Eleanor i ja wróciłyśmy do naszego pokoju. Gdy dotarłyśmy do niego, okazało się, że drzwi są

otwarte na oścież. Popatrzyłyśmy na siebie wstrząśnięte i weszłyśmy do środka. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko jest w porządku, a jednak papiery w mojej szufladzie biurka były poprzekładane, na regale ktoś poprzesuwał rzeczy, szuflada komody była delikatnie wysunięta. Rzeczy Eleanor wyglądały podobnie.

- Ktoś tu szperał - oznajmiła Eleanor, przeglądając szafę. Stwierdziła, że teraz był jeszcze większy bałagan

niż poprzednio, choć mnie wydawało się to niemożliwe.

Na żadnych drzwiach nie było zamków, ale niepisana zasada głosiła, że nikt nie wchodzi do cudzego pokoju

bez pozwolenia.

- Jak myślisz, co się stało? Może powinniśmy o tym zameldować? A może to Lynch? Wiesz, że mnie nie lubi

- dodałam.

Tknięta nagłym impulsem Eleanor podbiegła do swojej szuflady z bielizną, jakby przypomniawszy sobie o

czymś ważnym. Zaczęła czegoś szukać, wyrzucając zawartość na podłogę, a potem westchnęła.

- Nie. Nie będziemy meldować - odparła, stojąc tyłem do mnie. - Jeśli to nawet nie była Lynch, nie chcę,

żeby próbowała to odzyskać, bo wtedy na pewno przeczyta.

- O czym mówisz? Co zginęło? Odwróciła się do mnie.

- Mój pamiętnik.

## Szepty

Jak twierdził profesor Bliss, pewne kultury uważały piątek za dzień pechowy, zwłaszcza wtedy, kiedy wypadał w Halloween. Jednak to, co wydarzyło się w ten piątek, przeszło moje oczekiwania. Nie jestem przesadna,

nie boję się cmentarzy ani klątw. Właściwie odkąd zmarli moi rodzice, czułam, że nic mnie już nie zaskoczy.

Wszystko, o czym opowiadali tutejsi nauczyciele, brzmiało makabrycznie i niesamowicie; gdziekolwiek

spojrzałam, widziałam śmierć: ćmy w pajęczynie pod kaloryferem, martwe pszczoły na parapecie, uschnięte

41

liście dębów chrzęszczące pod moimi butami niczym żuki. A jednak się nie bałam. Nie wierzyłam w życie po

śmierci, a już na pewno nie wierzyłam w duchy.

Ten piątek był wietrzny i ponury. Ciężkie chmury wisały nisko nad ziemią, czarne i ciężkie od deszczu. W

akademii nie obchodzono Halloween, tak jakby specjalnie ignorowano to święto. Uważałam to za dziwactwo,

ale akceptowałam je, ten dzień był dla mnie wystarczająco niesamowity. Nie wychodziłam z akademii, za

oknami szalała burza. Eleanor opowiedziała Brandonowi o skradzionym pamiętniku, ale nie nie mógł zrobić. Za

to wiedział, że Lynch go nie zabrała - gdyby tak było, dowiedziałby się o tym, w końcu należał do Straży

Uczniowskiej.

- Co takiego straszego tam pisałaś? - spytałam Eleanor.

- Wszystko.

Próbowałam wyciągnąć z niej jakieś szczegóły, ale się wykręcała.

- Mam tylko nadzieję - westchnęła w końcu - że ktokolwiek go czytał, zachowa to dla siebie. Bo jeśli to

wyjdzie na jaw, zabiję się.

Nadal się nie domyślałam, kto podrzucił mi tamtą różową kartkę na historii, ale zachowanie mojej współlokatorki upewniło mnie, że wie, co znaczy ta rymowanka. Wprawdzie wpadłam na to, że 21F to pokój Genevieve Tart, ale nie miałam pojęcia, po co miałyśmy tam iść. Usiłowałam być cierpliwa, ale Eleanor wystawiała

moją cierpliwość na poważną próbę.

- Czy to ma coś wspólnego z Halloween? - spytałam, ale ona milczała. - No powiedz wreszcie! Przecież

mamy piątek, więc i tak dowiem się lada chwila. Czemu po prostu mi nie powiesz? Czy to taka straszna

tajemnica?

- Zaczekaj i zobacz - odparła Eleanor, siedząc na łóżku w szkolnym ubraniu z książką na kolanach; pokój

oświetlała jedna jedyna świeca. - Poza tym, jeśli ci powiem, to nie pójdziesz. A jeśli nie pójdziesz, będziemy

miały za mało osób. A jestem pewna, że ci się spodoba.

- To bez sensu. Skoro uważasz, że mi się spodoba, to dlaczego mam się nie zgodzić?

- Bo stwierdzisz, że to głupie. Poza tym nie lubisz nowości.

- Jak to? - Poczulałam się urażona. - Nieprawda! Eleanor przewróciła oczami.

- Nie lubiłaś mnie i Dantego, i nie lubiłaś akademii. Westchnęłam, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć,

ktoś zastukał w ścianę nad łóżkiem Eleanor. Była dwudziesta druga czterdzieści pięć; znieruchomiałymy,

nasłuchując. Pukanie rozległo się znowu, a potem jeszcze dwa razy. Eleanor była podekscytowana.

- Już czas! - Otworzyła swoją szufladę i wyjęła dwie świece. - Jesteś gotowa?

Spojrzałam na nią sceptycznie, pokój 21F był na piątym piętrze, a my znajdowaliśmy się na trzecim.

- Dobra - rzuciła pojednawczo Eleanor. - Powiem ci coś, ale musisz obiecać, że pójdziesz.

Skinęłam głową.

- Genevieve Tart i kilka innych dziewczyn organizują tajne spotkania. Zapraszają tylko te osoby, które, zdaniem Genevieve, mają potencjał, cokolwiek to znaczy.

- Co się tam robi?

- Każde spotkanie wygląda inaczej i czasem dziewczyny nie są zapraszane ponownie. A ty dostałaś szansę,

więc nie mów głupstw.

Oparłam ręce na biodrach i zapytałam:

- Czemu miałabym powiedzieć coś głupiego? Słyszałaś, żebym kiedyś mówiła coś głupiego? Świat się nie

zawali, jeżeli mnie już więcej nie zaproszą.

Eleanor pokręciła głową i związała włosy w luźny kucyk.

- Widzisz? O to mi właśnie chodzi.

- Dobra. Będę grzeczna. Mogę w ogóle się nie odzywać. Jak chcesz się prześliznąć obok Lynch?

Eleanor uśmiechnęła się szatańsko.

- Zobaczysz. - Odpięła spódnicę.

- Co robisz? - spytałam zaskoczona.

- Nie chcę zniszczyć ubrania - odparła, zdejmując pończochy. - Ty też powinnaś się rozebrać, tam będzie

brudno.

- Gdzie? - Uniosłam brwi.

Do tej pory myślałam, że kominek w naszym pokoju to atrapa, ale okazało się, że jest zupełnie inaczej. Eleanor

wrzuciła do torby dwie świece, przekręciła w lewo metalową gałkę obok półeczki nad kominkiem i otworzyła

szyb. Do pokoju wpadły zimne powietrze i kurz. Powachlowałam się ręką, a potem spojrzałam w górę szybu;

na moją twarz spadło kilka płatków sadzy.

- Robiłaś to już kiedyś? - spytałam Eleanor.

- Nieustająco.

Spojrzałam na nią podejrzliwie. Nigdy nie widziałam, żeby tu wchodziła.

- Poza tym, to jedyna droga - szepnęła konspiracyjnie, jakby czytała mi w myślach. Potem w podkoszulku i

różowych figach weszła do kominka i się podciągnęła. Patrzyłam, jak znika. Tułów, nogi, a potem stopy.

Rozebrałam się i włożyłam piżamę (szorty i stary podkoszulek), i poszłam w jej ślady.

W przewodzie kominowym było tak wąsko i tak dużo sadzy, że z trudem się zmieściłam. Metalowe szczebelki przymocowane po jednej stronie tworzyły prowizoryczną drabinę.

- Tylko nie spadnij - ostrzegła Eleanor, jej głos odbił się od ceglanych ścian.

Spojrzałam w dół. Szyb biegł od piwnicy do dachu, łącząc nasz pokój z innymi pomieszczeniami, poniżej i

powyżej. Zaśmiałam się nerwowo i mocniej zacisnęłam ręce na rurkach. Dokoła fruwały strzępy pozrywanych

pajęczyn, wplątując mi się we włosy. Zaczęłam się wspinać, szorując kolanami o ścianę.

W końcu dotarliśmy na dach. Smołowana powierzchnia była miękka i nagrzana słońcem, wokół nas wznosiło się kilkanaście innych kominów.

- Te szczebelki wykorzystuje się do czyszczenia kominów - wyjaśniła Eleanor. - Trzeci komin na prawo, a

teraz dwa w bok. To ten - oznajmiła w końcu i zaczęła schodzić w dół.

Schodzenie szło nam szybciej niż wchodzenie. Eleanor liczyła cicho szczebelki - piętnaście, czternaście,

trzynaście, dwanaście - i w końcu się zatrzymała.

- Wydawało mi się, że Genevieve Tart należy do Straży Uczniowskiej - zdziwiłam się. - Czy nie powinna

przestrzegać reguł?

Eleanor spojrzała na mnie, wokół oczu miała sadzę.

- O to chodzi. Lynch nie będzie jej podejrzewać. -Dwa razy zastukała stopą w ścianę szybu, który po chwili

otworzył się ze skrzypnięciem. - Poza tym - dorzuciła, zanim wysliznęła się przez wąski otwór prowadzący do

kominka - to był jej pomysł.

Pokój zalany był światłem świec. Siedem świeczek ustawiono w niepełnym kręgu, siedem dziewczyn siedziało przy nich. Kilka z nich znałam z zajęć, parę chodziło do pierwszej klasy. Widywałam je, ale nigdy z nimi

nie rozmawiałam. Wszędzie były nogi. Długie, szczupłe nogi Maggie, oparte o ramę łóżka, gdy rozmawiała z

Katherine. Mocne uda Greta na dywanie, przykryte czasopismem, blade kolana Charlotte oparte o jej własne

łóżko, gdy Rebecca zaplatała jej warkocz, zarys nóg Bonnie był widoczny przez piżamę, gdy otwierała okno. I

wreszcie długie opalone nogi Genevieve, które wystawały spod niebieskich szortów.

-

Nareszcie. - Greta zamknęła czasopismo. Eleanor wytarła ręce o jej uda.

- Przyszliśmy ostatnie? - spytała, zapalając swoje świece i ustawiając je na podłodze obok reszty. Charlotte

skinęła głową. Była współlokatorką Genevieve, miała duże oczy i kręcone włosy. Ściany nad jej łóżkiem były

obwieszane plakatami aktorów i piosenkarzy, między innymi był tam David Bowie, który teraz spoglądał na

mnie badawczo.

Ta część pokoju, w której mieszkała Genevieve, była zupełnie inna, różowa i schludna, z obsesyjnym zamiłowaniem do porządku. Wszystkie przedmioty miały swoje miejsce: kosmetyki na komodzie stały w perfekcyjnej

symetrii, zeszyty i teczki na biurku były ułożone kolorami, zdjęcia na ścianie oprawione w ramki i starannie

rozmieszczone.

Eleanor usiadła pomiędzy dziewczynami i przedstawiła mnie:

- Jeśli ktoś jeszcze nie wie, to Renee, moja współlokatorka.

Genevieve uśmiechnęła się do mnie wymuszenie.

- Wiemy, kim jest. Inaczej by się tu nie znalazła. -Przyjrzała mi się i dodała: - Dyrektorka często o tobie

mówi, podobno jesteś jedną z najlepszych uczennic na zajęciach z ogrodnictwa na swoim roku.

Spojrzałam na nią zaskoczona. Nigdy nie rozmawiałam z dyrektorką, jakim cudem mogła o mnie wiedzieć?

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, wtrąciła się Eleanor.

- I chodzi z Dantem Berlinem - dodała z uśmiechem, jej niebieskie oczy się rozszerzyły. Wszystkie dziewczyny patrzyły na mnie zdumione.

Genevieve podniosła głowę.

- Naprawdę?

- Nie chodzimy ze sobą - wyjaśniłam, czerwieniąc się - po prostu jesteśmy przyjaciółmi.

Eleanor przewróciła oczami.

- Dante ma fioła na jej punkcie. Nawet uczy ją łaciny.

- Nieprawda. To znaczy, rzeczywiście mnie uczy, ale tylko dlatego, że jestem beznadziejna z łaciny.



Skąd

dyrektorka mnie zna, przecież nigdy z nią nie rozmawiałam?

Eleanor wzruszyła ramionami.

- Może pani Mumm opowiadała o tobie.

- Jesteś pewna, że ty i Dante tylko się przyjaźnicie? - Charlotte odrzuciła włosy na ramiona. - W końcu łacina

to język romansów, prawda?

- Nie bądź głupia - prychnęła Genevieve. - Łacina to łacina.

Ta uwaga chyba ubodła Charlotte.

- Ale języki romańskie są oparte na łacinie, no nie?

- To martwy język - oznajmiła Genevieve z ręką na biodrze. - Tak samo jak ludzie, którzy nim mówili.

W pokoju zapadła cisza. Genevieve wstała i odchrząknęła.

- No dobra, gotowe? - Po czym otworzyła oprawioną w skórę książkę zatytułowaną *Rozmowa z umarłymi* i

zaczęła czytać: - „Usiądźcie w kole. Niech każda ustawi przed sobą świecę, by powstały dwa koncentryczne

kręgi”.

Kilka sekund zajęło mi zrozumienie, co będziemy robić.

- Seans spirytystyczny? Naprawdę? - zapytałam szeptem Eleanor, gdy usiadłyśmy. Miała rację: rzeczywiście

to był głupi pomysł, ale teraz nie mogłam się już wycofać. Skupiłyśmy się w kole wokół świec. Eleanor siedziała

po mojej lewej stronie, Genevieve po prawej. Nasze cienie migotały na ścianach.

- „Po spaleniu złożone w ofierze ciało powinno stworzyć trójkąt” - odczytała Genevieve.

Uszczypnęłam Eleanor.

- Au! - pisnęła.

Genevieve spojrzała na nią groźnie.

Puściła w obieg metalowe nożyczki, każda z nas odcięła kosmyk włosów i trzymała go nad płomieniem

świeczki, aż zajął się ogniem. Pokój wypełnił zapach palonych włosów. Eleanor skrzywiła się, a ja zakasłałam i

machnęłam ręką, rozwiewając dym, Genevieve nawet nie drgnęła. Później bez pytania zdjęła narzutę z łóżka

Charlotte i rozłożyła na podłodze. Gdy już włosy spłonęły, wzięła świeczkę i z kapiącego wosku utworzyła

wielki trójkąt na kapie.

Charlotte krzyknęła.

43

- Spokojnie - odparła Genevieve. - To tylko parafina, zejdzie bez problemu. A teraz każda z nas musi się

skoncentrować na obiekcie, chodzi oczywiście o zmarłego. Ja i Charlotte zdecydowałyśmy, że będzie to pierwszy dyrektor akademii, Bertrand Gottfried.

W tym momencie odezwała się Eleanor.

- Dlaczego to ty decydujesz?

- Bo to ja zorganizowałam nasze spotkanie. Poza tym nie wiadomo, czy to zadziała.

- Ale ja nie chcę z nim rozmawiać.

-Masz lepszy pomysł? Eleanor się zastanowiła.

- A może wywołać kogoś znanego? - rzuciła, a potem mrugnęła do mnie. - Albo Benjamin Gallowa? Dopiero teraz zrozumiałam, co knuje Eleanor. Uśmiechnęłam się do niej.

Genevieve westchnęła z irytacją.

- I co, chcesz go spytać, jak umarł? Wszyscy wiemy, jak to się stało! To był atak serca.

Zapadła długa cisza, wszystkie dziewczyny udawały, że nie słuchają.

- Ja też nie mam ochoty rozmawiać z dyrektorem -odezwałam się. - A może każda z nas wybierze sobie

własny obiekt? - Rozejrzałam się, szukając aprobaty, ale wszystkie dziewczyny spuściły wzrok.

Genevieve westchnęła.

- Niech będzie. - Otworzyła książkę i zaczęła mówić, przyglądając się tekstowi: - Każda z nas musi pomyśleć

o kimś, kto nie żyje, a gdy już to zrobi, powinna skoncentrować się na tej osobie tak mocno, jak tylko się da.

Tutaj jest napisane: „Obiekt, który wybierzesz, powinien być kimś, z kim wiązały cię bliskie stosunki lub o kim

wiesz bardzo dużo. Żeby przywołać go ze świata zmarłych, musisz go zwizualizować. Powtarzaj w myślach

jego imię, a gdy już usłyszysz jego głos, po cichu zadaj pytania". - Genevieve popatrzyła na nas ponuro. -

Wszystko jasne?

- A jeśli nie usłyszymy żadnego głosu? - zaniepokoiła się Eleanor.

- Jeśli wszystko zrobisz jak trzeba, to się uda - odparła wymijająco Genevieve. - A teraz zamykamy oczy

Owyobrażamy sobie nasze obiekty.

Zamknęłam oczy i pomyślałam o rodzicach; Genevieve zaczęła mówić po łacinie. Usiłowałam wyobrazić

sobie mamę siedzącą z książką na kolanach i ojca jedzącego tost, kiedy rozwiązywał krzyżówki. Ale po chwili

ich obrazy odpłynęły. Gdy tak siedziałam w pokoju Genevieve w otoczeniu świec i dziewczyn, których prawie

nie znałam, czułam się tak daleko od moich rodziców, że nie potrafiłam przywołać żadnego wspomnienia. To

było tak, jakby nigdy nie istnieli, jakby byli jedynie zjawami ze snu.

Uchyliłam powieki i się rozejrzałam. Wszystkie dziewczyny miały zamknięte oczy i koncentrowały się na swoim obiekcie. Znowu usiłowałam się skupić, ale obraz rodziców odpłynął, za to pojawił się ktoś, o kim

myślałam bezustannie od chwili zjawienia się w Akademii Gottfrieda. Dante.

Wyobraziłam go sobie w bibliotece, jak prowadzi mnie między regałami, jego nogi dotykają moich,  
gdy

siedzimy w ciemności. Zaczerwieniłam się na samo wspomnienie. Gdzie on teraz jest? Pewnie w  
swoim pokoju

w Attica Falls, może śpi, a może czyta. Ciekawe, czy też o mnie myśli?

I wtedy przez okno wpadł powiew wiatru, zatłukł okiennicami i zaszeleścił papierami na biurku  
Gene-vieve.

Świece zamrugały.

Szept narastał wokół nas niczym jesienny wiatr, powietrze wypełnił cichy pomruk głosów, choć  
żadna z nas nic

nie mówiła. Moje ciało drgnęło mimowolnie. Pochyliłam się do Genevieve i przysunęłam dłoń do  
jej ucha,

jakbym chciała powierzyć jej jakąś tajemnicę. Moje usta zaczęły się same poruszać, formując  
dziwne, chaotyczne

słowa czy raczej dźwięki, których nie umiałam powstrzymać, tak szybko wypływały. Nawet mój głos  
się

zmienił, był głęboki, jakby należał do kogoś innego. Chciałam przestać mówić, ale nie panowałam  
nad ustami

ani nad językiem.

Jedna po drugiej, każda dziewczyna nachylała się do swojej sąsiadki po lewej stronie i szeptała jej  
coś do

ucha. To wyglądało, jakbyśmy bawiły się w głuchy telefon.

A potem poczułam, że coś mnie łaskocze. Nim zdążyłam się odwrócić, ktoś zaczął do mnie mówić.  
To była

Eleanor, ale głos był niski, głęboki i najwyraźniej męski. Tata? Byłam tak wstrząśnięta, że  
kompletnie zapomniałam o tym, że jednocześnie szepczę do Gene-vieve. Jedyne, czego pragnęłam, to  
słuchać. W mojej głowie

pojawiło się milion pytań, wybrałam najważniejsze i skoncentrowałam się na nim. Jak umarłeś?

Zapadło milczenie, teraz słyszałam już tylko oddech Eleanor, głęboki i chrapliwy. A potem pojawił!

się

dźwięk, który przeszedł w następny i jeszcze następny. Słowa płynęły niczym strumień, bardzo szybko,

przemieniając się w miejsca, zapachy, uczucia i smaki.

Ocean. Poczułam ostry wiatr na mojej skórze. Poczułam deszcz, który spada na asfalt i przemienia się w parę.

Słyszałam mewy kołujące nad przystanią i szum przyływu uderzającego o brzeg.

W moim umyśle pojawił się obraz człowieka tonącego w oceanie. Był w zatoce za przycumowanymi łódkami. Coś wciągało go pod wodę. Pojawił się na powierzchni, młócąc rękami fale zamykające się nad nim.

Pomyślałam, że to musi być tata, nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego tonie i gdzie jest mama. Nim zdążyłam

się zastanowić, obraz zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Mój mózg pracował teraz na najwyższych obrotach. Gdzie jesteś?

W moim umyśle pojawił się nowy obraz. Bardzo stare drzewo z długimi zwisającymi gałęziami. Wyglądało

znajomo... Skoncentrowałam się, usiłując zrozumieć, gdzie je wiedziałam. W Kalifornii? Może w lesie sekwojowym, a może obok domu przyjaciół? Po raz pierwszy od miesiący zaczęłam intensywnie przypominać sobie

miejsca, o których nauczyłam się nie myśleć, ale żadne z nich nie pasowało do drzewa z obrazu.

Wreszcie Eleanor umilkła.

W tym samym czasie moje usta również przestały się poruszać, dźwięki umilkły. Odzyskałam kontrolę nad

rękami i oderwałam je od ucha Genevieve; spróbowałam poruszyć językiem i ku wielkiej uldze zrozumiałam,

że to możliwe. Pozostałe dziewczyny również wyglądały na zaskoczone; przez dłuższą chwilę wszystkie

siedziałyśmy w milczeniu, zastanawiając się, co się właściwie wydarzyło, dopiero później zaczęłyśmy mówić

jedna przez drugą.

Bonnie słyszała swoją babcię, która zmarła cztery lata temu. Charlotte rozmawiała z Kurtem Cobainem i

wyglądała, jakby miała zemdleć z wrażenia. Gretę nawiedził jej dawny trener od tenisa. Maggie - jej cioteczna

44

babka, a Eleanor - Audrey Hepburn. Chciałam zapytać o różne rzeczy, ale byłam zbyt wstrząśnięta tym, że

udało mi się przywołać mojego ojca ze świata zmarłych. Kilka dziewczyn chciało się dowiedzieć, z kim rozmawiałam. Odpowiedziałam coś bez sensu i cały czas usiłowałam zrozumieć, co się właśnie stało i co to znaczy zatoka, tonięcie, drzewo...

Pogrążona w myślach wyjrzałam przez okno; wychodziło na jezioro, przy którym rosły świerki i olbrzymi

dąb. W jednej chwili wszystko zrozumiałam. Byłam zdziwiona, że wcześniej na to nie wpadłam.

Właśnie zbierałam się do wyjścia, gdy Eleanor pociągnęła mnie za rękę.

- Musimy pogadać - powiedziała bardzo poważnie. Spojrzałam na nią zaskoczona i odsunęłam włosy z twarzy.

- Może później?

- Nie. - Przyglądała mi się bardzo uważnie. - Co się stało?

- Muszę stąd wyjść. - Czułam, jak moje kolana ocierają się o siebie, gdy niecierpliwie przestępowałam z nogi

na nogę.

Eleanor nie odrywała ode mnie wzroku.

- Możesz zejść kominem do piwnicy - poradziła. - Ale dlaczego? Co się stało?

- To... To zadziałało. Naprawdę. Rozmawiałam z moim ojcem i... po prostu muszę wyjść. Wyjaśnię ci później.

- Będziesz wiedziała, jak wrócić? Chcesz, żebym z tobą poszła?

- Nie martw się, jakoś sobie poradzę. Spotkamy się już w pokoju, dobrze? - Zagryzłam wargę.

- Dobrze - odparła ostrożnie. - Jak miniesz piec, znajdziesz schody pożarowe prowadzące na tyły

budynku.

Alarm się nie włączy, nie działa od lat.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością.

- Dzięki.

-

Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszła? Pokręciłam głową.

- Do zobaczenia w pokoju - rzuciłam.

Schodziłam szybem, dopóki nie dotarłam do piwnicy. Przecisnęłam się przez otwór w kominku i postawiłam stopy na ziemi. Z rur wydobywała się para, wypełniając pomieszczenie sykiem oraz zapachem pleśni i

prania. Schowałam się za wielką belką i rozejrzałam, czy pani Lynch nie kręci się po korytarzu. Po lewej stronie

miałam piec, po prawej pralki, przede mną ciągnął się długi korytarz. Wszystko wokół mnie wydawało się

zrobione z blachy falistej, wszędzie były przerdzewiałe rury, z których kapał podejrzany płyn, tworząc na podłodze żółte plamy. Poza tym pomieszczenie było puste. Policzyłam do trzech i ruszyłam. Staralam się ominąć

spadające krople. Po chwili dotarłam do zardzewiałych metalowych schodów prowadzących do wyjścia

ewakuacyjnego.

Powietrze było zimne, zadrzałam. To mi przypomniało, że mam na sobie tylko podkoszulek i szorty.

Wiedziałam, że nikt mnie nie zobaczy, ale i tak byłam skrępowana. Co za idiotyczna sytuacja. Być może

zmarznę na kość, zanim w ogóle dotrę do skweru. A jeśli Eleanor wywoła kiedyś mojego ducha, zobaczy mnie,

jak skradam się w gaciach po kampusie.

Ale co mogłam zrobić? Minęłam jezioro i drzewa, zanim zobaczyłam olbrzymi dąb. Jego sękaty pień wydawał się jeszcze grubszy bez liści, a gałęzie upodobiły się do korzeni. To było to samo drzewo, które zobaczyłam podczas seansu.

Z ciemności za posągami wielkiej niedźwiedzicy wyłoniły się dwie postacie. Zmrużyłam oczy, chyba kobieta

i mężczyzna. To musieli być moi rodzice! Bez zastanowienia zaczęłam biec w ich stronę. Chyba szli do sypialni

dziewcząt, może chcieli się tam ze mną spotkać? Powiew wiatru przyniósł głosy, zadygotałam z zimna i

skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Mamo?! - zawołałam, podchodząc bliżej. - Tato?!

Na dźwięk mojego głosu zastygli, a potem się odwrócili. I wtedy z przerażeniem zrozumiałam, że to wcale

nie są moi rodzice, że stoję oko w oko z Gide-onem i Vivian.

- Prze... przepraszam. - Cofnęłam się. - Wzięłam was za kogoś innego.

Vivian rozejrzała się dzikim wzrokiem, jakbym przyłapała ją na miejscu zbrodni. Gdy upewniła się, że jestem

sama, szepnęła coś do Gideona i oboje spojrzeli na mnie. Dlaczego byli na dworze w środku nocy, w tych

swoich starodawnych garniturach?

O czym rozmawiali i czemu zawsze wyglądali na takich złych?

Nic się nie stało, pocieszyłam się w myślach. To tylko uczniowie. Co mogliby mi zrobić?

Gideon powiedział coś do Vivian po łacinie, ona skinęła głową i zaczęła iść w moją stronę. Niebo przecięła

błyskawica, zaczęłam się cofać i wtedy poczułam, że ktoś za mną stoi. Czyjeś dłonie zamknęły się na moich

nadgarstkach i pociągnęły mnie do tyłu. Od razu rozpoznałam ten dotyk.

- Dante! - Ale moje słowa zagłuszył ryk wiatru.

- Stań za mną - polecił, zasłaniając mnie, jego głos był niski i stanowczy. A potem zwrócił się do Gideona

1 Vivian: - Co robicie na dworze po godzinie policyjnej?



Vivian zmrużyła oczy.

- Mogłabym spytać cię o to samo - odparła; po raz pierwszy słyszałam, jak mówi po angielsku, zabrzmiało

to zgrzytliwie i nieprzyjemnie.

Gideon stanął za nią i położył jej rękę na plecach. Odezwał się do Dantego po łacinie. Po chwili zastanowienia Dante odpowiedział.

O czym rozmawiali? Staralam się patrzeć na Gideona i Vivian, ale jedyną osobą, którą widziałam, był Dante.

Stał przede mną i ścisnął moje nadgarstki. Moje ramię pulsowało zimnem, znajome uczucie, które nawet

zaczynałam lubić. To było niezrozumiałe, dziwne, niesamowite. Czułam leśny zapach jego skóry, jego koszula

dotykała mojego ciała, gdy oddychał. Przesunęłam się i niemal dotknęłam jego nóg.

Dante niespodziewanie odwrócił się do mnie:

- Chodźmy - rzucił, zerkając przez ramię na swoich byłych przyjaciół, którzy zaczęli się oddalać.

- Co im powiedziałaś? - spytałam. Szliśmy w stronę internatu dla dziewcząt.

- Nic takiego. Tylko tyle, że przyszedł tam po to, żeby się ze mną spotkać.

Co nie było prawdą.

45

- Co tu robiłaś?

Dante wbił wzrok w ciemność.

- Ktoś idzie.

Drzwi wejściowe się otworzyły i na progu stanęła pani Lynch. Musiała słyszeć, jak rozmawiamy, bo patrzyła

w naszą stronę.

Cofnęliśmy się za drzewa, gdy niebo rozdarła błyskawica. Oczy Lynch spotkały się z moimi - dostrzegłam ich

dziki błysk.

- Zobaczyła mnie - szepnęłam.

Za nami huknął grom, niebo pojaśniało na chwilę i lunął deszcz.

- Chodź - syknął Dante. Zadrżałam, gdy wziął mnie za rękę. Moje palce splotły się z jego palcami.

Biegliśmy przez skwer w ulewnym deszczu, przez błoto i kałuże, dopóki nie dopadliśmy Kolegium Horacego.

Dwuskrzydłowe drzwi były zamknięte, Dante pochylił się do zamka, a ja wpatrywałam się w deszcz, czekając,

aż pojawi się pani Lynch. Z nosa kapłała mi woda.

- Pewnie już tu idzie. Co zrobimy? - szepnęłam. Ledwie zdążyłam to powiedzieć, gdy rozległ się szczęk i

Dante otworzył drzwi.

-Panie przodem - odparł z uśmiechem. Wśliznęliśmy się do środka, drzwi się zamknęły.

W nocy Kolegium Horacego wyglądało zupełnie inaczej. Panowała tu taka cisza, że słyszałam, jak z moich

włosów skapuje woda, gdy Dante prowadził mnie na górę do ciemnej klasy, w której zwykle uczyłam się łaciny.

- Co się stało? - zapytałam drżącymi wargami. -Czemu byłeś na dworze?

- Śledziłem ich.

Dante wyrzwał przez okno, upewniając się, że pani Lynch nie idzie za nami, a potem odwrócił się ode mnie.

Byłam wstrząśnięta, że w końcu udzielił prostej odpowiedzi. Musiał dostrzec moje zaskoczenie, bo się

uśmiechnął.

- Wiedziałem, że nie odpuszczisz, dopóki tego nie zrobię. Ciebie też śledziłem, gdy zrozumiałem, że tam jesteś.

- Dlaczego?

- Myślę, że oni coś knują. Nie, nie wiem co. Nie jestem przyzwyczajony do przesłuchań, więc bądź wyrozumiała.

Nadal był w szkolnym stroju. Niebieska koszula, teraz mokra, przyklejała się do jego ciała.

Przejechał ręką

po włosach, strząsając wodę i ocierając twarz.

Przesunął wzrokiem po moim ciele, a jego oczy zabłyśły. Przypomniałam sobie, że jestem w piżamie, i poprawiłam przemoczony i prześwitujący podkoszulek.

- Co? - rzuciłam nonszalancko. Dante się zaśmiał.

- Nic - odparł, kręcąc głową. - Odnoszę niejasne wrażenie, że twój strój nie odpowiada regulaminowi szkoły,

ale nie mogę zrozumieć dlaczego.

- Nie wiedziałam, że wybieramy się na lekcję.

- Wiesz, jako twój nauczyciel mógłbym kazać ci napisać sto razy...

- Co takiego miałabym napisać? - spytałam wyzywająco.

Podszedł do mnie.

- *Cupido* - powiedział. Jego głos brzmiał teraz inaczej. Był głęboki i mocny, jakby to nie był zwykły rzeczownik, lecz rozkaz.

Wzięłam do ręki kawałek kredy.

- Jak to się pisze? - spytałam drżącym głosem.

Dante objął palcami moją dłoń i zaczął ją prowadzić. Poczułam dreszcze biegnące w górę ręki, zadrżałam.

- Co to znaczy? Teraz stał tuż za mną.

- Wyjątkowość łaciny polega na tym, że dzięki niej możesz więcej wyrazić. Słowa, czasy... Są inne, żyją

własnym życiem, łatwiej jest przekazać to, co myślisz. Chciałaś kiedyś coś powiedzieć, ale brakowało ci słów?

Skinęłam głową. Zdarzało się to głównie wtedy, gdy byłam z nim.

- Czy mogę coś zrobić? - szepnął.

Odwrócił mnie do siebie, potem przesunął ręką po moim policzku, bawił się kosmykami włosów, jego palce

muskały moją skórę. Nagle zaniemówiłam, zdołałam tylko przełknąć ślinę i skinać głową. Moje serce zaczęło bić

szybciej, wszystko we mnie drżało niczym liście poruszane jesiennym wiatrem. Oddychałam płytko i urywanie.

Moje nogi poruszyły się same, przybliżyłam się do niego. Dłonie Dantego zjechały na moją talię. A potem

nagle, z niemal niekontrolowaną siłą przycisnął mnie do zimnej tablicy. Splótł palce z moimi i nasze wargi

niemal się dotknęły. Jego ciemne oczy wodziły pożądliwie po moim ciele. Wydawał się dziki i niebezpieczny,

nawet gdybym chciała go odepchnąć, nie zdołałabym. Zamknęłam oczy, spodziewając się, że zaraz mnie

pocałuje, ale nie zrobił tego. Jego uścisk osłabł, dłonie przesunęły się delikatnie po moich włosach, gdy całował

moje ramiona, szyję, ręce. Zamknęłam oczy, wstrzymując oddech. Czułam jego usta na swojej skórze, jego ręce

na moich plecach, przeszył mnie dreszcz, jak wtedy, gdy przejedziesz paznokciem po tablicy.

- Renee - wymówił moje imię tak, jakby się go uczył.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie znalazłam słów, które oddałyby to, co czuję. Wszystkie wydawały mi się

nieadekwatne. Myślałam, że wiem, jak to jest, gdy ktoś cię dotyka, całuje, obejmuje, ale to było coś zupełnie

innego.

Wyciągnęłam ręce do jego twarzy. Błądziłam po niej palcami, dotykając nosa, oczu, warg, usiłując utrwalić

go w pamięci. Przyciągnął mnie do siebie, bez zastanowienia przysunęłam usta do jego ust.

Ale zanim nasze wargi się spotkały, odwrócił głowę.

- Nie w usta.

Nagle całe napięcie opadło.

- Co?

- Czujesz się dziwnie, gdy jesteś obok mnie? Skinęłam głową.

- Powiedz jak?

- Skóra zaczyna mi mrowić i drętwieć, zupełnie jakbym zamarzała. Czy ty też to czujesz?

46

Ujął moją rękę i przesunął po swojej, potem zamknął oczy.

- To pożądanie - stwierdził. - Tak, ja też to czuję. Oparłam się o tablicę, moja twarz płonęła.

- Dlaczego mnie nie pocałujesz?

Jego dłoń sunęła po mojej nodze, czułam, że topnieję jak wosk.

-Pragnę tego. Zawsze tego pragnęłam. Ale proszę, zaufaj mi.

- Dlaczego czuję się tak dziwnie, gdy jestem obok ciebie?

Oparł czoło o moje czoło, jego włosy dotykały moich policzków.

-

Nie wiem. Deszcz przestał padać.

- Chodźmy - szepnął. - Zaprowadzę cię do domu.

Na tablicy zostały nasze odciski palców, kredowy zarys sylwetki i rozmazane łacińskie wyrazy. Dante wziął

mnie za rękę i oboje wyszliśmy z budynku w ciemną noc. Nie rozmawialiśmy, nie było takiej potrzeby. Oboje

wiedzieliśmy, że pewnych rzeczy nie da się wyrazić słowami.

- Gdzie byłaś?! - zawołała Eleanor. Krążyła po pokoju, gdy wyszłam z kominka. - Jesteś kompletnie przemoczona!

- Byłam na dworze. A potem w Kolegium Horacego.

- Gdzie? Po co? I dlaczego uciekłaś?

Gdy wycierałam twarz ręcznikiem, opowiedziałam jej o moich rodzicach, o Vivian i Gideonie, o Danem, ich

rozmowie po łacinie, o pani Lynch i w końcu o tym, jak byliśmy w klasie.

- Czekaj, czekaj, zwolnij. Obściskiwałaś się z Dantem Berlinem?

- Tak jakby.

Popatrzyła na mnie pytająco, czekając na dalszy ciąg-- No i co, było fajnie?

Zastanowiłam się nad tym wszystkim. Dlaczego mojego ojca nie było pod drzewem? Co zaszło między

Dantem i jego eksprzyjaciółmi? Czemu Dante mnie nie pocałował? To było peszące i przerażające, niewytłumaczalne i zastanawiające. I dziwnie cudowne. Nie potrafiłabym stwierdzić, czy mi się podoba, czy

nie. To, co czułam, było zbyt delikatne, żeby wyrazić to słowami.

- To było nierealne.

- Czyli myślałaś, że spotkasz rodziców, ale zamiast nich natknęłaś się na Dantego, Vivian i Gideona?

Skinęłam głową.

- Nie wiem, czemu nie było tam mojego ojca.

- Może źle odczytałaś znaki? Albo osoba, którą wywołałaś, to nie był twój ojciec.

- To na pewno był on. No bo niby kto inny? Eleanor wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

Pomyślałam, że Eleanor podsunie mi kilka pomysłów, zażąda szczegółów, jak to zwykle robiła, ale zamiast

tego usiadła przy swoim biurku i wyjrzała przez okno.

Otarłam policzki rękami i zaczęłam wyżymać włosy, gdy zauważyłam, że stoi przed moim łóżkiem.

- Co się stało? - zdumiałam się.

- A teraz zapytaj, jak mi poszło.

Poczułam wyrzuty sumienia. Bezustannie opowiadałam o sobie, o swoich problemach, nie pytając Eleanor, co u

niej.

- Masz rację. Przepraszam cię, jestem okropna. Jak ci poszło?

Eleanor usiadła po turecku na moim łóżku.

- Wywołałam Benjaminą Gallowa.

Właśnie zdejmowałam podkoszulek, gdy dotarło do mnie, co powiedziała, i zastygłam.

- I? - Mój głos stłumiło ubranie.

- I pojawiły się komplikacje.

- Co to znaczy? - spytałam, zaplątując się w bluzę. W końcu udało mi się ją wciągnąć.

- Nie wiem. Chyba coś zrobiłam nie tak. Najpierw pomyślałam o nim, potem o nim i o Cassandrze, a potem

tylko o Cassandrze, choć przecież ona nie jest martwa. A potem przywołałam ich oboje.

- Ale przecież to niemożliwe! Cassandra żyje, została tylko przeniesiona!

- Tylko że ona mówi co innego.

## Kłątwa Gottfrieda

W poniedziałek rano budzik wyrwał mnie z najpiękniejszego snu, jaki miałam od miesiący. Promienie jesiennego słońce wpadały przez okna. Przeciągnęłam się pod kołdrą, uśmiechając się do siebie, gdy Dante całował moje nadgarstki, ręce, ramiona i szyję.

-Kocham cię - wyszeptałam, przeczesując palcami włosy.

Pochylił się nade mną i właśnie wtedy się obudziłam.

Na zewnątrz było szaro, siąpił deszcz, sen rozplynał się w listopadowej mgle. Eleanor nadal spała. Kręciła się

pod kołdrą, jej jasne włosy spływały z poduszki niczym złocisty jedwab. W jednej chwili powróciły wydarzenia

ostatniej nocy. Ubrałam się szybko i poszłam na zajęcia.

47

-Ostatnią rzeczą, jaką pamięta Benjamin, jest to, że pocałował Cassandrę. I wszystko się rozmazuje - opowiadała

Nathanielowi Eleanor, kiedy dużo później siedzieliśmy w klasie, czekając na filozofię. - To takie romantyczne -

dodała.

Nathaniel przewrócił oczami.

-Tak czy inaczej - przerwałam jej - przed rozpoczęciem seansu Eleanor myślała o nich i wywołała również

Cassandrę.

- To znaczy, że ona też nie żyje! - zawołała Eleanor.

- Ciii. - Rozejrzałam się, czy nikt nie usłyszał. - Co może oznaczać, że nie żyje - poprawiłam. Nadal nie do

końca rozumiałam, co właściwie wydarzyło się w czasie seansu. Ja też z kimś rozmawiałam, z jakimś mężczyzną, którego wzięłam za mojego ojca. Dlaczego nie zjawił się pod dębem, skoro chciał, żebyśmy się tam

spotkali? Coś tu nie grało. - Skoro w moim przypadku seans nie zadziałał tak jak powinien, to może ty też się



mylisz.

Eleanor mnie zignorowała.

- Ale najlepsze będzie teraz - rzuciła podekscytowana. - Pogrzebano ją żywcem.

Patrzyliśmy, jak zareaguje Nathaniel, ale on wcale nie wyglądał na zszokowanego.

- Kto to zrobił? - zapytał, obgryzając paznokiec.

- Tego nie wie. Gdy to się działo, miała na głowie worek - wyjaśniła Eleanor. - Zastanawiam się, czy to się

działo w szkole, czy gdzieś indziej. Pamięta tylko, że zaprowadzono ją do pokoju dyrektorki. Potem zapadła

ciemność. Po dłuższej chwili zrozumiała, że wynoszą ją na zewnątrz. Złożono ją do drewnianego pudła, a

wieko przybito gwoździami. A potem usłyszała, jak na wieko spada ziemia, aż wszystko zniknęło. Ale chociaż

takie było jej ostatnie wspomnienie, to jeszcze nie znaczy, że właśnie wtedy umarła. No wiecie, ostatnim

wspomnieniem Benjamina jest to, jak całuje Cassandrę, a to przecież nie ma nic wspólnego z jego śmiercią.

- Powiedział ci, jak umarł? - zapytałam.

- Nie. Za każdym razem, gdy pytałam, pokazywał mi tę samą scenę pocałunku z Cassandrą. To było takie

romantyczne. Wtedy właśnie zaczęłam o niej myśleć i usłyszałam jej głos.

- Skoro umarła, to dlaczego nauczyciele kłamią i mówią, że została przeniesiona? - zapytałam.

- Może nie wiedzą - wyjaśniła Eleanor. - Może umarła po tym, jak zmieniła szkołę? Może wezwano ją do

gabinetu dyrektorki tuż przed wyjazdem, a to się stało później.

Odwróciłyśmy się do Nathaniela.

- Co o tym myślisz? - zagadnęłyśmy niemal jednocześnie.

Chłopak szarpnął nerwowo za krawat, próbując go poluzować.

- Czemu mi o tym wszystkim opowiadacie?

- Ponieważ nie jesteśmy pewne, czy powinniśmy w to wierzyć, czy nie - odparłam. - A ty jesteś najbystrzejszym facetem, jakiego znamy. - Cóż, to nie do końca była prawda. Dante był bystry, Nathaniel był tylko

kujonem.

- I dlatego, że wiemy, że nikomu nie powiesz - dodała Eleanor. - Bo nie powiesz, prawda?

- Nie.

Eleanor i ja wymieniliśmy spojrzenia i się uśmiechnęliśmy.

- Czemu nie zorganizujecie jeszcze jednego seansu, nie ponowicie próby? - zasugerował Nathaniel.

Eleanor pokręciła głową.

- To działa jedynie w Halloween.

- Tak czy inaczej, uważam, że seans jest mało wiarygodnym źródłem wiedzy - rzekł Nathaniel. - W przypadku Renee nie zadziałał właściwie, ty również nie możesz ufać temu, co usłyszałaś. Na waszym miejscu

porozmawiałbym po prostu z Minnie Roberts.

Przestałyśmy się uśmiechać. O czym on mówił? Minnie Roberts? Myszowata dziewczyna, która upuściła

wtedy torbę w Kolegium Horacego? Odwróciłam się do Eleanor, a ona klepnęła się dłonią w czoło.

- O mój Boże - westchnęła. - Że też sama na to nie wpadłam.

- Na co? - zapytałam.

Eleanor odwróciła się do mnie, jakby przypomniała sobie o moim istnieniu.

- Zeszłej wiosny Minnie urządziła scenę w stołówce.

- Coś sobie przypominam. . Mówiłeś mi o tym -zwróciłam się do Nathaniela.

- To było w dniu przed egzaminami końcowymi -ciągnęła Eleanor. - Benjamin nie żył, a Cassie zniknęła.

Sprawa już przycichła, wszyscy siedzieli w Megaronie, ucząc się w czasie jedzenia, gdy wpadła Minnie i zaczęła

wrzeszczeć. Wszyscy znieruchomieli, nikt się nie odzywał, a Minnie krzyczała, że Cassandra Millet

wcale nie

porzuciła szkoły, że została zamordowana przez dyrektorkę i Straż Uczniowską. Że widziała, jak zakopują

Cassandrę w lesie, poza terenem kampusu. Usiłowała opowiedzieć o tym nauczycielom, ale nikt jej nie słuchał.

- Że co? - wymamrotałam wstrząśnięta. - Straż Uczniowska?

- W stołówce zapanował chaos, a nauczyciele w końcu zaprowadzili Minnie do skrzydła szpitalnego.

- Właśnie dlatego teraz wszyscy myślą, że Minnie Roberts jest stuknięta - dodał Nathaniel.

- To możliwe - mruknęła Eleanor. - Plotka głosi, że jej rodzice wysłali ją do wariatkowa tego lata.

- To dlaczego wróciła? - spytałam.

- Jej rodzice są hojni dla akademii. - wyjaśniła Eleanor. - Pewnie nie chcą, żeby odeszła. Moi pewnie też by

nie chcieli. - Zerknęła na Nathaniela.

- Więc myślicie, że Minnie mówi prawdę? - zastanawiałam się.

Eleanor prychnęła.

48

- Nie. A w każdym razie nie do końca. Czemu Straż Uczniowska i dyrektorka mieliby grzebać Cassandrę

żywcem? Mój brat nigdy by nikogo nie zabił... a zwłaszcza Cassie. Czemu ktokolwiek miałby ją zabić?

Jej głos drżał. Gdy wczoraj wieczorem Eleanor skończyła opowiadać, co widziała w czasie seansu, zaczęłam

wypytywać ją o Cassie. Czy miała wrogów? Czy zachowywała się dziwnie? Zadawałam dokładnie te same

pytania, jakie policja zadawała mnie. I podobnie jak ja wtedy, Eleanor nie miała nic do powiedzenia. Cassandra

była śliczną dziewczyną, wzorową uczennicą, żadnych wrogów, żadnych dziwactw, życzliwa i miła dla

wszystkich. Ostatnia osoba, którą ktoś mógłby chcieć zamordować. Dokładnie tak samo, jak moi rodzice.

- Możliwe, że Cassandra żyje - przypomniał nam Nathaniel.

- Zgadza się - dodałam. - Ja kogoś wywołałam, ale to chyba nie był mój ojciec. Bo gdyby to był on, czemu nie

zjawił się pod drzewem?

- Tak czy inaczej, najlepiej będzie, jak zapytamy Minnie - podsumowała Eleanor.

Gdy zadzwonił dzwonek, panna LaBarge zaczęła opowiadać o Platonie, o duszach i jaskini, ale nie uważałam. W połowie lekcji jej wykład przerwało mocne, szybkie pukanie do drzwi. Po chwili, nie czekając na zaproszenie, do klasy wpadła pani Lynch ubrana w szarą sukienkę i ciężkie kwadratowe buty.

- Dyrektorka życzy sobie widzieć Renee Winters. Panna LaBarge opuściła notes i spojrzała na mnie.

- Obawiam się, że nie mamy wyjścia.

Zebrałam moje rzeczy i poszłam za panią Lynch do holu, Nathaniel i Eleanor patrzyli na mnie pytająco.

- Byłaś poza budynkiem po godzinie policyjnej - warknęła pani Lynch, ciągnąc mnie za łokieć. - Z chłopcem.

Byłaś na zewnątrz bez pozwolenia i uciekałaś przed nauczycielem.

- Pani nie jest nauczycielem - wymruczałam. Jeśli mnie usłyszała, nie dała tego po sobie poznać.

- Lepiej już zacznij się pakować - prychnęła. - Pani dyrektor nie toleruje, kiedy ktoś narusza regulamin.

Lista zakazów, które złamałam, była dłuższa, niż mi się wydawało. Wydalenie ze szkoły stało się nieprzyjemnie realne. Na początku, kiedy przybyłam do akademii, o niczym innym nie marzyłam, a teraz się

przeraziłam. Nie chodziło jedynie o to, że nie miałam domu, do którego mogłabym wrócić. Lubiłam zajęcia, w

ogrodnictwie biłam każdego na głowę i rozumiałam, że filozofia jest znacznie ciekawsza niż wszystkie

przedmioty, które miałam w Kalifornii. Po raz pierwszy w życiu uczyłam się rzeczy, które pokrywały się z

moimi zainteresowaniami. Czułam, że to, czego się tu dowiaduję, przyda mi się w życiu, chociaż na razie nie

wiedziałam w jaki sposób. Nie mówiąc już o tym, że byli tu Dante, Eleanor i Nathaniel! Co prawda jedyne, co

nas łączyło, to akademia, ale teraz, po śmierci moich rodziców, ta szkoła była wszystkim, co miałam.

Gabinet dyrektorki znajdował się w północnym skrzydle Kolegium Archebalda. Calysta von Laark stała

przy wysokim oknie witrażowym, głaszcząc siedzącego na parapecie syjamskiego kota, drugi ocierał się o jej

nogi. Śnieżnobiałe włosy dyrektorki były zaczesane na prawą stronę i spięte srebrnym grzebieniem, krótkie

białe loki opadały jej na czoło, odsłaniając lewe oko.

Gdy weszliśmy, odsunęła się od okna i usiadła w aksamitnym fotelu w śliwkowym kolorze. Kot cicho

zeskoczył z parapetu, poszedł za nią i wspiął się na jej kolana.

Na ścianie wisiało olbrzymie malowidło *Sąd Ostateczny* Michała Anioła. Obraz był przerażający. Na szczycie

sklepienia anioły siedziały na chmurach, różowa farba odpadała płatami od ich pyzatyh policzków. Poniżej

ciągnęły się szeregi mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy czekali na Sąd Ostateczny, tuląc się do siebie. Za-słanili

oczy i swoje półnagie ciała, ich twarze wykrzywiał ból. Diabły ścisnęły kije i widły. Popychały nimi nieszczęśników w stronę przepaści, a ci spadali, usiłując złapać się czegokolwiek, co utrzymałoby ich w niebieskości powyżej.

Podłoga była z ciemnego marmuru. Słowa wyryte na niej po łacinie układały się spiralnie wokół pokoju, a

kończyły na środku. Dzięki korepetycjom Dantego, zdołałam je przetłumaczyć. „Zdobyć nieśmiertelność przez

zrozumienie umysłu dziecka”. To było to samo zdanie, które dyrektorka recytowała w czasie przebudzenia, gdy

wybierała Straż Uczniowską.

- Renee - odezwała się kobieta, ciągle głaskała kota. Na jej smukłym środkowym palcu zobaczyłam ciężki

pierścień z szafirem. - Dzień dobry. - Jej głos był zaskakująco delikatny. Za nią stał kredens, częściowo zasłonięty przez biurko, w którym umieszczono coś, co wyglądało jak złote laski. Nad każdą z nich widniała

tabliczka z nazwiskiem i datami. Czy ta kobieta mogła pogrzebać żywcem Cassandrę Millet? Teraz, gdy siedziałam naprzeciwko niej, gdy patrzyłam, jak bawi się z kotami, sam pomysł wydawał mi się absurdalny.

W tym momencie odezwała się pani Lynch:

- Była na zewnątrz po godzinie policyjnej z chłopcem o imieniu Dante Berlin. Gdy kazałam im się zatrzymać, uciekli. Poza tym ubiera się nieregulaminowo.

- Wcale nie kazała nam się zatrzymać - wypaliłam, zanim zrozumiałam, że w ten sposób przyznaję się do

winy. Westchnęłam i spojrzałam w dół, żeby sprawdzić moją spódnicę. Nie wyglądała źle.

- Masz koszulę na wierzchu - oświadczyła pani Lynch. - I oczko w pończosze.

Odwrociłam się, żeby obejrzeć tył moich nóg, i zobaczyłam oczko biegnące w górę od lewej pięty.

- To nie moja wina - zaprotestowałam.

- Dziękuję ci, Lynette - powiedziała łagodnie dyrektorka. - Czy mogłabyś zostawić nas same?

Pani Lynch skinęła sztywno głową i wyszła.

-Siądź, proszę - poprosiła Calysta von Laark. Usiadłam na skórzanym krześle naprzeciwko niej,

przyglądając się jej broszce w kształcie niedźwiedzia. Na biurku zobaczyłam klepsydrę, wypełnioną białym

piaskiem, globus, stos papierów i książki. Za biurkiem były wąskie spiralne schody, które prowadziły w dół, do

czeluści gmachu.

Dyrektorka zapytała z uśmiechem:

- A więc wymknęłaś się po godzinie policyjnej, żeby zobaczyć się z chłopakiem?

Przełknęłam ślinę i skinęłam głową.

- To tylko przyjaciel - wykrztusiłam.

- Jak zdołałaś wyjść?

Postanowiłam nie wspominać o kominach, bo wtedy zablokowałyby je na amen.

- Zaczekałam, aż pani Lynch pójdzie na inne piętro. Dyrektorka spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

49

- Rozumiem. I uciekłaś, gdy was zobaczyła?

Skinęłam głową.

- Nie chciałam uciekać, to się stało samo. Było ciemno, padał deszcz, tak właściwie to nawet jej nie widziałam - urwałam i dodałam: - Proszę, niech mnie pani nie wyrzuci ze szkoły.

Dyrektorka się zaśmiała.

- Na twoim miejscu pewnie zrobiłabym to samo. - Drugi kot syjamski wskoczył na jej biurko. - Czy poznałaś

już moje kotki?

- Raczej nie.

- To Romulus. - Kot przemaszerował po blacie biurka, miauknął i zwinął się wokół klepsydry. - A to jest

Remus. - Pogłaskała kociaka, który leżał na jej kolanach. - Czyż nie są słodkie?

- Bardzo.

Dyrektorka odchyliła się na oparcie fotela.

- No dobrze, opowiedz mi coś o tym Dantem Berlinie. Musiałam mieć zdumioną minę, bo dodała:

- Chodźcie ze sobą, jak rozumiem?

- Nie. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Calysta von Laark przyłożyła palec do ust.

- Hm... Jesteś pewna?

Przełknęłam ślinę. Nawet jeśli dyrektorka jakimś cudem się o nas dowiedziała, jedyne, co mogłam zrobić to

zaprzeczać.

- Tak.

Popatrzyła na mnie w zadumie, jej niebieskie oczy spotkały się z moimi.

- Profesor Mumm uważa, że jesteś świetna w ogrodnictwie. Powiedziała, że jesteś najlepszą uczennicą, jaką

miała od co najmniej dziesięciu lat.

Zaczerwieniłam się.

- Jest tyle rzeczy, których się muszę nauczyć...

Dyrektorka klasnęła dłońmi w biurko.

- Jesteś zupełnie tak sama, jak twoja matka. Taka skromna...

-

Znała pani moją mamę? Dyrektorka skinęła głową.

- Uczyłam filozofii, gdy twoja mama chodziła do akademii.

Zapragnęłam zadać jej milion pytań. Jaka była? Z kim się przyjaźniła? Jak wyglądała? Czy dyrektorka znała

również mojego tatę?

- Twoja mama była wyjątkowo bystra, tata również. Byli bardzo ambitni i skromni, nikt by nie pomyślał, że

pochodzą z bogatych rodzin.

- Mój ojciec pochodził z bogatej rodziny? - Zdumiałam się. Rodzice taty zmarli, gdy byłam dzieckiem,

widywałam jedynie moje cztery ciotki, hałaśliwe, grube, wystrojone w kapelusze i nadopiekuńcze.

- Oczywiście. Nie wiedziałaś o tym? Fortuna Red-grave'ów, architekci. Specjalizowali się w fundamentach,

piwnicach, murach, studniach i tak dalej. Wszystko na zamówienie. Prawdziwa sztuka, niestety na wymarcu.

- Nie miałam pojęcia. Nigdy o tym nie wspomniał.



- Robert był takim zamkniętym chłopcem - oznajmiła cicho. - Zapewne odziedzyczyłaś to po nim.  
Profesor

Mumm powiedziała mi, że w zeszłym tygodniu nie tylko zdołałaś rozpoznać roślinę na podstawie wyschniętego korzenia, ale dobrałaś odpowiednią glebę i właściwy kawałek terenu do posadzenia.

To była prawda.

- Bardzo imponujące jak na osobę w twoim wieku - zauważyła dyrektorka.

- Dziękuję.

- Cóż, jeśli nie ma już nic, co chciałabyś mi wyznać, myślę, że możemy skończyć na dzisiaj naszą rozmowę. -

Zawiesiła głos, a gdy się nie odezwałam, dodała z uśmiechem: - Idź i korzystaj ze swojej młodości.

Wstałam bezgranicznie wdzięczna za to ułaskawienie. W zachowaniu dyrektorki było coś niepokojącego, ale

nie potrafiłam zrozumieć co. Może chodziło o koty?

-

A, Renee, kiedy masz urodziny? Odwróciłam się, dyrektorka właśnie wkładała okulary do czytania.

- Dwudziestego sierpnia. Czemu pani pyta?

- Lew. - Pokiwała głową z uśmiechem. - Pasuje.

Zanim wyszłam, spostrzegłam teczkę na jej biurku - szarą papierową teczkę, częściowo zasłoniętą papierami,

z napisem: „Dante Berlin”. Przypomniało mi się, jak pierwszego dnia w akademii Eleanor mówiła, że poprosiła

brata, żeby sprawdził moją teczkę w gabinecie dyrektorki. Rozejrzałam się szybko w poszukiwaniu szafy z

dokumentami, ale nic takiego nie zauważyłam. A przecież musiała gdzieś tu być!

- Coś nie tak, Renee? - spytała dyrektorka.

- Nie, nic - odparłam szybko i wyszłam na korytarz.

Ku mojemu zdumieniu siedział tam Dante; miał na sobie koszulę z kołnierzykiem i niebieski krawat.

Chciałam się zatrzymać i porozmawiać, ale wiedziałam, że nie mogę tego zrobić na oczach tej

kobiety, więc tylko wymieniliśmy spojrzenia. Dante blado się uśmiechnął. Calysta von Laark powiedziała twardo:

- Zapraszam.

Wyminęłam go. Dante wstał, nasze ręce się spotkały, poczułam jego zimną skórę. Drzwi gabinetu zamknęły

się za nim, zostałam sama na korytarzu. Na ławce, tam gdzie siedział Dante, leżał złożony kawałek papieru.

Rozwinęłam go.

*Spotkajmy się o 19.00 przed biblioteką.*

Wsunęłam list do kieszeni i poszłam na lekcje.

50

- Mówiłaś komuś o tym, co zaszło między mną a Dantem zeszłej nocy? - zaatakowała Eleanor, gdy tylko

wróciła po południu do pokoju. Siedziałam przy biurku, usiłując czytać przypisy w *Iliadzie* przy słabym świetle

świacy.

- Pozwól mi chociaż odłożyć torbę - odparła, rzucając teczkę na biurko. - Oczywiście, że nie mówiłam! Ale

to żadna tajemnica, że między wami coś jest. Rozmawia wyłącznie z tobą, spędzacie razem bardzo dużo czasu...

- No dobrze, ale skąd dyrektorka o nas wie?

- A wie? - zapytała zdumiona Eleanor, poprawiając opaskę przed lustrem.

- Pytała o Dantego.

- Może po prostu widziała was razem? Zresztą nie przypuszczam, żeby ją to obchodziło. Dostałaś jakąś

karę?

Pokręciłam głową, Eleanor wydawała się rozczarowana.

- Rozmawiałam z Minnie - oznajmiła nagle, siadając z rozmachem na łóżku.

Wyprostowałam się.

- No i jak?

- Katastrofa.

- Co się stało?

- Dopadłam ją na plastyce, miałyśmy pracować nad portretem. Usiadłam obok niej, żeby mieć pewność, że

będziemy w parze, a gdy szkicowałam, zapytałam ją, co się stało ubiegłej wiosny z Cassandra. To był mój

pierwszy błąd. Zesztywniała, zaczęła się nerwowo rozglądać... To kompletnie załatwiło mi portret!

- No dobrze, ale co dokładnie powiedziałaś?

- Cytuję: „To co się stało ubiegłej wiosny z **Cassandra?**”

- Więcej taktu!

- Chciałam od razu przejść do rzeczy. Wiesz, jak niezwykle ciężko się z nią rozmawia? No i myślałam, że się

otworzy.

- Ale nie przed nami. Pewnie pomyślała, że sobie z niej kpimy.

- Nie kpiłam z niej. Wszystko przepadło; nie spytałam jej po raz drugi, Wybiegła zaraz po dzwonku, jakby się

palilo; nawet nie pokazała portretu, który robiła.

Zastanowiłam się i powiedziałam:

-

Widziałam teczkę Dantego na biurku dyrektorki. Eleanor z rozmachem położyła się na łóżku.

- Czy mogłabyś choć na chwilę oderwać się od Dantego i skupić na czymś innym? - spytała z pasją.

Zignorowałam tę uwagę.

- Myślisz, że każdy ma taką teczkę?

- Ja nie myślę, ja wiem - oznajmiła, gapiąc się w sufit. - Brat mi mówił.

Spojrzałam za siebie, żeby się upewnić, czy Lynch nie stoi za naszymi drzwiami.

- Nawet zmarli?

Eleanor popatrzyła na mnie wstrząśnięta.

- Genialne! Przecież nie mogą ich tak po prostu

wyrzucać!

Nawet jeśli wiarygodność seansu spirytystycznego stała pod znakiem zapytania, to i tak warto było poszukać akt Benjamina i Cassandry. Nie widziałam szafy z dokumentami, ale musi gdzieś tam być. Najważniejsze to

dostać się do jej gabinetu. .

A potem zerknęłam na zegarek, włożyłam kurtkę i wzięłam torbę.

- Dokąd idziesz? - zdumiała się Eleanor.

- Do biblioteki - odparłam, nie wspominając, że umówiłam się tam z Dantem. Niektóre sprawy chciałam

zachować tylko dla siebie.

Gdy dotarłam do Biblioteki Coplestona, zobaczyłam Dantego, opartego o kolumnę przy wejściu. Włosy miał

ściągnięte gumką, na ramieniu torbę z książkami.

- Co za spotkanie - rzuciłam.

Uśmiechnął się i wziął moją torbę, razem weszliśmy do biblioteki. Zaprowadził mnie na górę, na drugie piętro, gdzie zwykle było pusto, i położył torby na drewnianym stole pod oknem.

Opowiedziałam mu, że dyrektorka pytała o niego.

- Za to w rozmowie ze mną w ogóle o tobie nie wspominała - szepnął, patrząc na mnie w zamyśleniu.

- Pytała,

jak się czuję, jak tam moje zajęcia, a potem mnie puściła.

Zastanowiłam się szybko. Powiedzieć mu o seansie, o tym, że Cassandra prawdopodobnie nie żyje?

A jeśli

się myliłam? W przeciwieństwie do Eleanor, wolałam załatwić to taktownie, okrężną drogą.

- Rozmawiasz czasami z Cassandra? - spytałam od niechcena.

- Raczej nie - mruknął Dante, pochylając się nad torbą.
- Ale rozmawialiście po jej wyjeździe z akademii?
- Czemu pytasz? - zainteresował się, mrużąc oczy.
- Myślałam, że byliście przyjaciółmi.
- Byliśmy.
- Więc nadal utrzymujecie kontakt?
- Raczej nie - zaprzeczył.
- Raczej nie czy po prostu nie? - drążyłam.
- Po prostu nie - zdecydował się w końcu. - Mówiłem ci, rozstaliśmy się zeszłej wiosny, od tamtej pory  
żadne z nas się nie odezwało. Czy to jakiś problem? Martwisz się tym?
- Nie jestem zazdrosna - rzuciłam szybko.
- W porządku.

51

Zapadła cisza. Zbywał mnie ogólnikami czy rzeczywiście nic nie wiedział? Sądząc po tym, jak traktował

swoich przyjaciół, nie zdziwiłabym się, gdyby zerwał kontakt również z Cassandra.

- To co robimy? - zapytałam, spodziewając się, że zaproszenie do biblioteki miało jakiś tajemniczy podtekst.

Dante uśmiechnął się do mnie.

- Uczymy się. Co innego można robić w bibliotece? Zaczerwieniłam się.

- Och. . no, nie wiem - odparłam speszona, a potem wyjęłam książkę z torby i otworzyłam ją, kładąc przed

sobą.

- Jest do góry nogami - stwierdził Dante z uśmiechem, stukając w moją książkę ołówkiem i odchyłając się na

oparcie krzesła.

- Rzeczywiście - powiedziałam jeszcze bardziej speszona i poprawiłam ją. I tak przy świetle lamp oliwnych

uczyliliśmy się razem aż do zamknięcia biblioteki.

Jak to jest chodzić z Dantem Berlinem? Za każdym razem, gdy się spotykaliśmy, patrzył na mnie tak, jakby

widział mnie po raz pierwszy. Za każdym razem, gdy byłam blisko niego, wdychał mój zapach, jakby chciał

wchłonąć tyle, ile tylko zdoła. Ludzie gapili się na nas, gdy szliśmy przez kampus, gdy splataliśmy dłonie, siedząc w klasie.

- Gapią się na nas - wymruczałam do Dantego. Usiłowałam zasłonić twarz włosami, kiedy przechodziliśmy

przez bibliotekę.

- Nie dziwię im się - odpowiedział, odsuwając włosy z mojej twarzy. Zaczerwieniłam się. To, że ze sobą

chodzimy, szokowało mnie tak samo, jak wszystkich innych. Co wieczór Dante czekał na mnie na dworze, a ja

co wieczór się pojawiałam. Za każdym razem prowadził mnie w inne miejsce - spacerowaliśmy, zaglądaliśmy

do Kolegium Horacego lub nad jezioro. Co wieczór siedziałam przy oknie, myśląc, że nie przyjdzie, a on co

wieczór wyłaniał się z ciemności jak promień światła. Za każdym razem wydawało mi się, że jego twarz jest

jeszcze piękniejsza i doskonalsza, niż była dzień wcześniej. Za każdym razem, gdy mnie dotykał, wzdrygałam

się i czułam, jak całe moje ciepło, wszystkie moje uczucia płyną do niego. Nie przejmowałam się już tym, że nie

rozumiem, dlaczego tak się czuję, gdy jestem obok niego, że nie wiem, co on czuje. Wystarczyło, że go dotknęłam, rozpalał we mnie pożądanie, niepokój, namiętność. Nigdy przedtem się nie zakochałam, więc nie

wiedziałam, czy to jest właśnie to?

Ale myślałam nie tylko o Dantem. W drugim tygodniu listopada, gdy z klonów i dębów spadły

ostatnie

liście, pokrywając taflę jeziora kobiercem, wspólnie z Eleanor próbowaliśmy znaleźć sposób, żeby dostać się

do gabinetu dyrektorki i poszukać tam akt Cassandry i Benjamina. Prawdopodobieństwo śmierci Cassandry

jedynie pogłębiło moje podejrzania co do ataku serca Benjamina. Gdybyśmy odnalazły jego akta, być może

dowiedziałybyśmy się, jak on naprawdę umarł. Problem w tym, że nie miałam pojęcia, jak przeniknąć do gabinetu dyrektorki i nie dać się na tym przyłapać, a tym samym nie wylecieć z akademii. Do tej pory, gdy nie miałam pojęcia, co mam zrobić, zwracałam się do rodziców. Teraz nie żyli, więc zadzwoniłam do Annie.

- Pamiętasz, jak mówiłam ci o Cassandrze i Benjaminie?

- O tych dwojgu z zeszłego roku? - zapytała sceptycznie. - O tym chłopaku, który zmarł na atak serca?

- To nie był prawdopodobnie atak serca. Annie nie odpowiedziała.

- No więc - mówiłam dalej - bardzo możliwe, że Cassandra również nie żyje.

Po drugiej stronie słuchawki panowała cisza, w końcu Annie spytała:

- Skąd wiesz?

- No, nie wiem tego na pewno.. Kilka tygodni temu urządziłyśmy seans spirytystyczny. Usiłowałam skontaktować się z rodzicami, ale wywołałam Dantego, ale to już inna historia. Z kolei Eleanor usiłowała myśleć

o Benjaminie, a pojawiła się Cassandra.

Czekałam na okrzyk zdumienia, ale nic takiego nie nastąpiło.

- No i? - spytała Annie.

- Cassandra powiedziała, że nie żyje - wyjaśniłam. - A nauczyciele specjalnie ukrywają jej śmierć. Tylko po

co to robią?

- Renee, zlituj się, to tylko seans spirytystyczny! Sama wiesz, że to nieprawda, wszyscy to wiedzą!  
Najlepszy

dowód, że ci się nie udało!

- Myślę, że kogoś wywołałam tamtej nocy, w każdym razie kogoś słyszałam, Eleanor również. W końcu nie

zaszkodzi sprawdzić, no nie?

- Renee? Czy ty się słyszysz? Wywołałaś? Co się stało z tą Renee, którą znałam?

Wkurzona spojrzałam na słuchawkę.

- To przez śmierć rodziców? - drążyła dalej Annie.

- Co? Nie! To znaczy tęsknię za nimi, ale nie chodzi tylko o nich. Jeśli Cassandra nie żyje, to prawdopodobnie znaczy, że śmierć Benjamina nie była przypadkowa. To nie przypadek, że umarli w tym samym czasie!

- Tak jak twoi rodzice.

Mocniej ścisnęłam słuchawkę, starając się nie wybuchnąć.

- Nie chodzi o moich rodziców, chodzi o to, że ludzie umierają! Chodzi o to, żeby odkryć prawdę!

- Renee, rozumiem, że brakuje ci ich, że nie pogodziłaś się z tym, iż odeszli. Jest ci ciężko..

- Nie, nie rozumiesz. To nie to! Czemu ciągle wracam do moich rodziców?

Usłyszałam, że Annie odetchnęła głęboko.

- Dlatego, że oni nie żyją. A to nie fair. Rozumiem, też za nimi tęsknię, my wszyscy...

- Nie - przerwałam jej. - Nie rozumiesz. - I odłożyłam słuchawkę.

Jak nazywa się tajne stowarzyszenie, o którym wszyscy wiedzą? W Rzymie nazywano ich iluminatami. W

Grecji pitagorejczykami. W akademii to Straż Uczniowska.

Jej zadaniem była reprezentacja uczniów przed nauczycielami. Stanowili nasz rząd, mieli utrzymywać porządek, ale jak na razie widziałam ich tylko w czasie przebudzenia, gdy zostali wybrani. Nie dyżurowali na

korytarzach, nie rozmawiali z nami. Czy w ogóle coś robili? Zwykle widywałam ich w stołówce albo w nocy

chodzili grupkami po terenie kampusu - byli jedynymi uczniami, którzy mogli wychodzić po godzinie policyjnej. Ale jeśli nie pełnili swoich obowiązków, to po co ich wybierano? Było powszechnie



wiadomo, że spotykali

52

się prywatnie, ale nikt nie wiedział, gdzie i w jakim celu. Charlotte powiedziała nam, że Genevieve znikła

czasem na kilka godzin. Po powrocie wyglądała na zmęczoną i wyczerpaną, ale nigdy nie mówi, gdzie była ani

co robiła.

- Gdybym wam powiedziała, mogłoby się stać coś strasznego - odparła.

Uważałyśmy, że to żart, ale Genevieve mówiła to z zupełnie poważną twarzą.

Jedynie w Dzień Wyzerki Straż Uczniowska miała coś konkretnego do zrobienia: eskortowanie uczniów na

wycieczkę do Attica Falls. To był jedyny dzień w semestrze, gdy każdy mógł się ubrać, jak chciał. Byłoby super,

gdybym nie musiała wkładać na siebie kilku warstw - na dworze było bardzo zimno.

Poprzedniej nocy Dante zaproponował:

- Spotkajmy się o siedemnastej w Attica Passing numer 46.

Nie powiedział po co. Chciałam zapytać, czemu dopiero o piątej, ale bałam się, że zabrzmiałoby to żałośnie.

Dlatego po prostu zapisałam adres i poszłam spać.

Gdy obudziłam się następnego ranka, zobaczyłam szron na szybach. Było wcześnie i Eleanor jeszcze spała,

gdy wyciągnęłam walizkę spod łóżka i wyjęłam stare dzinsy. Nie widziałam ich od miesiący. Gdy je włożyłam,

miękki sprany materiał przywiał wspomnienia z Kalifornii. Wkrótce Eleanor również wstała, naciągnęła

pończochy i spódnicę, wrzuciła książki do plecaka.

- Co ty robisz? - zapytałam zdumiona.

- Idę do biblioteki - odparła z westchnieniem.

- Przecież dziś Dzień Wyżerki!

- Och! Zupełnie o tym zapomniałam!

- Jak mogłaś zapomnieć?

- Chyba mam za dużo na głowie... - Spięta włosy w koński ogon, roztrzepując go nerwowo przed lustrem.

Nie patrzyła na mnie, w końcu spojrzała. Miała podkrążone oczy. - Mam tyły z matmy i historii, poprosiłam o

pomoc, ale nie zrobiłam żadnych postępów.

- Nie możesz zrobić przerwy? Na jeden dzień? Pokręciła głową.

- Jeśli chcę robić coś sensownego po skończeniu akademii, muszę mieć lepsze oceny - powiedziała i zarzuciła torbę na ramię. - Zjedz za mnie naleśnika - dodała, siląc się na uśmiech.

- Dobrze. Ale chyba spotkamy się na kolacji? A może na kolację też nie masz zamiaru przyjść? - To miał być

żart, ale zabrzmiało ostrzej, niż planowałam.

Spojrzała na mnie z miną winowajcy.

- Spróbuję.

Niebo pokrywały szare chmury, wszyscy już ustawili się przed bramą. Strażnicy rozstawieni wokół uczniów

wyprowadzili nas przez bramę i w dół do krętej drogi prowadzącej do Attica Falls. Szłam przed siebie, dopóki

nie zobaczyłam Nathaniela. Stał z kilkoma dziewczynami z mojego piętra: Bonnie, Maggie, Rebec-cą, Gretą i

bliźniaczkami April i Allison, które miały na sobie sztruksy i bluzy, czapki z pomponami i szkolne szaliki pod

płaszczami.

- Byłaś świetna ostatnio na ogrodnictwie - rzuciła do mnie Allison, gdy ruszyliśmy. - Nie mam pojęcia, jak

udało ci się rozróżnić te gleby, dla mnie wyglądały dokładnie tak samo.

Nathaniel popatrzył na mnie pytająco.

- To proste - wyjaśniłam. - Trzeba je tylko powąchać. Gleba, która ma dużo minerałów, pachnie zupełnie jak

metal.

- Chodźcie na ogrodnictwo? - spytała Bonnie. - Też zawsze chciałam, ale wszyscy mówią, że ciężko się tam

dostać. A ja tak kocham kwiaty..

- Naprawdę tak mówią? Nawet nie składałam żadnego podania - zastanawiałam się na głos. - Ale niewiele

tam jest o kwiatach, jak na razie uczymy się głównie o ziemi i systemach korzeniowych...

- To co robicie, skoro nie uczycie się o roślinach? -nie zrozumiała Rebecca.

- Uczymy się, jak je sadzić - wyjaśniłam, ale one chyba nie rozumiały. - Ostatnio nauczyliśmy się o roślinach

leczniczych - dorzuciłam.

Wszystkie dziewczyny prócz bliźniaczek popatrzyły na mnie speszone. Pewnie brzmiało to trochę głupio,

gdy tak to tłumaczyłam. . Ale one nie wiedziały, jakie gleby są najlepsze, które chwasty są jadalne, które mchy

mają właściwości antybiotyków i jakie grzyby są trujące. Wzruszyłam ramionami i poszłam dalej.

Do Attica Falls można było dotrzeć na piechotę. Leżało dokładnie za kampusem i składało się z jednej

głównej ulicy zwanej Deptakiem Attica, która rozgałęziała się w alejki z zaniedbanymi sklepikami, walącymi się

domami i stodołami. Na deptaku znajdował się sklep wielobranżowy z artykułami spożywczymi, sprzętem

myśliwskim i kempingowym oraz drobiazgami lokalnej f produkcji, takimi jak wyroby z jodły balsamicznej,

syrop klonowy i konfitury. Naprzeciwko stała stacja benzynowa, jedyna w promieniu sześćdziesięciu pięciu kilometrów. Wprawdzie można tu było zatankować tylko olej napędowy, ale i tak kupowano tu głównie papierosy, losy na loterię oraz worki na lód. Przy tej samej ulicy mieściła się również

restauracja U Beatrice.

Doszliśmy na miejsce i wszyscy zaczęli się rozchodzić. Nathaniel i ja zastanawialiśmy się, dokąd pójść, gdy

zauważyłam Brandona, brata Eleanor, wchodzącego do restauracji. Bez namysłu ruszyłam za nim, ciągnąc za

sobą Nathaniela.

To była obskurna knajpka, w której przez cały dzień serwowano naleśniki, jajka, zapiekanki ziemniaczane z

wołowiną, pieczeń rzymską i różne wariacje dań na bazie tuńczyka z puszki.

Kelnerka, która do nas podeszła, mogła mieć jakieś czterdzieści lat. Jej ufarbowane na rudo włosy były spiętrzone na czubku głowy w sposób przeczący istnieniu praw fizyki. Kobieta musiała zużyć na nie co najmniej pół

butelki lakieru. Na plastikowej plakietce przypiętej do kieszonki na jej lewej piersi widniało imię Cindy.

Zmierzyła nas wzrokiem od stóp do głów i poprowadziła do stolika na drugim końcu sali.

- Przepraszam - odezwałam się - ale czy możemy usiąść tam? - Wskazałam stolik za przepierzeniem, za

którym siedzieli Brandon Bell i reszta Straży Uczniowskiej.

53

- Dobrze - westchnęła kelnerka, jakby przejście na drugą stronę sali stanowiło dla niej nadludzki wysiłek.

Rzuciła menu na stolik i z prędkością wystrzałów z karabinu maszynowego wyrecytowała specjalności tlnia.

Po czym zniknęła za dwuskrzydłowymi drzwiami w kuchni.

- Co robisz? - wysyczał Nathaniel. - Śledzisz Straż Uczniowską?

- Jeśli Cassandra nie żyje...

- Co wcale nie jest takie pewne - zaprzeczył Nathaniel.

- Jeśli nauczyciele o tym wiedzą, Straż Uczniowska może być w to wplątana.

- I uważasz, że będą o tym dyskutować w knajpie?

- Nawet jeśli nie, to i tak lepiej siedzieć tu niż na drugim końcu sali. Może powiedzą coś interesującego.

Wszystko lepiło się od tłuszczu i syropu, spod popękane go obicia wystawała żółta gąbka. Zdjęłam kurtkę i

rękawiczki, i usiadłam. Nasz stolik od stolika Brandona dzieliła jedynie cienka drewniana ścianka.

Głosy był stłumione, przechyliłam się i przycisnęłam ucho do przepierzenia. Nathaniel zrobił to samo, ale

niewiele nam to dało.

- Nic nie słyszę - wymamrotał zły. - O czym oni mówią?

Uciszyłam go. Nathaniel przyłożył pustą szklankę do ścianki i przez chwilę nasłuchiwał.

- No nie wiem - mruknął. - Nic nie rozumiem.

- Oddaj mi to. - Sięgnęłam po szklankę.

Od razu usłyszałam głos Maxa Platkina z trzeciej klasy.

- Mógłbym zabić, żeby tylko uwolnić się od tych zajęć. Straszne nudy! Profesorka zachowuje się, jakby od

dawna była martwa, z trudem udaje jej się siedzieć prosto.

Roześmiali się. Popatrzyłam wstrząśnięta na Nathaniela i wtedy dotarło do mnie, o czym rozmawiają.

Przewróciłam oczami.

- Za rok będziesz w ostatniej klasie i uwolnisz się od łaciny - rzuciła Ingrid. Wyobraziłam sobie, jak odrzuca

swoje jedwabiste czarne włosy na ramię.

- Dyrektorce na pewno się to nie spodoba - zaśmiał się Schuyler. - Wiesz, mordowanie nauczycieli nie jest

mile widziane.

W tym samym momencie do naszego stolika podeszła kelnerka i wyjęła cieniutki zielony bloczek z kieszeni

fartuszka. Usiedliśmy prosto i zajrzeliśmy szybko do menu.

- Co zamawiacie? - zagadnęła. Żuła gumę i chyba zauważyła, że podsłuchujemy gości siedzących obok, ale

nie dała tego po sobie poznać.

Zerknęłam do karty, pragnąc pozbyć się tej kobiety.

- Poproszę omlet z kielbasą i serem, i sok pomarańczowy.

Zanotowała i spojrzała na Nathaniela.

- Tylko wodę. I musli.

- Nie ma musli. Mogą być naleśniki, jajka, zapiekanka lub tuńczyk. - Oparła rękę o biodro, czekając, aż

Nathaniel się zdecyduje.

- Tost z białego pieczywa?

Cindy skinęła głową i odeszła, a my wróciliśmy do naszego szpiegowania.

- Bez przerwy mówi o Renee Winters - mówiła zdeglustowana Genevieve. - Prosiła mnie, żebym miała oko

na nią i jej chłopaka.

Omam nie krzyknęłam z wrażenia. Nathaniel popatrzył na mnie pytająco, ale go zignorowałam.

- Kto to jest? - zapytał Schuyler.

- Dziewczyna z drugiej klasy - odparła Genevieve. - Podobno najlepsza z ogrodnictwa.

- Mieszka z moją siostrą - dodał Brandon.

- Poznałam ją, wydaje się miła, ale dość przeciętna - mówiła dalej Genevieve. Posłałam jej miążdzące

spojrzenie przez ścianę. - Ona i Dante Berlin kręcą ze sobą i dyrektorka jest ciekawa.

- Nic dziwnego - odezwał się Brandon. - Dante przyjaźni się z Vivian, Gideonem i Yagonem, i pewnie

kochał się w Cassie.

- Przyjaźnił się - poprawił go Schuyler.

- Co za różnica - zgasił go Brandon. - Problem w tym, że nie wiemy, do czego jest zdolny. Tak jak

Cassie. I

oni wszyscy. Gdyby Renee miała trochę oleju w głowie, trzymałaby się od niego z daleka.

Genevieve się roześmiała.

- W tym rzecz! Przy Dantem traci się głowę. Ale nie przejmuj się, jeśli dyrektorka nie myli się co do jej zdolności, Renee zadba o siebie.

W tym momencie wróciła kelnerka z naszym zamówieniem. Postawiła na stole talerze, garść małych dżemów i butelkę keczupu, ale ja straciłam apetyt. Czemu dyrektorka wypytywała o mnie i Dantego? Co miała na

myśli Genevieve, mówiąc o moich „zdolnościach”? Pewnie chodziło o ogrodnictwo, to jedyne zajęcia, które mi

jakoś idą.

Brandon wstał, reszta zrobiła to samo. Gdy mijał nasz stolik, zerknął na mnie kątem oka. Wpakowałam do

ust kawałek omleta.

- Co się stało? - spytał Nathaniel i założył serwetkę za koszulę, a ja przypomniałam sobie, że przecież on nic

nie słyszał. Upewniłam się, że nikt nas nie słucha, i opowiedziałam mu o wszystkim.

- O co im chodziło, gdy mówili o Cassandrze i reszcie? - spytałam. - Dlaczego mam trzymać się z dala od

Dantego i do czego on może być zdolny?

Nathaniel wyglądał na zmartwionego, zresztą, on prawie zawsze tak wyglądał.

- Nie wiem - odparł. -1 oni też nie wiedzą. Na tym polega problem.

Przewróciłam oczami.

- Wspominałam już, że jesteś geniuszem?

- Mówię poważnie. Jeśli nie wiedzą, do czego jest zdolny Dante, to znaczy, że na niczym go nie nakryli,

podobnie jak całej reszty. Tylko Cassandra musiała się czymś zdradzić.

- Ale czym?

Wzruszył ramionami. Skończyliśmy jeść, kelnerka przyniosła nam rachunek. Czekałam na resztę.

- Dzięki - rzuciłam, gdy wreszcie się z tym uporała, i pociągnęłam Nathaniela za ramię. - Szybko, musimy

ich znaleźć.

Ale gdy wyszliśmy na zewnątrz, po Straży Uczniowskiej nie było już ani śladu.

- Dlaczego dyrektorka interesuje się nami? Nathaniel nie odpowiedział.

- A może myśli - mówiłam - że sprawa Benjamina i Cassandry kryje jakąś tajemnicę? Może Dante coś wie,

przecież się z nimi przyjaźnił i znalazł Benjamina. Pewnie się mną interesuje, bo uważa, że ze sobą chodzimy. -

Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że powinnam być ostrożniejsza.

- Chodzicie ze sobą? Oficjalnie? - Nathaniel popatrzył na mnie, jego niebieskie oczy były ogromne za grubymi szklami okularów.

- No wiesz, właściwie o tym nie rozmawialiśmy, ale chyba tak. Spędzamy razem mnóstwo czasu...

- Dlaczego go tu nie ma? Chyba tu mieszka? - spytał poważnie Nathaniel.

Dobre pytanie. Ja też nie wiedziałam, dlaczego nie mogliśmy spotkać się wcześniej.

- Wiesz, ma mnóstwo nauki - rzuciłam szybko. Poszliśmy w dół ulicy, w stronę małych sklepików i wpadliśmy prosto na Brandona Bella i Brett Steyersa.

- O, Renee - powiedzieli jednocześnie. Spojrzałam na Brandona, jego jasne włosy, chociaż krótko ostrzyżone, przypominały w pewnym stopniu loki Eleanor.

- O, cześć!

- Widziałaś moją siostrę? - zapytał Brandon. Eleanor przedstawiała nas sobie wiele razy, ale te spotkania

były dość przelotne i raczej niemiłe. Brandon miał nieprzyjemny zwyczaj przesłuchiwnia mnie.

- Ja... nie... mówiła, że... że idzie do biblioteki. Popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Dobrze się czujesz?



- Tak, tak, przepraszam, ja tylko... no, muszę... musimy już lecieć - wydusiłam. - To na razie! Pa! -  
Złapałam

Nathaniela za koszulę i pociągnęłam w głąb uliczki.

Na koślawym drewnianym szyldzie widniał napis namalowany łuszczącą się niebieską farbą:  
„Księgarnia

Łazarza". Pchnęłam drzwi i oboje wpadliśmy do środka, potykając się o siebie.

- Nieźle ci poszło - stwierdził Nathaniel. - Wypadło całkiem naturalnie.

Gdy zamykałam drzwi, zadźwięczał dzwonek i z pomieszczenia za ladą wyłonił się stary mężczyzna.  
Miał

okrągłą twarz, czerwony nos i posiwiałą brodę, na głowie nosił czerwony filcowy kapelusz. Oparł  
łokcie na

ladzie i oznajmił:

- Podręczniki są z tyłu.

- Dziękujemy - odparłam i zwróciłam się do Nathaniela: - Nie wiedziałam, że Brandon i Brett są  
przyjaciółmi.

- Może nie są, może po prostu rozmawiali. To nie jest karalne.

Księgarz obrzucił nas srogim spojrzeniem.

- Tu chyba jest - mruknęłam cicho i poszłam w głąb sklepu.

- To Conrad Porley - wyjaśnił Nathaniel. - Ludzie powiadają, że nie sprzeda ci żadnej książki, jeśli  
go

wkurzysz. Wracając do twojej teorii, że dyrektorka i Straż Uczniowska ukrywają coś w sprawie  
Cassandry i

Benjamina... To trochę szyte grubymi nićmi, przecież nie ukrywali, że Ben nie żyje.

- No dobrze, a to, co powiedziała Minnie Roberts? Nathaniel się zatrzymał.

- Że dyrektorka i Straż Uczniowska zamordowali Cassandrę? Proszę cię, nawet ty musisz przyznać,  
że to

idiotyczny pomysł.

- Masz lepszy?

- Moim zdaniem Benjamin zmarł na atak serca, Cassandra została przeniesiona, a Minnie Roberts jest wariatką.

- Jaki piętnastolatek umiera na zawał serca i to w lesie? I co z tym, co Eleanor zobaczyła w czasie seansu?

Nathaniel westchnął.

- Myślałem, że to już omówiliśmy. Chyba miał rację.

- Ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego dyrektorka tak bardzo interesuje się mną i Dantem.

- Wpakowałaś się w kłopoty, no nie?

- Tylko raz - powiedziałam, myśląc o nocy po seansie, a potem przypomniałam sobie tamten incydent /.

panią Lynch. - No dobra, dwa razy. Może masz rację - przyznałam i odwróciłam się, żeby rozejrzeć się po

księgarni.

Książki ustawiono tu nietypowo, nie tylko gatunkami, ale również tematycznie. Na jednej półce widniał

napis: „Okres dojrzewania”, naprzeciwko był: „Domowy pupil ratuje człowieka i ginie”, a nad nim: „Historia

pochodzenia superbohaterów”, „Dzieci”, „Śmierć w rodzinie”, „Dziewczyna w lodówce”.

Rozejrzałam się. Na górę prowadziły ciemne wąskie schody, ale przejście zagradzała rozciągnięta taśma.

Nad nią był napis: „Końcówki nakładów”.

- Tam nie wolno wchodzić - odezwał się pan Porley. - Wstęp tylko dla pracowników, dział w trakcie przebudowy.

Zerknęłam jeszcze raz na schody i wróciłam do Nathaniela. Stał kilka rzędów dalej, przeglądając książki w

dziale: „Wampiry i zombie”. Gdy szłam w jego stronę, moją uwagę przykuł dział: „Szkoly z internatem”.

Przykucnęłam, żeby przeczytać tytuły. Mnóstwo powieści i kilka książek z gatunku literatury faktu o

renomowanych szkołach prywatnych, ale nie o Akademii Gottfrieda.

Dołączyłam do Nathaniela, który przeglądał romanse o wampirach dla nastolatków. Wampiry i zombie niespecjalnie mnie interesowały, ale z braku innego zajęcia przykucnęłam obok niego i zaczęłam czytać tytuły,

wyjmując niektóre książki. Większość z nich stanowiły horrory z kłami, cmentarzami i zabandażowanymi potworami na okładkach. Już zaczynało mnie to nudzić, gdy w pewnym momencie dostrzegłam tom, który wyraźnie się wyróżniał. Miał gładką kremową okładkę, a litery tytułu tak wyblakłe, że niemal nie do odczytania.

Wyciągnęłam go i położyłam na kolanach. Był gruby, pokryty kurzem i zatytułowany *Attica Falls*. Otworzyłam książkę i zaczęłam ją przeglądać, coraz bardziej podekscytowana. Znalazłam rozdział o Akademii Gottfrieda, zawierający zdjęcia i znacznie więcej informacji niż szkolne publikacje. Ktoś musiał ją tu postawić przypadkiem. Ucieszona, wzięłam ją i podeszłam do lady.

55

Pan Porley zakasłał.

- Ciekawy wybór - zachrypiał głosem palacza, nie patrząc na mnie.

- Jestem od niedawna na Wschodnim Wybrzeżu.

- Zapewne w akademii? - zapytał ze zrozumieniem. Miał duże włochate ręce i nosił szelki, jakby kiedyś był

wędkarzem lub drwalem.

Skinęłam głową.

Otworzył książkę i wziął ode mnie dziesięć dolarów, połowę ceny widniejącej na okładce.

- Miałaś szczęście. Już jej nie wydają, to chyba ostatni egzemplarz - rzekł, wkładając książkę do papierowej

torby.

Podziękowałam i wyszłam, Nathaniel szedł tuż za mną.

Nie mając nic innego do roboty, poszliśmy w dół uliczki, aż dotarliśmy do opuszczonego domu. Był biały,

pochylony ze starości, a wokół niego biegła weranda poprzątykana od czasu do czasu słupkami, które wyglądały, jakby zeżarły je korniki. Stałam ostrożnie na schodkach, sprawdzając, czy się nie zapadną, jak na

nich usiądziemy. Minęło nas kilka grup uczniów. Rozmawiali i pili z papierowych kubków coś gorącego i

parującego. Na drugim końcu ulicy profesor Bliss palił papierosa przed sklepem. Otworzyłam książkę i przewracałam kartki, pomijając rozdziały o historii Maine, /ułożeniu Attica Falls, cudach natury Gór Białych, dopóki nie znalazłam tego, czego szukałam. Na stronie widniał napis: *Rozdział 7, Akademia Gottfrieda.*

Zaczęłam czytać, Nathaniel zerkał mi przez ramię. Niektóre informacje już znałam - jaką rolę

akademia odegrała w wojnie o niepodległość, zamiana szkoły religijnej w świecką... I gdy już zaczynałam tracić nadzieję,

mój wzrok przykuła jedna ze stron. W prawym dolnym rogu znajdowało się zdjęcie, zwykłe czarno-białe zdjęcie, na które w ogóle nie zwróciłabym uwagi, gdyby nie to, że spoglądała z niego znajoma twarz.

- To.. to mój dziadek - rzuciłam wstrząśnięta. Nathaniel poprawił okulary i zmrużył oczy.

- Który?

Wskazałam wysokiego mężczyznę z brodą, w garniturze i kamizelce. Na zdjęciu miał ciemniejsze

włosy i cieńsze szkła okularów. Stał przed bramą akademii, na szyi miał szalik w barwach szkoły, uśmiechał się i nie

przypominał tego oschłego człowieka, którego poznałam w lecie. Podpis głosił: „Dyrektor Brownell Winters,

1974 rok". Poniżej był artykuł, przedrukowany z „Portland Herald”.

*Klątwa Gottfrieda*

*7 lipca 1989 roku*

*Autor: Jacqueline Brookmeyer.*

*Po blisko stu latach spokoju pożar zniszczył las otaczający Akademię Gottfrieda, prywatną szkołę nieopodal Attica Falls,*

*słynącą nie tylko ze swoich surowych zasad, ale również z nękających ją nieszczęść. Od chwili założenia w 1735 roku*

*Akademia Gottfrieda ucierpiała w wyniku wojny i klęsk żywiołowych, jej wychowanków nękały tajemnicze choroby, nie mó-*

*wiąc już o przedziwnych i niesamowitych wypadkach. Te przypadkowe, chociaż regularnie powracające nieszczęścia*

*zwrócić w końcu uwagę miłośników zagadek, usiłujących zrozumieć przyczyny i prawidłowości owych katastrof. Wszyscy*

*zginęli w podejrzanych okolicznościach, zaś w 1789 roku pasmo nieszczęść nagle zostało przerwane. Czyżby to, co*

*powodowało owe zjawiska, nazwane przez miejscowych „klątwą Gottfrieda”, zakończyło się na dobre?*

*Cała historia zaczęła się od epidemii świnki i odry, która wybuchła w tamtych okolicach. Doktor Bertrand Gottfried,*

*pragnąc położyć kres epidemii, założył szpital dziecięcy, jednak mimo jego wysiłków zmarła ponad setka dzieci. Płotka*

*głosiła, że doktor zbudował katakumby pod szpitalem, gdzie rzekomo chował ciała, by zapobiec rozprzestrzenianiu się*

*infekcji. Jak było naprawdę, nie wiadomo, prawdą jest jednak, że Bertrand Gottfried zmarł w zagadkowych okolicznościach.*

*Pielęgniarki znalazły jego ciało w jeziorze, za prawdopodobną przyczynę śmierci uznano atak serca.*

Zatrzymałam się i wytrzeszczyłam oczy. Atak serca!

- No nie - wymruczałam.

- Co? - spytał Nathaniel znad mojego ramienia.

- Bertrand Gottfried zmarł na atak serca. Tak jak moi rodzice!

- Był stary - odparł Nathaniel. - Nie ma w tym nic dziwnego.

- Jest, jeśli znajdują twoje ciało w jeziorze.

- Może dostał ataku serca w czasie pływania? - zasugerował Nathaniel.

- A może to wcale nie był atak serca?

- Przewróć stronę.

*I chociaż nie odnaleziono żadnych katakumb, uważa się, że zapoczątkowały one podziemne tunele, które do dziś biegną*

*pod terenem szkoły. Wszyscy poprzedni dyrektorzy, a także niedawno mianowana na to stanowisko Calysta von Laark,*

*odmówili wszelkich komentarzy.*

*Po śmierci Bertranda Gottfrieda szpital przestał przyjmować pacjentów i zamknął swoje podwoje przed światem*

*zewnątrznym. Przez następne dziesięć lat nikt z niego nie wychodził i nikt do niego nie wchodził, poza pojawiającym się raz*

*w tygodniu ogrodnikiem, który dostarczał zakupy z lokalnego sklepu. Jednak pewnego dnia, nagle i niespodziewanie, szpital*

*otwarto ponownie - tym razem jako szkołę. Główna pielęgniarka, Ophelia Hart, została pierwszą dyrektorką, a szkołę*

*nazwała Akademią Gottfrieda na cześć założyciela.*

*Z biegiem czasu tragiczna historia szpitala poszła w niepamięć i do szkoły zaczęli napływać uczniowie. Jednak zła passa*

*trwała nadal i ze zdumiewającą regularnością akademię nawiedzały katastrofy. 1751 rok - zawalenie się budynku, obecnie*

*pełniącego funkcję teatru, burza stulecia w 1754 roku, epidemia gruźlicy w 1759 roku, w 1767 przypadki zatruc*

*pokarmowych. Dziesięć lat później szkoła została częściowo zniszczona podczas wojny o niepodległość, następnie doszło do*

*serii katastrof, których apogeum stanowił wypadek w laboratorium chemicznym w 1789 roku. Na żądanie rodziców i*

*członków zarządu Ophelia Hart ustąpiła ze stanowiska. Nowym dyrektorem został Olwer Copleston. Przez następne sto*

*lat panował spokój.*

*Nadal jednak nie znamy odpowiedzi na pytanie, co zapoczątkowało klątwę i czy to na pewno jej koniec?*

*Zdaniem niektórych przyczyną jest samo miejsce, inni obarczają winą Bertranda Gottfrieda. „Wszystko zaczęło się po*

*jego śmierci - mówi mieszkanka okolicy Ester Bancfort. - To nie był lekarz, tylko szarlatan! Bóg jeden wie, co robił tym*

*biednym dzieciom! To one go zabity i teraz jego duch ostrzega ludzi, żeby trzymali się od tego miejsca z daleka. Żeby*

*trzymali się z daleka.. " Jednak nie wszyscy są skłonni wierzyć w opowieści o duchach.*

*„To wszystko przez tę kobietę - mówi mieszkaniec, Hazel Bamberger, lat 84. - Tę pielęgniarkę, która otworzyła tę*

*przeklętą szkołę, Ophelię. Ona żyła z tym doktorem Bertrandem, po jego śmierci została pierwszą dyrektorką i wtedy się*

*wszystko zaczęło. To dlatego zawsze umierają pary. Ophelia mści się na zakochanych".*

*Można się nie zgadzać ze słowami Bambergera, ale nie sposób zaprzeczyć pewnym faktom, których nie znają nawet*

*mieszkańcy Attica Falls, a które dotyczą niezwyklej okoliczności śmierci. Otóż, jak wynika z akt policji, do których miał*

*dostęp były profesor akademii, pragnący zachować anonimowość, przyczyną ponad połowy zgonów był atak serca.*

Opuściłam książkę i odwróciłam się do Nathaniela. Popatrzył na mnie ze zrozumieniem. Przełknęłam ślinę.

Tym razem to już nie mógł być zbieg okoliczności.

- To jest właśnie to. - Stuknęłam palcem w stronę. - Dowód, że śmierć moich rodziców, śmierć Benjamina i

akademia mają ze sobą związek.

Nathaniel się nie odezwał.

- Ale jak? - mówiłam bardziej do siebie niż do Nathaniela. - Nie rozumiem tego.. Co jest przyczyną?  
-

Czułam, że muszę pogadać z Eleanor. I z Dantem. Jak najszybciej.

- Nie wiem - odparł Nathaniel.

- Która godzina?

- Szesnasta trzydzieści.

Pół godziny do spotkania z Dantem, całe wieki... Przewróciłam kartkę.

*Dlaczego tak wielu uczniów zmarło na zawał serca w tak młodym wieku? I czy szkoła ukrywała przyczynę zgonów,*

*składając wszystko na karb wojny, chorób i klęsk żywiołowych? Niektórzy mają gotowe odpowiedzi - teoria spiskowa, siły*

*nadprzyrodzone - ale nawet oni nie potrafią wyjaśnić, dlaczego nagle wszystkie te nieszczęścia się skończyły.*

*Drugi pożar jesienny, który wybuchł w maju, był pierwszą tragedią od 1789 roku. Brownell Winters, piastujący*

*stanowisko dyrektora przez blisko siedemnaście lat, nie chciał rozmawiać na ten temat. Pożar strawił całą północną część*

*lasu, obecnie nazywaną Martwym Lasem, wierzchołki drzew stały się pomarańczowe od żaru (stąd nazwa - drugi pożar*

*jesienny). Ogień przedarł się przez mur i rozprzestrzenił na budynek biblioteki. „To prawdziwa tragedia - powiedział*

*miejscowy księgarz Conrad Porley. - Te wszystkie książki zostały utracone na zawsze". Wśród zniszczonych dzieł były*

*również pozycje dotyczące Akademii Gottfrieda i jej historii. Ku zdumieniu członków społeczności akademii dyrektor*

*Brownell Winters nie brał udziału w śledztwie i nie dążył do szybkiego odbudowania szkoły. Na początku czerwca, kilka*

*tygodni po pożarze, ustąpił ze stanowiska i wyjechał. Pytany o klątwę Gottfrieda, odparł: „Nie ma czegoś takiego jak*

*klątwy, są tylko ludzie i ich decyzje". Co chciał przez to powiedzieć, pozostaje tajemnicą, podobnie jak przyczyna pożaru.*

Przewróciłam kartkę, ale dalej były już tylko zdjęcia. Na pierwszym czarno-białym widać było ludzi prowadzących dzieci do jeziora, tego samego, które nadal znajdowało się na środku kampusu. Podpis głosił: „Lekarze kąpią zarażonych uczniów, 1736, epidemia świnki i odry". Poniżej było jeszcze jedno zdjęcie z moim

dziadkiem. Znajdował się przed Kolegium Archebalda z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Po obu jego stronach stały sztywno upozowane kobiety z rękami założonymi za plecy, młodsze od niego. Pierwszej nie znałam,



drugą tak. Była wysoka, miała wąską twarz, ostre brwi i siwiejące włosy, i prostą sukienkę na sobie.  
„Od lewej:

profesor Cordelia Milk, dyrektor Brownell Winters, profesor Calysta von Laark, 1988”.

Zdjęcie zrobiono na rok przed pożarem. Wpatrywałam się w twarz dziadka, usiłując zaakceptować myśl, że

kiedyś był dyrektorem akademii i, co było jeszcze bardziej niesamowite, że znał dyrektorkę von Laark.

- Wiedziałaś, że twój dziadek był dyrektorem? - spytał Nathaniel.

- Nie.

Patrzyłam na strony książki, słowa się rozmazywały. Co powodowało ataki serca w Akademii Gottfrieda i co to

wszystko miało wspólnego ze śmiercią moich rodziców, którzy znajdowali się prawie pięć tysięcy kilometrów

od akademii? Przejrzałam pozostałe rozdziały w nadziei, że dowiem się czegoś więcej, ale nie było tam już nic

ciekawego. Wpatrywałam się w książkę, zła, że nie zawiera więcej odpowiedzi; pozostałe rozdziały dotyczyły

Attica Falls - pogoda, kalendarz farmera, demografia mieszkańców miasta... Nic dziwnego, >,c  
pt/enln li ją

wydawać.

- Myślisz, że te wszystkie ataki serca spowodowała klątwa Gottfrieda? - spytałam Nathaniela. I jeśli tak

było, to czemu dziadek mnie tu przysłał?

Nathaniel pokręcił głową.

- Myślę, że to zwykła plotka. A nawet jeśli jest w tym ziarnko prawdy, to przecież przez ostatnie trzydzieści

lat nic się nie działo, prawda? Powszechnie wiadomo, że akademia jest najbezpieczniejszą szkołą...  
No wiesz,

wysoki mur, więcej reguł niż w wojsku... Tak jak powiedział twój dziadek: klątwy nie istnieją.  
Istnieje nauka.

Istnieją ludzie i statystyki.

- No to skąd się wzięły te wszystkie ataki serca? Chyba nie myślisz, że to tylko zbieg okoliczności!  
Moi

rodzice, Benjamin, teraz to...

Nathaniel wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Uczniowie zbierali się na końcu ulicy, szykując do powrotu.

- Chodźmy. - Nathaniel wstał i otrzepał spodnie. Nie poruszyłam się. Znow spojrzałam na książkę, na zdjęcie mojego dziadka. - Idziesz?

Zawahałam się. Nie chciałam mówić, że jestem umówiona z Dantem, wiedziałam, że to mu się nie spodoba.

- Ja. . muszę chwilę posiedzieć sama. Pomyśleć.

- Mogę zaczekać.

- Nie, nie, idź. Dogonię cię.

- Renee, nie ma tu żadnej klątwy - stwierdził Nathaniel, biorąc swoje rzeczy. - Jest tylko.. życie.

Skinęłam głową, patrząc, jak odchodzi. Co właściwie zabiło moich rodziców? To nie mogła być klątwa, to

musieli być ludzie. Ale kto? I co mieli wspólnego z Benjaminem Gallowem?

57

Słońce chyliło się ku zachodowi, rozlewając się na horyzoncie niczym żółtko. Podniosłam torbę i zaczę-, łam

ić w dół ulicy, aż dotarłam do domu numer 46.1 To był zniszczony budynek przypominający dziewiętna-1

stowieczny hotel. Dante czekał na mnie oparty o słupek j werandy.

- Wyglądasz na zmartwioną. - Wziął ode mnie torbę.

- Zobacz. - Podałam mu książkę i usiadłam. Przeczytał artykuł i milczał przez dłuższy czas.

- Wiedziałaś o tym? - spytałam w końcu.

- O klątwie Gottfrieda? Nie. Nie wiedziałem. Przyglądałam się jego twarzy.

- Coś ukrywasz - powiedziałam, wiatr rozwiewał mi włosy. - Wiesz więcej o śmierci Benjamina niż inni, ale

milczysz. To jest dowód. Moi rodzice, Benjamin, ci wszyscy ludzie, którzy zmarli w akademii na atak serca. To

jest to samo.

Dante wziął mnie za rękę.

- Chodź ze mną.

Wewnątrz domu panował półmrok, rozpraszany przez słabe światło kinkietów, na podłodze leżała wytarta

czerwona wykładzina, klatka schodowa biegła zygzakiem w górę.

- Co to za miejsce? - zapytałam, sunąc dłonią po poręczy.

- Pensjonat.

Zerknęłam na Dantego. Schody zatrzeszczały pod jego stopami.

- Mieszkam tutaj.

Pokonaliśmy dwie kondygnacje i znaleźliśmy się w wąskim korytarzu. Podłoga była drewniana, deski

wypaczone i niepewne. Zwisające z sufitu lampy dawały żółte światło. Po obu stronach były drzwi, ale najwyraźniej nikt nie mieszkał tu od lat. Dante sięgnął do kieszeni, szukając klucza.

W jego pokoju panował przenikliwy ziąb. Przez dwa otwarte na oścież okna wpadało listopadowe zimne powietrze. Dante włączył lampkę na biurku.

- Gdy znalazłem Benjamina Gallowa, nie żył od wielu dni. Wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat. Jego

krawat był zawinięty i wciśnięty do ust. To wszystko.

- Miał krawat w ustach? - Podobnie jak moi rodzice, tylko oni mieli w ustach gazę. .

Dante skinął głową.

- Jak knebel? Nie odezwał się.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem. Może sam to sobie zrobił? Ze strachu ludzie robią dziwne rzeczy.

- Ale co mogło go tak przerazić?

- Śmierć - odrzekł cicho. - Czy to nie ona przeraża nas najbardziej?

Rozejrzałam się po pokoju. Można by go nazwać przytulnym, gdyby było choć trochę ciepłej.  
Pomieszczenie

było czyste, ale niemiłosiernie wszędzie zagracone. Wszędzie wznosiły się sterty książek, zastawiały całe ściany.

Na stolyczku pod oknem leżał stos płyt z muzyką fortepianową. Schubert, Rachmaninow, Chopin, Satie i wielu

innych, których nie znałam.

Pod oknem stało łóżko, na którym leżała tylko poduszka, nie było prześcieradła ani koca. Obok znajdowało

się drewniane biurko, a na nim otwarta książka z ołówkiem w środku, dalej solniczka, trzy pałeczki cynamonowe, garść kamyczków i muszelek. Dante nie protestował, gdy podnosiłam je i oglądałam.

- Czy przy jego ciele były monety? - zapytałam, idąc przez pokój.

- Nie - powiedział, trochę zdziwiony moim zainteresowaniem różnymi drobiazgami. Interesowały mnie

tylko dlatego, że należały do niego.

Na komodzie stało kilka dezodorantów i woda ko-łońska, na końcu pokoju był regał z książkami.  
*Rytuały,*

*zaklęcia i okultyzm, Teoria cyfr arabskich, Metafizyczne medytacje, Republika.* Niektóre były po angielsku, większość

po łacinie.

- Gdy znalazłam ciała moich rodziców, wokół nich leżały rozrzucone monety - mówiłam, przesuwając

palcami po wytartych grzbietach. - W ich ustach była gaza.

- Renee - odezwał się łagodnie Dante. Stał za mną, jego głos wibrował namiętnością. Zrobił krok do przodu i

znalazł się tak blisko, że czułam jego kolana. - Wierzę ci. Gdybym tylko wiedział, jak ci pomóc, zrobiłbym to.

Właśnie dlatego cię tu zaprosiłem. Żebyś mogła mnie poznać. Zaufać mi.

- Dlaczego? - zapytałam, odsuwając od siebie wspomnienie rodziców leżących w lesie. - Dlaczego ja?

- Gdy jestem przy tobie... - jego włosy połaskotały mój obojczyk - czuję rzeczy, których nie czułem od

bardzo dawna.

Moje mięśnie się napięły.

-Jakie rzeczy? - jęknęłam niemal niesłyszalnie. Wsunął palce w moje włosy.

- Ciepło - powiedział. W ciszy pokoju słyszałam jego oddech.

- Co jeszcze? - spytałam drżącym głosem.

Objął mnie i zsunął mi kurtkę, Upiulla na podłogę, a Dante zaśmiał się cicho, widząc, że poci spodem mam

dwa zapinane swetry. Rozpiął je powoli, polem przysunął się do mnie.

- Zapachy - szepnął mi do ucha, kryjąc Iwarz w moich włosach. Przez otwarte okno wpadł zimny powiew

wiatru, zadrżałam. Czułam jego dłoń na moim ramieniu, gdy odgarnął kosmyki z mojej szyi. - Smaki - dodał i

pocałował mnie w szyję tak delikatnie, że prawie nie poczułam.

Po moim ciele przeszedł dreszcz. Nachyliłam się do niego, jego dłonie nadal błądziły po moich rękach. Jego

palce były tak zimne, że moja skóra cierpła pod jego dotykiem. Najpierw stawała się zimna, za chwilę ciepła,

jakby przesuwiał po niej kostką lodu. W końcu nasze palce się splotły, odwróciłam się do niego.

- Co jeszcze czujesz?

W jego oczach czaiła się namiętność pełna smutku.

- Ból.

Dotknęłam jego twarzy, ust. Gdy całował moje palce, zamknęłam oczy, jego ręka zsunęła się na moje pośladki.

- Pożądanie. - Przytulił mnie mocniej i pocałował w obojczyk.

Przyciągnęłam jego głowę do siebie, zbliżyłam usta do jego warg, ale on się odchylił. Zaskoczona, odsunęłam się.

- Głód. - Ugryzł mnie w ucho. Przywarł do mnie, przyciskając mnie do regału. Regał się zachwiał, książki z

górnjej półki spadły na podłogę. Jego ręce błądziły po moim ciele, wsunęły się pod koszulkę.

Czułam, jak moje ciało staje się bezwładne, jak płonie, jakby za chwilę miało się roztopić.

- Dante - jęknęłam. - Dante - powtórzyłam. Wnętrze pokoju zaczęło się rozplýwać, widziałam

tylko Dantego. Nagle poczułam, że słabnę, przed oczami pojawiły się czarne plamy. Cały świat zawirował.

- Przestań - poprosiłam słabo. - Proszę, przestań... Cofnął się, a ja osunęłam się na podłogę.

- Co się stało? - zapytał, klękając obok mnie. Wokół nas leżały otwarte książki, wiatr poruszał stronami.

Szukałam odpowiednich słów, ale nie mogłam znaleźć. Jak wyrazić całą gamę sprzecznych uczuć, które mną

targały, gdy byłam blisko niego?

- Za dużo - szepnęłam. - Moje nogi... nie mogę utrzymać się na nogach.

Dante zeszywniał i popatrzył na mnie zaniepokojony; jego twarz złagodniała, gdy zrozumiał, że mnie wystraszył.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - powiedziałam łamiącym się głosem. - Co się ze mną dzieje?

Oparł czoło o moje czoło.

-

Proszę, nie idź jeszcze. Poleż ze mną chwilę. Zaprowadził mnie do łóżka, przykrył kurtką, zwinęłam się w

klębek, a on położył się obok mnie.

- Przy tobie czuję, że żyję - szepnął. Leżeliśmy tak obok siebie aż do wschodu słońca.

Dante z głową na mojej piersi słuchał bicia mojego serca.

## Powódź

Następnego ranka obudziłam się w zupełnie innym świecie - na dworze wszystko było pokryte białym puchem.

Pierwszy niespodziewany śnieg przysypał ulice, zasłonił znaki drogowe, przykrył samochody. Zamrugałam.

Ubiegła noc nie mogła być prawdziwa - a przecież była, bo Dante nadal leżał za mną. Teraz, gdy spał, wyglądał

niczym posąg, wykuty z kamienia. Podniosłam rękę; gdy muskałam jego policzek, zadrżały mi palce. Dante

nagle otworzył oczy, krzyknęłam cicho, gwałtownie cofając rękę.

- Mam coś na twarzy? - spytał z uśmiechem.

- Przestraszyłeś mnie!

- Przespałaś się trochę?

Skinęłam głową, przeciągając się jak kot. - A ty?

Podniósł się na łokciu, zaczął bawić się moimi włosami.

- Ja nigdy nie śpię. Przewróciłam oczami.

- Musiałeś zasnąć choć na chwilę. Przesunął palcem po moim łokciu.

- Odprowadzę cię do internatu, zanim odkryją, że cię nie ma.

Nic poszliśmy do głównej bramy, Dante poprowadził mnie ulicą na koniec miasta. Mógł wchodzić na teren

akademii, kiedy chciał. Ja musiałam być trochę ostrożniejsza.

- Jak wrócę?

- Są dwie możliwości. Możesz przemknąć się obok wartowników, ale są czujni i jest spore prawdopodobieństwo, że cię złapią.

-

A ta druga możliwość? Dante się zawahał.

- Mało przyjemna.



- To bez znaczenia. - Patrzyłam na niego wyczekująco.

Zawahał się, ale w końcu skinął głową i wziął mnie za rękę.

Przystanęliśmy przed zniszczonym domem z długim, pokrytym ziemią podjazdem, wzdłuż którego rosły

krzaki, teraz przysypane śniegiem. Ruszyliśmy przez podwórko, kryjąc się za krzakami. Teren za domem wyglądał niczym biała polana otoczona nagimi drzewami.

- Dokąd idziemy? - chciałam wiedzieć.

W tej samej chwili się zatrzymaliśmy. Przed nami, zasłonięta jabłonką, znajdowała się kamienna studnia.

Otwór był wąski z pokrywą z desek na wierzchu. Dante strzepnął śnieg i zsunął ją na ziemię.

- Pamiętasz tunele, o których była mowa w artykule? - zapytał.

Skinęłam głową, policzki zaczęły mnie szczypać od mrozu.

- Tutaj jest jeden z nich. Prowadzi na teren akademii, wychodzi przy ambonie w kaplicy. Znalazłem go

przypadkowo zeszłego lata, kręcąc się po okolicy. Pewnie są również inne, ale ja znam tylko ten.

Zajrzałam do studni, była ciemna i tak wąska, że człowiek z trudem się w niej mieścił. Poczułam ciepły

powiew z głębi, ale dna nie zobaczyłam.

- Czy tam jest woda?

59

- To właściwie nigdy nie była studnia - wyjaśnił Dante i splótł dłonie. - Nie jest głęboko, zejdziesz kilka

metrów i od razu zobaczysz tunel.

Cembrowina wyglądała tak, jakby miała się rozpaść lada chwila. Świadomość, że zbudowano ją w

wojny o niepodległość, nie dodawała mi otuchy. Zaczęłam rozcierać noskiem buta śnieg, dokopałam się do

kamyków, podniosłam jeden i wrzuciłam do studni. Nie usłyszałam żadnego dźwięku.

Dante przyglądał mi się w zadumie, marszcząc czoło.

- Lepiej zacznij schodzić, jeśli nie chcesz się spóźnić - powiedział.

Zerknęłam na niego zaskoczona.

- Ty nie idziesz? Dante pokręcił głową.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Zawahał się.

- Nie mogę schodzić pod ziemię.

- Jak to?

- Trauma z dzieciństwa.

Skinęłam głową i spróbowałam wziąć się w garść. W końcu to tylko tunel!

Dante popatrzył na mnie sceptycznie i wsunął dłoń do torby.

- Weź. - Podał mi świeczkę i pudełko zapalek. -Może ci się przydać. Jak już będziesz na dole, po prostu idź

cały czas prosto, nigdzie nie skręcaj.

Odgarnęłam włosy za uszy.

- Zobaczymy się na lekcjach?

- Oczywiście. Ale gdybyśmy nie mieli okazji porozmawiać, spotkajmy się wieczorem przed kaplicą. O jedenastej?

- Dlaczego mielibyśmy nie pogadać? - zapytałam zdumiona.

- Po prostu spotkajmy się przed kaplicą. Chcę ci coś powiedzieć.

Skinęłam głową i Dante pomógł mi wejść do studni. Funkcję prowizorycznej drabiny pełniły kamienie wystające ze ściany.

- Cześć - rzuciłam i zaczęłam schodzić. Dante patrzył na mnie zatroskany, dopóki nie zniknęłam w ciemności.

Studnia była ciemna i wąska. Nie widziałam kompletnie nic, niemal nie miałam miejsca na ugięcie kolan.

Schodziłam powoli, bojąc się, co zastanę na dole, w końcu dotknęłam stopami podłoża.

Zapaliłam zapałkę i ujrzałam tunel przypominający jaskinię, na tyle wysoki, żeby można było w nim stać.

Ściany były pokryte warstwą ziemi, która kruszyła się pod moimi palcami jak kreda, pachniało ściółką. Po

omacku potarłam następną zapałkę o draskę, zapaliłam świeczkę i ruszyłam przed siebie. Co jakiś czas czułam

zimny powiew z boku, gdy tunel się rozgałęział, wtedy przytulałam się do ściany i usiłowałam nie myśleć o

tym, co się stanie, jeśli zabłądzę pod ziemią. W końcu droga zaczął się delikatnie wspinać w górę i znalazłam

się przy wylocie. Zdmuchnęłam świeczkę, podciągnęłam się i znalazłam w kaplicy, pod amboną. Pod sufitem

wisiały nietoperze, słysząc było zawodzenie wiatru. Przez witrażowe okna wpadało słabe światło, rzucając na

podłogę chwiejne czerwone cienie. Chciałam jak najszybciej się stąd wydostać. Prześliznęłam się między

ławkami, odgłos moich kroków odbijał się echem od sklepienia. Odsunęłam zasuwę i wyszłam w listopadowy

ranek.

Przysypany śniegiem kampus wydawał się bezkresny i nieruchomy. Każde drzewo, każdy kamień, każde

źdźbło trawy przykrywała delikatna warstwa bieli. Obok mnie przeszła grupka chłopców, spieszących do

stołówki, zerknęłam na zegarek, prawie ósma. Musiałam wziąć prysznic, a potem pójść na lekcje, zanim znowu

zobaczę Dantego. Otuliłam się kurtką i poszłam w stronę internatu, po drodze rozmyślając o ostatniej nocy.

Dotarłam do budynku, otworzyłam drzwi i zobaczyłam wielką kałużę wody. Cofnęłam się, zdumiona i zrozumiałam, że cały parter jest zalany. Pobiegłam na górę, dziewczyny tłoczyły się na korytarzu, wszystkie były

rozespane i zirytowane. Pierwszoklasistki skarżyły się na mokre dywany w pokojach. Przeciskałam się przez

tłum dziewczyn w szlafrokach i kapciach, w koszulach nocnych i klapkach, w za dużych podkoszulkach, szukając Eleanor, ale nigdzie jej nie było. W końcu zobaczyłam Rebeccę, stała w kącie z Charlotte, Gretą, Mag-gie i

Bonnie.

- Co się dzieje?

- Nie ma wody - oznajmiła Rebecca.

- Cały parter jest zalany! Co się stało?

- Nie wiemy. - Maggie wzruszyła ramionami. - Pewnie zaraz przyjdzie tu Lynch i nam powie.

- Widziałyście Eleanor?

Maggie pokręciła głową. Nie założyła jeszcze szkieł kontaktowych i chyba czuła się nieswojo w okularach.

- Myślałyśmy, że jest z tobą.

- Och... - Machnęłam ręką nonszalancko, nie chciałam, żeby się wydało, że ostatnią noc spędziłam poza

internatem. - Może nadal jest w pokoju.

- Albo z Genevieve - dorzuciła Charlotte. Miała wałki na włosach, w rękę ścisnęła gąbkę i wypchaną kosmetyczkę. - Znowu nie było jej rano, jak się obudziłam.

- Może miała jakieś poranne spotkanie Straży Uczniowskiej - mruknęła z goryczą Maggie. - Nigdy jej nie

ma.

Charlotte wzruszyła ramionami i zaczęła mówić o swoich planach na ferie zimowe, gdy drzwi na korytarz

otworzyły się gwałtownie. Pani Lynch szła szybkim krokiem przez hol, jej obcasy stukały o drewnianą podłogę.

-Dziewczęta! - zawołała. Zapanowała cisza.

- Wszystko wskazuje na to, że doszło do awarii w łazience dziewcząt. Wezwano już hydraulików, powinni

zjawić się w ciągu godziny, naprawić usterkę i wypompować wodę z parteru. Zanim to nastąpi, profesor Bliss

zapropował, żebyście skorzystały z łazienki chłopców, za chwilę powinna być wolna.

Profesor Bliss był opiekunem internatu dla chłopców. Przez korytarz przebiegł szmer.

- Ubierzcie się i weźcie ze sobą ręczniki i kosmetyki. Wychodzimy za piętnaście minut.

60

Kiedy weszłyśmy do internatu dla chłopców, czułam się tak, jakbym wkraczała w inny świat. Układ budynku

był identyczny z naszym, ale ściany miały ciemny odcień brązu, przez okno wpadało skąpe światło, więc

panowała tu atmosfera bardziej pasująca do sklepu z papierosami. Pachniało skórą, przez poręcz ktoś przewiesił

spodenki gimnastyczne.

Łazienka znajdowała się w zachodnim skrzydle na pierwszym piętrze, podobnie jak nasza. Drzwi od pryszniców były uchylone, na korytarz buchały kłęby pary. Gdy zajrzałam do naszego pokoju, żeby wziąć ręcznik i

mydło, Eleanor nadal nie było. Jej łóżko wyglądało na nienaruszone, poduszki były nietknięte, prześcieradła i

kołdra starannie zaścielone. Gdzie ona się podziewa-ła? Szłam między rzędami pryszniców, nasłuchując jej

głosu. Słyszałam dziewczyny z pierwszej, drugiej i trzeciej klasy, ale Eleanor nie.

Wzięłam prysznic, przebrałam się i wyszłam z łazienki. Stałam pod drzwiami w nadziei, że doczekam się

Eleanor, ale po wyjściu ostatniej dziewczyny się poddałam. Korytarz był długi i symetryczny, po obu stronach

biegły identyczne drewniane drzwi. Rozejrzałam się, niepewna, co robić, a potem poszłam na dół i wyszłam na

zewnątrz, w biały śnieżny poranek.

Na schodkach przed naszym internatem stała pani Lynch z czterema robotnikami. Każdy z nich był wyższy

od niej co najmniej o głowę, mieli na sobie niebieskie kombinezony, mokre od pasa w dół.

Przechodząc obok nich, zwolniłam.

- To musi być poważne uszkodzenie rur - powiedział szorstko jeden z nich, ocierając pot z czoła. Na policzkach miał siwawy zarost, z kieszeni wystawała mu poplamiona smarem szmata. - W tych warunkach nie

sposób wykryć przecieku. Trzeba będzie zamknąć dopływ wody do budynku i osuszyć go za pomocą grzejników i kominków. Narąbiemy dużo drewna.

Zatrzymałam się na najwyższym schodku, czekając, co powie Lynch, ale musiała zauważyć, że słucham, bo

spojrzała na mnie gniewnie. Nie chcąc znów wylądować u dyrektorki, wbiegłam do środka i poszłam do

mojego pokoju, a w głowie tłukły mi się dwa słowa: „klątwa Gottfrieda”.

Nie powiedziałam nikomu o klątwie i o nocy spędzonej z Dantem. Chciałam opowiedzieć Eleanor, ale nie

pojawiała się na łacinie ani na filozofii, w ogóle nie przyszła na żadną lekcję. Panna LaBarge pisała coś na tablicy

o Kartezjuszu, a ja notowałam, co jakiś czas odruchowo przechylając się w stronę miejsca, gdzie zwykle

siedziała Eleanor, żeby jej coś szepnąć i wtedy przypominałam sobie, że jej nie ma. Jednak jej nieobecność nie

wzbudziła moich podejrzeń, zbliżały się egzaminy końcowe, a Eleanor miała kiepskie stopnie. Przez cały

semestr opuszczała posiłki, żeby pouczyć się w bibliotece.

Bez niej lekcje dłużyły mi się w nieskończoność, robiłam się coraz bardziej zła, że jej nie ma, podczas i gdy ja

mam tyle ważnych rzeczy do opowiedzenia! Eleanor na pewno miałaby jakąś teorię na temat ataków serca.

Pewnie stwierdziłaby, że to promieniowanie pod budynkami szkoły. Albo seryjny morderca wyposażony w

nowy rodzaj broni, która uszkadza serce. A materiał w ustach moich rodziców i w ustach Benjamina to knebel.

Może zostali porażeni prądem? Może ktoś polował na uczniów z Akademii Gottfrieda? Ale dlaczego właśnie na

nich? Nathaniel miał rację, nie ma czegoś takiego jak klątwa, są tylko ludzie i nauka...

Wpatrywałam się w zegar i odliczałam minuty do ostatniej lekcji, kiedy wreszcie zobaczę Dantego na naukach podstawowych. Miniona noc była niczym sen, ale pamiętałam każdy szczegół - to, jak ścisnął mi się

żołądek, gdy Dante pocałował mnie w szyję, książki spadające na podłogę, to jak przytulaliśmy się do siebie

na łóżku. Rozwijałam każde wspomnienie niczym prezent, aksamitny głos Dantego spowijał mnie, gdy

siedziałam w klasie czy stałam w kolejce na stołówce. W porównaniu z tym nic nie było ważne. Ani to, że

profesor Lumbar miała wyjątkowo zły humor, ani to, że profesor Chortle zmusił nas do wyprowadzania

dowodów przez półtorej godziny.

Tuż przed rozpoczęciem piątej lekcji podeszłam do obserwatorium, niespokojnie zerknęłam na swoje odbicie

w oknie i otworzyłam drzwi.

Profesor Starking wszedł zaraz po mnie, równo z dzwonkiem, niosąc pudło z filmami i stos papierów. Dante

siedział już w naszej ławce. Na szyi miał krawat, jego marynarka wisiała na oparciu krzesła. Szłam powoli,

przyglądając mu się; kosmyk włosów opadł mu na twarz, gdy pisał coś w zeszycie.

Znalazłam się tuż za nim i zajrzałam mu przez ramię. Pisał coś po łacinie. Nagle poczułam zdenerwowanie,

jakby to, czego zawsze pragnęłam, było na wyciągnięcie ręki i jedyne, co musiałam teraz zrobić, to ją wyciągnąć.

Jednak gdy podniosłam rękę, Dante złapał ją, nie odrywając wzroku od zeszytu. Krzyknęłam cicho, a on

odwrócił się do mnie z delikatnym uśmiechem, podniósł moją dłoń do ust i ją pocałował.

W czasie lekcji prawie nie rozmawialiśmy. Niebo za oknem było zachmurzone, profesor Starking zgasił

światło i włączył projektor. Na ścianie pojawił się obraz, zdjęcie kosmosu z rdzawą chmurą pyłu, która wyciągała się ku górze niczym palce.

- Filary stworzenia - rzekł profesor Starking. - Właśnie tak wyglądają gwiazdy, zanim się ukształtują.

Nazywamy to obłokiem molekularnym.

Pokazał następny slajd, potem jeszcze jeden, na ciemnej ścianie obserwatorium pojawiały się kolejne nieziemskie obłoki.

- Co chciałeś mi powiedzieć? - szepnęłam do Dantego.

- Nie teraz - odparł, wpatrzony w slajdy. - To, co chcę ci powiedzieć, jest zbyt ważne.

W niebieskawym świetle projektora jego twarz wyglądała niesamowicie. Zastanawiałam się, co takiego

chciał mi wyznać. Dozgonną miłość. Absolutne i bezwarunkowe oddanie. „Renee - powie. - Kocham cię.

Ucieknij ze mną. Zaszycemy się w dzikich ostępach północy i będziemy tam żyć, wśród niewygód i niebezpieczeństw...” A ja się zgodzę. A może chce mi wyznać coś innego? Bo dlaczego nie może zrobić tego tutaj, w

mroku obserwatorium? Gdy chcesz z kimś porozmawiać w cztery oczy, to zwykle masz do powiedzenia coś

niemiłego, zbyt krępującego i kłopotliwego, by mówić o tym w świetle dnia, w obecności innych ludzi. Jeśli

mnie kochał, to dlaczego nie powie tego już, jak najszybciej? Niepewnie wygładziłam spódnicę. A może zmienił

zdanie? Wczoraj w jego pokoju było ciemno, ale może zobaczył to, czego nie spostrzegł wcześniej? Pryszyje,

bliznę pod podbródkiem. To, że moje uszy są takie duże. .

Profesor Starking cofnął się, żeby podziwiać obłok.

- Na pierwszy rzut oka wydają się dziwne i obce - rzekł. - A przecież każdy z nas zbudowany jest z tych



drobinek, które tu widzicie. Ich piękno leży w chaosie, dysponują energią, której gwiazdy w pełni ukształtowane nie mają.

61

Slajdy się zmieniały, Dante przysunął się do mnie, wsuwając swoją dłoń w moją. Wzdrygnęłam się, gdy

mnie dotknął, jego palce były suche i zimne.

Nie ośmieliliśmy się popatrzeć na siebie, zastygliśmy w bezruchu, wpatrując się w obrazy na ścianie.

Przysunęłam się bliżej niego, moja noga dotknęła jego nogi. Dla reszty klasy wyglądaliśmy jak para znajomych, siedzących obok siebie, ale we mnie wszystko się gotowało. Czułam, że lada chwila wybuchnę, zamieniając się w chmurę atomów, efemerycznych i zmiennych jak gwiazdny pył.

Eleanor nie wróciła przed godziną policyjną, co było niezwykle, bo zawsze wracała przed zgaszeniem świateł. Jednak ja byłam zbyt podniecona czekającym mnie spotkaniem z Dantem, żeby przejmować się jej nieobecnością. Na pewno siedziała w bibliotece, przysypiając nad książką albo pracowała nad szkolnym przedstawieniem. Zobaczymy się później, wtedy jej wszystko opowiem.

Usiadłam na łóżku, przerzucając książki i zerkając niecierpliwie na zegar, licząc minuty do chwili, gdy znów

zobaczę Dantego. Gdy wskazówki zegarka pokazały wreszcie dwudziestą drugą czterdzieści pięć, otworzyłam

kominek i weszłam do szybu. Zaczęłam schodzić w dół do piwnicy. Ciągle miałam na sobie swój szkolny strój:

spódnicę w jodełkę, czarne pończochy i koszulę, a na to płaszcz, nie chciałam ubrudzić się sadzą.

Schodzenie wcale nie jest takie złe, zwłaszcza gdy na dole czeka na ciebie coś ekscytującego. Byłam tak

podniecona, że niemal nie zauważałam pajęczyn, kurzu i kruszących się cegieł. W połowie drogi zrozumiałam,

że coś jest nie tak.

Przewód kominowy był częściowo otwarty, na tyle by można się było przez niego przecisnąć. Ale zamiast

znajomego syku pieca usłyszałam ciszę i odgłos kapiącej wody w oddali, jakby krople spadały z niedokręconego kranu do wanny pełnej wody.

Zeszłam szczebel niżej, a potem jeszcze jeden i następny, ale gdy stawiałam stopę na ostatnim,

najniższym

szczeblu, poczułam wodę. Gwałtownie cofnęłam zamoczoną nogę i wychyliłam się, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Cała piwnica była zalana, woda sięgała niemal do sufitu. Westchnęłam, przypominając sobie, co robotnicy

mówili do pani Lynch. Woda była ciemna i gładka. Na powierzchni odbijały się żółte krążki wiszących lamp,

jakby ktoś świecił latarkami od spodu.

Jakaś niewidzialna siła ciągnęła mnie do tego pomieszczenia. Obejrzałam piwnicę, szukając jakiejś drogi na

zewnątrz, nie znalazłam i w końcu niechętnie wróciłam do szybu. Lewy but, cały mokry, skrzypiał w czasie

wspinaczki, a każdy krok oddalał mnie od Dantego. Gdy znalazłam się w moim pokoju, zadzwoniłam do niego,

ale nie podnosił słuchawki. W końcu poszłam spać, wyobrażając sobie, jak czeka na mnie przed kaplicą, pod

gargulcem, oparty o kamień, a potem jego twarz rozplynęła się w ciemności.

Osuszanie piwnicy trwało dziesięć dni.

Zima przyszła wcześnie, okrywając cały kampus warstwą śniegu i lodu. To był początek grudnia, ziemia

twarda i zamrznięta, więc wodę z piwnicy wypompowywano do jeziora, używając długich płaskich węży,

wijących się na ścieżkach niczym ramiona ośmiornicy. Omijałam je codziennie rano, idąc na lekcje; nie miałam

pojęcia, że z pracami czekano, aż woda w piwnicy opadnie. Gdyby trwało to osiem czy dziewięć dni, być może

wszystko potoczyłoby się inaczej, ale liczby są zagadkowe i samowolne, rządzą się własnymi prawami, a

dziesiątka, jak miałam się już wkrótce przekonać, była wyjątkowo specyficzna.

Nadal korzystaliśmy z łazienki chłopców codziennie o ósmej rano i o ósmej wieczorem. Jednak

powódź

oznaczała nie tylko niewygodę związane z brakiem własnej łazienki, ale uniemożliwiała mi widywanie się z

Dantem po lekcjach. Piwnica była jedyną drogą wyjścia z internatu, w każdym razie jedyną, jaką znałam.

Powódź zapoczątkowała serię dziwnych wydarzeń, do jakich doszło w akademii.. Ale po kolei.

Tej nocy, gdy schodziłam do zalanej piwnicy, długo nie mogłam zasnąć. Krążyłam po pokoju, wpatrując się

w kominek, czekając, aż wyłoni się z niego Eleanor. W końcu poddałam się i położyłam, przykryłam się kołdrą i

zapadłam w sen. Śniłam o Dantem i naszej wspólnej nocy, mając nadzieję, że on również śni o mnie.

Następnego ranka Eleanor nadal nie wróciła. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam po obudzeniu się, było jej

nienaruszone łóżko. Natychmiast poszłam do pokoju Maggie i Grety, drzwi otworzyła mi ziewająca Maggie i

oznajmiła, że nie widziała Eleanor od Dnia Wyzerki, czyli od czterdziestu ośmiu godzin. Potem poszłam do

Bonnie, Rebecki, w końcu do Genevieve, ale one również jej nie widziały.

W końcu stanęłam przed drzwiami na parterze. To była moja ostatnia deska ratunku. Stałam tak przez

chwilę, zbierając się na odwagę, ale gdy podniosłam rękę, żeby zapukać, drzwi się otworzyły. Zaskoczona,

krzyknęłam cicho i się cofnęłam.

Ujrzałam przysadzistą postać pani Lynch, jej krótkie kręcone włosy sprawiały, że wyglądała jak mężczyzna.

Zmierzyła mnie wzrokiem. Sprawdziłam dyskretnie swoje ubranie, upewniając się, że wszystkie guziki i klamry

są zapięte, bałam się, że zaraz zaczniesz besztać mnie za nieregulaminowy strój.

- Tak? - Patrzyła na mnie z niesmakiem. Opowiedziałam o zaginięciu Eleanor.

- Jak to zagięła? - zapytała ostro, gdy skończyłam.

- Nie było jej w nocy, do tej pory nie wróciła. Pani Lynch włożyła płaszcz i zawiązywała szalik.

- Dlaczego nie powiadomiłaś o tym wcześniej?

- Ja... ja myślałam, że ona jest w bibliotece. - Bo przecież rzeczywiście tak myślałam.

Opiekunka zamknęła drzwi z trzaskiem.

- Chodź ze mną - zakomenderowała, wyprzedzając mnie o cztery kroki.

Powlokłam się za nią do Kolegium Archebalda. Po drodze zasypywała mnie pytaniami. Kiedy widziano

Eleanor po raz ostatni? Czy miała jakiś powód, żeby uciec?

Nie wiedziałam. Może wczoraj? A jeśli uciekła, to nie zabrała żadnych rzeczy, poza tym w promieniu wielu

kilometrów nie było nic oprócz Attica Falls.

Wpadłyśmy na dyrektorkę, gdy wychodziła z budynku. Miała na sobie długi elegancki płaszcz, miękki i

niebieski, z dużym kapturem, jej śnieżnobiałe włosy rozwiewał wiatr. Wyglądała jak wiekowa nimfa.

- Pani dyrektor! - zawołała Lynch. - Ta młoda dama chce pani coś powiedzieć.

Gdy skończyłam swoją opowieść, dyrektorka zwróciła się do Lynch:

- Natychmiast poinformuj jej rodziców i zadzwoń do strażników parku. Ja w tym czasie zorganizuję grupę

poszukiwawczą.

A potem popatrzyła na mnie zimnym, nieodgadnio-nym wzrokiem.

62

- Mogłabym pomóc. - Nie mogłam uwolnić się od wrażenia, że w jakiś sposób jestem winna zaginięcia

Eleanor. Gdybym nie nocowała u Dantego, gdybym tamtej nocy wróciła do domu albo wcześniej powiadomiła

o jej nieobecności, być może coś by to zmieniło... - Mogłabym wziąć udział w poszukiwaniach.

- Nie ma mowy. Wrócisz na lekcje i skupisz się na nauce.

- Ale to moja współ.. - zaczęłam, ale dyrektorka mi przerwała.

- Możesz odejść.

- Gdzie byłaś? - zapytał Dante, pojawiając się nagle na korytarzu. Wziął mnie za rękę i zaciągnął pod schody.

- Czekałem.

- Próbowałam do ciebie zadzwonić, ale nie odbierałeś. Piwnica w naszym internacie jest zalana, nie mam jak

wyjsc po godzinie policyjnej.

Dante zmarszczył brwi.

- Bałem się, że coś ci się stało! Gdy się nie pojawiłaś, poszedłem pod internat, próbowałem odnaleźć twoje

okno, ale wszystkie były ciemne. Gdy w końcu wróciłem do siebie, zrobiło się tak późno, że nie chciałem

dzwonić, bałem się, że Lynch usłyszy.

Mogłam go przeprosić, powiedzieć, jak bardzo pragnęłam spotkać się z nim tamtej nocy, ale zamiast tego

wypaliłam:

- Eleanor zniknęła.

- Jak to? - Dante oparł się o ścianę, marszcząc czoło.

- Nie wróciła do pokoju ostatniej nocy. Poprzedniej chyba też jej nie było. Nie wiem, czy uciekła, czy została

porwana, w ogóle nic nie wiem. Dokąd mogłaby pójść?

- Zdziwiłabyś się. W tej szkole jest całe mnóstwo miejsc, w których możesz się ukryć, jeśli nie chcesz, żeby

cię znaleziono.

- A jeśli ona chce, żeby ją znaleźć? - Na samą myśl zrobiło mi się słabo.

- Wtedy zostanie znaleziona - odpowiedział, chyba myśląc o czymś innym. - Kiedy ostatni raz ją widziałaś?

- Rano w Dniu Wyżerki. Powiedziała, że nie wybiera się do Attica Falls i będzie się uczyć w bibliotece.

Dante spojrzał mi w oczy, a potem zarzucił torbę na ramię.

- Muszę iść.

- Co? Dokąd? Wiesz coś? Wiesz, gdzie ona jest? Dante pokręcił głową.

- Gdybym wiedział, znalazłbym ją, żebyś przestała się martwić.

- Wiem - powiedziałam miękko.

- Kiedy znów cię zobaczę?

- Mamy razem lekcję za trzy godziny.

- Miałem na myśli sam na sam. Przygryzłam wargę.

- Skoro nie da się przejść przez piwnicę, to nie mogę wydostać się z internatu po godzinie policyjnej. Może

po kolacji? Nad jeziorem. . - Jego krawat wisiał przede mną, nawinęłam go na palce.

Zadzwonił dzwonek na pierwszą lekcję, na schodach nad nami zadudniły stopy biegnących uczniów.

- Będę czekał. - Dante się uśmiechnął.

W czasie lunchu profesor Lumbar i pani Lynch przeszukały mój pokój. Nic nie znalazły i zrobiły to jeszcze

raz. Czuję się nieprzyjemnie, patrząc, jak przerzucają moją bieliznę i rzeczy Eleanor, jakby były niczyje. Zabrały jej zeszyty, choć jedyna ciekawa rzecz, jaką mogły tam znaleźć, to nieczytelne gryzmoły i całe strony listów miłosnych do profesora Blissa.

O tych listach pani Lynch powiadomiła Blissa przed czwartą lekcją. Szłam korytarzem, gdy zobaczyłam ich

w klasie przez okno w drzwiach. Skuliłam się i patrzyłam, jak pani Lynch wręcza mu zeszyt Eleanor do historii

i krzyżuje ręce na piersi.

Pan B. przeglądał je, czytając powoli. Nagle cisnął zeszyt na stół i wstał, gwałtownie gestykulując. Zaczęli się

kłócić. Przycisnęłam ucho do drzwi i wstrzymałam oddech.

- Jeśli ma pan jakieś dobre wyjaśnienie, to słucham - powiedziała twardo pani Lynch.

Profesor Bliss mówił, że nie miał pojęcia o istnieniu tych listów.

- Eleanor była moją uczennicą, nic więcej! Nie ma nic niezwykłego w tym, że nastolatka zakochuje się w

swoim nauczycielu, takie rzeczy ciągle się zdarzają. To jeszcze nie znaczy, że ją porwałem!

W tym momencie gałka w drzwiach przekręciła się i drzwi gwałtownie się otworzyły. Odskokczyłam na bok,

pani Lynch wypadła na korytarz jak burza, nie zauważyła nawet, że kulę się obok wciśnięta w ścianę tuż za nią.

Spotkałam Nathaniela, opowiedziałam mu o Eleanor i o tym, co widziałam.

- Profesor Bliss nie mógł tego zrobić - stwierdził Nathaniel. - W końcu jest nauczycielem! Poza tym w Dniu

Wyżerki był w Attica Falls.

- No i?

- Powiedziałaś, że rano już jej nie było, czyli że cokolwiek się z nią stało, stało się w Dniu Wyżerki. Pomyśl

sama, to idealna okazja! Wszyscy są w mieście, w tym większość profesorów i Straż Uczniowska. Pytanie brzmi,

kto tego dnia nie był w Attica Falls?

Problem w tym, że tego już się nigdy nie dowiemy. W mieście było mnóstwo ludzi, nie zwracaliśmy uwagi,

kogo brakuje.

- Myślisz, że to może być... - zawiesiłam głos.

- Klątwa Gottfrieda? - dokończył Nathaniel, patrząc na mnie uważnie. - Być może.

Gdy weszliśmy do klasy, Annette LaBarge siedziała na biurku, machała nogami jak dziecko na huśtawce.

Obok niej stała szklanka wody. W przeciwieństwie do innych profesorów jej wykłady były bardzo ciekawe.

- Dawno, dawno temu ludzie wierzyli, że składają się z dwóch elementów: i ciała i duszy. Gdy ciało umiera,

dusza nadal żyje, zostaje oczyszczona i przegradza się w coś nowego. Ta idea była bliska myślicielom, zajmował

się nią Platon, a później Kartezjusz.

Kartezjusz był bardzo popularny w swoich czasach. Miał obsesję śmierci, nieustannie o niej pisał, twierdził

nawet, że znalazł sposób zdobycia nieśmiertelności. Planował ujawnić swoją tajemnicę w nowej pracy, która, jak

63

twierdził, miała być dziełem jego życia, zajmował się jej pisaniem aż do śmierci. Zatyłował ją *Siódma medytacja*.

Gdy umarł, ludzie sądzili, że to mistyfikacja, eksperyment. Uważali, że znalazł sposób, by oszukać śmierć i

narodzić się ponownie.

Oczywiście, nigdy nie zostało to udowodnione i nigdy później nie słyszano o Kartezjuszu. Jedyne, co po nim

pozostało, to jego prace. Zgłębiano je i studiowano, szukając *Siódmej medytacji*, ale znaleziono jedynie sześć i

żadna z nich nie zawierała klucza do nieśmiertelności.

Gdy wszyscy stracili już nadzieję, pojawiła się plotka, że znaleziono coś zakopanego pod jego domem.

*Siódma medytacja* Kartezjusza. Jednak niemal natychmiast dzieło to zostało zakazane. Podobno spalono

wszystkie egzemplarze oraz tych, którzy je wydrukowali. *Siódma medytacja* zniknęła na zawsze, zanim dotarła

do czytelników, zabierając ze sobą wszystkie swoje tajemnice...

Słuchając panny LaBarge, patrzyłam na gałęzie drzew, którymi kołysał wiatr. Jakieś chłopak wbiegł do

Kolegium Horacego, objuczony stertą zeszytów, pewnie spóźnił się na lekcje. Robotnicy zgrabiali



liście na brzeg

trawnika. Powódź i zniknięcie Eleanor pasowały do tych wszystkich wypadków, opisanych w artykule z

„Portland Herald”. A jeśli zniknięcie Eleanor wiązało się jakoś z Benjaminem Gallowem, to bardzo możliwe, że

już niedługo znajdą ciało Eleanor, a przyczyną jej śmierci okaże się atak serca...

- I mimo to mamy pewne pojęcie o treści ostatniego dzieła Kartezjusza, uczonym udało się odnaleźć pewne

informacje w innych pracach z tego okresu. W *Siódmej medytacji* Kartezjusz twierdził, że dzieci nie mogą umrzeć.

Wyglądają na martwe, a po dziesięciu dniach się budzą i żyją dalej pozbawione duszy. Dopiero w wieku

dwudziestu jeden lat podlegamy śmierci. Niektórzy filozofowie twierdzą, że może właśnie dlatego pełnoletność

przypada na ten okres.

Gdyby udało mi znaleźć teczki w gabinecie dyrektorki, może znalazłabym jakieś informacje, które by temu

zapobiegły! Dyskretnie wyrwałam z zeszytu kawałek kartki i napisałam:

*Musimy znaleźć sposób, żeby dostać się do gabinetu dyrektorki.*

Złożyłam ją i gdy panna LaBarge nie patrzyła, podsunęłam Nathanielowi. Popatrzył na mnie ostrzegawczo,

jakby wiedział, co planuję zrobić i nie pochwalał tego. Mimo to napisał pod spodem odpowiedź i mi ją podał.

*Myślę, że z tym poradzisz sobie beze mnie.*

Poczułam się jak idiotka. Że też nie wpadłam na to wcześniej! Nie muszę włamywać się do gabinetu dyrektorki. Mogę przecież narozrabiać, żeby mnie tam wysłano! Nie miałam pojęcia, jak znaleźć teczki, gdy już tam

będę, ale nad tym pomyślę później. Zadowolona, zgmiotłam kartkę i wsunęłam do kieszeni.

Po lekcjach Lynch zaczęła dochodzenie w sprawie zaginięcia Eleanor, więc znowu nie spotkałam się z

Dantem. Wzywała po kolei wszystkie dziewczęta i zadawała im pytania. Odprowadzałyśmy wzrokiem każdą

dziewczynę, która schodziła na parter, gdzie mieścił się pokój pani Lynch. Wchodziła, drzwi się za nią zamykały, kwadrans później wychodziła, a Lynch wywoływała następną. Żadna z przesłuchiwanym nie odzywała się

później ani słowem. W powietrzu wisiało przygnębienie, Eleanor zaginęła, a Lynch stwarzała atmosferę podejrzliwości.

W końcu przyszła moja kolej.

- Winters! - rozległo się na dole. Zeszłam, po drodze mijając Minnie Roberts, która była na rozmowie przede

mną. Chciałam powiedzieć: „cześć”, ale Minnie nie podnosiła głowy.

Pokój pani Lynch znajdował się tuż przy wyjściu na zewnątrz - gdyby któraś z nas próbowała tędy przejść,

Lynch by ją usłyszała. Podeszłam do uchylonych drzwi, zapukałam, ale nikt nie odpowiedział. Weszłam do

środka.

Kobieta siedziała na kraciastym fotelu, jej pękate nogi spoczywały na kraciastym podnóżku. Pisała coś w

żółtym notatniku.

-Zamknij drzwi - poleciała, nie podnosząc wzroku. Tak mógłby wyglądać pokój babci. Niski sufit, spłó-wiałe kwieciste zasłony i wytarty dywan, pachniało potpourri i kulkami na mole. Na ścianach wisiały obrazki latarni morskich, które przy bliższych oględzinach okazały się haftami. Umeblowanie było skromne: fotel,

stół i pianino, na którym starannie ustawiono kolekcję drewnianych kaczek. Szary perski kot minął pianino i

korytarzem poszedł do ciemnego pomieszczenia, zapewne kuchni albo łazienki.

W końcu pani Lynch przestała pisać i popatrzyła na mnie.

- Panna Winters.

Nie było gdzie usiąść, więc stałam sztywno pośrodku pokoju.

- Eleanor Bell zaginęła najprawdopodobniej dwa dni temu. Jesteś jej współlokatorką, zgadza się?

Skinęłam głowę.

- Czy Eleanor nie poszła do Attica Falls w Dniu Wyżerki?

- Powiedziała, że wybiera się do biblioteki.

- Wróciła do pokoju tamtej nocy?

- Nie - odparłam. - To znaczy tak, wróciła. Pani Lynch spojrzała na mnie podejrzliwie.

- W czasie swojego stosunkowo krótkiego pobytu w akademii udało ci się wiele razy złamać regulamin oznajmiła.

- Słucham? - zapytałam zdumiona.

- Byłaś dwukrotnie wzywana do gabinetu dyrekcji...

- Ale za pierwszym razem nic nie zrobiłam... - zaczęłam, ale mi przerwała.

- Raz, gdy przyłapano cię na noszeniu nieregulami-nowego stroju, i drugi, gdy przebywałaś po godzinie policyjnej na zewnątrz, i to razem z chłopcem...

- Ale...

- Gdzie byłaś w Dniu Wyżerki? - dokończyła dobitnie.

- W Attica Falls. Może pani zapytać Nathaniela Welcha, byłam razem z nim.

- Gdzie byłaś tamtego wieczoru? Zawahałam się.

- W swoim pokoju, uczyłam się.

- Czego?

- Łaciny - odparłam szybko.

- Eleanor była w pokoju tamtej nocy?

64

- Tak - skłamałam.

- Ale nie masz na to żadnych świadków?

- To było po godzinie policyjnej, byliśmy w pokoju same.

Odłożyła ołówek i splotła dłonie na kolanach.

- Panno Winters, gdzie jest Eleanor Bell?

- Ja... ja nie wiem.

Westchnęła, a potem zapisała coś w notatniku.

- A ja myślę, że wiesz.

- Ale...

- Powiedziałaś - przerwała mi - że Eleanor nie było... - Zerknęła do notatnika, jakby sprawdzając swoje

zapiski. - Ach nie, przepraszam, że była w swoim pokoju tamtej nocy?

Przełknęłam ślinę i skinęłam głową.

- Ale niestety nikt poza tobą jej nie widział? Poruszyłam się, zerkając na kota, który wrócił do pokoju i teraz obserwował mnie z parapetu.

- A więc właściwie nie masz alibi na noc po Dniu Wyżerki?

- Mam, tylko. .

- I nie zameldowałaś o jej zniknięciu aż do dzisiaj, ponieważ nie byłaś pewna, że zaginęła?

- Byłam, tylko..

Znów coś zanotowała, a potem zamknęła notatnik.

- To byłoby wszystko.

O zmierzchu na polanie zaczęli gromadzić się nauczyciele i pracownicy administracji. Nieśli latarki i race.

Wyglądali dziwnie. Ich ubrania, wysokie buty, płaszcze przeciwdeszczowe postarzały ich, podkreślały, że

stanowili mniejszość w całym oceanie nastolatków.

Straż Uczniowska miała zająć się uczniami, pilnować porządku w internatach i upewnić się, że wszyscy

znaleźli się w swoich pokojach przed godziną policyjną, ale biorąc pod uwagę ich jak zwykle niską

efektywność, robili to bez przekonania. Kręciłam się przed stołówką, aż wszyscy skończą kolację.

Gdy już droga

była wolna, poszłam do internatu dla dziewczyn, a potem szybko zmieniłam kierunek i pobiegłam na polanę.

Uczniom nie pozwolono wziąć udziału w poszukiwaniach, profesor Lumbar oznajmiła, że to zbyt niebezpieczne. Nikt nie brał pod uwagę faktu, że Eleanor była naszą koleżanką i że nam również zależało na jej

odszukaniu. Na trawniku zgromadzili się wszyscy, prócz tych, którzy znali ją najlepiej. Zaangażowano nawet

kilka osób z miasteczka. Przyczajona za drzewem, zobaczyłam pana Plorey'a z księgarni, kierownika sklepu

Eugene'a Dermotta i jego żonę Addie, strażników z parku narodowego z trzeszczącymi krótkofalówkami przy

pasie. Przyszło nawet kilku mechaników z warsztatu samochodowego. Byli ubrani w kraciaste czapki do

polowania i olbrzymie kurtki. Wszyscy stali pod świerkami, zrobiło się tak ciemno, że jedyne, co było widać, to

światelka latarek odbijających się od mgły, która zaczęła się unosić nad jeziorem.

Poszukiwaniami kierowała dyrektorka. Włożyła długi płaszcz, miała latarnię, krótkofalówkę i torbę pełną

rac.

- Przyjaciele - zaczęła. Tłum zamilkł. - Dziękuję, że przyszliście tutaj dziś w nocy, by nam pomóc. Za każdym

razem, gdy ginie jakieś dziecko, jest to tragedia, szczególnie jeśli jest ono członkiem naszej małej społeczności.

Jeśli ktokolwiek będzie wiedział coś o miejscu pobytu Eleanor Bell, niech od razu powiadomi mnie lub jednego

z nauczycieli. W celu zwiększenia efektywności poszukiwań podzielimy się na grupy, każda przeszuka inną

część terenu. Miriam, Edith i Annette pójdą do Kolegium Horacego, Lesley i ja do Kolegium Archebalda.

Wiliam, Marcus i Conrad przeszukają brzeg lasu...

Wywoływała kolejne imiona, a grupy oddzielały się i zaczynały przeczesywać teren kampusu w

poszukiwaniu Eleanor. Gdy trawnik opustoszał, wychyliłam się zza drzewa i pobiegłam w stronę jeziora. Dante był dokładnie tam, gdzie miał być, oparty o świerk, z rękami w kieszeniach. Wyglądał bardzo sztywnie, koszula i

krawat wyprasowane, choć postrzępione na końcach, ( szalik akademii na wierzchu kurtki, włosy związane w

niedbały węzeł.

Usiedliśmy nad jeziorem, opierając się o głaz, objęłam kolana rękami. W gładkiej tafli wody odbijały się

chmury.

- Co robisz, gdy nie wiesz, co masz zrobić? - spytałam, wpatrując się w ciemność.

Dante podążył za moim wzrokiem, na obrzeżach szkoły, między drzewami i budynkami widać było słabe

światelka latarek.

- Słucham instynktu - odparł, dotykając mojego ramienia.

Wrzuciłam kamyk do wody i patrzyłam na kręgi, rozszerzające się, biegnące do brzegu. Co mówił mi mój

instynkt?

- Myślę, że Benjamin i moi rodzice zostali zamordowani. Myślę, że Cassandra również została zamordowana. - Westchnęłam, bałam się, że zabrzmii to śmiesznie. A potem opowiedziałam mu o seansie spirytystycznym, o tym, jak próbowałam wywołać moich rodziców, a spotkałam jego, Gideona i Vivian na trawniku,

o tym, jak Eleanor próbowała wywołać Benjaminą, a oprócz niego przywołała również Cassandrę. - Myślę, że

teraz morderca dopadł Eleanor. Nie wiem jak i dlaczego, nie mam żadnych dowodów, jedynie przecucie.

Bardzo złe przecucie.

Ze wzrokiem utkwionym w ziemię czekałam na reakcję Dantego. Wyprostował nogi, oparł się na łokciach i

zapytał:

- Naprawdę wierzysz w takie rzeczy jak seanse? Popatrzyłam na niego, od wiatru łzawiły mi oczy.

- Pragnę w to wierzyć.

- W duchy? W potwory?

- Nie, że śmierć nie jest końcem - odparłam, ale Dante nie dawał za wygraną.

- Też chciałbym w to wierzyć - dodał.

- Myślisz, że Cassandra nie żyje?

65

- Tak - odparł po chwili wahania.

Zaskoczył mnie tak, że z wrażenia zasypałam go pytaniami:

- Jak to? Jak? Dlaczego? Jak myślisz, kto...

- Zwolnij - poprosił. - Po kolei! Spróbowałam się uspokoić.

- Myślisz, że Benjamin został zamordowany?

- Zabity.

- Myślisz, że ma to jakiś związek z moimi rodzicami i tymi zgonami, o których pisano w artykule?

Zastanowił się.

- Tak.

Nie spodziewałam się, że przytaknie, nie wiedziałam, co powiedzieć.

- A więc mi wierzysz?

- Nie wiedziałem, że szukasz swoich rodziców, gdy wpadłem na ciebie wtedy, po seansie - mówił jakby do

siebie. - Byłaś w piżamie i to mnie zupełnie zaskoczyło. Wyglądałaś na taką zdumioną, że mnie widzisz. Nie

wiedziałem, czy się cieszysz, czy jesteś zła. Pamiętam, jak trzymałem cię za rękę i biegliśmy w strugach deszczu,

a krople wody wisały na twoich rzęsach. Nie mogłem uwierzyć, że jesteś prawdziwa. Nadal nie mogę.

- Pamiętasz to? - szepnęłam.

- Pamiętam wszystko.

Popatrzyłam na niego, przysunął się. Zadrżałam. Podniosłam rękę i położyłam dłoń na jego karku, przyciągając go do siebie. Uniosłam głowę, żeby nasze usta się spotkały, ale w ostatniej chwili Dante się odwrócił i

pocałował mnie w policzek.

Jego twarz była tuż obok mojej.

- Dlaczego nie chcesz mnie pocałować? - zapytałam. W moim głosie zabrzmiało rozczarowanie.

Zawahał się, a potem odpowiedział bardzo powoli:

- Ponieważ boję się tego, co mogłoby się wtedy wydarzyć.

- A co mogłoby się wydarzyć?

- Tego właśnie nie wiem i dlatego się boję.

Zanim uświadomiłam sobie, co robię, dotknęłam jego policzka. Dante przyłożył palec do moich ust, jakby

chciał mnie powstrzymać, a potem przyciągnął mnie do siebie. Gdy mnie pieścił, czułam się tak, jakby na moją

skórę spadały płatki śniegu i topniały. Jego ciemne oczy wpatrywały się we mnie.

- Zaczekaj, Renee, muszę ci coś...

Wszystko wydarzyło się w tej samej chwili. Zamknęłam oczy, czując, jak jego oddech błądzi na moich ustach,

a potem usłyszałam głosy zbliżających się ludzi i kroki dudniące o twardą ziemię. A potem zabłysło światło.

Odsunęłam się trochę od Dantego i znieruchomiałam. Ktoś świecił na nas latarką.

- Wstańcie.

Ośloniłam oczy i je zmrużyłam. To była panna LaBarge, z twarzą zaróżowioną od mrozu. Poświeciła latarką

najpierw na mnie, potem na Dantego.

- Co się tu działo? - zwróciła się do niego ostrym tonem, jakiego nigdy przedtem nie używała.

- Nic - powiedział. - Naprawdę nic.



Świeciła mu w twarz latarką jeszcze przez kilka sekund, w końcu ją wyłączyła.

- Nie powinniście być na dworze tej nocy, ani żadnej innej, skoro już o tym mowa. Uczniom nie wolno

przebywać na zewnątrz w czasie poszukiwań, dobrze o tym wiecie.

Zrobiłam krok do przodu, żeby jej wytłumaczyć, ale Dante złapał mnie za rękę, pociągnął do tyłu.

- Przepraszam, pani profesor, to moja wina. Poprosiłem Renee, żeby się tu ze mną spotkała.

Panna LaBarge popatrzyła na niego.

- Wina to śliska sprawa.

Dante skinął głową, ja się nie odzywałam. Usłyszałam kroki, ktoś szedł w naszym kierunku. Panna LaBarge

się rozejrzała.

- Udam, że was nie widziałam. Idźcie już i lepiej, żeby was więcej nie nakryła.

Dante wyciągnął do mnie rękę, ale ja nie ruszyłam się z miejsca. Przypomniałam sobie to, co napisał mi

dzisiaj Nathaniel. Był tylko jeden sposób, żeby dostać się do gabinetu dyrektorki i poszukać teczek. Skoro nie

mogę się tam włamać, muszą mnie tam wysłać! Kiedy będzie lepszy moment niż teraz, gdy dyrektorka jest

zdekoncentrowana zaginięciem Eleanor?

- Chwileczkę - rzuciłam. - Nie chcę, by pani udawała, że nas nie widziała.

Panna LaBarge i Dante popatrzyli na mnie w osłupieniu.

- Proszę nas wysłać do gabinetu pani dyrektor - dokończyłam.

- Renee, wierz mi, że tego nie chcesz.

- Ależ chcę.

Panna LaBarge zerknęła przez ramię.

- Weź pod uwagę, że możecie zostać wydalenii.

W tej chwili zupełnie o tym nie myślałam. Myślałam o Eleanor. O moich rodzicach. O klątwie

Gottfrieda.

- Idźcie - poleciała panna LaBarge, popychając nas przed sobą.

Dante próbował mnie pociągnąć.

- Renee, co ty wyprawiasz?!

- Próbuję zdobyć informacje - powiedziałam i zakasłałam.

Usłyszałam ludzi przedzierających się przez krzaki.

- Co tam? - spytała głośno profesor Lumbar, wydostając się z zarośli i biegnąc w naszą stronę. Panna

LaBarge włączyła latarkę, nauczyciele wyłaniali się zza drzew, wpatrując się w nas. Pani Lynch wysunęła się

do przodu.

- Dobra robota, LaBarge - pochwaliła i popatrzyła na mnie, uśmiechając się triumfalnie. - Mam cię!

- Musimy odwrócić jej uwagę - szepnęłam do Dantego, gdy pani Lynch prowadziła nas do gabinetu dyrektorki. - Muszę znaleźć te teczki!

66

Dante popatrzył na mnie uważnie, a potem skinął głową.

- Spróbuję.

Dyrektorke spotkaliśmy przed gabinetem, właśnie wyłoniła się z ciemności korytarza.

Weszła do środka, przeszła obok regałów z książkami, sunąc palcami po grzbietach i usiadła na skórzanym

fotelu przy biurku. Nie odzywała się przez dłuższą chwilę. W tym czasie Dante i ja staliśmy przed nią, usiłując

wymyślić jakiś plan. Gdy w końcu przemówiła, jej głos był mocny i wzburzony.

- Usiądźcie - poleciała, podnosząc kota i kładąc go sobie na kolanach. Zabębniła palcami w biurko. - Wyglądacie na zmarzniętych, nie macie ochoty na herbatę?

- Tak, proszę - odezwaliliśmy się równocześnie. Dyrektorka popatrzyła na mnie, potem na niego, uśmiechnęła się, a potem otworzyła serwantkę która stała przy przeciwległej ścianie.

- Jeśli dobrze pamiętam, goście u mnie już drugi raz w tym semestrze - powiedziała, stojąc tyłem

do nas i

nalewając herbatę. - Cukru?

- Nie, dziękuję - odpowiedzieliśmy chórem. Zanim dyrektorka zamknęła serwantkę, udało mi się dostrzec dwie szuflady z dokumentami na dole. Patrzyłam, jak znikają za drzwiczkami, i zastanawiałam się intensywnie. Żebym się do nich mogła dostać, dyrektorka musiałaby wyjść z gabinetu, a to było mało prawdopodobne. Nie zostawi nas tu samych, musiałyby wydarzyć się coś absolutnie wyjątkowego. Ponieważ ■

sytuacja już była wyjątkowa, mieliśmy marne szanse.

Jeden z kotów wyłonił się zza biurka i podszedł do Dantego. Zaczął ocierać się o jego nogi, a potem ostrzyć

pazury o nogawki. Gdy Dante próbował go odgonić, drugi kot zeskoczył z regału, pokręcił się wokół krzesła

Dantego i również zaczął ostrzyć pazury o jego spodnie.

- Romulus, Remus! Jak wam nie wstyd?! - zawołała dyrektorka i koty zniknęły za biurkiem. Spojrzałam

pytająco na Dantego, ale on unikał mojego wzroku. j

- Panna Winters i pan Berlin razem w nocy nad jeziorem. Jakie to romantyczne - stwierdziła bez cienia

uśmiechu. - Co macie na swoje usprawiedliwienie?

- To moja wina - odezwaliśmy się jednocześnie.

- Prosiłam go, żebyśmy się tam spotkali i zaczęli szukać Eleanor - wyjaśniłam i w tej samej chwili Dante

powiedział:

- Prosiłem, żebyśmy się spotkali i przyłączyli do poszukiwań.

Dyrektorka rozważała przez chwilę, co z nami zrobić.

- Ponieważ nie sposób donieść, które z was jest bardziej winne, a nie chcę, żebyście się kręcili po terenie

kampusu w trakcie poszukiwań, uporządkujecie alfabetycznie moje książki. - Odwróciła klepsydrę, która stała

na biurku i dodała: - Teraz.

Na półkach było kilkaset książek poustawianych na chybił trafił, niektóre z nich były tak stare i zniszczone,

że z trudem dawało się odczytać tytuł na grzbiecie.

- Ja będę szukał tych na literę A, a ty zajmij się tymi na B.

Skinęłam głową i zabraliśmy się do pracy. Dyrektorka siedziała przy swoim biurku, zerkając na nas co

jakiś czas. Od serwantki z dokumentami dzieliło nas kilka kroków, koty kręciły się wokół niej, wyginając

grzbiety, jakby czytały w moich myślach.

Mogłabym pójść do łazienki, pomyślałam. Pójść do łazienki i narobić tam hałasu, to powinno wyciągnąć

dyrektorkę z gabinetu. Wtedy bym wróciła i zajrzała do teczek. Kiepski plan, ale zawsze jakiś.

Usiłując zachowywać się naturalnie, podeszłam do Dantego.

- Znajdź klucz, gdy mnie nie będzie. Złapał mnie za łokieć.

- Co chcesz zrobić?

Nie odpowiedziałam, odwróciłam się do dyrektorki, ale zanim zdążyłam się odezwać, ktoś zastukał do

drzwi.

- Proszę - rzuciła Calysta von Laark.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wkroczyła pani Lynch, ciągnąc za sobą Gideona DuPonta.

- Przyłapałam go na próbie wejścia do internatu dla dziewcząt. Chciał się spotkać z dziewczyną - oznajmiła.

Gideon obrzucił ją zimnym, nieczułym, pełnym nienawiści wzrokiem. Jednak gdy zobaczył Dantego, w jego

oczach zagościło rozbawienie. Jak Dante mógł się przyjaźnić z takim typem?

Oba koty podeszły do Gideona i zaczęły drapać pazurkami jego spodnie. Gideon nie zwrócił na to uwagi,

wpatrzony w Dantego.

- Niech zaczeka na zewnątrz - poleciła dyrektorka. - Pilnuj go.

Pani Lynch skinęła głową, Gideon ruszył w stronę drzwi, odsuwając nogą Romulusa i Remusa. Dyrektorka

zawołała koty, ale one nie reagowały; zdenerwowana wstała, zawołała jeszcze raz, ale one uparcie szły za Gideonem.

- Zamknij za sobą drzwi! - zawołała, w jej głosie zadźwięczała nutka niepokoju. - Nie wypuść ich!

Gideon popatrzył na nią i uśmiechnął się, a potem wysliznął się z gabinetu, specjalnie zostawiając uchylone

drzwi. Koty pobiegły za nim i zniknęły na korytarzu.

Dyrektorka starała się ukryć gniew, gdy wysunęła szufladę biurka i wyjęła smycz oraz dwa małe kagańce,

potem odwróciła się do nas.

- Pracujcie dalej, zaraz wrócę. - I wyszła.

Bez chwili wahania podbiegłam do jej biurka i chwyciłam klucze. Próbowałam wszystkie po kolei, w końcu

znalazłam pasujący do serwantki, otworzyłam szuflady i zaczęłam przeglądać teczki. Szukałam pod M jak

Millet, ale teczki Cassandry tam nie było. Sprawdziłam jeszcze raz, a potem spróbowałam pod C, ale tam też jej

nie znalazłam. Spróbowałam pod G jak Gallów i B jak Benjamin, ale jego teczki także nie było.

Pospiesznie przejrzałam resztę dokumentów. Brakowało teczki Minnie, podobnie jak dokumentów Dantego

i Eleanor. Ku mojemu zdumieniu, nie było tam również mojej teczki. Stojący przy drzwiach Dante zakaszał głośno. Popatrzył na mnie, a potem na drzwi. Błyskawicznie wsunęłam szuflady i zamknęłam serwantkę, klucze

odłożyłam na biurko. Nie było nic. Kompletnie nic.

67

## **Skradzione teczki**

Poszukiwania Eleanor trwały tydzień, ale zakończyły się fiaskiem. Jej torba, książki, wszystkie jej rzeczy

były w pokoju. Światła latarek co jakiś czas przesuwały się po oknach, przyglądałam się, jak tańczą na

ścianach, zupełnie jakby szukały Eleanor w jej łóżku. Powódź w piwnicy zbiegła się w czasie z jej

zniknięciem, ale nikt nie łączył tych dwóch wypadków, skoro powiedziałam, że tamtej nocy moja

współlokatorka spała bezpiecznie w pokoju. Poza tym poziom wody w piwnicy nadal był zbyt wysoki,

żeby tam zejść. Wokół szkoły i w Attica Falls rozwieszono plakaty ze zdjęciami Eleanor, z jednym

jedynym słowem pod spodem: „Zaginęła”.

Jej rodzice przylecieli oddzielnie. Matka była wy-soką elegancką blondynką w butach do jazdy konnej

i wąskiej czarnej kurtce, ojciec w garniturze, adwokat obrońca, rozmawiał z każdym tak, jakby go przesłuchiwał. Sprzeczali się jak dzieci, oskarżając się nawzajem o zaginięcie Eleanor, ale wobec mnie byli zaskakująco

mili.

- Eleanor dobrze o tobie mówiła - rzekł pan Bell. - Powiedziała, że jesteś jedną z jej najbliższych przyjaciółek. To ty pomogłaś jej podciągnąć się z ogrodnictwa?

Spojrzałam na niego speszona.

- Ja, no nie, ja tylko udzieliłam jej kilku wskazó-I wek. Właściwie nie potrzebowała pomocy. J

- W dodatku jesteś skromna. - Popatrzył na mnie I z namysłem. - Gdybyś to ty prowadziła poszukiwania, |

gdzie byś szukała?

- W piwnicy - palnęłam. Nie odzywał się przez długi czas, a potem założył z powrotem kapelusz i zapiął

płaszcz.

- Powiedzieli, że to niemożliwe. Wzruszyłam ramionami.

- Takie mam przeczucie.

- Eleanor miała rację co do ciebie. Spojrzałam na niego pytająco.

- Zawsze mówisz to, co myślisz.

W każdym razie byłam jedną z nielicznych osób, których nie traktował z pogardą. Krążył po terenie akademii (jego syn Brandon tuż obok, jego była żona Cin-dy i dwóch asystentów z tyłu) i pouczał strażników,

mieszkańców miasta, nauczycieli, nawet dyrektorkę. Wszystkim zarzucał lenistwo i niekompetencję. Jednak

śledztwo spełzło na niczym i w końcu zakończono poszukiwania.

Życie powoli wracało do normy, na tyle, na ile to możliwe w sytuacji zaginięcia szesnastoletniej

dziewczyny. Ludzie byli wystraszeni i chociaż nie mieli żadnego dowodu, ciężko było wierzyć, że Eleanor

nie podzieliła losu Benjamina. Pani Lynch wydawała się podekscytowana. Patrowała korytarze i

rewidowała pokoje z takim entuzjazmem, jakby od lat na to czekała. Ten skandal zasługiwał na karę, o jakiej

mogła tylko marzyć.

Siedziałam na lekcjach, właściwie nie słuchając, co mówią nauczyciele. Usiłowałam poskromić moją wyobraźnię. Gdzieś tam Eleanor miała kłopoty, a ja nie mogłam nikomu o tym powiedzieć, bo nie udało mi się

znaleźć teczek. Czułam się bezużyteczna i wykład profesor Lumbar o archaicznych formach deklinacji nie

mógł mi pomóc.

- Co język łaciński mówi nam o nas samych? - zapytała; dzisiaj włożyła obszerną sukienkę w kształcie litery

A. Napisała na tablicy kursywą: *Vivus eram*. -To forma łaciny archaicznej, zwanej *Latinum Mortuorum*, której

używa się jedynie w czasie przeszłym. Nie ma żadnych innych czasów. Nie da się powiedzieć:

„żyję”, jedynie

„żyłem”. Posługiwały się nią dzieci, zwykle sieroty. Dla nich teraźniejszość i przyszłość nie istniały, one żyły

przeszłością.

Patrzyłam na tablicę, przepisując wyrazy. Ja też myślałam o przeszłości. Najpierw śmierć rodziców, teraz

zniknięcie Eleanor. . Może chciałam w ten sposób wymazać poczucie winy wobec rodziców?  
Zupełnie jakby

znalezienie Eleanor mogło przywrócić im życie. Jak mogłam oderwać się od przeszłości, skoro śmierć była

ciągle obecna w moim życiu?

Tej nocy zadzwoniłam do Annie i opowiedziałam jej o Eleanor.

- Czemu nie pójdziesz na policję? - spytała, gdy skończyłam opowiadać.

- Policja już tu była. Poza tym co miałabym im powiedzieć? Że ktoś zabija ludzi, wywołując u nich atak

serca, i że Eleanor jest najprawdopodobniej kolejną ofiarą?

- Rzeczywiście, brzmi idiotycznie.

- No właśnie. Nie mam żadnych dowodów.

- Mówiłaś o tym komuś?

- Tylko Nathanielowi i Dantemu.

- Ciągłe rozmawiasz z tym kolesiem?

- Z Dantem? Oczywiście. Czemu miałabym z nim nie rozmawiać?

- Ostatnio mówiłaś, że jest dziwny.

- Ach, no tak. - Przypomniałam sobie naszą ostatnią rozmowę i zawstydziłam się, że wtedy byłam tak zła

na Annie. - Przepraszam cię, An. Wtedy nie bardzo rozumiałam, co się dzieje i nic nie było w porządku. A

teraz jest? - zapytała sceptycznie, zaniepokojona.



Zaśmiałam się.

- Nie, nie jest. Ale myślę, że się zmieniłam. Lubię Dantego. Bardzo. - Chciałam jej o nim opowiedzieć,

opisać sposób, w jaki na mnie patrzy, opisać brzmienie jego głosu, gdy odzywa się na lekcjach, a każde jego

słowo jest niczym fragment długiego listu miłosnego, który napisał tylko dla mnie. Ale wiedziałam, że Annie

niezrozumie.

Odłożyłam słuchawkę i siedziałam przez chwilę, słuchając stłumionego śmiechu dziewczyn, dobiegającego zza

ścian. Skrzywiłam się. Jak mogły się bawić, skoro jedna z ich koleżanek zaginęła? Z braku innego zajęcia

postanowiłam sprzątnąć pokój. A zwłaszcza zakazany rewir pod łóżkiem. Na podłodze leżały sterty papierów i

stosy książek w otoczeniu kłębków kurzu. Już miałam się nimi zająć, gdy spostrzegłam książkę kupioną w

68

Księgarni Łazarza. Leżała pod stosem zeszytów i notesów. Wyciągnęłam ją, wytarłam okładkę. *Attica Falls*. Kremowy materiał strzępił się na brzegach. Klątwa Gottfrieda, pomyślałam. Tak wiele czasu

spędziłam, zastanawiając się, czy ma jakiś związek z moimi rodzicami, Benjaminem i Eleanor, że zupełnie

zapomniałam o tej części artykułu, który wiązał się bezpośrednio ze mną. Wstałam i zaczęłam krążyć po pokoju,

w końcu podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer dziadka. Odebrał Dustin.

- Rezydencja pana Wintersa.

- Cześć, Dustin - powiedziałam miękko, czując się nagle jak mała dziewczynka. - Czy mój...

Dustin mi przerwał.

- Panna Winters? - zapytał ciepło. - Zastanawiałem się właśnie, kiedy pani do nas zadzwoni. Chciałaby pani

ustalić szczegóły swojego przyjazdu?

- Chciałam tylko porozmawiać z dziadkiem. Jest w domu?

- Niestety, nie ma go - odparł Dustin, a ja oczyma wyobraźni zobaczyłam, jak marszczy czoło. - I obawiam

się, że wróci dopiero w przyszłym tygodniu. Czy to coś pilnego? Może ja mógłbym jakoś pomóc?

Zawahałam się.

- Nie, nie trzeba, to nic pilnego. Dziękuję.

- Ale widzimy się w czasie ferii, prawda?

- Jasne.

- Doskonale. Przyjadę po panią w przyszły piątek, będzie pani miała okazję porozmawiać z panem

Wintersem osobiście, w domu. Zapewne nie życzyłby sobie, żebym to mówił, ale bardzo się cieszy na pani

przyjazd. Ja również, oczywiście. Miło będzie znowu mieć w domu młodą osobę. Obawiam się, że powoli

przemieniamy się w mumie.

Roześmiałam się.

- Dobrze - rzuciłam, niepewna, co powinnam odpowiedzieć. - W takim razie do zobaczenia w piątek.

Już miałam zdmuchnąć świeczkę i pójść spać, gdy usłyszałam, że coś uderzyło w okno. Wskoczyłam z

łóżka i zobaczyłam na dole Dantego. Otworzyłam jedno skrzydło i wychyliłam się, czując na twarzy zimne

powietrze.

- Co ty tu robisz? - zapytałam.

- Zejdź na dół - poprosił. Obejrzałam się za siebie.

- Nie mogę! Lynch mnie złapie!

- Nie ma jej. Dziesięć minut temu poszła do gabinetu dyrektorki.

Wskoczyłam w plisowaną wełnianą spódnicę i sweter, przejrzałam się w lustrze, spinając włosy z

boku

spinką.

Dante czekał na mnie przy ścieżce, oparty o latarnię. Był bez kurtki, miał na sobie tylko koszulę i krawat,

włosy odgarnięte do tyłu, z wyjątkiem kilku kosmyków, które rozwiewał wiatr. Bez słowa wziął mnie za rękę i

zaprowadził na polanę. Noc była szara, mglista, księżyc ledwie widoczny zza chmur.

- Dokąd idziemy? - zapytałam, usiłując za nim nadążyć.

Zwolnił, popatrzył na mnie i się uśmiechnął.

- Zaufaj mi.

Zatrzymaliśmy się przed kaplicą, jej masywny kamienny fundament podtrzymywał wieżę. Uwolniłam rękę z

jego dłoni, idąc za nim. Spostrzegłam, że łuki nad wejściem są zdobione wykutymi w kamieniu kwiatkami na

cienkich gałązkach. Przyglądałam się im, zachwycona, nigdy przedtem ich tu nie widziałam.

- Wilce, kwiaty księżycowe - powiedziałam, przypominając sobie nazwę z ogrodnictwa.

Dante uśmiechnął się i przytrzymał otwarte drzwi, które o dziwo nie były zamknięte. Ostrożnie weszłam do

środka.

Kaplica była oświetlona dziesiątkami świec ustawionymi między dwoma rzędami ławek. Podniosłam jedną i

ścisnęłam w dłoni, patrząc na Dantego z uśmiechem. Delikatnie pchnął mnie do przodu. Przygryzłam usta z

podniecenia, szłam dróżką między światełkami w głąb kaplicy.

Było ciemno i tajemniczo, pachniało stęchlizną i wodą różaną. Światło świec odbijało się od witraży, tworząc

na podłodze mozaikę niebieskich i purpurowych plam. Sufit pokrywały niszczące freski z widokiem obłoczków, aniołów i pięknych kobiet z długimi rozpuszczonymi włosami.

Świece prowadziły za tyły kaplicy, za ołtarz, a potem w górę, po wąskich spiralnych schodach. Słyszałam,

jak wiatr dmie w okna, obejrzałam się na Dantego, który był tuż za mną. Jego palce muskały moje włosy, nasze

cienie tańczyły na kamieniach.

Doszliśmy do szczytu wieży, gdzie świece otaczały pierścieniem ogromny dzwon. Wyszłam na zewnątrz, zimne

powietrze owiało mi policzki. W dole pod nami rozciągał się teren akademii, zaskakująco mały, za nim las i

skaliste szczyty Gór Białych niknące w chmurach.

- Jak pięknie - westchnęłam, choć nie oddawało to wszystkich moich uczuć.

- Podoba ci się? - spytał Dante. Odwróciłam się do niego.

- Bardzo.

Przyglądał mi się, jego twarz była niemal smutna, gdy delikatnie sunął palcami po mojej ręce.

- Renee, ja...

Popatrzyłam na niego wyczekująco, chowając dłonie w rękawach płaszcza.

Dante świdrowały mnie oczami, w końcu westchnął.

- Nie chcę cię stracić.

Głos mi zadrżał, gdy zbliżyłam się do niego.

- Dlaczego miałbyś mnie stracić? - zdziwiłam się z nikłym uśmiechem.

Podniósł moją dłoń do warg i pocałował. Usiedliśmy na podłodze, w otoczeniu świec i słuchaliśmy, jak wiatr

szumi wokół nas.

- Gdybyś mogła dostać wszystko, czego zapragniesz, o co byś poprosiła? - zapytał, gdy położyłam głowę

na jego piersi.

- Żeby moi rodzice żyli.

- Gdybym mógł ci to dać, zrobiłbym to. - Pocałował wewnątrz mojej dłoni. Czułam się tak, jakby zakwitły

na niej dziesiątki białych kwiatuszków.

Odwrociłam głowę do niego.

69

- Pocałuj mnie. Tak naprawdę. Dante pogładził moją twarz.

- Nie mogę.

- Dlaczego? - Moja twarz była kilka centymetrów od jego, przyciągnęłam go do siebie, a on przysunął się,

jakby nie mógł się oprzeć. Jego ręka na mojej szyi. Przytulił mnie, nasze usta prawie się spotkały.. Odetchnęłam

i zamknęłam oczy, rozkoszując się jego bliskością. O niczym nie myślałam, tylko o jego dłoniach, które dotykały moich włosów, mojej szyi. A potem nagle się od« sunął.

- Nie mogę - jęknął. - Nie mogę sobie zaufać, gdy | jestem obok ciebie. Nie potrafię z tym walczyć.

- Ja ci ufam - odparłam łagodnie.

- A gdybym cię skrzywdził? Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

- Nie skrzywdzisz mnie. Wiem, że nie. - Podniosłam dłoń do jego twarzy. Przycisnął ją do policzka, i

- Nie rozumiesz. Nie wiesz, do czego jestem zdol-ny. Boję się ciebie dotknąć, żeby cię nie skrzywdzić, boję

się z tobą rozmawiać, żebyś nie pomyślała, że jestem potworem. Ale minęło tyle dni, a ty ciągle tu jesteś. Popatrzył na mnie uważnie. - Nie potrafię się kontrolować, gdy jestem przy tobie. Muszę cię mieć. Muszę cię

zatrzymać.

- Przecież mnie masz.

- Chcę ci coś powiedzieć...

Ale wtedy zobaczyłam jakąś postać idącą ścieżką w stronę kaplicy, w rękę trzymała latarnię.

- Pani Lynch! - krzyknęłam przerażona. Zbiegliśmy na dół i wysliznęliśmy się tylnym wyjściem na

cmentarz. Pożegnaliśmy się szybko i pobiegłam do internatu.

Następnego ranka ta magiczna noc w kaplicy wydawała mi się tylko snem. Znowu myślałam o Eleanor,

która zaginęła niemal tydzień temu. Nie mogłam niczego przełknąć. Właśnie wpychałam książki do torby po

filozofii, gdy podeszła do mnie panna LaBarge.

- Co powiesz na filiżankę herbaty? Zawahałam się. Do tej pory Lynch przesłuchiwała mnie już trzy razy i czułam, że nie zniosę więcej.

- Ja...

- Tak właśnie myślałam. - Uśmiechnęła się. Przytrzymała mi drzwi, gdy wchodziliśmy do jej

biura. Znajdowało się na drugim piętrze we wschodnim skrzydle Kolegium Horacego. Wytarłam buty o wycieraczkę z napisem: „Witajcie, przyjaciele” i weszłam. Pokój wypełniały książki. Stały na półkach, piętrzyły się

na podłodze i parapecie, gromadziły za drzwiami. Usiadłam na wiktoriańskim fotelu, a panna LaBarge krzątała

się przy tacy z talerzykami, filiżankami, spodeczkami i dzbankiem do herbaty.

- Nie wiem, gdzie ona jest - wypaliłam, zanim cokolwiek powiedziała.

- Magdalenka?

Spojrzałam na nią w osłupieniu.

-

Nie, mówię o Eleanor. Była w naszej grupie. . Panna LaBarge odwróciła się z uśmiechem, trzymając w ręku

talerz z ciasteczkami.

- Ależ pamiętam. Pytałam, czy chcesz magdalenkę, ciastko.

- Ach... Tak, dziękuję. - Zaczerwieniłam się. Podniosła dzbanuszek.

- Mleko?

Skinęłam głową, nalała mleka do mojej filiżanki ! i usiadła w fotelu naprzeciwko.

- Przepraszam - westchnęłam. - Ostatnio ludzie I pytają mnie wyłącznie o Eleanor.

Zmarszczyła brwi. I

- Mnie nie interesuje wcale twój udział w zaginie-1 ciu Eleanor, jestem pewna, że nie masz z tym nic wspólnego - oznajmiła, pijąc herbatę. - Interesuje mnie I ktoś inny, kto ma tendencję do kreowania się na osobę

wyjątkową.

Nie od razu zrozumiałam, o kim mówi.

- Kto? - spytałam.

- Chłopiec znad jeziora. Przestałam żuć.

- Och. To tylko przyjaciel.

Panna LaBarge podniosła spodeczek.

- Ach, ci chłopcy. Zawsze są z nimi problemy.

- Nie ma żadnego problemu - zaprzeczyłam szybko. - Między nami nic się nie dzieje.

- Wyglądało to nieco inaczej. - Splotła dłonie na kolanie. - Ale nie musimy o tym mówić. Ja jestem nauczycielką, ty uczennicą, a więc powinnymy udawać, że między tobą i tym chłopcem nic się nie dzieje.

Przełknęłam ślinę.

- Gdyby jednak coś się działo... Chciałabym, żebyś wiedziała, że zawsze możesz do mnie przyjść, jeśli pojawią się jakieś... komplikacje.

Czyżby panna LaBarge chciała, żebym się jej zwierzyła?

-

Nie ma żadnych komplikacji - odparłam. Panna LaBarge popatrzyła na mnie z powagą, odstawiła filiżankę.

- Dobrze - zgodziła się. - Dobrze. Wolałam się upewnić. - Wzięła ciastko. - W takim razie powiedz, o czym

chciałaś ze mną porozmawiać.

Już miałam jej przypomnieć, że to ona mnie tu ściągnęła, nie dając mi wyboru, ale zamiast tego wypaliłam,

zanim się powstrzymałam:

- O klątwie Gottfrieda.

Panna LaBarge była dobrym nauczycielem filozofii. Zawsze, gdy byliśmy czegoś pewni, udawało się jej zasiać w nas wątpliwości.

Zakrzuszyła się i odstawiła filiżankę, porcelana brzęknęła o spodeczek.

- Przepraszam. - Wytarła bluzkę chusteczką. - Zaskoczyłaś mnie.

70

- Czyli słyszała pani o tym?

- Masz na myśli te zgony? Tak.

- Spowodowane atakiem serca. Panna LaBarge zmrużyła oczy.

- Sugerujesz, zdaje się, że jest w tym coś nienaturalnego i że zaginięcie Eleanor jest z tym związane?

Popatrzyłam na nią z podziwem.

- Tak.

- Renee, doskonale wiem, że gdy ktoś umiera, | chcielibyśmy myśleć, że istniał jakiś powód albo że ktoś jest

za to odpowiedzialny, ale czasem tak się po prostu dzieje. Jesteśmy tylko ludźmi, nie mamy władzy nad życiem

i śmiercią.

Właściwie powinno mnie to pocieszyć, ale na samą | myśl, że Eleanor może nie żyć, zrobiło mi się niedobrze.

- Za to - dodała, gdy patrzyłam w bok - możemy panować nad naszymi reakcjami.

Spojrzałam na nią speszona.

- Kartezjusz mawiał, że instynkt stoi ponad wszystkim. Posłuchaj swojego instynktu. - Mrugnęła do mnie.

Odstawiłam filiżankę. Panna LaBarge miała rację.

Gdy następnego ranka brałam prysznic w łazience chłopców, usiłowałam robić to jak najdłużej. Woda lała



mi się na plecy, a ja zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Instynkt, powtórzyłam w myślach. Co podpowiadał mi mój instynkt? Nie zdołałam wymyślić nic, co pomogłoby mi znaleźć Eleanor albo zrozumieć, co się

kryło za tamtymi atakami serca. Gdy w końcu zakręciłam wodę, okazało się, że dziewczyn już nie ma. Z

ręcznikiem i kosmetyczką w ręku wysunęłam się na korytarz.

W internacie panowała dziwna cisza. Spojrzałam na schody, nikogo nie zobaczyłam, zaryzykowałam i

ruszyłam w głąb korytarza. Wzdłuż niego biegły drzwi, drewniane, żaluzjowe. Szłam korytarzem, przesuwając

po nich palcami, aż w końcu się zatrzymałam. Wyglądały dokładnie tak samo jak wszystkie inne, nie było w

nich nic niezwykłego, a jednak nie mogłam ich ominąć.

„66F”

Rozejrzałam się. Jeśli panują tu takie same zasady jak w naszym internacie, drzwi nie powinny być zamknięte. Zastukałam delikatnie, a gdy nikt nie odpowiedział, przekręciłam gałkę.

W pokoju panował nieskazitelny porządek, jaki można zobaczyć jedynie w drogich hotelach. W każdym

razie panował w połowie pokoju. Łóżko było starannie zaścielone, żadnych zagnieceń czy wyrzuteń, książki

na półce ustawione w porządku alfabetycznym. . Otworzyłam szafę i moim oczom ukazał się rząd garniturów,

starodawnych, wyprasowanych, w różnych odcieniach szarości, czerni i brązu. Gideon DuPont! Odsunęłam

jeden z nich, jakbym chciała się upewnić, że Gideon nie ukrywa się w środku i odskoczyłam wystraszona, gdy

jeden z wieszaków uderzył o drążek. Na ścianach nie było żadnych zdjęć, obrazów, reprodukcji czy luster, były

za to cztery okna, dwa wychodziły na jezioro, dwa na Kolegium Horacego. Do pokoju wpadało światło, rzucając promienie na drewnianą podłogę, tworząc jakby niewidzialną granicę, dzielącą pokój na dwie połowy.

Druga strona pokoju była dokładnym przeciwieństwem tej, którą zajmował Gideon. Nie wiem, z kim dzielił

pokój, ale najwyraźniej nie byli przyjaciółmi. Brudne ubrania leżały na stercie, krawaty wisiały na oparciu łóżka,

wokół kosza na śmieci leżały pogniecione papiery. Podeszłam do biurka Gideona i wysunęłam szufladę.

Nie wiedziałam, czego szukam, sądziłam, że dowiem się, gdy już to znajdę. Przeglądałam wszystko: książki,

zeszyty, nawet *Regulamin*, ale nawet jeśli było tu coś, co dowodziło jego udziału w zaginięciu Eleanor, nie

potrafiłam tego znaleźć, wszystkie notatki z lekcji robił po łacinie. Gdy już przejrzałam szuflady, książki na

półce i zajrzałam pod łóżko, gdzie nie było ani śmieci,

ani nawet kurzu, poddałam się. Zbliżał się koniec pierwszej lekcji i chłopcy mogli wkrótce wrócić do internatu.

Starałam się odkładać rzeczy Gideona na miejsce, mając nadzieję, że nie zorientuje się, że ktoś tu grzebał, gdy

przypadkiem przewróciłam butelki z drogimi wodami kolońskimi ustawionymi na komodzie. Kucnęłam i

zaczęłam je zbierać, wachając niektóre. Wszystkie miały mocny ostry zapach, krzywiłam się, odstawiając butelki

na miejsce. Po co mu tyle wody kolońskiej? Schyliłam się, żeby podnieść ostatnią, gdy zobaczyłam, że coś

brązowego wystaje z poszewki na poduszkę.

Zapominając o wodzie kolońskiej, wzięłam poduszkę. W środku znalazłam teczkę. I to nie była jakaś, lecz z

napisem: „Eleanor Bell”.

Nie wierząc własnym oczom, zacisnęłam powieki, ale gdy znów je uniosłam, teczka nadal była w tym

samym miejscu. Otworzyłam ją i przejrzałam pobieżnie. To były akta Eleanor. Zerknęłam na drzwi, przez

otwarte okno dało się słyszeć głosy, chłopcy wracali do internatu. Bez zastanowienia sięgnęłam do poszewki,

żeby zobaczyć, czy nie ma tam czegoś jeszcze, i o dziwo, znalazłam tam dwie inne teczki, brązowe, z nazwiskami na okładce: „Benjamin Gallów”, „Cassandra Millet”.

Zawinęłam je w mój mokry ręcznik, odłożyłam poduszkę na miejsce, odstawiłam wodę kolońską, a potem

wyleciałam z pokoju, trzaskając drzwiami. Biegłam na dół i usiłowałam ukryć teczki.

Chłopcy właśnie wchodzili do holu. Gapili się na mnie i gwizdali, gdy przeciskałam się między nimi. Miałam jeszcze wilgotne włosy, ale nie dbałam o to. Gdy już myślałam, że uda mi się wydostać, wpadłam prosto na

Gideona w dwuskrzydłowych drzwiach. Zastygłam, przyciskając do piersi ręcznik z teczkami, Gideon popatrzył na mnie niechętnie i otrzepał ubranie. A potem drzwi się otworzyły i byłam już na zewnątrz. Wdzięczna

losowi, ruszyłam do pokoju, żeby wysuszyć włosy.

Gdy już wbiegłam do środka, trzasnęłam drzwiami i siadłam na podłodze. Nie mogłam oprzeć się ciekawości i rzuciłam się na teczki, przerzucając kartki i szukając czegoś ciekawego. Każda teczka była zaopatrzona w

niebiesko-złoty herb akademii i zaczynała się tymi samymi informacjami:

Eleanor Bell

Wzrost: 165,2 cm

Waga: 52 kg

Kolor włosów: blond

Data urodzenia: 5 czerwca 1994 rok

Pochodzenie: Maryland

Rodzice: Cindy Louise Bell, nie pracuje

Gareth Aaron Bell, prawnik Rozwiedzeni

Krewni: Brandon Bell, strażnik Status: strażnik

Dalej były arkusze ocen, wyróżnienia, kary i informacje ogólne, a także jej podanie o przyjęcie do akademii

zawierające osobiste przemyślenia o rozwodzie rodziców i jakby karta wyników, pewnie z testu kwalifikacyjnego. Jednym słowem, nie było tu nic niezwykłego, z wyjątkiem jej statusu. Ale to musiała być pomyłka,

przecież Eleanor nie należała do Straży Uczniowskiej. Nie było też żadnych notatek na marginesach, żadnych

zapisków na odwrocie. Rozczarowana, wzięłam następną teczkę.

Akta Cassandry były grubsze od teczki Eleanor, zawierały spory plik dokumentów, dotyczących jej rodziny,

która zginęła pod lawiną. Przerzuciłam je, szukając głównych informacji.

Cassandra Millet Wzrost: 164 cm Waga: 49,5 kg Kolor włosów: blond Data urodzenia: 21 listopada

1990 rok Pochodzenie: Kolorado Rodzice: Colette Millet, nauczycielka baletu Bernard Millet, hotelarz

Nie żyją

Krewni: George Millet, Pauline Millet nie żyją

Status: *Non Mortuus*, nie żyje

Pierwsza data śmierci: 14 lutego 2005 rok

Druga data śmierci:

14 maja 2009 rok

Pierwsza przyczyna śmierci: wypadek na nartach Druga przyczyna śmierci: *sepultura*

Przeczytałam jeszcze raz jej status. „*Non mortuus*, nie żyje”. Co to mogło znaczyć? *Non mortuus* można

przetłumaczyć jako „nieumarły”. Ale jeśli nie była martwa, dlaczego miała aż dwie daty i dwie przyczyny

śmierci, z czego drugą można przetłumaczyć jako „pogrzebanie”?

Odwróciłam kartkę i niespodziewanie znalazłam się oko w oko z dyrektorką. To był szkic zrobiony węglem, kobieta patrzyła prosto na mnie. Stała w lesie, przy głębokim dole, za nią Straż Uczniowska,

Brandon

Bell opuszczał wiotkie ciało Cassandry Millet do dołu. Na górze rysunku widniało nocne niebo, na dole

podpis:

*Minnie Roberts*. Wzdrygnęłam się, scena była przerażająca.

W końcu otworzyłam teczkę Benjamina.

Benjamin Gallów Wzrost: 180 cm Waga: 74 kg Kolor włosów: blond Data urodzenia: 18 września 1994

rok Pochodzenie: Pensylwania Rodzice: Karren Gallów, nauczyciel, Bruce Gallów, stomatolog W związku

małżeńskim Krewni: brak Status: Plebejusz, nie żyje Data śmierci: 12 maja 2009 rok Przyczyna śmierci:

*basium mortis*

Ostatni zwrot przeczytałam dwa razy, zanim udało mi się zrozumieć, o co chodzi. *Basium mortis* - słowa spłynęły z moich ust niczym przekleństwo. To znaczy „śmiertelny pocałunek”. A może „pocałunek śmierci”? Zastanawiałam się intensywnie, czemu te zagadkowe słowa widnieją w oficjalnych szkolnych dokumentach, ale nie

udało mi się wymyślić nic sensownego. Może źle to przetłumaczyłam, może to był jakiś termin medyczny, jak

ngor *mortis*? Przejrzałam inne papiery, arkusze ocen, informacje o rodzicach i przyjaciółach, w końcu znalazłam

szpitalny akt zgonu, z datą 12 maja 2009 roku. Przybliżony czas zgonu - 19.12. Przyczyna śmierci - atak serca. A

to stanowczo nie było to samo, co *basium mortis*.

Dalej była koperta z napisem „Gallów”, zamknięta spinaczem. Serce zabiło mi mocniej, gdy ją otwierałam: w

środku były fotografie: ciało Benjamina wśród drzew, różne ujęcia. Pierwsze zdjęcie zrobiono ze znacznej odległości, było tak ciemne, że widziałam jedynie białą twarz Benjamina i żółtą taśmę wokół drzew. Obejrzałam

kolejne, każde następne było wyraźniejsze niż poprzednie, na ostatnim widać było wszystkie szczegóły.

Serce zabiło mi szybciej na widok znajomej sceny. Benjamin miał na sobie strój szkolny, jego czerwony

krawat był rozwiązany, jeden koniec zwisał z ramienia, drugi został brutalnie wciśnięty do ust. Skóra twarzy

wydawała się starsza, Benjamin wyglądał na wyniszczonego, zupełnie nie przypominał tego przystojnego,

sprytnego chłopaka z opisów. Brązowe włosy były przyprószone siwizną na skroniach, zamknięte oczy

podkrążone. Wpatrywałam się w te zdjęcia tak długo, aż obraz się rozmazał i ujrzałam ciała moich rodziców w

lesie, z gazą w ustach. Fotografie wysunęły mi się z rąk i spadły na podłogę.

### **Co się wydarzało poprzedniej wiosny**

To zabawne, jak czasem te rzeczy, których człowiek pragnie, stają się rzeczami, których wolałby nigdy nie

oglądać. Dopiero udało mi się wymazać z pamięci makabryczny widok ciał rodziców, a teraz zdjęcia Benjamina

sprawiły, że wszystko wróciło. Siedziałam na podłodze, obejmując kolana i walcząc z płaczem; w końcu udało

mi się wziąć w garść i pójść na lekcje. Szłam szybko do Kolegium Horacego, po drodze wstąpiłam do biblioteki,

gdzie ukryłam teczki pomiędzy dwiema ogromnymi książkami na drugim piętrze, zadowolona, że się ich

pozbyłam. To był dowód, że Benjamin i Cassandra zostali zamordowani, a ich śmierć była w jakiś sposób

powiązana ze śmiercią moich rodziców. Tylko kto za tym stał? Przypomniałam sobie, co Eleanor powiedziała

mi tego dnia, w którym się poznałyśmy: „Te tajemnice, które nie wyszły na jaw, są z pewnością dobrze ukryte -

i nie bez powodu". Problem polegał na tym, że te tajemnice miały teraz związek ze mną.

Poza tym bałam się Lynch. Nie chciałam ryzykować trzymania teczek w moim pokoju, mogłaby je tam

znaleźć. To by ją tylko upewniło, że to ja jestem winna zaginięcia Eleanor. Zapisałam tytuły książek:  
*Ropuchy*

*Nowej Anglii* i *Poprzednie wcielenia w postaci płazów* oraz ich numery katalogowe i poszłam na lekcje. Gideon ma z

tym coś wspólnego - poinformowałam Nathaniela, biorąc go na bok przed lunchem.

- Czemu tak myślisz? Czekał, niech zgadnę: zakrad- j łaś się do jego pokoju i znalazłaś tam ciało Eleanor. j

- Niewiele się pomyliłaś. Chodź ze mną. j Zaciągnęłam go do biblioteki, w której było pełno j

72

uczniów, wkuwających zjadadłe do egzaminów. Zmusiłam Nathaniela do pokonania dwóch kondygnacji i przeprowadziłam go przez labirynt regałów, zanim znalazłam dział dużych książek, gdzie na szczęście nikogo nie

było. Pewnie dlatego, że panował tu mrok i pachniało stęchlizną, a to nie są najlepsze warunki do nauki.

- Znalazłam teczki w poszewce jego poduszki -oznajmiłam i opowiedziałam o tym, jak przeszukałam pokój

Gideona. - Jak myślisz, co może znaczyć *non mortuus*? -zapytałam, kartkując dokumenty Cassandry. - Albo

*basium mortis*? Ten krawat! To musi mieć coś wspólnego z krawatem!

Nathaniel zignorował moje pytania.

- Grzebałaś w jego rzeczach? - spytał z niedowierzaniem.

Zamrugałam. Czy on mnie w ogóle nie słuchał?

- Benjamin został zamordowany - szepnęłam. -A Cassandra nie żyje. Nie wiem dlaczego, ale nie żyje, a

szkoła ukrywa jej śmierć. A teraz zniknęła Eleanor i być może ona również nie żyje. Czy to cię nie obchodzi?

Nathaniel odchylił się na oparcie krzesła.

- Oczywiście, że mnie obchodzi. Ale dlaczego właściwie myślisz, że Gideon jest w to zamieszany? Myślisz,

że zabił Eleanor?

- Nie wiem. Ale po co w takim razie kradłby jej teczkę? I widziałam, jak kręcił się przy internacie dziewczyn.

- Mnóstwo ludzi się tam kręci, ale to jeszcze nie /naczy, że kogoś zabili.

Westchnęłam.

- Wiem... No i on nigdy nie zabiłby Cassandry ani Benjamin, przecież byli przyjaciółmi. No i po co miałby

to robić? Nie ma też związku między nim a moimi rodzicami... - To wszystko było beznadziejne.

- Może wziął teczki z tego samego powodu, co ty, bo chciał wiedzieć.

Chyba miał rację.

- I co chcesz teraz zrobić? - spytał Nathaniel, gdy się nie odezwałam.

- Powiem o tym komuś - oznajmiłam w końcu, zbierając dokumenty i wkładając je z powrotem do teczek. Pani Lynch. Albo jakiemuś nauczycielowi. Komukolwiek.

- Renee! - Nathaniel powstrzymał mnie. - Nie możesz tego zrobić! Naprawdę myślisz, że Lynch uwierzy, że

nie ukradłaś tych teczek?

- Nie ukradłam ich! Znalazłam je w pokoju Gideona!

- Wiem o tym, ale to nadal wygląda nieciekawie. Masz zamiar powiedzieć Lynch, że zakradłaś się do pokoju

chłopca, szperałaś w jego rzeczach i znalazłaś ukryte teczki? Pomyśli, że kłamiesz. A nawet jeśli uwierzy, to i

tak będziesz miała kłopoty!

Opuściłam ręce. Miał rację. Przez moją głowę przemknął makabryczny rysunek Minnie. Co właściwie wydarzyło się tamtej nocy, gdy Cassandra umarła? No cóż, skoro nie mogłam zorganizować kolejnego seansu, zostało mi już tylko jedno wyjście.

- Renee? Halo! Ziemia do Renee!

Ocknęłam się z zamyślenia i spojrzałam na Nathaniela, który przyglądał mi się badawczo. Wcisnęłam teczki



między książki i wzięłam torbę.

- Muszę iść.

Tego wieczoru długo marudziłam w łazience chłop-! ców. Dziewczyny myły się i wychodziły, a ja powoli

myłam zęby, czekając, aż przyjdzie Minnie Roberts,! która sądząc po wyglądzie jej włosów, brała prysznic

wieczorem. Łazienkę wypełniała para, osadzająca się na lustrach i skraplająca na kranach i klamkach. Kilka

dziewcząt weszło i wyszło niczym duchy. Słyszałam spuszczenie wody w toalecie, odkręcanie kranów,

skrzypienie drzwi, ale Minnie ciągle się nie zjawiała. W końcu poddałam się, weszłam do kabiny prysznicowej i

odkręciłam wodę.

Właśnie zaczęłam spłukiwać pianę z włosów, gdy usłyszałam, że ktoś włącza prysznic w kabinie naprzeciwko, zasuwą zasłonkę i mówi sam do siebie.

Wystawiłam głowę. Zasłona była zasunięta tylko do połowy, dostrzegłam kościstą sylwetkę. Wychyliłam się,

żeby przyjrzeć się dokładniej.

Minnie Roberts stała pod prysznicem w kostiumie kąpielowym. Gdyby to był ktoś inny, zdziwiłabym się, że

bierze prysznic w kostiumie, ale Minnie była eks-centryczką i zupełnie mnie to nie zaskoczyło. Poza tym

wszyscy mówili, że jest hipochondryczką i ma obsesję na punkcie bakterii. Lała się na nią woda z prysznicza,

włosy zakryły jej twarz, co jakiś czas wzdrygała się, gdy zmieniało się ciśnienie wody.

Wyszłam z kabiny, wytarłam się i czekałam. W końcu Minnie zakręciła wodę i usłyszałam plaśnięcia stóp na

mokrych kafelkach.

- Zaczekaj! - poprosiłam.

Minnie spojrzała na mnie przerażona. Rozejrzała się nerwowo, czy nie ma tu nikogo prócz nas, jakby nie

chciała, żeby ktoś widział, że ze mną rozmawia. Była owinięta w ręcznik, skórę miała czerwoną od gorącej

wody.

- Mogę cię o coś zapytać? Wyglądała na zaskoczoną moją prośbą.

- Ja... ja nie wiem. Chyba nie. - Odwróciła się.

- Nie uważam, że jesteś stuknięta! - zawołałam za nią. Zatrzymała się.

- Wielkie dzięki - odparła sarkastycznie.

- I myślę, że wtedy nie kłamałaś.

Zawahała się, a potem zebrała swoje rzeczy i poszła w stronę wyjścia, gdy krzyknęłam:

- Co wiesz o Cassandrze Millet?! Zastygła.

- Nic nie wiem - rzuciła szybko. - Muszę iść.

- Nie, zaczekaj... Nie poruszyła się.

- Muszę odnaleźć Eleanor, ona gdzieś tu jest. Proszę, pomóż mi.

73

Odwróciła się i popatrzyła na mnie z niedowierzaniem i lękiem.

- Dlaczego prosisz o to właśnie mnie?

- Bo myślę, że zniknięcie Eleanor ma coś wspólnego z Cassandra i z jej śmiercią.

- Śmiercią? - powtórzyła powoli, jakby próbowała zrozumieć, czy sobie z niej nie żartuję.

Spojrzałam jej prosto w oczy, były puste jak oczy człowieka, który znalazł się na krawędzi szaleństwa.

- Wierzę ci - dodałam.

Zadrżały jej wargi, jakby miała się rozplakać. Przyciskając do siebie ubranie, odetchnęła głęboko.

- Chodź ze mną - szepnęła.

74

Pokój Minnie znajdował się na przeciwnym końcu naszego piętra i o dziwo wyglądał najzupełniej normalnie.

Przytulny w wiejskim stylu, z kraciastą kołdrą, rozłożystym kwiatkiem doniczkowym pod oknem i reprodukcjami baletnic Degasa na ścianie. Minnie powiesili ręcznik i usiadła na brzegu łóżka. Przed kominkiem leżał rząd atłasowych baletek.

- Tańczysz?

Minnie była zwykle tak niezgrabna, wiecznie upuszczała tacę w stołówce albo potykała się na schodach! w

Kolegium Horacego... Ciężko mi było wyobrazić ją sobie balansującą na palcach.

Minnie zaśmiała się nerwowo.

- Nie, ja... ja je tylko rysuję. Druga strona pokoju była niezamieszkała, biurko puste, łóżko bez pościeli.

- Nikt nie chciał ze mną mieszkać - wyjaśniła.

Obserwowała mnie, gdy rozglądałam się po pokoju. Na podłodze i materacu leżały dziesiątki szkiców,

głównie czarno-białych, robionych węglem. Narysowane skąpymi kreskami przedmioty wydawały się

ładniejsze niż w rzeczywistości. Były tam rysunki baletek, krajobrazy kampusu i portrety - piękne portrety -

starej kobiety, dziewczyny, starca i nawet jeden autoportret.

- Ty to narysowałaś? - zapytałam. Minnie skinęła głową.

- Są piękne!

- Dziękuję - powiedziała łagodnie. - Gdy ciągle słyszysz, że jesteś szalona, w końcu zaczynasz w to wierzyć. Rysowanie pomaga mi pamiętać, że jest inaczej.

- Znam to uczucie. - Czy byłam szalona, myśląc, że moi rodzice zostali zamordowani? Że Dante coś przede

mną ukrywa? Tylko że ja nie miałam nic, co przypominałoby mi, że jestem zdrowa.

- Chodzisz na ogrodnictwo, prawda? - zagadnęła Minnie.

Skinęłam głową.

- Jak to wygląda? Mojemu tacie strasznie zależało, żebym się dostała, ale oblałam test. Był taki zły, jak zobaczył mój plan zajęć, że myślałam, że coś rozbije. Jestem za młoda, żeby mnie wybrali do Straży Uczniowskiej,

więc musiał przełknąć tę pigułkę. Nasza rodzina jest w akademii od wieków i wszyscy należeli do Straży

Uczniowskiej. Nie wiem, jakie geny są do tego potrzebne, ale na pewno ich nie odziedziczyłam.

Nie zrozumiałam, dlaczego ogrodnictwo miałoby mieć coś wspólnego ze Strażą Uczniowską ani dlaczego jej

tata był taki zły, gdy nie dostała się do grupy.

- Nie jest źle. - Staralam się zbytnio nie zachwycać. - Uczymy się o ekosystemie, o glebach, zakopywaniu

różnych rzeczy i tak dalej. Zajęcia odbywają się na dworze, to jest fajne. Poza tym nic szczególnego.

Minnie zeszywniała:

- Zakopywaniu?

- No tak, zakopywanie cebulek, sadzenie kwiatów. Teraz uczymy się głównie o różnych gatunkach roślin.

Minnie popatrzyła na swoje rysunki.

- Właśnie rysowałam, gdy ich zobaczyłam. - Nawinęła nerwowo pasmo włosów na palce. - Była noc. Nad

wejściem do kaplicy pną się kwiaty księżycowe, chciałam je narysować, gdy otworzą pąki. Po obiedzie poszłam

tam ze szkicownikiem i ołówkami, żeby zdążyć je naszkicować przed godziną policyjną. Po drodze zobaczyłam,

jak Brandon Bell, wtedy trzecioklasista, prowadzi Cassandrę Millet do gabinetu dyrektorki

w Kolegium Archebalda. To było tuż po śmierci Benjamina i pomyślałam, że dyrektorka chce po prostu coś

sprawdzić, zadać jej kilka pytań. Dotarłam do kaplicy, usiadłam na trawie i patrzyłam na wejście,

czekając, aż

kwiaty się rozwiną. W końcu zakwitły.. Były takie piękne. - Minnie popatrzyła na swoje stopy, a potem mówiła

dalej: - Byłam w połowie rysunku, gdy usłyszałam hałas. Schowałam się za drzewem, myślałam, że to jakieś

zwierzę, ale okazało się, że to Straż Uczniowska.

Było ich pięcioro, brakowało tylko Brandona, i każdy niósł łopatę. Podeszli do kaplicy i weszli do środka.

Normalnie nie poszłabym za nimi, ale mój tata w kółko o nich mówi, a ja strasznie chciałam zostać jedną z

nich. Myślałam, że jeśli podsłucham, to może się dowiem, co trzeba zrobić, żeby zostać wybraną. Dlatego

ruszyłam za nimi.

Poczekalam, aż wszyscy wejdą, zdjęłam buty i wśliznęłam się do środka, zanim drzwi się zamknęły. Gdy

dotarłam do ławek, niemal zniknęli mi z oczu, zobaczyłam Ingrid Fromme, strażniczkę z trzeciego roku, jak

wchodzi do dziury obok ambony.

-Zaczekaj. Weszli do dziury na tyłach kaplicy?

Minnie skinęła głową.

- To był taki właz?

- Nie, zwyczajna dziura. Szeroka na ponad pół metra i w środku miała drabinę. Zaczęłam schodzić, było

ciemno, mnóstwo kurzu. Nic nie widziałam, ale nie

trwało to długo. Pojawił się tunel, korytarz, coś takiego.

Nie miałam świeczki, więc po prostu macałam rękami ściany i szłam w stronę głosów.

75

Szłam i szłam, i szłam, a oni skręcali tyle razy, że w końcu straciłam orientację, w jakim kierunku

idą.

Wreszcie wyszli... po drugiej stronie muru, na brzegu lasu. Gdy ich głosy się oddaliły, podążyłam za nimi,

kryjąc się za drzewami. Kierowali się do Martwego Lasu.

Dyrektorka i Brandon Bell nadeszli z przeciwnej strony, Brandon niósł kogoś na rękach - to była Cassandra.

Miała twarz owiniętą szalikiem, ale poznałam ją po długich jasnych włosach. Gdyby się nie trzęsła, pomyślałabym, że nie żyje. Obok Strażników stało drewniane pudło, które wyglądało jak ręcznie zrobiona trumna. -

Minnie przełknęła ślinę. - Strażnicy zaczęli kopać, dyrektorka udzielała im wskazówek.

- Dyrektorka von Laark? Jesteś pewna?

- Absolutnie. Gdy już skończyli, Brandon podniósł Cassandrę i włożył ją do pudła, a potem zrobił coś dziwnego: położył dwie monety na jej oczach.

- Monety? - Od razu przypominałam sobie rodziców i monety wokół ich ciał.

Minnie skinęła głową.

- Słyszałam jej szloch, gdy przykrywali trumnę wiekiem, ale się nie ruszała. Brandon wbijał gwoździe końcem szpadla, wszyscy razem podnieśli trumnę i włożyli do dołu, a potem zasypali ją ziemią. I to był już koniec.

- Brandon? Brandon Bell to starszy brat Eleanor, główny strażnik! I on pogrzebał Cassandrę Millet żywcem?

- Nie tylko on. Wszyscy strażnicy i dyrektorka. Kiedy już poszli, próbowałam ją odkopać, ale zaczęło padać,

a ziemia była mocno ubita. Zaznaczyłam to miejsce, wbijając patyk, żebym mogła potem je odnaleźć, ale gdy

przyprowadziłam tam profesor Lumbar, patyka już nie było i nie mogłam nic zrobić, w Martwym Lesie pełno

jest patyków i kawałków drewna.

- Ale dlaczego? Czemu to zrobili?

- Nie wiem. Na pewno słyszałaś o tym, jak wpadłam do stołówki i o wszystkim opowiedziałam?

Skinęłam głowę.

- Potem zostałam wezwana do dyrektorki. Byłam przerażona, myślałam, że mnie też zabiją.

Zadzwoiłam

do rodziców, ale oni stwierdzili, że zmyślam, podobnie jak wszyscy. Spisałam nawet testament. -

Podeszła do

biurka i wyciągnęła kartkę papieru ukrytą za szufladą. - Nadal go mam.

*Ostatnia wola i testament Minnie Roberts, 14 lat.*

*Zapisy*

1. *Zapisuję moją rybkę, bojownika, kuzynce Jenny.*

2. *Rysunki zostawiam moim rodzicom.*

3. *Moje ubrania zapisuję kuzynce Jenny.*

4. *Baletki przekazuję Szpitalowi Dziecięcemu Be-thlesona.*

5. *Moje książki zapisuję bibliotece Akademii Gottfrieda.*

*Ostatnie życzenia*

*Jeśli to czytasz, prawdopodobnie zostałam już pochowana w Martwym Lesie. Proszę, znajdź mnie.*

*Dziękuję za piękne życie.*

Czytając to, czułam się, jakbym wkradała się do naj-intymniejszej sfery jej życia, takiej, którą sama chciałabym

zachować tylko dla siebie.

- Jest wspaniały - powiedziałam.

- Dziękuję. - Odparła, chowając kartkę do szuflady. - Zostawiłam również list, w którym opisuję, co widziałam tamtej nocy, razem ze szkicem, który zrobiłam później, ale szkoła je skonfiskowała. No więc, gdy szłam

do gabinetu dyrektorki, myślałam, że idę na śmierć. Ale ona zapewniła mnie tylko, że się pomyliłam. Tamtej nocy w ogóle nie było jej w akademii, ma świadków, że podróżowała po Europie. A potem dała mi tydzień szlabanu za opuszczanie internatu po godzinie policyjnej. Wszyscy mówili to samo: że zmyślam, że jestem stuknięta. Rodzice wysłali mnie latem do kliniki psychiatrycznej. - Minnie popatrzyła na swoje rysunki. - Sęk w tym,

że większość czasu spędzam, przyglądając się różnym rzeczom. Wiem, co widziałam. Nie kłamię.

Spojrzała na mnie, w oczach miała łzy. Pomyślałam, że pewnie wołałaby się mylić - rzeczywistość była zbyt

trudna do zaakceptowania.

- Wierzę ci - stwierdziłam, choć wcale nie byłam pewna.

Przyjęcie w stylu greckich sympozjów odbyło się pod koniec semestru jesiennego, miało uczcić nadejście

zimy. Motywem przewodnim uczty był Platon, a spotkanie powinno było zachęcić nas do dyskusji filozoficznych. Jednak wszystkich interesował tylko jeden temat: Eleanor.

W stołówce ustawiono długie prostokątne stoły, przykryte ciemnoniebieskimi obrusami, których końce

ścieliły się na ziemi. Dania były bardzo wyszukane, jak to w Nowej Anglii: kukurydza z masłem, gotowana dynia, kandyzowane słodkie ziemniaki, sarnina, przepiórki, indyki, kurczaki, wszystko upieczone na złocisty brąz,

do tego placek z jagodami, owoce z cukrem i szeroki wybór słodczy z syropu klonowego. Nauczyciele siedzieli

przy stołach zewnętrznych tworzących literę U, nasze stoły ustawiono w środku, jeden dla każdego roku,

dziewczęta z jednej strony, chłopcy z drugiej.

76

Siedziałam wciśnięta między Emily Wurst a Amelię Song, cichą, zamkniętą w sobie dziewczynę, która grała

na harfie w szkolnym zespole. Jediną osobą, z którą miałam ochotę pogadać, była Minnie Roberts, ale przecież

nie mogłam wypytywać ją o Cassandrę w stołówce. Dlatego większość obiadu spędziłam, przyglądając się, jak

bawi się jedzeniem na swoim talerzu, i udając, że nie widzę, jak ludzie się na mnie gapią i szepczą coś o mnie, o

Eleanor. Co jakiś czas rozglądałam się po sali w nadziei, że zobaczę Dantego (obiecał, że będzie), ale

dostrzegłam jedynie Nathaniela nudzącego się tak samo jak ja na drugim końcu stołu.



Zrzuciłam łokciem widelec ze stołu i usiłując nie zwracać na siebie uwagi, schyliłam się i weszłam pod stół,

obrus zamknął się za mną jak kurtyna.

Pod stołem było ciemno, słysząc było stłumiony gwar. Siedziałam tam przez kilka minut, patrząc na rzędy stóp

po obu stronach i zaczęłam przesuwać się na czworaka w stronę drzwi.

Gdy wreszcie wyszłam na zewnątrz, odetchnęłam głęboko i zeszłam po schodach na dół, a potem ruszyłam

ścieżką. Jedyne, co wiedziałam na pewno, to że Cassandra i Benjamin nie żyją i że szkoła jest w to wplątana.

Tyle dowiedziałam się z teczek. Ale czy Minnie miała rację? Nie, pomyślałam, to niemożliwe. Potarłam skronie,

już miałam pójść w stronę internatu, gdy zobaczyłam, że jeden z robotników biegnie i wpada do stołówki.

Chwilę później drzwi się otworzyły gwałtownie i dyrektorka pojawiła się na zewnątrz, jej suknia w kolorze

kości słoniowej ciągnęła się za nią. Schowałam się za krzakiem i zobaczyłam, że profesor Bliss i profesor

Starking również wybiegli ze stołówki wpatrzni w stronę internatów.

Wtedy zobaczyłam w oddali jakąś postać, która coś niosła. Gdy znalazła się wystarczająco blisko, rozpoznałam twarz.

Dante wyłonił się z mgły, trzymał kogoś na rękach. Zasłoniłam dłonią usta, żeby stłumić okrzyk - to była

Eleanor.

Jej jasne włosy zwisały tuż nad ziemią, poruszał je wiatr. Była nieprzytomna, jej ciało podrygiwało niespokojnie, owinięte grubym wełnianym kocem. Widziałam, jak Dante ciężko oddycha, gdy podawał Eleanor

profesorowi Blissowi i Starkingowi. Zanieśli ją do pokoju pielęgniarek. Jej bezwładne ciało kołysało się na boki,

gdy ją dźwigali.

Dante popatrzył w stronę krzaka, za którym się ukrywałam, jakby wiedział, że tam jestem, a potem odwrócił

się do dyrektorki, która zaczęła zadawać mu pytania. Wyglądał na wyczerpanego. Tuż za nim pojawiło się

dwóch robotników.

- Ten młody człowiek kręcił się tu przez cały tydzień. Próbował znaleźć zaginioną - mówił starszy, ocierając

pot z czoła. - Od kilku dni usiłowaliśmy się dostać do piwnicy, ale ciągle nie mogliśmy jej osuszyć. A on nagle

pojawia się przed drzwiami internatu z dziewczyną na rękach.

Dyrektorka przeniosła wzrok na Dantego.

- Czy to prawda?

- Przechodziłem obok internatu, gdy zobaczyłem Eleanor przy drzwiach. Była mokra i ledwie trzymała się

na nogach. Zdążyłem ją złapać, zanim upadła - wyjaśnił spokojnie Dante.

- To już półtora tygodnia, a my nadal nie możemy osuszyć tej piwnicy! - stwierdził robotnik z irytacją. Poziom wody dochodzi niemal do sufitu. Bóg jeden wie, jakim cudem w ogóle przeżyła.

Dyrektorka zmrużyła oczy, podkreślone eyelinerem.

- Ciekawe - odparła. Ściągnęła czerwone usta, a potem odwróciła się do Dantego. - Co robiłeś przed internatem dziewcząt?

- Już mówiłem, siedłem do stołówki - westchnął. - Znalazłem się po prostu we właściwym miejscu.

Dyrektorka nie wyglądała na przekonaną, ale na razie dała spokój.

- Zobaczymy się jutro w moim gabinecie - rzuciła do Dantego i pozwoliła mu odejść. - Czy wiadomo, jak

Eleanor Bell znalazła się w piwnicy? - zwróciła się do robotników.

Pokręcili głowami.

- Zajmowaliśmy się instalacją - odrzekł starszy. - Piwnica została zalana, bo pękły rury na parterze. Szkód nie

spowodowały mróz ani zbyt wysokie ciśnienie. Moim zdaniem ktoś zrobił to specjalnie.

Calysta von Laark się wzdrygnęła.

- Podejrzana sprawa, bez względu na to, co się tam stało - powiedział mężczyzna, spluwając na ziemię kawałkiem tytoniu do żucia. - Ale tak naprawdę tylko jedno się liczy.

Dyrektorka, która już odchodziła, zatrzymała się nagle.

- Co takiego?

- Ze dziewczyna żyje. Dyrektorka zmarszczyła brwi.

- Miejmy nadzieję.

77

## Salon Pierwszy

Eleanor przeżyła. Spędziła tydzień w skrzydle szpitalnym, zanim została przewieziona do szpitala w Portland, a potem do domu, gdzie miała dojechać do siebie w czasie ferii świątecznych. W chaosie spowodowanym jej

odnalezieniem i egzaminami końcowymi prawie się z nią nie widywałam. Co prawda ja i Nathaniel

odwiedzaliśmy ją każdego popołudnia, ale przeważnie spała albo była nieprzytomna. Pielęgniarka zapewniła

nas, że jej stan jest stabilny, ale nie można przewidzieć, jak to się skończy, może tylko wycieńczeniem i zapaleniem płuc spowodowanym długotrwałym przebywaniem w zimnej wodzie. Jednak z Eleanor działo się coś

dziwnego. Skórę miała lodowatą, ale nie chciała się przykryć. Była głodna, ale nic nie jadła. Eleanor też nie

bardzo wiedziała, co się z nią stało. Powiedziała pani Lynch, że jedyne, co pamięta, to jak szła do biblioteki, a

potem wszystko pokryła mgła.

Wszyscy byli jeszcze bardziej zdezorientowani. Czy ktoś ją napadł? Czy to był wypadek? Skłaniałam się ku

temu pierwszemu wariantowi, chociaż nie miała zawału serca, co podważało moją teorię. I chociaż byłam szczęśliwa, że Eleanor jest bezpieczna, zupełnie nie wiedziałam, jak się zachować. Pani Lynch ponownie wszczeła

śledztwo, szukając nowych poszlak i dowodów. Ale wtedy zima zaatakowała z całą mocą, pokrywając teren

szkoły i wszystkie jego tajemnice dziewięćdziesięciocentymetrową warstwą śniegu.

Ale zacznijmy od początku. Gdy Eleanor zanesiono do gabinetu pielęgniarek, Dante znalazł mnie w kryjówce i szepnął:

- Dobry punkt obserwacyjny. Zaskoczona spojrzałam na niego.

- Jak ją znalazłeś? - zapytałam.

- Powiedziałaś, że jest w piwnicy. Chodziłem tam każdego dnia i dzisiaj zobaczyłem, jak wychodzi z internatu.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie.

- Nie mówiłam ci, że jest w piwnicy - zauważyłam. - Wspomniałam o tym jej ojcu.

Dante wytrzeszczył oczy.

- Nie?

- Nie. - Pokręciłam głową.

Dante miał zakłopotaną minę, ale w tej chwili nie miałam do tego głowy.

- Cassandra nie żyje - stwierdziłam bez ogródek, bo niby jak miałam to powiedzieć? - Widziałam jej teczkę,

którą znalazłam w pokoju Gideona.

- Jak dostałaś się do... - urwał. - Zaczekaj, jej teczkę? Masz ją?

- Tak, ale... Wstał.

- Pokaż mi.

Zaprowadziłam go na drugie piętro biblioteki, po drodze opowiadając o innych teczkach i ich zawartości, i

podając prawdziwy powód, dla którego chciałam je znaleźć. Jednak gdy weszliśmy do działu dużych książek,

stwierdziłam, że tecki zniknęły. Dwa razy sprawdziłam numery, nawet zdjęłam z półki połowę książek i

przetrzęsłam je, ale teczek nie było.

- Leżały tutaj - denerwowałam się. - Zostawiłam je tu wczoraj!

- Pokazywałaś je komuś?

- Tylko Nathanielowi, ale on na pewno ich nie wziął.

- Czy ktoś inny mógł wiedzieć, że je wzięłaś? Pokręciłam głową i wtedy przypomniałam sobie, jak wpadłam na Gideona, wychodząc z internatu chłopców. Do tego czasu musiał się zorientować, że ktoś był w

jego pokoju i że teczki zniknęły, ale czy się domyślił, że to byłam ja, czy poszedł za mną do biblioteki? Przełknęłam ślinę.

- Tak.

W końcu nadeszły egzaminy. Uczyłam się do nich w zamęcie, spotykając się z Nathanielem w pokoju do

nauki. Dyskutowaliśmy nad opowieścią Minnie, ale on twierdził, że dziewczyna jest stuknięta. Między egzaminami i randkami z Dantem usiłowałam rozwikłać dręczące mnie wątpliwości. Zastanawiałam się nad tymi

mrocznymi słowami z teczek. Dante mnie nie odstępował na krok, siedział obok mnie w bibliotece, kartkując

łacińskie książki, ale sama musiałam wpaść na to, jak Gideon wszedł w posiadanie dokumentów, oczywiście

bez rezultatów. Gdy zapytałam Dantego, co oznacza *non mortuus*, odpowiedział:

- Nieumarli.

- Też tak to przetłumaczyłam - odparłam znad książki. - Ale czy to coś ci mówi?

Dante pokręcił głową.

- Nie.

- A żywe trupy? Zaśmiał się.

78

- Masz na myśli zombie? Westchnęłam.

- No więc właśnie, ja też doszłam tylko do tego. W Akademii Gottfrieda nie było żadnych książek ani artykułów na ten temat, ale o tym wspominał artykuł w tamtej książce o Attica Falls. W Internecie

pod

hasłem „nieumarli” znalazłam jedynie strony o wampirach, ghulach i zombie. Próbowałam wpisywać „non

mortuus, Gottfried” a potem „sepultura, Attica Falls” oraz różne wariacje „Cassandra Millet, non mortuus, dwie

śmierci, Benjamin Gallów, zmarły”, aż w końcu dałam za wygraną.

W piątek przed świętami wszyscy zaczęli opuszczać szkołę. Na podjeździe przed Kolegium Archebalda stał

rząd samochodów, szoferzy ładowali walizy do bagażników. Wszyscy się żegnali przed wyjazdem na ferie

święteczne.

Dustin przyjechał, zgodnie z obietnicą, astone martinem dziadka. Ja i Dante staliśmy pod latarnią przed

budynkiem, mój bagaż leżał obok mnie. Padały na nas wielkie płatki śniegu. Gdy zobaczyłam podjeżdżający

samochód, objęłam Dantego, ostatni raz przed feriami wdychając leśny zapach jego skóry.

- Nie chcę wyjeżdżać - jęknęłam. - Chcę zostać tu, razem z tobą.

- To tylko kilka dni - powiedział i spojrzał na zegarek. - Widzisz, jesteśmy pięć minut bliżej ponownego

spotkanie.

- Jedź ze mną - zaproponowałam. - Będzie fajnie. Moglibyśmy myszkować po rezydencji, grać w krokieta na

śniegu, wśliznąć się do palarni dziadka...

Dante zaśmiał się i pokręcił głową.

- Brzmi kusząco, ale nie jestem pewien, czy twój dziadek by mnie polubił.

Westchnęłam.

- No dobrze. A co powiesz na to: w Wigilię zakradnę się do biblioteki dziadka, a ty schowasz się w Bibliotece Coplestona. Będzie tak, jakbyśmy byli razem.

Dante uniósł brew.

- Co powinienem wtedy czytać?

- Coś o miłości. Tylko nie tragicznej, tego nie lubię.

- Jesteśmy umówieni.

Usłyszałam, jak silnik gaśnie i Dustin otwiera drzwiczki.

- Panienko Winters - rzekł z uśmiechem, wysiadając w swoim trzyczęściowym garniturze. Wbrew moim

zapewnieniom, że mogę zrobić to sama, Dante wziął mój bagaż i włożył go do bagażnika, podczas gdy Dustin

otworzył przede mną drzwi.

- Cześć - szepnęłam przez okno, gdy jechaliśmy powoli; mój oddech zostawił obłoczek mgły na szybie.

Po długiej podróży przez zaśnieżone lasy i urokliwe miasteczka Nowej Anglii przyjechaliśmy do rezydencji

Wintersów. Rozległy trawnik był teraz przykryty śniegiem, drzewa nagie i zakute w szklaną skorupkę lodu.

Gdy jechaliśmy podjazdem, latarnie zapalały się jedna po drugiej, aż dojechaliśmy do rezydencji.

Dustin otworzył moje drzwi, wysiadłam w szarzejący grudniowy zmierzch. Okna rezydencji płonęły ciepłym

światłem, szłam do domu, mijając zamrożoną fontannę i ozdobnie przystrzyżone krzewy, teraz pokryte

śniegiem, które rosły wokół dziedzińca niczym posągi bez twarzy.

79

- Pan Winters pojawi się tuż przed kolacją. Tymczasem pozwolę sobie zanieść bagaże na górę, do dawnego pokoju panienci

Lydii.

Kolację podawano punktualnie o siódmej. Miałam niewiele czasu na rozpakowanie walizek. Duży zegar na dole wygrał

melodyjkę i minutę później Dustin zapukał do mojego pokoju, w smokingu i muszce. Zaprowadził mnie na dół przez foyer,

gdzie dwaj mężczyźni na drabinach zawieszali lampki na sześciometrowej choince.

Dziadek już siedział w głównej jadalni na końcu niewiarygodnie długiego stołu. Wszystko było świątecznie ozdobione. Gdy

mnie zobaczył, uśmiechnął się i wstał.

- Renee! - zawołał serdecznie. Uścisnął mnie, a potem rozpiął marynarkę. Jego twarz był zaróżowiona od mrozu, białe włosy

krótkie i nastroszone, nos i uszy jeszcze większe niż ostatniego lata. Z sufitu zwisał ciężki żyrandol, środek stołu udekorowano

lichtarzami ze świecami. Dustin skłonił się i odsunął krzesło. Kiedy na nim usiadłam, położył mi na kolanach serwetkę, a przede

mną pojawiła się zupa w kolorze łososiowym.

- Dziękuję. - Zastanawiałam się, której łyżki powinnam użyć.

Dustin znów się skłonił i wycofał do kuchni. Dziadek uśmiechnął się ze swojego miejsca obok mnie na szczycie stołu. Nosił

teraz wąsy, krzaczaste i białe, przyglądałam się im ciekawie, gdy wkładał łyżkę do ust. Przed nami stało mnóstwo

porcelanowych naczyń, leżało stanowczo za dużo sztuców. Wybrałam najmniejszą łyżkę i zanurzyłam w zupie. Po chwili w

moich ustach wybuchła feeria smaków, najpierw poczułam sól, potem gorzycz, a potem cierpki i słodki smak.

- Ta zupa jest zimna - wypaliłam. - I gorzka. I jakby owocowa.

- Powinna być zimna, moja droga. To, co czujesz, to owoce sera. *Potage effrayant de figue, tomate, et front age de chèvre*. Bardzo

smaczna - rzekł dziadek, unosząc w stronę Dustina swoją szklaneczkę ze szkocką. - Dziękuję.

Usiłowałam się uśmiechnąć, gdy Dustin postawił na stole drugie danie, wykwitną aranżację ze szparagów, nadziewanych fig

i kaczego udka. Jedliśmy w milczeniu.



- Poinformowano mnie o twojej współlokatorce - rzekł dziadek, krojąc swoją kaczkę nożem. - Cieszę się, że wraca do

zdrowia. Powiedziano mi, że czuje się już dobrze.

- Była uwięziona w zalanej piwnicy przez ponad tydzień - poinformowałam go.

Przestał jeść.

- Tak, mówiono mi o tym. Rozmawiałem ze znajomymi w szkole. - Jego nóż zgrzytnął o talerz. - Jak ci się podobają twoje

zajęcia? Inspirujące?

Odłożyłam widelec. Znad kominka spoglądała na mnie ogromna głowa łosia.

- Wiem, kim byłeś - zakomunikowałam, patrząc na dziadka.

Zakaślał, krztusząc się figą. Dwa razy uderzył się w pierś, a gdy już doszedł do siebie, zapytał:

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Wiem, kim byłeś.

Dziadek wymienił spojrzenia z Dustinem, który stał w rogu pokoju z serwetką przewieszoną przez rękę. Dziadek również

odłożył swój widelec i odetchnął z ulgą.

- Zapewne masz wiele pytań... Wiedziałem, że kie-fl dyś to odkryjesz, skoro zaczęłaś się uczyć w akademii, jB nie

przypuszczałem jednak, że stanie się to tak szybko. Twoja matka zorientowała się dopiero wtedy, gdy nań trzecim roku została

wybrana do Straży Uczniowskiej. Tam właśnie poznała twojego tatę. Odchyliłam się na oparcie krzesła. Nie miałam pojęcia, że

moi rodzice byli w Straży.

- Dopiero na trzecim roku? Czy to nie było oczywiste, gdy zobaczyła cię w szkole?

- Zapewne doszłaś do tego na ogrodnictwie? , Zdezorientowana, pokręciłam głową.

- Na ogrodnictwie? A co to ma wspólnego z tym, że byłeś dyrektorem?

Dziadek się zastanowił.

-Dyrektorem? To o tym chciałaś porozmawiać?

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Podniósł szklanę ze szkocką i usiadł wygodniej, gdy upijał łyk, brzęknęły kostki lodu.

- Przepraszam cię - podjął powoli. - Musiało mi wypaść z głowy.

- Naprawdę? - spytałam sceptycznie. - To dziwne, I że powiedziałeś mi, że moi rodzice chodzili do akademii, ale

zapomniałaś wspomnieć, że byłeś tam dyrektorem przez ponad trzydzieści lat i że moi rodzice należą do Straży.

Świece zamigotały.

- Cieszę się, że zdobywasz odpowiednie wykształcenie - rzekł dziadek, kończąc drinka jednym haustem. - Dustinie, czy

mógłbyś nalać mi jeszcze jedną szklaneczkę?

- Co spowodowało te ataki serca?

- Ataki serca? - Dziadek zmrużył oczy.

- Wiesz, o czym mówię. O klątwie Gottfrieda.

- Legendy i tanie sensacje rozsiewane przez próżniaków z miasteczka i kiepskich dziennikarzy.

- Ale w zeszłym roku dwoje uczniów zostało zamordowanych!

- Tylko jeden, Benjamin Gallów - sprostował; popatrzyłam na niego zdumiona. - Owszem, powiadomiono mnie o jego

śmierci i o... zniknięciu Cassandry.

Zamrugalam, zaskoczona, że mówił o tym z takim spokojem.

- Skoro wiedziałaś, że nie jest tam bezpiecznie, dlaczego mnie tam wysłałeś? Nawet jeśli klątwa jest legendą, wiedziałaś o

niej, wiedziałaś o wypadku z zeszłego roku i mimo to mnie tam wysłałeś?

- Po śmierci rodziców byłabyś znacznie mniej bezpieczna w Kalifornii.

- Czemu nie wysłałeś mnie do jakiejś innej szkoły?

- Nasza rodzina jest związana z akademią od wieków - rzekł nieco głośniejszym głosem. - Nie ma innych szkół.

Wściekła, zerwałam się z miejsca; Dustin podbiegł, żeby odsunąć moje krzesło.

- Moja współlokatorka jest w szpitalu, moi rodzice nie żyją, Cassandra Millet również nie żyje. Miałam w rękach jej

dokumenty, oficjalne szkolne dokumenty, co znaczy, że szkoła wie o jej śmierci i ukrywa ją. A Minnie Roberts mówi, że mogą za

tym stać dyrektorka i Straż Uczniowska!

Dziadek odłożył widelec na talerz.

- To niedorzeczne - odparł spokojnie. - Ufasz dziewczynie, której prawie nie znasz, za to nie wierzysz dyrektorce i Straży

Uczniowskiej. Twoi rodzice ufali im bezgranicznie. A ja myślałem, że jesteś inteligentna.

Nie odezwałam się.

- Jesteś bezpieczna, na tyle, na ile można być bezpiecznym na tym świecie. A teraz chciałbym, żebyś posłuchała mnie

bardzo uważnie. Wykształcenie oznacza bezpieczeństwo. Wiedza o tym, co się dzieje, oznacza bezpieczeństwo. Wiedza o

tym, jak się bronić i chronić, oznacza bezpieczeństwo. A teraz usiądź. Kolacja jeszcze się nie skończyła.

Usiadłam, Dustin przysunął moje krzesło.

- Dziękuję - wymruczałam przez ramię, gdy poszedł do kuchni po deser.

- Byłem dyrektorem akademii przez trzydzieści dwa lata - mówił dziadek. - Twoi rodzice uczęszczali tam wtedy. Tam się

właśnie spotkali, o czym już wiesz. Klątwa Gottfrieda jest legendą, niczym więcej. Podczas gdy ja byłem dyrektorem, nie było

żadnych incydentów, wypadków czy zgonów. W czasie tych trzydziestu dwóch lat wykształciłem wielu młodych ludzi.

Profesor Lumbar jest moją koleżanką, podobnie jak profesorowie Starking, Mumm i Chortle. Annette LaBarge była na tym samym roku co twoja mama, przyjaźniła się z twoimi rodzicami. Chociaż dyrektor von Laark zatrudniła się tuż przed moim

odejściem i niezbyt dobrze ją znam, to mam ! powody wierzyć, że jesteś w jak najlepszych rękach. i

- Ale to przecież tylko.. tylko nauczyciele. Co mogliby zrobić? W końcu nie udało im się ochronić Eleanor.

- Pewnych rzeczy na tym świecie nie da się uniknąć. Mimo to wierzę, że gdyby nie oni, uczniowie j w akademii nie byłiby

tak bezpieczni. Tak jak to jest f w innych szkołach.

Wieczorem przeglądałam papiery mojej mamy, usiłując zrozumieć, jacy byli moi rodzice, kiedy chodzili do szkoły, gdy do

drzwi zapukał Dustin. Wszedł, trzymając ' w ręku tacę z karteczką.

- Telefon do pani Renée - oznajmił dostojnie, z cieniem uśmiechu.

Wzięłam kartkę i rozłożyłam: „Pan Dante Berlin”.

- Jest przy telefonie? Teraz?

Dustin skłonił się delikatnie. Nie mogąc pohamować podniecenia, pobiegłam na dół do salonu.

- Halo?! - zawołałam, prawie nie wierząc, że Dante jest po drugiej stronie.

Jego głos odbijał się echem w słuchawce.

- Musiałem cię usłyszeć. Nawinęłam kabel od telefonu na palec.

-

Czy to znaczy, że już za mną tęsknisz? Myślałam, że się roześmieje, ale jego głos był poważny.

- Tęsknię. Bardzo. Nie lubię być z dala od ciebie. Uśmiechając się do słuchawki, usiadłam na szez-  
longu.

- Cześć - powiedziałam miękko i wyobraziłam sobie jego ciemne uważne oczy wpatrzone we mnie.

- Cześć. Opowiedz mi, co straciłem.

Mówiłam o dziadku, o naszej rozmowie przy kolacji, o tym, że moi rodzice byli w Straży, o długim stole, o głowie łosia i o

zimnej zupie, co do której nie byłam pewna, czy ją lubię.

Dante się roześmiał.

- Żadnych zimnych zup, żadnego koziego sera. Zapamiętałem. I żadnych klątw Gottfrieda.

- A ja zapamiętałam, że jeśli chodzi o ciebie, to żadnego jedzenia w ogóle. Żadnego snu. I żadnych

tuneli.

- Nie mam wielkich potrzeb.

- Naprawdę? Przez cały semestr zastanawiałam się nad tym, kim właściwie jesteś.

- I do czego doszłaś?

- Że jesteś mutantem. Rzadką chorobą. Stworem rodem z piekła. Dantem.

- I co zrobisz, jeśli okaże się, że to prawda? Jeśli będzie to znaczyło, że mogę cię skrzywdzić?

- Nie boję się. Każdy może kogoś skrzywdzić. To tylko kwestia wyboru.

Rozmawialiśmy każdego wieczoru. Dziadek wyjeżdżał na jakieś spotkania biznesowe, finansował jakieś przedsięwzięcia,

zajmował się działalnością charytatywną i tak dalej, więc większość czasu byłam sama, badając dom i okolice. Przejrzałam całą

bibliotekę dziadka, szukając czegoś o akademii, o moim dziadku albo o kłątwie, ale nic nie znalazłam. Przerzuciłam się na

spacery wśród lasów Massachusetts. Brnęłam przez śnieg w kozakach, wyobrażając sobie moją mamę, jak robiła to samo, gdy

była w moim wieku, jej zarumienione policzki, spierzchnięte wargi, ciekący nos. .

I chociaż każdego ranka nastawiałam się na to, że tego wieczoru Dante może nie zadzwonić, on zawsze dzwonił.

Rozmawialiśmy godzinami, nasze ciche głosy wędrowały ku sobie, a dzieląca nas odległość w jakiś sposób zbliżała nas do

siebie.

Po rozmowie z Dantem kolejny raz oglądałam rzeczy mojej mamy, biorąc do ręki różne przedmioty i odkładając je

delikatnie, jakbym bała się trzymać je zbyt długo. Znalazłam z tuzin książek o kotach, maszynę do szycia i pudełko nici,

znalazłam też zdjęcie moich rodziców, gdy spotkali się po raz pierwszy. Wyglądali na trochę starszych niż ja, siedzieli na trawie

pod wiekowym drzewem, patrząc na siebie i się uśmiechając. To była moja pierwsza Gwiazdka bez rodziców i tak bardzo za

nimi tęskniłam. .

- Nic nie jest takie samo - mówiłam Dantemu. - Tęsknię za ścinaniem choinki razem z tatą i za tym, jak próbowaliśmy ją

zmieścić w kombiaku. Za gorącą czekoladą i za słuchaniem kolęd podczas ubierania choinki. Tata zawsze zostawiał pod nią

ciasteczka i mleko, nawet wtedy, gdy byłam już nastolatką, a mama jeszcze w marcu znajdowała włosy anielskie wciśnięte w

dywan. Ta choinka jest zbyt doskonała. Taka nienaturalna.

- Nienaturalna? - spytał łagodnie Dante.

- Nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek zgubiła igły. Co to za drzewko?

- Drzewa iglaste nie umierają.

- Wszyscy umierają - stwierdziłam i natychmiast pomyślałam o rodzicach. - Czasem za wcześnie.

Zapanowała długa cisza, w końcu Dante się odezwał:

- Wszystko będzie dobrze, Renee. Nie rezygnuj ze swojego życia tylko dlatego, że twoi rodzice umarli.

Westchnęłam.

- Byłoby dobrze, gdybyś tu był.

- Ja będę cię widywał każdego dnia przez resztę roku szkolnego - powiedział. - Oddałem cię twojemu dziadkowi tylko na

kilka dni.

- A czy ja mam coś do powiedzenia?

- Tego się właśnie boję. Że pewnego dnia przejrzysz na oczy i zrozumiesz, że taka dziewczyna jak ty nie powinna być z kimś

takim jak ja.

Pokręciłam głową.

- Nigdy tak nie pomyślę. Pomogłeś mi w łacinie. Ochroniłeś mnie przed Gideonem i Vivian, kryłeś przed dyrektorką.

Znalazłeś Eleanor. Jesteś... nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ty. Kim musiałabym być, żeby nie

chcieć być z tobą?

- Aniołem.

W wigilię rozszalała się śnieżycą. Śnieg zasypał latarnie, posągi, fontannę. Usiłowałam przetrwać ten sztywny świąteczny

obiad, Dustin stał w rogu pokoju. Dziobnęłam szynkę widelcem i odwróciłam się do niego.

- Czemu się nie przyłączysz?

Dustin, zaskoczony, że się do niego zwracam, nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Ja... Dziękuję, panienko Winters, ale już jadłem.

- Hej, to niemożliwe. Widziałam cię tuż przed obiadem, polerowałeś srebra i nakrywałeś do stołu.

Dustin wyglądał na zakłopotanego.

- Dziękuję, panienko, ale tu, gdzie jestem, jest mi zupełnie dobrze.

Przewróciłam oczami.

- Nie wyglądasz dobrze, jesteś zmęczony. Jak można tyle czasu stać bez ruchu?

Dustin popatrzył na dziadka, który zakrztusił się i przestał jeść.

- Doprawdy - rzekł. - Jakież ze mnie głupiec! Proszę, Dustinie, usiądź z nami. Jedzenia wystarczy dla więcej niż trzech osób.

Popatrzyłam na stertę plastrów szynki, wędzonego mięsa, słodkich ziemniaków i wstałam, żeby odsunąć Dustinowi krzesło

obok mnie.

- Możesz użyć jednego z moich widelców, i tak mam ich o wiele za dużo.

I Dustin usiadł przy stole, być może po raz pierwszy w życiu.

Po obiedzie pomogłam mu posprzątać, potem pozmywaliśmy i postawiliśmy pod choinką szklanek mleka oraz dwa ciastka.

Dziadek poszedł do Palarni Augusta.

- Wesołych świąt, Renee. - Ścisnął moje ramię. Włożył okulary i dodał: - Gdybyś czegoś potrzebowała, będę na dole.

Tuż po północy wymknęłam się na dół w piżamie mamy. Biblioteka w Kratę znajdowała się kilka

pomieszczeń za palarnią,

między Pokojem Gier a Pokojem Czerwonym. Może to śmieszne, ale świadomość, że Dante siedzi teraz w bibliotece w akademii

i myśli o mnie, podczas gdy ja będę w bibliotece dziadka, była jedyną rzeczą, która mogła mi pomóc zapomnieć o rodzicach.

Dom był pogrążony w ciszy i ciemnościach, rozświetlała je tylko choinka, mrugając światełkami we foyer. Przeszłam na palcach

przez hol, patrząc na sypiący śnieg za oknami, który lśnił w świetle księżyca. Na ścianach wzdłuż korytarza wisiały portrety ludzi w kapeluszach i aksamitnych szalach. Miałam wrażenie, że wiodą za mną wzrokiem, gdy przechodziłam.

Gdy skręciłam za róg, usłyszałam kroki. Światło w gabinecie dziadka paliło się nadal, widać je było w szczelinie pod

drzwiami. Chociaż nie byłam w szkole, nie chciałam zostać przyłapana na włóczeniu się nocą po korytarzu. Gdy gałka w

drzwiach się przekręciła, pobiegłam do kuchni.

Korzystając z tego, że już tu byłam, postanowiłam nalać sobie mleka. Otwierałam kolejne szafki, szukając kubka. Kuchnia

lśniła w ciemności, światło księżyca odbijało się w długim granitowym blacie, w wiszących rondlach i patelniach, w nożach

przyczepionych do magnesu na ścianie. Po raz pierwszy byłam tu sama, przedtem zawsze ktoś się tu kręcił, szykował jedzenie

albo sprzątał.

W końcu otworzyłam coś, co wyglądało jak ogromna narożna szafka. Z tyłu dostrzegłam rząd kubków

wiszących na haczykach. Nachyliłam się, próbując ich dosięgnąć, ale były za daleko. Zrobiłam krok do przodu i zdjęłam kubek z

haczyka. W tym momencie zegar na korytarzu wydzwonił północ. Pchnięta przeze mnie ścianka szafki poruszyła się, złapałam

się haczyków, a ona przekręciła się i nagle znalazłam się po drugiej stronie ściany.

Dziwne pomieszczenie powitało mnie ciepłym, słonym zapachem stęchlizny. Spadzisty sufit i wąskie okna, przez które



wpadało światło księżycy, nadawały pomieszczeniu wygląd poddasza. To salon, pomyślałam. Którego nigdy przedtem nie

widziałam, a który przypominał Salon Drugi. Przypomniałam sobie, jak Dustin oprowadzał mnie po domu. Nie ma Salonu

Pierwszego, powiedział wtedy. Nie miał racji, salon był i właśnie się w nim znalazłam.

Nie było tu drzwi, za to w rogu znajdowały się schody prowadzące na wyższy poziom. Rozejrzałam się, wisiały tu wypchane

zwierzęta, szop, borsuk, znad kominka spoglądała na mnie puma naturalnej wielkości; w oszklonej serwantce przy oknach

wisiała kolekcja szpadli i dziwacznych narzędzi ogrodowych, ściany zastawione były regałami pełnymi książek.

Przyjrzałam się im, ale ani nazwiska autorów, ani tytuły nic mi nie mówiły. Ponad połowa była po łacinie, niektóre napisane

nawet łaciną archaiczną lub średniowieczną. Część z nich była bardzo stara w skórzanych oprawach, tłumaczenia z greki,

francuskiego czy włoskiego. Mogły mieć setki lat, pomyślałam, przesuwając palcami po okładkach. W pewnej chwili jeden z

tytułów przykuł moją uwagę. Pochyliłam się, żeby upewnić się, że się nie mylę. To była *Siódma medytacja* Kartezjusza.

Wyciągnęłam ją i przesunęłam dłonią po okładce, jakby należała do mnie. To była ta sama książka, o której mówiła panna

LaBarge, książka zakazana w Europie, o której istnieniu większość ludzi nawet nie wiedziała. Otworzyłam ją. Spis treści głosił:

I. O śmierci i duszy

II. O śmierci dzieci

III. *Non mortuus*

IV. O rytuałach pogrzebowych

V. O łacinie i jej wymarciu

VI. O nieśmiertelności

Wstrząśnięta, przeczytałam jeszcze raz tytuł rozdziału trzeciego: *Non mortuus*. Teczki, pomyślałam. Właśnie to widniało w

statusie Cassandry w jej oficjalnych szkolnych dokumentach. Przez ściany usłyszałam, jak zegar wydzwania wpół do pierwszej.

Rozejrzałam się po pokoju, przyciskając książkę do piersi. Musiałam się stąd jakoś wydostać. Miałam dwie opcje, wrócić przez

spizarnię albo pójść na górę. Ciekawość pchnęła mnie na pierwsze piętro.

Na górze była garderoba dziadka. Przecisnęłam się przez garnitury, wieszaki zabrzęczały, przytrzymałam je i zastygłam,

czekając, aż dziadek wpadnie do środka, odbierze mi książkę i mnie ukarze, ale nic takiego nie nastąpiło. Przeszłam ostrożnie

przez buty, łyżki do butów i pasty i wysliznęłam się do jego pokoju. Łóżko było puste, pewnie ciągle był na dole, w palarni albo

gabinecie, gdzie często pił drinka przed snem. Odetchnęłam z ulgą, wyskoczyłam na korytarz, a potem pobiegłam do

wschodniego skrzydła.

## **Siódma medytacja**

Gdy już znalazłam się w swoim pokoju, zamknęłam drzwi, zapaliłam lampkę przy łóżku i siadłam na podłodze. *Siódma*

*medytacja* była małą książką w skórzanej oprawie z nierówno przyciętymi kartkami, pożółkłymi od słońca. Na moich palcach

zostawały smugi kurzu. Otworzyłam ją, czując, jak przeszywa mnie dreszcz podniecenia; kartki były tak sztywne, że bałam się,

że wypadną, jeśli będę je przewracać zbyt szybko. Znalazłam pierwszy rozdział i zaczęłam czytać.

„I O *śmierci i duszy*

W tej medytacji zajmę się ideą zmarłych jako nie-umarłych. Niechybnie nasze instytucje rządu i sprawiedliwości wołałyby,

aby wiadomości o ciele i duszy pozostały w ukryciu, jednak zgodnie z ideą, że wiedza powinna być dostępna wszystkim

ludziom, pragnę przedstawić w niniejszej pracy mało znane fakty o życiu i śmierci”.

Przebiegłam wzrokiem dalszą część tekstu, aż natrafiłam na następujący fragment:

„Ludzie składają się z dwóch elementów, ciała i duszy. Po śmierci człowieka ciało umiera, zaś jego dusza doznaje

oczyszczenia i odradza się w nowym człowieku. To właśnie dlatego doświadczamy déjà vu, to dlatego jakiś człowiek może

przypominać kogoś, kto zmarł kilkadziesiąt lat wcześniej”.

Tekst był przerywany rysunkami i schematami. Ciało człowieka, przekrój głowy z homunkulusem w środku, który miał

pewnie symbolizować duszę. Przeszłam do następnego rozdziału.

„II *O śmierci dzieci*

Sprawa dzieci jest szczególnie niepokojąca. Wszyscy dorośli podlegają procesom opisanym w pierwszej części niniejszej

rozprawy. Jest jednak jeden wyjątek. Gdy dziecko umrze, jego dusza opuszcza ciało, jednak wbrew całej naszej wiedzy o

procesach życia i śmierci dziecko nie umiera. Jego ciało pozostaje w uśpieniu przez dziewięć dni. Dziesiątego dnia dziecko

budzi się do życia, już bez duszy, i zaczyna wędrować po świecie w jej poszukiwaniu. Moim zdaniem, w taki właśnie sposób

natura daje przedwcześnie zmarłym dzieciom drugą szansę. Nazywamy je *non mortuus* albo nieumarłymi”.

*Non mortuus*. Właśnie to sformułowanie było w danych Cassandry! Czy to znaczy, że była nieumarłą? Przebiegłam wzrokiem

tekst. Pod teksem były rysunki dzieci leżących na polu. Wyglądały, jakby spały, ale po tym, co przeczytałam, wiedziałam, że są

martwe. Jak do tej pory brzmiało to sensownie. Gdy dzieci umierają, ich dusza przechodzi do nowego ciała, a one ponownie

budzą się do życia. Przekartkowałam do następnego rozdziału.

„III *Non mortuus*

Nieumarli nie mają duszy. Nie mogą zostać zabici, albowiem już są martwi. Fizycznie na zawsze pozostają dziećmi. I choć

wydają się niegroźni, to lepiej uważać.

Nieumarli nie mają ludzkich odruchów. Nie jedzą, nie śpią, nie czują. Z czasem ich ciała zaczynają obumierać, dlatego stale

szukają sposobów konserwacji, zanim umrą ostatecznie i powrócą do ziemi.

U nieumarłych zaobserwowano te same cechy co u innych martwych istot. Skóra jest zimna w dotyku, kończyny sztywne,

oddech pozbawiony ciepła. Przy tym dysponują zadziwiającą zdolnością samoleczenia, ich rany goją się natychmiast.

Nieumarli posługują się płynnie łaciną. Nie ulegają doznaniom zmysłowym i emocjom. Zaobserwowano również, że stają się

doskonalszymi wersjami samych siebie. Są silniejsi, niż byli za życia, bardziej inteligentni, piękniejsi".

Serce zabiło mi szybciej, jeszcze raz przeczytałam ten fragment. Nie myślałam już o Cassandrze czy Benjaminie. Skóra zimna

w dotyku. Sztywność kończyn. Oddech pozbawiony ciepła. Płynne posługiwanie się łaciną.

Wpatrywałam się w słowa, usiłując znaleźć jakieś inne wytłumaczenie. Ale wszystko pasowało jak ulał. Zimna skóra i zimny

oddech, rany gojące się w mgnieniu oka. A więc nie miałam halucynacji i to wszystko była prawda! To dlatego nigdy nie marzył,

nie przychodził do stołówki, nie spał. Bo nie był człowiekiem. Był martwy! Ale czy to znaczy, że był nieumarłym? W mojej

głowie pojawiły się wizerunki wampirów i zombie, pozbawionych umysłu żywych trupów kręcących się jak w transie. Ale

Dante nie był przecież żadnym z nich. A może był?

„Wiodą smutne życie. Nieumarli mają tylko jeden cel -znaleźć i odzyskać swą utraconą duszę. Mają na to dwadzieścia jeden

lat, ta liczba stanowi granicę. Jeśli w tym czasie nie odnajdą swej duszy, ich ciało zacznie obumierać, aż do całkowitego

rozkładu, który przebiega w bólu i męczarniach. Ale gdy znajdą tego, kto posiada ich duszę, mogą ją odzyskać, całując w usta

owego nieszczęśnika. Akt ten nosi nazwę *basium mortis*. Po odzyskaniu swej duszy nieumarły znów staje się człowiekiem i

zaczyna żyć zwykłym życiem, zaś poprzedni właściciel umiera na atak serca, a jego twarz po śmierci wygląda staro".

Ostatnie zdanie przeczytałam jeszcze raz. To pasowało do moich rodziców. . I do Benjaminą Gallowa. I prawdopodobnie do

tych wszystkich ludzi, którzy zmarli na atak serca w Akademii Gottfrieda. To była ta klątwa. Nieumarli.

„To właśnie *basium mortis* czyni nieumarłych tak niebezpiecznymi. Potrafią odebrać innym dusze, które do nich nie należą. To

oddala proces rozkładu, ale kończy się śmiercią osoby, której odebrano duszę. Największy problem polega na tym, że nie

jesteśmy w stanie odróżnić żywych od nieumarłych. Dlatego ludzie skazani są na łaskę i niełaskę tych istot, których nie sposób

zabić..."

*Basium mortis*. Przyczyna śmierci Benjaminą... A więc umarł, bo ktoś odebrał mu duszę? Przewróciłam kartkę i zobaczyłam

przerazające rysunki. Dzieci wysysające duszę z innych dzieci. Miały głodny, zwierzęcy wyraz twarzy, wyglądały jak dzikie

bestie. Dziwne, pomyślałam, mimo wszystko wygląda to jak pocałunek. Ta myśl uderzyła mnie jak obuchem, usiadłam prosto i

krzyknęłam cicho. Pocałunek! To dlatego Dante nie chciał mnie pocałować w usta! Ponieważ jego pocałunek mógłby mnie zabić!

„IV O *rytuałach pogrzebowych* Starożytne cywilizacje znalazły sposób, aby zapobiec pojawianiu się nieumarłych. Do tej pory ciała

zmarłych nie były chowane, po prostu oddawano je naturze, a więc działo się z nimi to, co dzieje się po śmierci ze wszystkimi

żywymi istotami. Egipcjanie jako pierwsi odkryli, że mumifikacja i umieszczenie ciał w piramidach zapobiega powrotowi

nieumarłych.

Dużo później ludzie doszli do wniosku, że są trzy rzeczy, które prowadzą do ostatecznej ich zagłady:

ogień, złota proporcja i

podziemia. Od tego czasu każde społeczeństwo miało własne sposoby niedopuszczenia do powstania nieumarłych: poprzez

ogień - kremacja i stosy pogrzebowe, poprzez złotą proporcję - trumny i piramidy, a także poprzez podziemia - pochówek i

katakumby. Każdy z tych rytuałów został stworzony z jednego tylko powodu - aby pochować dzieci po ich śmierci.

Mijały wieki i ceremonie pogrzebowe tak zakorzeniły się w społeczeństwie, że ludzie zapomnieli, dlaczego je wprowadzono.

Z biegiem czasu już wszystkich zmarłych, nie tylko dzieci, ale i dorosłych, chowano lub kremowano, i nikt już nie pamiętał,

skąd się to wszystko wzięło. Zapomniano też, że dzieci mogą powstawać z martwych".

Słowa zaczęły się rozmazywać, kiedy łzy napłynęły mi do oczu. Podniosłam trzęsącą się rękę i wytarłam je wierzchem dłoni.

W mojej głowie pojawiła się wizja nieżyjącego Dantego leżącego na ziemi; wpatrywałam się w rysunki w książce, nie mogąc

oderwać od nich wzroku. Kartezjusz zilustrował wszystkie wymienione ceremonie pogrzebowe, umieszczając obok nich

komentarze. Na jednym rysunku widniała sześcioboczna trumna, z uwagami, że musi być zrobiona z twardego drewna, że

wieko należy przybić gwoździami i że należy złożyć ją co najmniej półtora metra pod ziemią. To dlatego Dante nie chciał zejść

do tunelu! To nie była trauma z dzieciństwa... chociaż, jeśli potraktować śmierć jako traumę... Nie schodził pod ziemię, bo nie

mógł, bo wtedy by umarł!

Przewróciłam kilka kartek, oglądając diagramy i zasady budowania piramid, mumifikacji i balsamowania. Na marginesach

były wskazówki, jakiej gazy należy użyć, w jaką liczbę powłok mumia musi zostać zawinięta, a także projekt labiryntu w

piramidzie i jej przekrój. Pamiętałam to wszystko z lekcji historii, profesor Bliss miał hysia na tym punkcie, choć nigdy nie zastanawiałam się nad przyczyną.

Na następnym rysunku zmarły z monetami na oczach leżał na stosie pogrzebowym. Użycie monet, jak objaśniał Kartezjusz,

było wynalazkiem Greków, dawali je swoim zmarłym, aby mogli zapłacić Charonowi, by przewiózł ich przez Styks do Hadesu,

królestwa zmarłych. Poniżej był rysunek dziecka z materiałem wciśniętym w usta. Wpatrywałam się w niego, nie wierząc

własnym oczom. Moi rodzice nie mogli być nieumarłymi, przecież byli dorośli! To dlaczego umarli w taki sposób? Co ich

śmierć miała wspólnego z tym wszystkim?

*„V O łacinie i jej wymarciu*

Łacina to język, którym posługują się nieumarli. W starożytności, przed założeniem Imperium Rzymskiego i wynalezieniem

rytuałów pogrzebowych, łaciną posługiwały się wyłącznie dzieci. Był to jedyny sposób odróżnienia nieumarłych od żywych.

Jak głosi mitologia rzymska, Rzym został założony przez dwóch braci Romulusa i Remusa. Choć mit ten jest powszechnie

znany, większość ludzi nie ma pojęcia, że Romulus i Remus byli nieumarłymi, dziećmi, które utonęły w rzece Tybr.

Przed założeniem Rzymu wiedza o istnieniu nie-umarłych nie była zbyt rozpowszechniona. Romulus i Remus zyskali

stronników, wykazując się nadnaturalnymi zdolnościami na forum publicznym. Ludzie, wstrząśnięci ich nadludzką zdolnością

samoleczenia, niewrażliwością na śmiertelne ciosy i umiejętnościami retorycznymi, wierzyli, że zostali oni zesłani przez bogów

do założenia ich miasta.

Jakiś czas potem Romulus i Remus pokłócili się o to, który ma być królem, i Romulus zgładził brata, grzebiąc go żywcem. Jako

pierwszy władca Rzymu Romulus uczynił łacinę językiem urzędowym. Mieli się jej uczyć nie tylko dzieci, ale również dorośli z

wyższych sfer zaangażowani w sprawy państwowe.

Ostatecznie łacinę zaadaptowali kapłani. Ponieważ była naturalnym językiem nieumarłych, uważali, że jest to język bogów.

W międzyczasie Romulus usiłował znaleźć swą utraconą duszę. Ponieważ obawiał się, że inny nieumarły mógłby go ubiec,

wprowadził rytuały pogrzebowe, aby pozbyć się rywala".

Ominięłam historię łaciny na przestrzeni wieków

I zatrzymałam się na tym fragmencie, w którym była mowa o jej wymarciu.

„Wraz z rozprzestrzenianiem się protestantyzmu i reformą Kościoła katolickiego, łacinę zaczęły powoli wypierać języki

romańskie. Ludzie zapomnieli o nie-umarłych i, co za tym idzie, o początkach łaciny. Należy przy tym pamiętać, że język

umiera dopiero wtedy, gdy wymierają posługujący się nim ludzie".

Romulus i Remus. Gdy zobaczyłam te imiona w tekście, moim pierwszym skojarzeniem były koty, syjamskie koty, kręcące się

po gabinecie dyrektorki. To nie mógł być przypadek! Resztę pamiętałam niejasno z lekcji łaciny, chociaż wtedy nie słuchałam na

tyle uważnie, by zrozumieć, co profesor Lumbar miała na myśli. Jednak teraz nie łacina była dla mnie najważniejsza.

Cassandra była nieumarłą. Benjaminowi odebrano duszę, a potem Cassandra została pogrzebana. Administracja szkoły

wiedziała o tym i ukrywała to. Dlaczego?

I był jeszcze Dante. Mój Dante. Nieumarły Dante. Powoli wszystko zaczynało nabierać sensu. Szukałam w pamięci: seans,

skaleczenie kartką papieru, jak się czułam, gdy mnie dotykał.

Był na polanie tamtej nocy po seansie, ponieważ przypadkiem go wywołałam. Nie mógł wejść do tunelu razem ze mną. Jego

łacina była perfekcyjna, choć mówił, że nie uczył się jej przed przyjazdem do akademii. Pomyślałam o tym, co profesor Lumbar

napisała na tablicy pierwszego dnia: *Łacina, język umarłych*. „Po prostu obudziłem się pewnego ranka i zadziało", powiedział



wtedy Dante. Czyli idąc tym tropem, reszta klubu łacińskiego - Gideon, Vivian, Yago - również musieli być nieumarłymi.

Jego skóra zawsze była zimna. Nie używał kołdry i rzadko nosił kurtkę, tylko wtedy, gdy myślał, że mogą jej potrzebować.

Otwierał okno w pokoju nawet zimą i wydawał się nie zwracać uwagi na pogodę.

Nigdy nie spał. Rzadko przychodził do stołówki. Nie chciał mnie pocałować w usta. A gdy mnie dotykał, świat się

rozmywał, dźwięki, zapachy, smaki zlewały się, tworząc chaos. Może czułam, że słabnę, bo w jakiś sposób wysysał wszelkie

odczucia z mojego ciała?

Ale jeśli uznam, że mój chłopak jest martwy, to co to będzie oznaczać? Czy to samo czuli wszyscy, którzy

znalezli się obok niego? Zrobiło mi się niedobrze. Przerzuciłam kilka stron, słowa i rysunki zlały się w jedno. Zamknęłam

książkę, nie mogłam dłużej czytać. Powlokłam się do łóżka na czworakach, położyłam się i patrząc w sufit, aż do wschodu

słońca myślałam o życiu i śmierci, i tym wszystkim, co jest pomiędzy nimi.

W bożonarodzeniowy poranek do moich drzwi zapukał Dustin.

- Panienko Winters - powiedział pogodnie. - Śniadanie!

Nie poruszyłam się. Moi rodzice nie żyli. Mój chłopak był martwy. Mój dziadek miał tajemniczy pokój, w którym trzymał

książki o nieumarłych. A ja czułabym się jak chodzący trup, gdybym teraz spróbowała wstać.

- Nie czuję się najlepiej - jęknęłam i przekręciłam się na drugi bok.

- Panienko Winters! - Dustin zapukał znowu. - Czy panienka dobrze się czuje?

- Nie. Proszę, odejdz.

Postać jeszcze kilka sekund, w końcu usłyszałam stłumiony dźwięk kroków, gdy schodził. Po chwili znowu rozległo się

pukanie, ale tym razem nikt nie czekał na moją odpowiedź. Do pokoju wszedł dziadek.

- Dustin powiedział mi, że nie czujesz się dobrze. -Podszedł ostrożnie do mojego łóżka i postawił szklankę na szafce nocnej. -

Przyniosłem ci sok.

- Proszę, odejdz - poprosiłam drżącym głosem. Zapanowała długa cisza. Usłyszałam, jak dziadek schyla się i podnosi *Siódmą medytację*, którą bezmyślnie zostawiłam na szafce.

Usiadł na brzegu łóżka i położył dłoń na kołdrze, tam gdzie była moja stopa. Pachniał cygarami i skórą.

- Nie ma powodu bać się śmierci.

- Nie śmierci się boję.

- Czego w takim razie?

- Życia - szepnęłam. Myśl o życiu bez rodziców była trudna do zniesienia i jedyną osobą, dla której czułam, że warto żyć,

był Dante. A teraz, gdy dowiedziałam się, że i on jest martwy, już nic mi nie pozostało.

- Przyznaję, Renee, że nie byłam wobec ciebie szczery - odezwał się łagodnie. - Jeśli ubierzesz się i zejdziesz na dół, wyjaśnię

ci wszystko przy śniadaniu.

Zamrugałam, powstrzymując łzy. Poczekał chwilę, ale nie odpowiedziałam, wtedy wstał; usłyszałam, jak zamykają się za

nim drzwi.

Zmusiłam się do wstania z łóżka i ubrania. Ochlapałam twarz wodą i ściągnęłam włosy w koński ogon. Odbicie w lustrze

przeraziło mnie: zapuchnięte, podkrążone oczy, zapadnięte policzki.

- Czy to prawda? - zapytałam, siadając do stołu.

Dziadek spojrzał na mnie znad swojej kawy i gazety. Na dworze był słoneczny śnieżny dzień, cały świat biały i szczęśliwy,

jakby natura postanowiła się nade mną zniecać. Pod choinką leżała sterta prezentów.

- Czy to prawda, że moi rodzice zostali zamordowani przez nieumarłych?

Dziadek odsunął gazetę i spojrzał na Dustina, który wyszedł do kuchni.

- Tak.

Na przeciwległej ścianie wisiał portret Karola Wielkiego w dumnej pozie nad zabitym dzikiem. Patrzyłam na niego w

milczeniu, wyobrażając sobie ostatnie chwile życia moich rodziców. Gaza i monety, których nadal nie potrafiłam zrozumieć. I

pozbawione twarzy dziecko, dzikie i bestialskie, wysysające życie z ich ciał. Zamknęłam oczy, gdy twarz tego dziecka stała się

twarzą !

Dantego. Czy on też zabijał? Czy odbierał życie niewinnym ludziom?

- Kto to zrobił? - spytałam, czując, jak rośnie we i mnie złość.

Dziadek złożył ręce i pokręcił głową.

- Próbowałam się tego dowiedzieć każdego dnia od chwili ich śmierci, ale niestety, niczego nie odkryłam. Niełatwo

wyśledzić nieumarłych, szczególnie gdy jest to przypadkowy akt przemocy, a tak według mnie było w przypadku twoich

rodziców.

Przypadkowy akt przemocy? To niemożliwe. Musiało być jakieś inne wyjaśnienie!

- A co z Benjaminem Gallowem? Jego śmierci towarzyszyły niemal te same okoliczności!

- No właśnie. On również został zamordowany przez nieumarłego. To się zdarza częściej, niż mogłoby się wydawać. Jak

myślisz, dlaczego Akademia Gottfrieda w ogóle powstała?

- Czyli... czyli wszystko, co napisano w tej książce, to prawda?

- Większość. Reszta to mity i przypuszczenia.

- Nieumarli. - Usiłowałam przyzwycząć się do tej myśli. - Kim oni właściwie są?

- To dzieci, które zmarły i nie zostały pochowane.

- Jak zombie?

- Popularny opis zombie nie oddaje całej prawdy. Nieumarli mają sprawnie funkcjonujący mózg i potrafią samodzielnie

myśleć. Rzecz w tym, że nie posiadają duszy, co oznacza, że są niezdolni do odczuwania. Widzą i słyszą, ale nie potrafią

odczuć piękna obrazów czy dźwięków.

- Jesteś pewien? - Przecież Dante czuł coś, gdy był blisko mnie, mówił o tym tamtej nocy po Dniu Wyżerki..

- Oczywiście. To jedna z głównych cech nieumarłych.

- Nawet jeśli znajdą się obok żyjących?

- Nawet wtedy. Zawahałam się.

- A więc każdy może zostać nieumarłym?

- Jedynie ci, którzy umarli przed dwudziestym pierwszym rokiem życia. Ty, na przykład, mogłabyś zostać nieumarłą,

gdybyś teraz zmarła i nie została pochowana, skremowana czy zmumifikowana.

- I wtedy moja dusza trafiłaby do kogoś innego?

- Do dziecka, które narodziłoby się w dniu twojej śmierci.

- A potem żyłabym bez duszy przez dwadzieścia jeden lat i umarłabym ponownie?

- Tak, jeśli tylko nie zostałabyś wcześniej pochowana. Istnieje mit, który mówi, że jeśli jakimś cudem uda ci się znaleźć osobę,

która ma twoją duszę, możesz ją odzyskać poprzez *basium mortis*, wessanie duszy do swojego ciała. Wówczas znów będziesz

żyła najzupełniej normalnym życiem.

Wyobraziłam sobie, jak Dante odbiera komuś swoją duszę, ale szybko odpędziłam tę wizję.

- Dlaczego to jest mit?

- Ponieważ odnalezienie własnej duszy jest niemożliwością. Zastanów się, ilu ludzi umiera i rodzi się każdego dnia na całym

świecie? Nie odnotowano ani jednego przypadku odnalezienia i odzyskania własnej duszy przez nieumarłego. Człowiek nie

może przechytrzyć śmierci.

- To czemu ludzie myślą, że to możliwe?

- Ponieważ nieumarły może odebrać duszę, która do niego nie należy. To odwleka proces rozkładu, wydłużają jego istnienie o

kilka lat.

- A człowiek, któremu odebrano duszę, umiera? Dziadek skinął głową.

- Albo, jeśli nie zostanie pochowany, i jeśli ma mniej niż dwadzieścia jeden lat, może stać się nieumarłym.

- A czy nie może po prostu odebrać swojej duszy temu nieumarłemu, który wcześniej mu ją zabrał? I

- Nie, ponieważ odebrana dusza nie pozostaje w nieumarłym, który dokonał *basium mortis*, no, chyba i że byłaby to jego

dusza, lecz opuszcza nieumarłego, by trafić do nowo narodzonego dziecka.

Dustin przyniósł talerz z gotowanymi jajkami i polędwicą.

- Czyli Akademia Gottfrieda jest szkołą dla zombie tak?

- Dla nieumarłych - poprawił dziadek. - Nie, a w każdym razie nie tylko. Choć w jakimś momencie i rzeczywiście

uczęszczali tam wyłącznie nieumarli.

Czekałam na to, co powie dalej. Odchrząknął.

- Została stworzona w celu nauczania nieumarłych tego, kim są. Jak powszechnie wiadomo, doktor Bertrand Gottfried

otworzył początkowo szpital dla dzieci, jednak mało kto wie, że był to szpital dla martwych dzieci. Gottfried całe lata

poświęcił studiowaniu egzystencji nieumarłych i w końcu postanowił otworzyć szpital, aby móc je badać. Chciał się

dowiedzieć, czym dzieci różnią się od dorosłych, dlaczego tylko one stają się nieumarłymi. Attica Falls wybrał ze względu

na gęszą, wysokość położenia i klimat. W wieku dwudziestu jeden lat, „nieumarłych lat”, jak niektórzy je nazywają,

nieumarli zaczynają się rozkładać. Niska temperatura może zahamować ten proces, podobny efekt daje lodówka.

Ostatnim powodem założenia szpitala w tym właśnie miejscu było jezioro. Sól jest konserwantem,

dlatego każdy pacjent

co rano brał kąpiel w jeziorze. Jak już zapewne wiesz, niedługo po otwarciu szpitala wybuchła epidemia świnki i odry,

która odebrała życie ponad setce dzieci. Oczywiście, to nie choroby były prawdziwą przyczyną śmierci, wielu pacjentów

Bertranda po prostu „dożywało” granicznego wieku dwudziestu jeden lat. Gottfried odkrył wiele sposobów przedłużenia

„życia” nieumarłym, nie potrafił jednak powstrzymać rozkładu. Większość dzieci nie miała rodziców czy krewnych, więc

nikt się tym nie interesował. - Dziadek wysunął rękę z kawą, Dustin natychmiast podszedł do stołu i wsypał do filiżanki

łyżeczkę cukru. - Gdy wszystkie dzieci odeszły, Bertrand stanął przed problemem pozbycia się ich ciała. Jednak zamiast

pogrzebać je w osobnych grobach, wykopał podziemia. Miały one służyć również innemu celowi: gdyby chciał na zawsze

pogrzebać jakiegoś nieumarłego, mógł go umieścić w katakumbach. Pamiętaj, że pochowanie nieumarłego powoduje, że

nieodwracalnie umiera. Niestety, Bertrand Gottfried zmarł niedługo po otwarciu swojego szpitala. Jego ciało znaleziono w

jeziorze. Podejrzewano utonięcie, ale oczywiście prawda była inna, jeden z jego pacjentów odebrał mu duszę.

Po jego śmierci trzy pracujące z nim pielęgniarki zamknęły podwoje szpitala, zatrzymując przebywających tam pacjentów. W

czasie porządkowania gabinetu zmarłego doktora, odkryły setki notatek i dziennik, w którym udokumentował swoje odkrycia.

Jego spostrzeżenia miały fundamentalne znaczenie dla naszej obecnej wiedzy o nieumarłych i ich funkcjonowaniu. Jak się

okazało, Gottfried planował przekształcić szpital w szkołę dla nie-umarłych. Pielęgniarki zrealizowały jego pomysł i w budynku

szpitala otworzyły Akademię Gottfrieda. Celem szkoły było nauczenie nieumarłych jak żyć, nie szukając swojej duszy i nie

odbierając duszy innym.

Początkowo do szkoły przyjmowano wyłącznie nie-umarłych. Pielęgniarki pragnęły dać im nie tylko wykształcenie, ale

również wiedzę na temat ich szczególnej sytuacji. Wiele nieumarłych dzieci nie zdawało sobie sprawy z tego, że nie żyją, i

przechodziły kryzys.

- To znaczy?

- Wyobraź sobie, że budzisz się pewnego ranka i wszystko jest niby takie samo, a jednak inne. Nie smakuje ci jedzenie, nie

możesz spać. Czujesz, widzisz, słyszysz inaczej niż do tej pory, a wewnątrz ciebie jest pustka.

- Tak się czułam, gdy zmarli moi rodzice - odszep-nęłam.

Dziadek skinął głową.

- To się może przytrafić każdemu. W przypadku żywych ludzi ma to wymiar bardziej psychologiczny niż fizyczny. Oto

prawdziwa klątwa Gottfrieda, przeznaczenie, któremu muszą stawić czoło nieumarli. Jeśli nie są świadomi tego, co się z nimi

dzieje, mogą być bardzo niebezpieczni. Wyobraź sobie, że nieumarła dziewczyna próbuje pocałować swojego chłopaka. Może

przypadkiem odebrać mu duszę i go zabić.

To właśnie dlatego Dante nie chciał mnie pocałować, pomyślałam.

- Wraz z postępem medycznym i technologicznym, nieumarli stali się rzadkością. Coraz mniej dzieci umiera, znakomita

większość zostaje pochowana. Z tego względu szkoła musiała zacząć przyjmować dzieci żyjące. Akademia potrzebowała

pieniędzy, więc przyjmowała uczniów, których nazywaliśmy plebejuszami, aby zagwarantować istnienie szkoły.

Plebejusz. Widziałam to słowo w dokumentach Benjamina.

- Ale czy to nie było niebezpieczne?

- Początkowo rzeczywiście było. Dochodziło do wypadków śmiertelnych. Szkołę otwierano i zamykano, towarzyszyły temu

skandale maskowane przez profesorów, zrzucano winę na klęski żywiołowe czy epidemie. Sytuacja uspokoiła się dopiero

wtedy, gdy nastał nowy dyrektor. Zrewolucjonizował szkołę, przeszkolił nauczycieli w kwestii samoobrony i rytuałów

pogrzebowych, opracował bardziej proaktywny program nauczania i wprowadził surowe zasady i regulacje, znane obecnie pod

nazwą *Regulaminu Akademii Gottfrieda*. Wszystkie te zasady miały na celu zapewnienie bezpieczeństwa uczniom. Na przykład

zakaz romantycznych związków miał zapobiec przypadkowemu *basium mortis*.

- A jednak niebezpieczeństwo nadal istnieje.

- Podobnie jak istnieje ogromne prawdopodobieństwo natknięcia się na nieumarłych w każdej szkole w kraju. Wierz mi, że

plebejusze są znacznie bezpieczniejsi w akademii, gdzie uczą przeszkoleni profesorowie i panują surowe zasady. Ponadto,

jedynym sposobem powstrzymania nieumarłych przed zabijaniem jest skonfrontowanie ich z żyjącymi. Wówczas uczą się

szanować innych, zawierają przyjaźnie. Jest znacznie mniejsze prawdopodobieństwo, że odbiorą życie przyjacielowi niż

obcemu.

Gapiałam się na jedzenie stygnące na moim talerzu i myślałam o Dantem. Ciągle nie docierało do mnie, że on jest martwy.

- Jednym z ostatnich środków bezpieczeństwa podjętych przez szkołę było wydrążenie tuneli przebiega-

jących przez katakumby Bertranda Gottfrieda. Jak już wiesz, nieumarli nie mogą schodzić pod ziemię. Gdyby

doszło do

ataku, profesorowie skierują plebejuszy do tuneli, gdzie ci będą bezpieczni. To znaczy, że wszyscy profesorowi wiedzą o...o...



nieumarłych? - Ciągle miałam problem z wymówieniem tego słowa, jakby wypowiedzianie go na głos czyniło go bardziej

realnym.

- Tak.

- A pleb... pleb...

- Plebejusze.

- Właśnie, a plebejusze wiedzą o nieumarłych?

- Zgodnie z wieloletnią polityką akademii nie informuje się ich o istnieniu nieumarłych. Obawiano się, że

mogłoby to doprowadzić do segregacji i dyskryminacji. Zajęcia adresowane są do wszystkich uczniów, nie tylko do

nieumarłych.

- Ale nieumarli potrafią dostrzec różnicę między nieumarłymi a żywymi? - zapytałam, myśląc o Cassandrze i Benjaminie.

Czy ona wiedziała, że Benjamin jest

plebejuszem?

- Oczywiście. Przecież niegdyś żyli, więc potrafią rozpoznać zmiany, jakie zachodzą po „zmartwychwstaniu”,

ponieważ sami tego doświadczyli. Są również specjalne zajęcia, na których uczy się ich tego, kim są i jak wygląda ich

egzystencja.

Zaawansowana łacina, pomyślałam.

- A co najważniejsze, życie ich przyciąga. Zapewne jest to jedyne uczucie, jakiego doświadczają, jeśli można to tak

nazwać. Bez wątplenia wiedzą, kto jest żywy, a kto jest nieumarły.

- Czy Akademia Gottfrieda jest jedyną szkołą na świecie, która wie o nieumarłych? Nikt inny nie wie?

- Są również inne szkoły. Akademia jest jedną z trzech siostrzanych uczelni, każda z nich została

założona przez jedną z

trzech pielęgniarek współpracujących z Bertrandem. Większość nieumarłych została uznana za zaginionych, nie zmarłych,

ponieważ nie odnaleziono ich ciał. Gdy zmartwychwstają i wracają do domu, ich bliscy zwykle nie są świadomi tego, że nie żyją. Jeśli będąc w akademii, nadal mają kontakt ze swoimi rodzinami, mogą ich o tym poinformować, choć na ogół wolą

zachować to w tajemnicy.

- Ale dlaczego? Dlaczego to jest taka wielka tajemnica? Czemu nie powiedzieć o tym policji albo rządowi?

Dziadek się roześmiał.

- I co chciałabyś im powiedzieć? Wyobraź sobie, że próbujesz opowiedzieć komuś o nieumarłych. Pomyśleliby, że

zwariowałaś.

Miał rację.

- A nawet gdyby ci uwierzono... Wcale nie tak łatwo odróżnić nieumarłych od żywych. Wyobrażasz sobie, jakie

spustoszenie poczyniłaby policja, gdyby zaczęła na oślep aresztować dzieci? Gdyby świat dowiedział się o nieumarłych,

rozpętałoby się największe polowanie na czarownice w dziejach ludzkości.

- Skąd ta pewność? Przecież przed wiekami ludzie wiedzieli o istnieniu nieumarłych, prawda? Właśnie dlatego stworzyli te

wszystkie ceremonie pogrzebowe, potem po prostu zapomnieli, po co je wprowadzono.

- Dyskryminacja zawsze istniała, najlepszym tego dowodem są właśnie owe rytuały pogrzebowe. Romulus zabił własnego

brata, a potem większość nieumarłych dzieci w Rzymie, ze strachu! Społeczeństwa zawsze

dążyły do eksterminacji nieumarłych. Gorzej! Pomyśl o krucjacie dziecięcej, o wojnie o niepodległość, gdy zmuszono

nieumarłych do walki! Nie zabije ich kula czy bagnet, umierają dopiero wtedy, gdy ich ciała zostaną zniszczone: wysadzone w

powietrze albo spalone. I niestety, wiele z nich zginęło w taki właśnie sposób.

- No to dlaczego wysłałeś mnie do akademii? Jestem tylko plebejuską, co to wszystko ma ze mną wspólnego?

Dziadek przyglądał mi się badawczo.

- Wysłałem cię tam, ponieważ to wspaniała szkoła. I bezpieczna. Nieumarli są wszędzie, a w akademii profesorowie wiedzą

o ich istnieniu i zostali specjalnie przeszkoleni. Prócz tego chciałem, żebyś poznała prawdę o świecie. Nie jesteś zadowolona, że

teraz już wiesz?

Pokręciłam głową.

- Nie wiem. Chyba tak. I nie.

Pewnie, że chciałam znać prawdę, problem polegał tylko na tym, że nie wiedziałam, czy chcę ją zaakceptować.

Tego wieczoru zeszłam na dół i zapukałam do pokoju Dustina. Drzwi otworzyły się zniecka.

- Panienska Winters - powiedział ciepło. - Mogła panienska użyć dzwonka, nie trzeba było do mnie schodzić.

Wzruszyłam ramionami.

- To żaden problem. Poza tym nie lubię używać dzwoneków.

- Czym mogę służyć?

- Zastanawiałam się, czy jest gdzieś w okolicy wypożyczalnia wideo?

- Jest jedna, dwadzieścia minut stąd. Życzy sobie panienska, żeby ją tam zawieźć?

- Poproszę.

Jechaliśmy bocznymi drogami Massachusetts, dopóki nie dotarliśmy do niewielkiego, obskurnego centrum handlowego, w

którym były sklep spożywczy, monopolowy, fryzjer, lodziarnia i miejsce, które nosiło nazwę King's Video.

Niezgrabny nastolatek za ladą łypnął na nas okiem, gdy wchodziliśmy. Poszłam od razu do działu z horrorami na tyłach.

Zgarnęłam z półek kilkanaście filmów o nieumarłych. *Świt żywych trupów*, *Żywe trupy*, *Białe zombie*, *Noc żywych trupów* i

mnóstwo innych. Zniosłam do lady, Dustin siedł za mną, niosąc resztę. Chłopak za ladą uśmiechnął się, miał krzywe zęby i

nosił aparat.

- Fanka zombie? - zapytał, wykrzywiając usta w jeszcze szerszym uśmiechu. - O, to jest świetne. Klasyka. - Trzymał w ręku

płytę, na okładce była jakaś kreatura przypominająca ghula.

- Aha. - Kiwnęłam głową.

- Wypożyczamy na siedem dni - dodał, podliczając rachunek.

- W porządku - odezwał się Dustin z tyłu. Wzięliśmy torby i wyszliśmy.

Dustin zainstalował odtwarzacz DVD w Pokoju Czerwonym. Wyciągnęłam na chybił trafił jeden film ze stosu. Na ekranie

pojawił się nieumarli - wstający z grobów, cmentarze opanowane przez chwiejące się ciała, zombie, które ścigają kobiety.

Ludzie uwięzieni w samochodach, obleżonych przez nieumarłych. Na twarz każdego zombie nakładałam rysy Dantego, usiłując

oswoić się z tym, kim jest.

Nie wyszłam z Pokoju Czerwonego przez parę dni. Oglądałam jeden film za drugim, zasypiałam i budziłam

się przy niebieskawym świetle ekranu. Dustin zostawiał talerze z jedzeniem pod drzwiami, ale niewiele jadłam. Kilka razy

dziennie zaglądał dziadek, żeby sprawdzić, co się ze mną dzieje, pochylał się niezręcznie nad kanapą, a potem wychodził.

Siedziałam murem w pokoju, wychodząc tylko do łazienki po szklankę wody. Dom skrzypiał i wzdychał, gdy wiatr uderzał w

okna, dni były ponure. Nie mogłam spać ani jeść. Dante dzwonił co wieczór, ale nie byłam gotowa na rozmowę z nim.

„Powiedz, że jestem zajęta”, mówiłam Dustinowi, gdy stawał w uchylonych drzwiach, niczym promyk światła w ciemności,

trzymając srebrną tacę z karteczką. Nie mogłam z nim rozmawiać. Dlaczego mi nie powiedział? Jak miałam z nim teraz

rozmawiać? „Cześć, wiem, że jesteś żywym trupem i że w głębi ducha pragniesz mnie zabić. Jak leci?”

Najgorsze były noce. Dzwoniłam do Annie, ale nie mogłam opowiedzieć jej o Danem. Dlatego opowiadałam o rezydencji i

Eleanor, a ona - o moich starych przyjaciółach, którzy byli dla mnie coraz bardziej obcy. Rodzice nie żyli, Annie przebywała w

Kalifornii, Dante był nieumarłym - czułam się tak straszliwie samotna, że czasem myślałam, że dłużej tego nie wytrzymam.

Zdradzona i wykorzystana. Teraz, gdy już wiedziałam, kim był Dante, nie rozumiałam, jak mogłam tego wcześniej nie

zauważyć. Tak bardzo chciałam wierzyć, że jest chłopakiem moich marzeń, zbyt idealnym, by istnieć. No więc właśnie, nie

istniał. A w każdym razie, nie do końca. Nie mogłam zmrużyć oka aż do świtu, leżałam skulona na kanapie i wpatrywałam się

w ciemność, dopóki splakana nie zapadałam w nerwowy sen.

## Martwy las

Piątego dnia obudziło mnie stukanie do drzwi. Otworzyłam oczy, na ekranie przede mną migotał telewizor. Zanim zdążyłam

odpowiedzieć, w drzwiach stanął Dustin ze strzelbą w ręku. Zmrużyłam oczy, gdy do pokoju wpadły promienie słońca.

- Panienko Winters - powiedział. - Zastanawiałem się, czy nie zechciałaby mi panienka towarzyszyć w czasie polowania na

dziką zwierzynę?

Przetarłam oczy, oderwałam wzrok od ekranu i popatrzyłam na strzelbę. Widok był niezwykły, ale po obejrzeniu niemal stu

godzin horrorów nawet się nie zdziwiłam. Zwlekłam się z kanapy i odparłam:

- Dobrze.

- Renee! - dziadek najwyraźniej ucieszył się, że widzi mnie przy śniadaniu. - Jak się czujesz?

- Bywało lepiej.

- Słyszałem, że jakiś chłopiec do ciebie dzwonił -rzucił znad gazety.

Wzruszyłam ramionami, usiłując przyklepać włosy, które musiały wyglądać jak ptasie gniazdo.

- Opowiedz mi o nim.

- To nikt ważny.

Dziadek rzucił mi spojrzenie pełne zrozumienia.

- O, doprawdy? Słyszałem już coś takiego od twojej matki. Dwa tygodnie później uciekła, potajemnie wzięła ślub z twoim

ojcem i przeniosła się do Kalifornii, zabierając ze sobą tylko to, co miała na sobie.

Przestałam jeść. Moi rodzice pobrali się potajemnie? Nigdy o tym nie wspominali!

- Tak czy inaczej, on już nie będzie dzwonił. Nie chcę z nim rozmawiać, mówiłam o tym Dustinowi.

- Aha. - Dziadek zmarszczył brwi. - Czyżby miało to coś wspólnego z filmami, które oglądasz, i naszą pogawędką tamtego

wieczoru?

Zmrużyłam oczy.

- Nie.

Na szczęście w tym momencie do pokoju wszedł Dustin, wyposażony w strzelbę z długą lufą, wabik na gęsi, torbę z napisem

„Blanks" i dwie papierowe torby.

- Proszę powiedzieć, kiedy będzie panienka gotowa.

- Już jestem gotowa - oznajmiłam, chcąc jak najszybciej zniknąć z oczu dziadkowi, który najwyraźniej nie miał zamiaru

odpuścić sobie tematu Dantego.

Dziadek złożył ręce na kolanie.

- I co to będzie dzisiaj, Dustinie?

- Gęś śnieżna, proszę pana.

- Wybornie, wybornie. W takim razie, miłej zabawy. Postarajcie się nikogo nie postrzelić, a gdyby jednak do tego doszło, nie

zapomnijcie ich pochować. - Mrugnął do mnie, ale nie doceniłam dowcipu.

Włożyłam wysokie gumowce, podbitą futrem kurtkę z kapturem i nauszniki, i wyszłam z Dustinem na pola za rezydencją,

żeby zapolować na dzikie gęsi. Niebo było błękitne, bez jednej chmurki, gałęzie świerków wokół nas ciężkie od śniegu. Dustin

pokazał mi, jak posługiwać się wabikiem, szliśmy za głosami ptaków, dopóki nie dotarliśmy do zamrzniętego stawu.

- Niech się panienka nie rusza... - przestrzegł mnie Dustin, kucając na śniegu i patrząc przez lornetkę na stado gęsi,

dziobiących coś na brzegu wody. Powoli zdjął strzelbę z ramienia i mi podał. - Jedyne, co panienka musi teraz zrobić, to

wycelować w ich stronę i nacisnąć spust.

Popatrzyłam na broń, jakbym widziała ją po raz pierwszy w życiu. Mam strzelić?

- Ja... ja chyba nie umiem... To znaczy, tak właściwie to nie chcę nikogo zabijać.

- Jak sobie panienka życzy. - Podał mi torbę z lunchem. Włożył okulary ochronne, popatrzył przez lufę, wycelował w stado i

strzelił.

Ptaki wzbiły się w powietrze, lecąc z furkotem w stronę drzew nad nami. Bez chwili wahania Dustin wycelował ponownie.

Rozległ się krzyk, ujrzałam na niebie chmurę piór; Dustin zerwał okulary i wpatrzył się w niebo.

- Trafiona! - zawołał.

Spojrzałam w górę i nagle usłyszałam, że coś spada. Moje ciało zadziało bez udziału mojej woli i zanim zrozumiałam, co się

dzieje, w moich rękach wylądował kłębek skrwawionych piór.

Dustin odwrócił się do mnie, patrząc z podziwem. Na jego twarzy rozkwitł uśmiech, a ja krzyknęłam i upuściłam ptaka, w

panice otrzepując pióra z rąk.

- Doskonałe przejęcie, panienko Winters! Znakomite!

- Po prostu Renee - poprawiłam go, wycierając ręce o kurtkę. - Ładny strzał.

- Dziękuję - rzekł, zarzucając sobie ptaka na ramię. - W swoim czasie byłem dobry w strzelaniu do rzutków.

Skinęłam głową, nie bardzo wiedząc, o czym on mówi.

Lunch zjedliśmy nad stawem. Ponieważ nie chciałam do niczego strzelać, siedzieliśmy nad wodą, karmiąc pozostałe gęsi

naszymi kanapkami.

- Dziękuję - westchnęłam. - Że mnie tu zabrałeś. To była miła odmiana.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Pomyślałem, że może panienka potrzebować odrobiny świeżego powietrza po tych

wszystkich filmach.

Zaśmiałam się.

- Tak, były naprawdę okropne. - Rzuciłam kawałek chleba na śnieg.

- Panienko Winters. .



- Po prostu Renee - przerwałam.

- Dobrze więc, w takim razie... Renee. Czuję się w obowiązku powiedzieć, że filmy rzadko odpowiadają rzeczywistości.

Ludzie, których panienka знаła, nadal są tymi samymi ludźmi, którymi byli wcześniej.

- Z tym małym wyjątkiem, że nie są ludźmi. Dustin popatrzył w przestrzeń nad stawem.

- Ten pan Berlin... Czy skrzywdził panienkę w jakikolwiek sposób?

- Kłamał o tym, kim jest. Nadużył mojego zaufania. Przez niego myślałam, że tracę rozum, że mam halucynacje, a on

wiedział, że tak nie jest. Jest martwy. I nawet jeśli nie zabijał ludzi i nie zabierał im duszy, to tak czy inaczej kiedyś znowu

umrze. Na zawsze -dodałam.

Dustin zmarszczył brwi i wstał.

- Rozumiem. No cóż, w takim razie to już skończone. Może spakujemy wszystko i wrócimy?

Oderwałam wzrok od gęsi pasących się przy moich nogach i zrozumiałam, że ja wcale nie chcę, żeby to było skończone.

- Tak, ja też tak myślę...

Wracaliśmy do domu w gasnącym świetle popołudnia.

- Dustinie, czy ty wiedziałeś. . - zapytałam, zanim weszliśmy do środka.

- O czym?

- Słyszałeś, jak rozmawialiśmy przy śniadaniu. Byłeś tam, w rogu. Musisz wiedzieć.

- Wiedziałem o istnieniu nieumarłych od czasu. . od czasu, gdy byłem w panienki wieku - odparł, otwierając przede mną

drzwi. - I nadal ufam panu Winter-sowi w kwestii zapewnienia panience bezpieczeństwa.

Wytałam kalosze o wycieraczkę, weszłam do środka, zdejmując z siebie wszystkie warstwy ubrań. Zazwyczaj dziadek

pracował przy włączonym radiu, ale teraz panowała dziwna cisza.

- Jest tu kto?! - zawołałam, gdy Dustin zajmował się torbami i bronią. Zaniósł gęś do kuchni, żeby ją oskubano.

Zdjęłam czapkę, nalektryzowane włosy stanęły dęba, i wtedy zobaczyłam kartkę z papeterii dziadka na stoliczku w foyer.

*musiałem wyjechać w interesach. Dustin odwiezie Cię do szkoły.*

*BW*

Styczeń był wietrzny i ponury. Dustin odwiózł mnie do szkoły. Nie słuchając jego protestów, sama zaniósłam

walizkę do pokoju. Wiatr przesuwiał zaspę śniegu niczym piasek na wydmach, co noc zmieniając ukształtowanie terenu tak, że

każdego ranka budziłam się, jakbym była w nowym miejscu. Grube, nieregularne sople zwisały z dachu, jedne krótsze, inne

dłuższe, a cały świat był biały, nawet niebo; chmury rozmywały horyzont, dając wrażenie bezkresnego pustego krajobrazu.

Wprawdzie śledztwo w sprawie Eleanor trwało nadal, jednak z braku poszlak, podejrzanych i dowodów, zamieniło się w

zgadywanek i spekulacje. Kilkoro uczniów nie wróciło po feriach do szkoły, rodzice uznali, że to zbyt niebezpieczne. W

odpowiedzi akademia podjęła kroki mające na celu zwiększenie bezpieczeństwa. Zatrudniono więcej wartowników na terenie

kampusu i wokół murów, wprowadzono bardziej restrykcyjne zasady wchodzenia i wychodzenia dla uczniów spoza internatu.

Nie miałam żadnych teorii w kwestii zaginięcia Eleanor, ale teraz, gdy już wiedziałam o nieumarłych, wszystko zaczęło

wyglądać bardziej logicznie. Gideon i reszta klubu łacińskiego musieli być nieumarłymi - to by pasowało do ich zachowania i

tego, co było napisane w teczkach. A jeśli Benjamin umarł od *basium mortis*, to znaczy, że Cassandra odebrała mu duszę. Ale kto

ją zabił? I czy była to ta sama osoba, która stała za zaginięciem Eleanor?

Po feriach Eleanor wróciła do akademii. Wpadła do pokoju w obłoku kaszmiru i perfum, złote loki spływały spod czarnego

beretu. Bez tchu rzuciła torby na podłogę i skoczyła do mnie, żeby mnie objąć, ale w ostatniej chwili jakby zmieniła zdanie i się

cofnęła.

- Wszystko w porządku? - spytałam, patrząc na nią podejrzliwie. Taka rezerwa nie była w jej stylu.

- Tak, tak - odparła. - Po prostu jestem przeziębiona. Nie chcę, żebyś się zaraziła.

- Mieszkamy w tym samym pokoju - zauważyłam ze śmiechem. - Pewnie i tak się zarażę.

Przez chwilę stałyśmy w milczeniu. Eleanor zdawała się nie mieć humoru, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć. Pogawędka o

niczym nigdy nie była moją mocną stroną. Dlatego po prostu powiedziałam to, o czym myślałam:

- Eleanor, co się stało? Nawinęła lok na palec.

- Musisz mi powiedzieć - naciskałam. - Znam to spojrzenie, coś przede mną ukrywasz.

Westchnęła i usiadła na swoim łóżku.

- No dobrze... Nie złość się na mnie, ale przez ostatni semestr spotykałam się potajemnie... - zacisnęła powieki i przygryzła

wargę, jakby broniąc się przed moją reakcją - z Brettem.

- Co? - spytałam trochę zbyt głośno. To było tak dalekie od tego, co spodziewałam się usłyszeć, że stałam, gapiąc się na nią,

niepewna, czy dobrze usłyszałam. - Z Brettem Steyensem? Ty i Brett Steyers?

Eleanor skinęła głową.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie wiem. Podobał mi się pomysł potajemnych schadzek. Wiedzieliśmy, że możemy zostać przyłapani w każdej chwili i to

było takie podniecające i romantyczne! Gdy mnie znaleźli, nie chciałam powiedzieć, co się naprawdę stało, żeby nie zaczęli

podejrzewać Bret-ta, bo to wcale nie była jego wina.

- A co się właściwie stało?

- W Dniu Wyżerki poszłam do biblioteki, żeby się pouczyć. Później spotkałam się z Brettem, a kiedy

próbowałam dostać się do internatu przez piwnicę, ktoś zatrzaskał za mną drzwi. Próbowałam wejść przez komin, ale przewód

był zamknięty. Usłyszałam cztery głośne uderzenia, jakby ktoś walił młotkiem w metal. Z sufitu zaczęła się lać woda.

Próbowałam przedostać się do kotłowni, żeby poszukać innej drogi, jednak w piwnicy było już pełno wody. Krzyczałam i

krzyczałam, ale woda szumiała i nikt mnie nie słyszał.

- No to jak wyszłaś? Wzruszyła ramionami.

- Pewnego dnia po prostu się ocknęłam i wyszłam.

- Czemu o tym wspomniałaś?

- Nie chciałam, żeby dowiedzieli się o kominie, to nasza jedyna droga na zewnątrz. I nie chciałam, żeby zaczęli podejrzewać

Bretta.

- A jeśli to był on? Eleanor pokręciła głową.

- Niemożliwe. To się stało, gdy wracałam ze spotkania z nim, musiałyby być w dwóch miejscach naraz. Poza tym, dlaczego

miałby chcieć mnie zabić?

- Czy wy nadal... no wiesz? Eleanor zachichotała.

- Nie wiem, jeszcze się z nim nie widziałam. -Otworzyła torbę.

Rozpakowywała się i opowiadała o tym, jak spędziła ferie, a ja tak bardzo chciałam wierzyć, że nic się nie zmieniło, że jest tak,

jak pierwszego dnia, jak przed powodzią, przed Dantem, przed tymi wszystkimi komplikacjami. Ale było inaczej. Eleanor nie

chciała mówić o wypadku, a ja nie naciskałam. Pamiętałam, jak czułam się po śmierci rodziców. Jednak cokolwiek wydarzyło

się w tej piwnicy, zmieniło Eleanor. Był coś w jej postawie, w tym, jak się garbiła i powłóczyła nogami, jak się uśmiechała,

krzywo i słabo. To były drobne różnice, pewnie widoczne tylko dla mnie. Jakby zastąpiła ją siostra bliźniaczka, identyczna z

wyglądu, inna z zachowania. Zamiast rozmawiać o tym, co się stało, poszłyśmy na lunch.

- A jak twoje ferie? - zagadnęła, gdy usiadłyśmy w stołówce. Grupki uczniów zajmowały stoliki nieopodal.

Niczego nie pragnęłam bardziej, jak opowiedzieć jej o tym, czego dowiedziałam się w domu dziadka.

- Byłam w domu i znalazłam książkę. - Myślałam, od czego zacząć. Od *Siódmej medytacji*, czy pominąć ją i

opowiedzieć o nieumarłych; jak to wszystko, co było napisane w książce, pasowało do Dantego? - Pamiętasz, jak zastanawiałam

się, czemu Dante jest taki dziwny? Ta jego zimna skóra i to, że nigdy... nigdy... - urwałam, gdy mój wzrok spoczął na talerzu

Eleanor.

- Halo, Renee? Zaczęłaś coś mówić.

- ...nic nie jadł - dokończyłam tępo. Talerz Eleanor był zupełnie czysty. Odstawiłam kubek i przyjrzałam jej się uważnie. Czy

to możliwe, żeby... - Nic nie zjadłaś - zauważyłam, usiłując przypomnieć sobie, ile dni spędziła w piwnicy. Dziesięć?

Eleanor spojrzała na swój talerz.

- Od tej powodzi jakoś straciłam apetyt.

- I nie włożyłaś płaszcza, gdy tutaj szliśmy. Eleanor zauważyła to dopiero teraz.

- Zdaje się, że masz rację. - Patrzyła ze zdumieniem na swój cienki sweter. - W ogóle nie zauważyłam! Ale co mówiłaś o

Dantem i o książce?

Czy powinnam jej powiedzieć? Nie byłam pewna, czy Eleanor już wie, kim jest, i na pewno nie byłam właściwą osobą, żeby

jej o tym mówić. Ale nie chciałam też zostać przypadkiem zamordowana!

- A, nic...

Tej nocy Eleanor nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, otulając się kołdrą, podczas gdy ja miałam koszmary o

zombie z pustymi, obojętnymi twarzami, które biegły w moją stronę. Za każdym razem, gdy się

budziłam, moja piżama była

mokra od potu. W końcu zrzuciłam kołdrę i usiadłam; nie mogłam przestać myśleć o tym, co powiedział mi dziadek o Akademii

Gottfrieda. A potem spojrzałam na Eleanor i zastanowiłam się, czy kiedyś zapragnie odebrać mi duszę.

Nagle wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Jej jasne włosy spadały kaskadą na plecy.

- Dobrze się czujesz? - spytałam drżącym głosem. Zaskoczona odwróciła się do mnie.

- Tak myślę. Muszę to przemyśleć. Muszę pomyśleć - wymruczała, zabrzmiało to tak, jakby mówiła przez sen. Księżyc

rozświetlał brzeg jej nocnej koszuli.

Następnego ranka pierwsze miało być ogrodnictwo. Eleanor leżała na łóżku zwinięta w kłębek, twarzą do ściany

Potrząsnęłam nią delikatnie.

- Eleanor, wstawaj. Mamy ogrodnictwo o szóstej. Nie odwróciła się.

- Nie idę - rzuciła nieszczęśliwym głosem. - Nie chodzę już na ogrodnictwo.

- Jak to?

-

Wywalili mnie. Po prostu idź beze mnie. Zaczekałam chwilę, czy się odwróci, ale się nie poruszyła i w końcu poszłam

sama.

Cała klasa zebrała się już przed kaplicą, gdy zjawiła się profesor Mumm i wyprowadziła nas z kampusu. - Renee! - zawołał mnie

Brett.

Zatrzymałam się. Po tym, co powiedziała mi lili' anor, ujrzałam go w innym świetle.

- Cześć, Brett.

Dogonił mnie i szedł obok. W zimowej kurtce i niebiesko-żółtym szaliku akademii wyglądał jak przystojny instruktor jazdy

na nartach, jego brązowe kędziory wysuwały się spod wełnianej czapki.

- Jak leci?

- Nie jest źle - odparłam. - Ale bywało lepiej.

- Ferie nie były udane? Zaśmiałam się i pokręciłam głową.

- Mało powiedziane. Za to obejrzałam mnóstwo filmów.

- Pewnie podłych horrorów?

Spojrzałam na niego zaskoczona, a on wzruszył ramionami, zadowolony z siebie.

- To by do ciebie pasowało.

- Co masz na myśli?

- No wiesz, zawsze znajdujesz coś nieżywego... Przygryzłam wargę, przypominając sobie, jak na pierwszej lekcji znalazłam martwego jelonka i późniejsze zajęcia, kiedy znalazłam szkielet ptaka, zbierając młode sadzonki

drzew, albo zamarznąętą wiewiórkę, gdy uczyliśmy się o mchach.

- Chyba masz rację.

Brett wcisnął ręce do kieszeni.

- To przecież nic złego. Profesor Mumm cię uwielbia, jesteś jej geniuszem. To po prostu taki specjalny talent.

Zaśmiałam się.

- Może i tak. Albo coś jak klątwa. Klątwa Gottfrieda. Zerknęłam na niego, sprawdzając, czy zna te słowa,

ale najwyraźniej słyszał je po raz pierwszy.

- Wiesz, chciałem powiedzieć, że mi przykro -rzekł. - Mówię o Eleanor.

Uśmiechnęłam się, niespodziewanie ucieszona zwyczajną rozmową.

- Dzięki.

- Jak ona się czuje? - zapytał z niepokojem, czoło miał zmarszczone.

I co ja mam mu powiedzieć?

- Jest jakby inna. Cichsza. Myślę, że to trauma -W jakiejś części to nawet była prawda.

- Jak spędziła ferie? Była w domu z matką czy w szpitalu?

- Chyba z mamą. Ale zdaje się, że jej ferie też nie były zachwycające. No wiesz, rekonwalescencja...  
Czemu sam jej nie  
spytasz?

- O nie, chyba nie mogę. Czy jej brat ciągle nie spuszcza z niej oka?

Brandon faktycznie pilnował Eleanor i wyglądał na bardziej wkurzonego i ponurego niż zwykle.  
Zresztą trudno się dziwić. Jego

siostra omal nie umarła! Sądząc z tego, jak badawczo przyglądał się każdemu, kto z nią rozmawiał,  
wiedział, że ktoś za tym stoi,

i widać było, że nie spocznie, dopóki go nie znajdzie i nie ukarze.

- No tak.

Brett wzruszył ramionami.

- No właśnie. Mówiła, jak to się stało? Pokręciłam głową.

- Nie, nie wie.

Zatrzymaliśmy się na brzegu lasu. Profesor Mumm odchrząknęła i oznajmiła:

- Dzisiaj będziemy się uczyć, jak czytać śnieg. Podobnie jak w przypadku ziemi, struktura oraz  
topografia śniegu i lodu

mogą nam wiele powiedzieć o tym, co znajduje się pod spodem. Zaspasy i szczeliny, śnieg ubity albo  
puszysty, niebieskawo,

kremowy lub lśniąco biały, każda z tych cech może nam podpowiedzieć, co kryje się pod spodem. -  
Podniosła palec

wskazujący. - Jeśli nauczymy się go czytać. A teraz proszę, żebyście dobrali się w pary.

Brett trącił mnie.

- Ty i ja?

Gdy wracałam z lekcji, zobaczyłam Dantego. Stał oparty o kamień przy wejściu do Kolegium  
Horacego i czekał na mnie. Był

tak samo piękny jak zwykle. Spojrzał na mnie, gdy podchodziłam, jego twarz była taka młoda,  
smągła, przystojna, włosy



odgarnięte do tyłu - wyglądał jak włoski model. Gdybym nie wiedziała, kim jest, w tej chwili zakochałabym się w nim na nowo.

Miał na sobie wyprasowaną niebieską koszulę, krawat i cienki płaszcz, bez szalika. Płatki śniegu osiadały na jego włosach. To

wszystko od razu przypomniało mi, jak bardzo się od siebie różnimy.

- Renee! - zawołał, ale szłam dalej. - Renee, zaczekaj! Czemu nie chcesz ze mną rozmawiać? - Podbiegł i chwycił mnie za rękę.

Zaskoczona zimnem jego dłoni, wyszarpnęłam rękę i popatrzyłam na niego z obawą. Nasze oczy spotkały się na jedną krótką

chwilę, nim odwróciłam wzrok; pojawił się błysk zrozumienia.

Co czujesz, gdy odkrywasz, że twój chłopak jest nieumarłym? Szok. Urazę. Ale przede wszystkim niepokój. Jak to możliwe,

że spędziłam z nim tyle czasu i nie domyśliłam się, kim jest? Nie wiedziałam, co przerażało mnie bardziej: czy to, że był martwy,

czy to, że drzemał w nim morderca. Czy jakaś jego część pragnęła

zdobyć moją duszę? Przypominałam sobie te wszystkie chwile, kiedy omal się nie pocałowaliśmy i zadrżałam na samą myśl, jak

bliski był odebrania mi życia. Czy byłby w stanie to zrobić? Nie chciałam go o to pytać, nie chciałam o tym rozmawiać. Co

mógłby mi powiedzieć? Ja byłam żywa, a on martwy i żadne słowa nie mogły tego zmienić.

- Renee, proszę - powiedział, gdy zaczęłam iść. - Tylko mnie wysłuchaj! Porozmawiaj ze mną! Próbowałem dzwonić... - Ale ja

odeszłam.

- Jak było na ogrodnictwie? - spytała Eleanor, gdy siedziałyśmy w klasie przed filozofią.

- Mieliśmy zajęcia w lesie - odparłam. Jej oczy się rozszerzyły.

- I jak było? Co robiliście?

- Topografia śniegu. Z partnerami. Nathaniel zmarszczył brwi.

- Co to ma wspólnego z ogrodnictwem? - Spojrzał na Eleanor. - A czemu ciebie tam nie było?

Wzruszyłam ramionami.

- To całkiem pożyteczne. Dzięki temu możesz się dowiedzieć, jak wygląda teren pod śniegiem, czy jest tam coś zagrzebane,

jaka jest temperatura ziemi.

- Usunęli mnie - odparła Eleanor. - Teraz jestem na czymś, co się nazywa podstawy języków dla zaawansowanych. Jak coś

może być jednocześnie zaawansowane i podstawowe?

- Miałem to w zeszłym roku - rzekł Nathaniel, patrząc badawczo na Eleanor, podczas gdy ja spojrzałam na niego. Czyżby

on też był nieumarłym? Zastanawiałam się nad tym z otwartymi ustami. Jego skóra była zimna, zmysły do bani i był cholernie

inteligentny. - To jak łacina. Coś w tym stylu. - No i mówił płynnie po łacinie!

Eleanor przewróciła oczami i odchyliła się na swoje krzesło.

- Cudownie. Jak powiedzieli, że nie muszę chodzić na podstawową łacinę, to pomyślałam, że dają mi chwilę przerwy po tym

wypadku w piwnicy.

Głowiłam się, czy Eleanor wie, że jest nieumarłą, ale jak na razie wszystko wskazywało na to, że nie. Gdy wspomniała o

piwnicy, umilkliśmy, może będzie chciała o tym pogadać? Nie zdradziłam się przed Nathanielem, że coś podejrzewam.

Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć pannie LaBarge, ale uznałam, że skoro zmienili Eleanor zajęcia, to szkoła wie.

Próbowałam zadzwonić do dziadka, ale wyjechał. Dlatego usiłowałam nie spać, dotrzymując towarzystwa Eleanor, żeby mogła

pogadać. Miałam nadzieję, że gdy się zorientuje, kim jest, to mi się zwierzy. Poza tym niełatwo zasnąć w jednym pokoju z kimś,

kto być może zechce mnie zabić.

Eleanor popatrzyła na nas.

- No co? Myślałam, że otarcie się o śmierć zwolni mnie przynajmniej od najnudniejszej lekcji!

Uśmiechnęła się, ja i Nathaniel poszliśmy w jej ślady, a po chwili wszyscy troje zaczęliśmy się śmiać. Po raz pierwszy od

wielu dni znowu poczułam się lekko i beztrosko, chociaż tylko przez chwilę.

Nie widziałam Dantego aż do ostatniej lekcji. Gdy przyszedłam na nauki podstawowe, już siedział w naszej ławce. Wyglądał

posągowo: oparty o krzesło, krawat i koszula, i wszystko wydawało się takie idealne. Stałam w drzwiach, przyglądając mu się;

przed nim leżała taca z narzędziami: skalpel, peseta, igła i haczyk, zwój żyłki.

Usiadłam obok niego bez słowa, siłą woli zmuszając się do patrzenia na tablicę.

- Renee, chciałem ci o tym powiedzieć, ale za każdym razem, gdy próbowałem, coś nam przerywało... -Jak na ironię, w tej

samej chwili zadzwonił dzwonek i wszedł profesor Starking. Niósł wielki plastikowy pojemnik. Położył go na biurku i rzekł:

- Nauki o życiu, znane również jako *scientiae vi-tae*, są przeciwstawiane *disciplina mortuorum*, czyli nauce o śmierci. - Podniósł

pojemnik i zaczął przechadzać się powoli między ławkami, szczypcami wyciągając martwe żaby.

- Próbowałem trzymać się z daleka od ciebie - mówił dalej Dante. - Na początku roku próbowałem zachować dystans, bo

wiedziałem, że nie mogę sobie zaufać, gdy jestem przy tobie. Nie chciałem narażać cię na niebezpieczeństwo.

- Nie możemy zgłębić nauk życia, jeśli nie poznamy śmierci - kontynuował profesor Starking. - Każdemu z was daję żabę;

oto wasze naczynie.

- Ale nie mogłem trzymać się od ciebie z daleka. Nadal nie mogę! Miałem zamiar ci powiedzieć, próbowałem, ale nie

chciałem cię stracić.

Przełknęłam łzy złości i utkwiałam wzrok w martwej żabie. Patrzyła na mnie szklistymi oczami, miała workowatą skórę w

chorobliwie żółtym kolorze. To nie było fair! To nie wina Dantego, że nie żył, jego winą było to, że pozwolił, abym się

zaangażowała, chociaż wiedział, kim jest!

- Renee? Powiedz coś!

- Kto z was mógłby mi podać kilka cech zmarłego? - Profesor Starking rozejrzał się po klasie.

- Zimna skóra - syknęłam, zerkając na Dantego kątem oka. - Szttywne kończyny. Brak emocji. Oderwanie od reszty świata.

- Żywi również mają te cechy.

- A tamto skaleczenie? A seans? Wiedziałaś, co się dzieje, i pozwalałaś, żebym gubiła się w domysłach!

- Usiłowałam ci powiedzieć. .

- O, naprawdę? Mogłeś to zrobić mnóstwo razy, gdy uczyliśmy się razem w bibliotece!

- Wiem, że powinienem. Ale to nie zmienia faktu, że...

- O, przy tobie czuję, że żyję - przedrzeźniałam go, cytując to, co powiedział tamtej nocy w Attica Falls. -A ja myślałam, że to

takie romantyczne. Do głowy by mi nie przyszło, że mówiłeś dosłownie.

- Ale czy to umniejsza znaczenie tego, co powiedziałam?

- Zabiłeś już kogoś? - spytałam cicho.

- Nie - odpowiedział. - Oczywiście, że nie.

- A zabijesz?

- Nie.

Usta mi zadrżały.

- Umrzesz?

Dante nie odpowiadał przez długi czas.

- Tak. Ale ty również umrzesz pewnego dnia. To nie jest duża różnica.

- Jest! - zawołałam. Profesor Starking przerwał wykład i kazał nam milczeć, ale mnie już było wszystko jedno.

- Jesteś.. jesteś.. - Popatrzyłam na żabę. - Nawet nie wiem, czym jesteś!

Klasa zaszemrała, zaniepokojony profesor Starking próbował zapanować nad sytuacją i uspokoić wszystkich.

- Tym samym człowiekiem, którym byłem przedtem... - szepnął.

- Nie jesteś człowiekiem! - krzyknęłam. Do moich oczu napłynęły łzy, gdy wpatrywałam się w niego, jakbym szukała

podpowiedzi, czegoś, co pomogłoby mi zrozumieć, kim jest. W klasie zapanowała cisza, wszyscy patrzyli na nas.

- Nie... nie wiem, o co tu chodzi - odezwał się nerwowo profesor Starking - ale będziecie mogli omówić różnice zdań w

czasie pracy społecznej.

Wysłał nas do gabinetu dyrektorki, szłam trzy kroki przed Dantem. Sekretarka kazała nam poczekać na zewnątrz, więc

usiadłam na drugim końcu ławki i skrzyżowałam ramiona. Moja grzywka sterczała w nieładzie, ale wisiało mi to.

Odzwierciedlała moje uczucia.

Drzwi gabinetu się otworzyły.

- Możecie wejść - usłyszeliśmy głos dyrektorki. - Oboje.

Gdy usiedliśmy przed nią i spytała, co się stało, odezwaliśmy się w tej samej chwili.

- Sprowokował mnie... Właśnie odpowiadałam na pytanie, a on bezczelnie mi przerwał - rzuciłam.

- Sprowokowałam ją - rzekł Dante. - To była moja wina.

Ta wspaniałomyślność zaskoczyła mnie, nagle poczułam się nie w porządku, że go oskarżałam. Ale to była jego wina,

przekonywałam się. Sprowokował mnie! Gdyby nie był martwy, gdyby tego przede mną nie ukrywał, nigdy nie znaleźlibyśmy

się w takiej sytuacji! Skrzyżowałam ręce, wmawiając sobie, że mam rację, ale czułam, jak zalewa mnie poczucie winy.

- Rozumiem - powiedziała dyrektorka. - Ponieważ jednak oboje przeszkodziliście w lekcji, odpracujecie to. Piąta po

południu, czwarte piętro Kolegium Horacego. Pokój numer 8, północne skrzydło.

Wysłałam, nie odzywając się do Dantego ani słowem. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie chciałam iść w tę samą stronę co

on, więc poszłam do Horacego. Nie mogłam zwierzyć się Eleanor - miała swoje własne problemy - ani Nathanielowi - na pewno

by tego nie zrozumiał. Odnosiłam wrażenie, że nie lubi Dantego, chociaż tak właściwie chyba niewiele osób lubił. Gdy weszłam

do kolegium, zadzwonił dzwonek, zaczekałam, aż wszyscy wyjdą i poszłam na górę do panny LaBarge.

Podłoga skrzypiała, gdy szłam wąskim korytarzem do jej biura wciśniętego w róg. Pod drzwiami widać było cieniutką linię

światła. Zapukałam.

- Proszę - usłyszałam głos panny LaBarge. Siedziała w fotelu pod żółtym światłem i czytała. Na mój widok uśmiechnęła się i wstała.

- Renee - powiedziała, zdejmując okulary do czytania. Miała na sobie obszerny golf i wąskie spodnie, włosy związane

jedwabnym szalikiem. - Jaka miła niespodzianka!

Wytarłam buty o wycieraczkę i weszłam do środka. Pokój panny LaBarge wypełniały ciepły blask, zapach cynamonu i

palonego drewna. Bulgotał kaloryfer, w rogu pokoju pod wieszakiem na ubrania stała brązowa papierowa torba z warzywami.

- Siadaj, proszę.

Zdjęłam szalik i usiadłam na małej kanapce naprzeciwko niej. Gruba książka w twardej okładce ze wstążką w zagięciu

spoczywała na kanapie między nami.

- Co pani czyta?

Panna LaBarge podniosła książkę.

- Och, takie tam głupstwa. *Poza dobrem i złem* Friedricha Nietzchego. O tym, jak odróżnić dobro od zła.

- To wcale nie brzmi głupio. Zmarszczyła brwi.

- Tak, chyba masz rację.

- I jak je odróżnić?

Zamknęła książkę i odłożyła ją na stolik.

- Czasem się nie da.

- Załóżmy, że spotyka się pani z chłopcem, a potem wychodzi na jaw, że jest kimś innym, niż mówił. Przecież to nie w

porządku, prawda?

- Czy ten chłopak miał poważny powód, by to ukrywać?

Zastanowiłam się. Dante pewnie dlatego mi nie mówił, bo myślał, że to mnie wystraszy. No i miał rację.

- Tak mi się wydaje. Ale kłamstwo nadal pozostaje kłamstwem.

- Owszem, ale jeśli miało służyć chronieniu tej drugiej osoby przed bólem czy cierpieniem, to chyba nie jest takie złe?

- Ale ja nie chciałam, żeby mnie chronił, chciałam poznać prawdę! - wybuchłam.

Wzruszyła ramionami.

- Czasem nie ma czegoś takiego jak jedna prawda. To, że dowiedziałaś się o nim czegoś nowego, nie oznacza, że to, co

wiedziałaś wcześniej, nie było prawdą. Po prostu miałaś niepełny obraz jego osoby.

Chciałam wierzyć, że to, co się działo między nami, było szczere, że to, co mówił i robił, wynikało z miłości, nawet jeśli był

nieumarłym. Ale nawet jeśli tak było, wszystko wymykało mi się z rąk. Dante wiedział dokładnie, kiedy umrze, i nie mogłam

mu pomóc.

- Nigdy nie będziemy mogli być razem?

- Hm, to jest problem. Myślę, że potrzebujemy filiżanki herbaty. Zaczekaj chwilę, zaraz do tego wrócimy. - Wstała i zniknęła

w przedpokoju. Słyszałam odkręcaną wodę, a potem gotujący się czajnik, brzęk naczyń, delikatne dzwonięcie łyżeczki o

porcelaną. Panna LaBarge wróciła, niosąc dwie filiżanki i dzbanek.

- Może być rumiankowa? Skinęłam głową.

- „Nigdy” istnieje tylko w twojej głowie. Wszystko jest możliwe.

- Ale jeśli.. jeśli on jest zbyt inny?

- Czy nadal coś do niego czujesz? Nawet teraz, gdy wiesz, kim jest?

Pokręciłam głową.

- Nie wiem. - A po zastanowieniu dodałam: - Może... Tak.

- No to masz odpowiedź na swoje pytanie. W miłości każdy robi coś, co może zranić drugą osobę, więc tak naprawdę nie ma

tu rzeczy dobrych i złych. Musisz tylko zdecydować, czy mu wybaczysz.

- A jeśli wiem, że to nie może trwać długo?

- Wówczas delectuj się każdą chwilą.

Nad nami rozległ się tupot nóg. Ścisnęłam filiżankę w dłoni.

- Była pani kiedyś zakochana? Uśmiechnęła się.

- Och, lubię myśleć, że ciągle jestem w kimś zakochana. Cóż innego mamy w życiu?

Profesor Urquette miała nadzorować naszą pracę społeczną. Była nauczycielką plastyki i nauk humanistycznych i wyglądała

jak bakłazan, co podkreślała, nosząc ubrania w różnych odcieniach purpury i zieleni.

Chociaż nigdy nie była mężatką, miała w sobie coś z rozwódki. Pomarszczoną skórę szyi ukrywała pod szydełkowymi

chustkami i miękkimi szalami, wiecznie trzymała długopis w kąciку ust niczym długiego papierosa. Jej siwiejące włosy były

postawione na sztorc, wbrew prawu grawitacji i sprawiały, że wydawała się wyższa. Co kilka miesięcy farbowała je na

naturalny kolor - rudy, a gdy pojawiały się siwe odrosty, jej głowa wyglądała, jakby stała w ogniu.

Przyszedłam pod jej klasę na kilka minut przed piątą; Dante już tam był, siedział na ławce przy drzwiach. Zakłopotana swoim



wcześniejszym zachowaniem zawahałam się przez moment, a potem poszłam na drugi koniec klasy i usiadłam przy oknie.

Zobaczyłam Eleanor idącą ścieżką z kilkoma dziewczynami z naszego piętra. Do klasy wpadł chłodny powiew wiatru, poczułam, że zaraz kichnę. Próbowałam nad tym zapanować, ale nie zdołałam i w końcu kichnęłam jak z armaty. Zaczerwieniona,

zaczęłam grzebać w plecaku w poszukiwaniu chusteczki.

- Na zdrowie - powiedział cicho Dante. Popatrzyłam na niego zaskoczona.

- Dziękuję.

Siedzieliśmy w milczeniu, w końcu drzwi się otworzyły i do klasy weszła profesor Urquette, zasapana wspinaczką po

schodach. Rzuciła torbę na biurko i opadła na krzesło, łapiąc oddech. Delikatnie pomacała włosy, sprawdzając, czy nadal są na

swoim miejscu, i zapytała:

- Jak rozumiem, oboje przeszkadzaliście na lekcji? Nie odezwaliśmy się.

- No dobrze - stwierdziła, wstając. - Normalnie bym tego nie zrobiła, ale zbliża się dzień przedstawienia i potrzebujemy

drewna do budowy dekoracji.

Popatrzyliśmy na nią, nic nie rozumiejąc.

- Zbierajcie się, idziemy do lasu. Wychodzenie za mury było surowo wzbronione, ale

nawet od najsurowszych zasad są wyjątki. Podeszliśmy do bramy, profesor Urquette skinęła wartownikom, którzy otworzyli

bramę.

Zaprowadziła nas na obrzeża lasu, unosząc spódnicę i brnąc przez śnieg w kaloszach. Za drzewami widać było wznoszące się

na horyzoncie Góry Białe. Przeszliśmy kilka metrów i stanęliśmy. Nauczycielka powiesiła torbę na sęku, pochyliła się i

podniosła jakiś kij.

- Szukajcie patyków, im grubsze, tym lepsze. - Przełamała z trzaskiem swój na pół, wręczyła każdemu z nas jutowy worek. -

Spotkamy się za dwie godziny, nie spóźnijcie się, bo zostaniecie na noc w lesie. Będę czekać na was przy wejściu. Jeśli będziecie

potrzebować pomocy, krzyczcie, usłyszymy was, albo wartownicy, albo ja. - A potem ruszyła, brnąc przez śnieg, do budki

wartowników.

Odwróciłam się do Dantego, zastanawiając się, czy jest na mnie zły i czy mi wybaczy. Zastanawiałam się, jak go przeprosić,

ale zanim się odezwałam, uciekł spojrzeniem w bok i poszedł w stronę lasu, zostawiając mnie. Dotknięta jego chłodem,

poczekalam, aż się oddali i wybrałam przeciwny kierunek.

Zapadałam się w śnieg po kostki, gałęzie nagich dębów wyciągały się do nieba niczym rozczapierzone palce. Huba rosnąca

na pniach tworzyła jakby spiralne schodki, które wspinały się w górę po korze. Dante oddalał się wielkimi krokami, klucząc

między drzewami. Nagle się odwrócił i krzyknął:

- Idziesz w złym kierunku!

- Przecież zbieramy gałęzie, nie ma znaczenia, gdzie będę to robić!

Pokręcił głową i zawrócił, a ja zobaczyłam prześwit między drzewami i ruszyłam w tamtą stronę. Las się przerzedził, aż w

końcu stanęłam na brzegu czegoś, co wydawało się polaną, ale tak naprawdę było Martwym Lasem.

Zatrzymałam się. Przede mną rozciągał się księżycowy krajobraz, na ziemi leżały zwęglone drzewa, gałęzie i patyki. Między

nimi sterczały białe pnie, pozbawione gałęzi.

- Martwy Las. - Dante stanął za mną. - Mówiłem, że źle idziesz.

- Przecież tu jest pełno drewna!

- Ale jest przegniłe.

Wymieniliśmy niepewne spojrzenia, powoli ruszyłam przed siebie.

- A więc to prawda - powiedziałam cicho. Z nosa mi ciekło, gdy zatrzymałam się pod pniem drzewa,

pochylającego się nad

ziemią niczym przęsło mostu.

Dante się zbliżył.

- Że mogę cię zranić? - Zrobił jeszcze jeden krok. - Że nigdy bym cię nie skrzywdził? - I jeszcze jeden. - Że cię Kocham?

Panowała cisza, słychać było jedynie szum wiatru.

- Tak - odparłam.

Moje włosy rozdmuchiwał wiatr, fruwały wokół mojej twarzy.

- Czujesz coś przy innych ludziach? - zapytałam. Wyciągnął rękę do mojej twarzy, ale nie dotknął jej, przesunął dłonią w powietrzu kilka centymetrów od niej.

- Nie. Tylko przy tobie.

Odetchnęłam, nie wiedząc, czy powinnam mu wierzyć, czy nie.

- Jesteś martwy?

Dante delikatnie położył rękę na moich plecach.

- Skaleczenie. Seans. Noc w Attica Falls. To wszystko prawda?

- Tak.

Moje wargi zadrżały, gdy odwróciłam się do niego, oczy szukały na jego twarzy jakichś oznak śmierci.

- Pokaż mi.

Nagle usłyszałam trzask i martwe drzewo zaczęło się przewracać. Krzyknęłam i upadłam na śnieg.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Dante z nadludzką siłą złapał drzewo, nim mnie przygniotło. Podniósł pień, jakby

był lekki jak piórko i cisnął go na ziemię. W chwilę później był obok mnie, tuląc do siebie.

Patrzyłam na niego zszokowana.

- Gdy budzimy się po śmierci, stajemy się nową, ulepszoną wersją nas samych - wyjaśnił. - Jesteśmy silniejsi, mądrzejsi,

piękniejsi. Wszystkie nasze zalety zostają pomnożone.

- Dlaczego ja? - zapytałam. - Dlaczego do mnie dzwoniłeś? Czemu na mnie czekałeś?

- Nic na to nie mogłem poradzić. Musiałem cię zobaczyć... Wiem, że moja sytuacja nie jest... normalna, ale to nie zmienia

moich uczuć do ciebie.

Gdy w końcu udało mi się przemówić, mój głos był tak cichy, że ledwie go słyszałam.

- Co do mnie czujesz?

- Tęsknię za tobą - szepnął łagodnie, przyciskając mnie mocniej do siebie. - Tęsknię za wszystkim. Za twoim śmiechem,

głosem. Za tym, że nigdy nie wiem, co za chwilę powiesz. Czuję się tak, jakby cały świat był martwy, a ty byłabyś jedyną żyjącą

istotą. . - urwał, jakby zakłopotany, że powiedział tak wiele. - Przepraszam,

że cię wystraszyłem. Chciałem tylko, żebyś wiedziała. Przepraszam za wszystko.

Bałam się mrugnąć, nie chciałam zamykać oczu ani na chwilę. Podniosłam rękę i dotknęłam jego policzka. Gdy poczułam

zimno jego skóry, miałam wrażenie, że to się dzieje po raz pierwszy. Dante pachniał ziemią, sosną i trawą.

- Nie boję się... - zapewniłam go. - Nie boję się ciebie.

- Za to ja się boję - westchnął i zamknął oczy. I nagle znów stał się człowiekiem.

## **Tragedia w górach**

Wszystko było niepewne i niejasne, wszystko, prócz jednego. Ja żyłam, a Dante nie.

Cała reszta to spekulacje, które udało nam się złożyć w dość sensowną całość. Cassandra Millet i Benjamin Gallów kochali

się. Benjamin był plebejuszem, Cassandra nieumarłą. Pewnego dnia poszli razem do lasu, a ona go pocałowała, nie mogąc nad

sobą zapanować. Gdy zmarł, zostawiła go w lesie.

To właśnie powiedziałam Dantemu po obiedzie, gdy siedzieliśmy w bibliotece.

- I potem wyznała ci prawdę, a ty poszedłeś i go znalazłeś. Mam rację?

Dante skinął głową.

- Cassandra zwierzyła się nam, że przypadkiem zabiła Benjamina, pytała, co ma teraz zrobić. Poradziłem jej, że powinna do

wszystkiego się przyznać dyrektorze, a gdy tego nie zrobiła, poszedłem po ciało Benjamina do lasu. Gideon namawiał ją, żeby

wyjechała z akademii, zniknęła na zawsze. Mogę tylko zgadywać, co się stało później, ale twoja wersja brzmi prawdopodobnie.

Cassandra zniknęła, pomyślelibyśmy, że po prostu posłuchała rady Gideona, gdyby nie to, że nigdy nie wyjechałaby bez

pożegnania. Gideon, Vivian, Yago i ja

się pokłóciliśmy. Czuliśmy, że coś tu nie gra, a opowieść Minnie zasiała w nas ziarno wątpliwości.

- O co się pokłóciliście?

- Gideon nie chciał, żebym szukał Benjamina, nie zgadzał się z tym, co poradziłem Cassandrze. Ale gdy zobaczyłem, do

czego jest zdolna wobec człowieka, którego kocha, zacząłem obawiać się samego siebie. Zerwałem z moimi przyjaciółmi, bo

obawiałem się ich wpływu na drzemiące we mnie siły, a nie wiedziałem, czy potrafię je kontrolować. Dlatego wyprowadziłem

się z kampusu, żeby chronić szkołę przed sobą.

- To dlatego Gideon miał teczki?

- Nie wiem. Śledziłem go przez cały rok. Ale nie mam żadnego dowodu, że maczał palce w zniknięciu Cassandry. Teczki,

które znalazłaś w jego pokoju, zniknęły.

Ujęłam jego dłoń.

- Jesteś dobry.

Dante zabrał rękę, spojrzał na mnie z rezygnacją.

- Nie jestem.

Popatrzyłam na niego poważnie.

- Nie boję się śmierci.

Ale bałam się stracić tych, których kochałam. I nadal pozostawało pytanie, kto zabił Eleanor i Cassandrę?

Dante i ja spędzaliśmy razem każdy wieczór, jeszcze bardziej zbliżyliśmy się do siebie. Wreszcie poczułam, że między nami

nie ma już żadnych tajemnic i Dante stał się nagle tak przyjemnie znany i podniecająco nieznany. To było jak chodzenie po

starym domu i odkrywanie rzeczy, które zawsze tam były, a których nigdy przedtem nie zauważałam. Siedziałam niecierpliwie

na lekcjach, licząc minuty do chwili, w której znów go zobaczę. Im więcej dowiadywałam się o nieumarłych, tym bardziej

akceptowałam inność Dantego, nawet zaczęłam mu zazdrościć. Bycie nieumarłym miało niewątpliwe zalety. Na przykład skoro

już nie żył, nie można go było zabić, dzięki czemu mógł ryzykować. Nie musiał się martwić o pogodę, a ponieważ nie sypiał,

miał dla siebie mnóstwo czasu. Właśnie to, no i fakt, że żył dwa razy dłużej niż ja, sprawiało, że był taki czytany. A co

najlepsze, zupełnie nie czuł bólu, ani fizycznego, ani psychicznego - chyba że byłam przy nim. Ile bym dała za coś takiego!

Zapomnieć o bólu, nie zadręczać się śmiercią rodziców, która nadal była zagadką.

Pod koniec tygodnia, gdy schodziłam na dół, żeby spotkać się z Dantem, zobaczyłam czyjąś sylwetkę w cieniu przy podeście

schodów. Podbiegłam do niej, zarzuciłam jej ręce na szyję i dopiero wtedy zrozumiałam, że to nie Dante, tylko Brett. Był chyba

równie zaskoczony moim widokiem, jak ja jego.

- Och, przepraszam, myślałam, że to ktoś inny! -Zaczerwieniłam się.

- Nie ma sprawy. - Brett odetchnął z ulgą. - Dobrze, że to nie pani Lynch.

Zaśmiałam się.

- Pewnie... No dobra, spadam. Skinął głową i wycofał się w cień.

Dante czekał na mnie przy budynku. Zanim zdążyłam spytać, dokąd idziemy, wziął mnie za rękę i zaprowadził na środek

kampusu. Wieczór był zimny i bezwietrzny, otaczały nas drzewa, nagie i martwe.

- Ile masz lat? - spytałam, opierając się o pień wielkiego dębu.

Dante bawił się kosmykiem moich włosów.

- Siedemnaście. Popatrzyłam na niego. Ile naprawdę masz lat?

Wsunął ręce w kieszenie i spojrzał w niebo, licząc w myślach.

- To będzie szesnasta rocznica moich siedemnastych urodzin.

- Jak długo jesteś w akademii? Dante się roześmiał.

- Tylko dwa lata. I będę tu jeszcze przez kolejne dwa. Mimo całej swej ekscentryczności, Akademia Gottfrieda to tylko

liceum.

Słusznie, pomyślałam, czerwieniąc się, co za głupie pytanie. No tak, wyglądałoby podejrzenie, gdyby nie-umarli zostawali w

akademii, podczas gdy wszyscy inni by ją kończyli.

- Jak umarłeś?

Dante wziął mnie za rękę i zaprowadził na środek polany.

- Utonąłem.

Pomyślałem o tym, jak pływałam w zatoce. Tonący człowiek musiał czuć się samotny i wyobcowany, jakby zanurzał się w inny

świat.

- Jak to się stało?

- Opowiadałem ci, że mieszkaliśmy na zupełnym odludziu? - Skinęłam głową, a on mówił dalej: - Pewnej zimy ja i moja

siostra Cecelia byliśmy na dworze, uczyłem ją rąbać drewno. W pewnym momencie wpadła do zamrzniętego stawu,

skoczyłem za nią i ją wyłowilem. Zaniósłem ją do domu. Nie miała apetytu, ka-słała i się trzęsła. Podejrzewaliśmy zapalenie

płuc. Nasz sąsiad był pilotem specjalizującym się w lataniu do takich niedostępnych i odległych miejsc jak to, w którym

mieszkaliśmy, i zaproponował, że zabierze nas do najbliższego miasta.

Wsiedliśmy wszyscy do małego hydroplanu, ale pół godziny później coś się stało i zaczęliśmy spadać. Samolot rozbił się na

oceanie, gdzieś u wybrzeży Pacyfiku. Pamiętam, że przez cały czas, gdy spadaliśmy, mój ojciec trzymał nas i żarliwie się

modlił. Miałem wtedy siedemnaście lat.

Mój szalik szarpał wiatr, ale nie zwracałam na to uwagi.

- Wszyscy zginęli?

- Tak myślę. Nie wiem. Wyrzuciło mnie na brzeg gdzieś w Kalifornii. Nigdy więcej nie widziałem ani moich rodziców, ani

siostry.

- Tak mi przykro - szepnęłam. - Tak strasznie mi przykro.

- W porządku. To było dawno temu. Odwróciłam się do niego.

- Jeśli twoja siostra nie została pochowana i jeśli ocean wyrzucił ją na brzeg, tak jak ciebie, to może gdzieś jest?

- Wiem, myślę o niej przez cały czas. Ale być może jej ciało zostało zniszczone. Pamiętam, że w czasie spadania samolot się

zapalił.

- Więc skoro nie zostałeś pochowany i... i zmartwychwstałeś, to teraz nie masz duszy?

- Tak.

- Jak to jest?

Zawahał się, jakby próbując znaleźć odpowiednie słowa. Niebo ciemniało powoli, okolone kruchymi, ażurowymi sylwetkami

drzew, które rosły wzdłuż ścieżki i kołysały się na wietrze.



- Ufasz mi?

Skinęłam głową, a Dante pociągnął mnie na śnieg obok ścieżki.

- Zamknij oczy. - Musiał wyczuć moje wahanie, bo dodał: - Nie bój się.

Zamknęłam oczy, a on zawiązał coś na nich, chyba szalik. Stałam nieruchomo. Zdjął mi kurtkę.

- Co robisz?

- Zaraz ją oddam.

Zaczęłam drzeć. Kilka minut później moje palce zeszywniały z zimna, pociekło mi z nosa, usta spierzchły. Nic nie widziałam i

niewiele słyszałam, wszystkie dźwięki natury zlały się, tworząc szum.

Dante wziął mnie za rękę i poprowadził obok ścieżki. Szłam małymi, niepewnymi krokami, potykając się i opierając na Dantem,

żeby nie upaść.

- Tak to wygląda, gdy mam zły czas - wyjaśnił. - Nie czuję nic. Zapachów, smaków, nie słyszę muzyki, tylko hałas. Nawet

wzrok działa inaczej. Widzę różne rzeczy, ale nie rozróżniam kolorów. Wszystko jest jakby wytłumione.

Zdjął mi szalik z oczu, zamrugałam, moje zmysły wróciły do normy.

- A tak się czuję, gdy jestem obok ciebie. Popatrzyłam na niego ze zrozumieniem. Jak można tak żyć?

- Nikt inny tak na ciebie nie działa? Jesteś pewien? Dante pokręcił głową.

- A na ciebie ktoś tak działa jak ja? - zapytał.

- Nie.

Staliśmy przed obserwatorium. Zwykle po lekcjach drzwi były zamknięte, ale dzisiaj zostały zablokowane książką. Dante

rozejrzał się, upewnił, że nikt nas nie widzi, i wpuścił mnie do środka. Drzwi zamknęły się za nami.

W laboratorium było ciemno, szłam po omacku, dopóki moje oczy się nie przyzwyczyły do mroku. Nad nami wisiało czyste

nocne niebo widoczne przez szklany sufit.

Rozejrzałam się.

- W nocy wygląda to zupełnie inaczej.

Dante podsadził mnie na blat. Położyliśmy się obok siebie, patrząc na gwiazdy.

- Jak się zorientowałeś, że nie żyjesz?

- Zajęło mi to chwilę. Obudziłem się, nie mając pojęcia, gdzie jestem, nie wiedząc, jak wrócić do domu. Przez kilka dni

włóczyłem się po jakimś miasteczku nad zatoką w Kalifornii i usiłowałem zrozumieć, co się stało. Pytałem o moją rodzinę w

szpitalu, wysłali mnie na policję i tam dowiedziałem się, że samolot się rozbił i jestem jedynym, który przeżył. Wysłali mnie do

szpitala na badania. Byłem tam przez tydzień i przez cały czas czułem się tak, jakbym utracił jakąś część siebie i musiał ją

odszukać. Początkowo myślałem, że to z powodu śmierci moich krewnych, ale były też inne dziwne objawy. Nie byłem głodny,

a gdy zmuszałem się do jedzenia, zupełnie nie czułem smaku. Temperatura mojego ciała była niższa. Rzadki przypadek choroby

krążenia, zawyrokowali lekarze, ale właściwie nie mieli pojęcia, co mi dolega. Już wtedy się zorientowałem, że coś jest nie tak.

Wypuścili mnie ze szpitala. Z jakiegoś powodu nie miałem chęci z nikim rozmawiać, na nic nie miałem ochoty. Nie czułem

żadnych pragnień. Pamiętałem, że kiedyś byłem szczęśliwy, ale nie potrafiłem tego odnaleźć. Myślałem, że jak odzokam

siostrę, to zdołam wypełnić tę pustkę, więc szukałem jej całymi tygodniami, miesiącami, latami. Ponieważ nie musiałem jeść ani

spać, nie doskwierało mi zimno, po prostu szedłem przed siebie. W końcu znalazłem pracę. Próbowałem wrócić do szkoły, ale

szybko dałem sobie spokój.

Odkryłem, że to, czego tam uczą, zupełnie mnie nie interesuje. Mijały lata i w pewnym momencie spostrzegłem, że się nie

starzej, w każdym razie nie w zwykły sposób. Może pogorszyły mi się słuch, wzrok, ale moje ciało się nie starzało. Wręcz

przeciwnie, było teraz nienaturalnie mocne. Nie wiedziałem, co się dzieje, więc na wszelki wypadek nie mówiłem o tym

nikomu. Nie chciałem być wytykany palcami lub zostać królikiem doświadczalnym. Zacząłem jednak przeprowadzać eksperymenty, żeby poznać granice swojego ciała. Zwiększanie własnych możliwości było proste, wręcz naturalne, tak jakbym się

uczył nie dotykać gorącej kuchenki. Bycie samemu było łatwe, skoro nie czułem żadnej potrzeby zawierania znajomości czy

umawiania się na randki. Tak właściwie byłem tylko pustą skorupą.

O akademii dowiedziałem się przypadkiem. Stałem przed sklepem spożywczym, patrząc na stosy owoców i usiłując

przypomnieć sobie, jak to jest czuć smak jedzenia, czuć głód. W końcu poszedłem do szpitala. Wiedziałem, że coś musi być ze

mną nie tak. Na parkingu zobaczyłem ogłoszenie przychepione do słupa telefonicznego: „Dla osób, które mają wątpliwości

natury egzystencjalnej", i adres. Byłem kompletnie zagubiony, więc napisałem list. Opowiedziałem w nim o wszystkich swoich

problemach i wysłałem. Kilka tygodni później profesor Lumbar odpisała mi, prosząc, żebym przyjechał do akademii.

Twierdziła, że szkoła specjalizuje się w problemach egzystencjalnych i że zdoła mi pomóc, chociaż nie sprecyzowała, jak

zamierza to zrobić. I tak się tu znalazłem.

Odwróciłam się do niego i popatrzyłam na jego profil, gdy leżał, spoglądając w niebo.

- I szukasz swojej duszy?

- Szukam czegokolwiek. Nie duszy. Nie chcę nikogo zabijać. Musi być jakiś inny sposób i tego szukam w akademii. Innego

sposobu, by móc żyć.

- Gdybyś mnie pocałował, czy wtedy bym umarła?

- Tak. Ale nigdy tego nie zrobię.

- Skąd ta pewność?

- Nie chcę tego zrobić. Mam wybór. Jak każdy człowiek.

Chyba miał rację. Myślę, że każdy może kogoś skrzywdzić, to tylko kwestia wyborów, jakie podejmujemy. Czy Dante różnił

się ode mnie pod tym względem?

Wziął mnie za rękę.

- Tutaj. - Położył ją na swojej piersi. W pierwszej chwili nic nie poczułam. - Posłuchaj. - Przyłożyłam głowę do jego piersi.

Nadal nic, a potem nagle bicie serca. Nigdy przedtem nie słyszałam czegoś takiego, rytm był nierówny, jakby właśnie Dante

zbiegał po schodach.

- Całe życie, które jest we mnie, należy do ciebie.

- Kocham cię - szepnęłam i wsunęłam dłoń w jego rękę.

Wróciłam do ciemnego pokoju przez kominek. Eleanor leżała skulona i chociaż wiedziałam, że nie śpi, przesłam na palcach

do swojego łóżka, żeby jej nie przeszkadzać, i wśliznęłam się pod kołdrę.

Zasnęłam spokojna. Śniłam o Dancem. Leżeliśmy objęci na polu i patrzyliśmy w gwiazdy. Trawa łaskotała mnie w szyję.

Dante odwrócił się do mnie, opierając się na łokciu. A potem zaczął pochylać się nade mną, jego usta były wąskie i czerwone,

coraz bliżej moich, coraz bliżej...

W jednej chwili się obudziłam i otworzyłam oczy. Twarz Eleanor była tuż przy mojej, jej loki spadały na poduszkę.

- Eleanor? - zapytałam, a ona odskoczyła. - Co robisz?

- Renee - odparła zdumiona. - Chciałam tylko sprawdzić, czy nie śpisz.

Usiadłam, opierając się o ścianę i zerkając na nią z lękiem.

- Jesteś pewna? Skinęła głową.

- Tak.

Zrzuciłam kołdrę i przetarłam oczy.

- Renee, boisz się śmierci? - Patrzyła niby na mnie, ale wydawało się, że myślami jest gdzie indziej.

- Nie. Ale chyba boję się umierania.

- Jak myślisz, jak to jest?

- Nie wiem - zawahałam się. - Zawsze wyobrażałam sobie, że to jak sen, z którego nie można się obudzić.

- Renee, chciałam ci coś powiedzieć.

- Dobrze.

- Ja jestem... ja... - westchnęła. - Nie wiem, jak to wyjaśnić. Profesorowi Blissowi lepiej to wychodzi.

Wyprostowałam się.

- Nie musisz mi tłumaczyć. Wiem. Eleanor zmarszczyła czoło.

- Wiesz?

- Jesteś nieumarłą. Eleanor opuściła ramiona.

- Tak. Jak się dowiedziałas?

- Dante.

Eleanor spojrzała na swoje stopy i się wycofała.

- Pewnie myślisz, że jestem potworem. .

Pokręciłam głową. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, w końcu spytałam:

- Jak to jest?

- Zmartwychwstać? - Zamknęła oczy. - To jakby obudzić się ze snu. To trochę tak, jak wtedy, gdy zdrzemniesz się po

południu, a potem nie wiesz, gdzie jesteś i jaki to dzień, a granica między wczoraj, dziś i jutrem jest zupełnie rozmyta.

Zaśmiała się gorzko. Zapanowało milczenie, obie myślałyśmy o tym, co się wydarzyło. Wyobraziłam sobie, jak Eleanor tonie,

sama w piwnicy. To była przerażająca wizja.

- Najwyraźniej życie po śmierci jednak istnieje - dodała Eleanor, a ja zrozumiałam, że ma na myśli emocjonalne życie po

śmierci. Popatrzyła na mnie, czekając na odpowiedź, jej oczy szukały potwierdzenia tych słów.

- Tak... Myślę, że tak właśnie jest.

To ją uspokoiło. Przeczesała ręką włosy i spytała:

- Co byś zrobiła, gdyby zostało ci tylko kilka dni życia?

Zastanowiłam się, robiąc przegląd tego wszystkiego, co zawsze chciałam zrobić - wędrować z plecakiem po Himalajach,

zobaczyć piramidy, przejechać samochodem przez Stany Zjednoczone, nauczyć się hiszpańskiego, mieszkać w mieście, a potem

na wsi, napisać powieść - lista nie miała końca.

- Myślę, że spędziłabym ten czas z ludźmi, na których mi zależy.

Eleanor się zastanowiła.

- Ja też.

Zwinęłam się na kołdrze i opowiedziałam jej o teczkach, Cassandrze, o tym, jak przypadkiem zabiła Benjamina, i w końcu o

Dantem.

- Jak myślisz, co się stało z Cassandra? Myślisz, że Minnie ma rację i naprawdę ją pogrzebano?

Eleanor wyglądała na zafrasowaną.

- Nie - rzuciła w końcu.

- No właśnie - przytaknęłam szybko. - Nie mogliby tego zrobić.

Leżałyśmy tak aż do świtu, rozmawiając o tych wszystkich rzeczach, które chciałybyśmy zrobić, o miejscach, które

chciałybyśmy zobaczyć, i o tym, kim chciałybyśmy być.

W połowie marca (w idy, jak wyrażała się złowieszczo profesor Urquette), ociepliło się i zaczął topnieć śnieg. Spływał ze

ścieżek, odsłaniając powoli teren i jego tajemnice - zrudziałą trawę, przygniecioną i pomiętą, ławki, posągi i fontanny, frisbee,

szpadle i rękawice, które przypadkiem pozostawiono na dworze.

Rzadko widywałam teraz Nathaniela, był zajęty szkolnym przedstawieniem, w którym grał jedną z głównych ról - Elektrę.

Czasem powtarzałam z nim jego rolę po lunchu. Nigdy bym nie przypuszczała, że zainteresuje się sztuką. Wydawało mi się, że

lepiej się czuje w towarzystwie liczb niż angielskiego. Ale gdy zdejmował okulary i zaczynał deklamować swoje kwestie,

zmieniał się nie do poznania, jego głos stawał się głęboki, mocny i zupełnie inny. Poza tym spotykaliśmy się tylko na lekcjach.

Matematykę mieliśmy w sali Pi, nazywaną zwykle pokojem Pi, dla odróżnienia od deserowej części stołówki.

Profesor Chortle był okrągły i miał wygląd cherubina. Do tego cienkie wargi i różowe policzki, istne uosobienie

niewinności. Wyglądało na to, że całą młodość spędził głównie na rozmyślaniach o matematyce. „Liczby urojone” - napisał na

tablicy.

- Liczby urojone to liczby, które istnieją w innym świecie niż nasz, dlatego też możemy jedynie poczuć ich obecność... -

Wszystkie wykłady profesora Chortle'a, bez względu na to, czego dotyczyły, wprowadzały słuchaczy w trans. Miało się

wrażenie, że myślami jest gdzieś indziej, gdzie można leżeć na trawie, jeść jabłko i rozmyślać nad nieskończonością, wśród

pejzaży Leonarda da Vinci.

Gryzłam długopis. Nathaniel siedział obok mnie, nie odrywając wzroku od tablicy.

- Na przykład, gdy ktoś zachowuje się, jakby był starszy, niż jest w rzeczywistości, zwykle oznacza to, że ma za sobą wiele

urojonych lat - wyjaśnił profesor.

Oderwałam róg kartki z zeszytu i napisałam:

„Myślisz, że z Eleanor wszystko w porządku?”

Byłam pewna, że Nathaniel jest nieumarłym, ale do tej pory się nie zdradził. Co miałabym mu powiedzieć? „Hej, jesteś

martwy?" Ale teraz, gdy Eleanor również stała się nieumarłą, nie mogłam dłużej milczeć. Złożyłam kartkę i rzuciłam mu na

kolana, gdy profesor Chortle nie patrzył.

Zaskoczony Nathaniel zerknął na świstek, a potem odwrócił się do siedzącego za nim Yagona, spojrzał na niego wilkiem i

zrzucił kartkę na podłogę.

Usiłowałam zwrócić na siebie jego uwagę, ale był zbyt zajęty wykładem, w końcu straciłam ołówek na podłogę, wychyliłam

się przez przejście między ławkami i podniosłam kartkę. Tym razem napisałam na wierzchu jego imię i znów rzuciłam mu na

kolana. Nathaniel już miał się odwrócić, gdy spostrzegł mój wzrok. Zrozumiał, rozłożył kartkę i coś odpisał.

„Tak myślę. Czemu miałoby nie być?"

Zastanowiłam się nad odpowiedzią.

„Wygląda na wyczerpaną, ale nie śpi i nie je. Nigdy nie jest jej zimno, ale nie zwraca na to uwagi. Nie cieszą jej te rzeczy, co

dawniej. Przez cały czas mówi o śmierci".

Nathaniel przeczytał, co napisałam. Chyba był zdumiony, że wiem. Czekałam, aż odrzuci kartkę, rozwinęłam ją

niecierpliwie.

„To brzmi, jakby miała depresję".

Jego odpowiedź zbiła mnie z tropu. Nathaniel był nieumarłym, byłam tego pewna. Byłam też pewna, że on wie, o czym

mówię, a jednak z jakiegoś powodu udawał głupka. Odrzuciłam mu kartkę.

„Wiem, kim jesteś".

Czytając to, Nathaniel unikał mojego wzroku. „Nie mam pojęcia, o co ci chodzi" - brzmiała odpowiedź.



Pokręciłam głową, trzymając ołówek nad kartką nie wiedząc, co odpisać. Czemu mnie okłamywał?

„Nie musisz udawać. Nie ma w tym nic złego. Nikomu nie powiem”. Odpisał szybko.

„Dzięki, ale nie wiem, o czym miałabyś nie mówić. Czego udawać? Będziesz jutro na przedstawieniu?”

Wiedziałam, że Nathaniel jest niepewny siebie, ale nie przypuszczałam, że będzie z takim uporem zaprzeczał. Zgniotłam

kartkę w rękę i skinęłam głową.

Przedstawienie miało się zacząć o zachodzie słońca, pod wielkim dębem. Po feriach Eleanor nie czuła się dobrze w tłumie.

Wszyscy wytykali ją palcami i szeptali, dlatego zamiast na przedstawienie, wymknęła się do biblioteki nadrobić zaległości. Ja

spotkałam się z Dantem przed stołówką i poszliśmy razem.

Rzędy ławek ustawiono na brzegu polany, którą rozświetlało sześć dużych pochodni ustawionych w półkolu. Dante wziął

mnie za rękę i zaprowadził na koniec widowni. Znaleźliśmy miejsce na brzegu trawnika, pod wielkim klonem i usiedliśmy.

Wprawdzie nie widzieliśmy zbyt wiele, bo scenę zasłaniali nam ludzie siedzący przed nami, ale nam to nie przeszkadzało.

Wkrótce gwar rozmów ucichł i kilku uczniów, z Gideonem na czele, weszło na scenę i stanęło wewnątrz pierścienia pochodni.

Udawałam, że oglądam sztukę, ale jedyne, co mnie interesowało, to Dante siedzący obok mnie, jego koszula ocierała się o

moją rękę. Przez ciemniejące wierzchołki drzew ledwo mogłam zobaczyć budynki otaczające szkołę, każdy z wykutym

imieniem filozofa. Niewyraźne bryły przypominały o tym, że otaczają nas zmarli.

Dante przysunął się bliżej mnie, aż nasze ręce się dotknęły. W upiornym świetle pochodni chór mówił o morderstwie i

zdradzie, oplatając nas głosami ze świata starożytnego.

- „Mężnaś... - szepnął Dante razem z chórem na scenie. - Z nieszczęścia twoje zrodziło się męstwo. .”

Oparłam głowę na dłoni i popatrzyłam na niego, wstrząśnięta.

- Czy znasz na pamięć wszystkie książki?

- Miałem dużo czasu - odparł. - I to nie jest takie trudne, jak się wydaje.

Ujął moje dłonie, posadził mnie na kolanach i objął.

- Dwoje kochanków, skazanych na śmierć - wyjaśnił, całując delikatnie moje ucho. - Zabitych z powodu zazdrości.

- Skazanych na śmierć - wymruczałam, patrząc w noc.

- „Taki z tych murów bije zaduch, jak z mogiły.. ” - i powtarzał Dante jednocześnie z aktorem grającym kochankę

Agamemnona, Cassandrę.

To była również moja historia. Zamknęłam oczy. Słuchałam słów i pragnęłam, żebyśmy znaleźli się gdzieś indziej,

gdziekolwiek, jakby mogło to coś zmienić. Dante miał umrzeć, a ja nie mogłam nic na to poradzić.

Popatrzył na mnie, w jego oczach były smutek i łzy.

- „Pójdę już: mogę przecie i tam opłakiwać Agamemnona dolę i własną. Dość życia! [3](#)”

- „Dość życia...” - Oparłam czoło o jego czoło. Nasze palce i nogi splotły się, jakbyśmy byli dwojgiem ludzi w jednym ciele i

razem słuchali opowieści, napisanej przez Ajschylosa tysiące lat temu, o obsesji { i namiętności, o zemście, klątwie i kochankach,

skazanych na śmierć.

Ale w pewnej chwili nasz sen na jawie przerwała nienaturalna cisza. Odwróciliśmy się w stronę sceny, gdzie stał chłopak

grający Orestesa.

*3Ajschylosa Agamemnon, tłum. Stefan Srebrny [w:] Antologia tragedii greckiej, Kraków 1989.*

Wszyscy na widowni wpatrywali się w niego bez słowa. Chłopak powtórzył swoją kwestię i zrobił krok w tył, dając pani

Urąquette rozpaczliwe znaki.

Publiczność zaszemrała.

- Zapomniał roli? - spytał ktoś. Wpatrzyłam się w scenę.

- Teraz powinien się zjawić Nathaniel - powiedziałam do Dantego. - Powtarzałam z nim jego rolę. Gdzie on się podział?

W tym momencie zza pochodni ktoś wypchnął na trawnik kościstego chłopaka.

- To nie jest Nathaniel. - Patrzyłam na bladego rudzielca.

To był jego dubler, tyczkowany gość z trzeciego roku, Kurt Mayburg. Nie miał na sobie kostiumu i sprawiał wrażenie

kompletnie nieprzygotowanego. Orestes powtórzył swoją kwestię, a Kurt już otwierał usta, gdy nagle zapadła się pod nim

scena. Jeszcze usiłował się czegoś złapać, ale w końcu zniknął pod ziemią.

Publiczność zastygła, nie wiedząc, czy jest to część przedstawienia, czy nie. Wyciągałam szyję, usiłując zobaczyć, co tam się

stało. Ktoś z przedniego rzędu krzyknął, wśród publiczności zapanował chaos.

Dante i ja wstaliśmy. Dyrektorka von Laark, profesor Bliss, profesor Lumbar i panna LaBarge już przepchnęli się przez tłum i

przyklękli przy dziurze pod wielkim dębem, dyrektorka wykrzykiwała polecenia do profesora Blissa, który zaczął schodzić do

wyrwy.

Wszyscy biegali między rzędami ławek, jedni krzyczeli, inni usiłowali przepchnąć się do przodu.

Nagle czyjaś ręka wysunęła się z otworu i chwyciła za krawędź. Profesor Lumbar i Profesor Chortle wyciągnęli kogoś na mokrą

trawę.

Zacisnęłam ręce na kołnierzyku. To był Nathaniel, wiedziałam, że to on, mimo że był cały w ziemi i nie mogłam zobaczyć

twarzy. Przeciskałam się przez tłum, Dante szedł tuż za mną, ale zobaczyłam tylko profesora Blissa wychodzącego z dołu z

Kurtem, który ka-słał i wytrząsał ziemię z włosów. Wszyscy pochylili się nad Nathanielem. Podbiegły do niego dwie

pielęgniarki, sprawdzały puls, słuchały bicia serca, podnosiły mu powieki, świeciły w źrenice małymi latarkami. Nathaniel nie

reagował.

Gdy w końcu przedarłam się do przodu, niesiono go już do skrzydła szpitalnego. Pani Lynch i kilka osób z administracji

odsuwali uczniów od dołu.

- Jak się czuje Nathaniel? - pytałam wszystkich, ale nikt nie umiał mi odpowiedzieć.

Zobaczyłam Annette LaBarge, stała razem z dyrektorką i profesorkami Lumbar i Urquette na odludnym kawałku trawnika.

Podeszłam i znieruchomiałam. Dante był tuż za mną.

- Wyraziłaś na to zgodę? - powiedziała profesor Lumbar tak cicho, że wydawało mi się, że źle usłyszałam. Spojrzałam na

Dantego.

- Co ona ma na myśli?

Dante pokręcił głową i przyłożył palec do ust. Może chodziło o to, czy dyrektorka zgodziła się na wystawienie sztuki nad

katakumbami?

Dyrektorka wyglądała na wzburzoną tym pytaniem.

- Nie. I to nie jest odpowiednie miejsce do omawiania takich kwestii.

- Ktoś atakuje uczniów, Calysto - gorączkowała się profesor Lumbar. Obok smukłej panny LaBarge wyglądała jak kamienna

forteca. Oparła ręce na biodrach niczym więzienny strażnik. - Nie ma czegoś takiego jak odpowiednie miejsce.

- Edith ma rację - odezwała się panna LaBarge. - Powinniśmy odesłać uczniów do domu. W szkole przestało być

bezpiecznie. Najpierw wypadek zeszłej wiosny, potem Eleanor Bell, teraz to.

- Tamta sprawa nie ma z tym nic wspólnego. - Dyrektorka wpatrywała się w dziurę w ziemi. - Wszystko jest pod kontrolą.

- Ma, i to bardzo wiele - odparła panna LaBarge. - Nie możemy ignorować faktów. Troje uczniów nie żyje, Nathaniel może

już nigdy nie dojść do siebie, a skoro nadal nie znamy sprawcy, nie powinniśmy pozwolić uczniom na pozostanie w szkole.

Głos dyrektorki był zimny i ostry.

- Wystarczy. Zapominasz się, Annette. Sprawa jest zamknięta.

Dyrektorka ruszyła w stronę Kolegium Archebalda.

- Zasypcie ten dół - rozkazała robotnikom, mijając ich. - To niebezpieczne.

Przysunęłam się do Dantego i przemknęliśmy obok pani Lynch do krawędzi wyrwy. Ziemia obsunęła się się, gdy

przykłękałam. Otwór był głęboki, na dole tworzył jakby jaskinię. Może to część systemu tuneli. Katakumby, pomyślałam, patrząc

na korzenie wielkiego dębu, które przebijały sklepienie jaskini, wisząc pośrodku niczym poskręcany drewniany żyrandol.

W miejscu, gdzie spadł Kurt, leżała górka ziemi, patyków i trawy.

- Ktoś chciał pogrzebać go żywcem - powiedziałam do Dantego. - Tak jak Cassandrę. Ale kto mógłby to zrobić? I czemu pod

sceną?

- Ktoś, kto chciał, żeby znaleziono Nathaniela - wymruczał Dante, pogrążony w myślach. - Tak samo jak Eleanor. Ten, kto ją

zabił, chciał, żeby została znaleziona. Dlatego utopił ją w piwnicy, a nie w jeziorze. Chciał, żeby stała się nieumarłą...

Pani Lynch zaganiała wszystkich do internatu, nauczyciele zebrali się pod dębem, żeby ustalić, co robić dalej. Kiedy się

podnosiłam, wyczułam w ziemi coś twardego, rozsunęłam ją i zobaczyłam okulary Nathaniela. Wytarłam je brzegiem koszuli i

niespiesznie dołączyliśmy do reszty uczniów. Gdy mijaliśmy nauczycieli, zwołam.

- Jak to się mogło stać! - narzekwała profesor Lumbar. - Straż Uczniowska patroluje teren przez całą noc, a dyrektorka nie

miała o tym pojęcia.

O czym? O patrolowaniu terenu?

- Kto dzisiaj miał dyżur? - spytała panna LaBarge.

- Brandon Bell - oznajmiła profesor Lumbar złowieszczo, jakby to czyniło całą sprawę jeszcze bardziej niepokojącą.

- Myślicie, że za tym stoi jakiś uczeń? - spytała profesor Urquette.

- Nie wiem. W tej chwili jedyne, co możemy zrobić, to przeprowadzić staranne śledztwo i mieć nadzieję, że chłopak wie, kto

go zaatakował - odparła profesor Lumbar.

Byłam pewna, że nic nie znajdą. W akademii, tak jak w greckiej tragedii, do przemocy dochodziło zawsze poza sceną.

### **Pogrzebanie Nathaniela Welcha**

Nie mogłam spać. A ponieważ Eleanor również nie spała, rozmawiałyśmy, dopóki słońce nie wychyliło się zza gór. Z okna

naszego pokoju widziałyśmy nauczycieli krążących między skrzydłem szpitalnym a internatem chłopców, światła latarek

unosily się nad ścieżkami niczym świetliki. Nie mogłam pozbyć się wrażenia deja vu.

Rano poszłam prosto do skrzydła szpitalnego, mieszczącego się na czwartym piętrze Kolegium Archebal-da. Zapukałam.

Drzwi się nagle otworzyły, a ja omal nie wpadłam do środka, ale przytrzymałam się futryny.

Wychyliła się pielęgniarka.

- W czym mogę pomóc?

Była niska i krępa, miała grube palce, ścisły koczek pod siatką na włosy, ciemną grzywkę i plakietkę z wypisanym imieniem

„Irmgard”. Sprawiała wrażenie osoby bardzo nieszczęśliwej.

- Chciałabym zobaczyć Nathaniela Welcha.

- Przykro mi, ale nie wolno go odwiedzać - odparła i zaczęła zamykać drzwi.

- Jestem jego przyjaciółką!

- Stan pana Welcha nadal jest niestabilny - upomniała surowo. - Jeżeli nie masz problemów ze zdrowiem, to te odwiedziny

muszą poczekać do jutra.

- Proszę - powiedziałam.

Zniknęła w środku i przez chwilę myślałam, że mnie wpuści. Niestety, już wkrótce stałam oko w oko z dyrektorką von

Laark.

- Renee. - Przyglądała mi się wyczekująco. - Jesteś chora?

- Nie - odparłam, wyciągając szyję i usiłując zobaczyć, co się dzieje za nią. Na korytarzu siedział Brandon Bell i przeglądał

jakiś zeszyt.

- W takim razie nie powinno cię tu być. Zdaje się, że masz teraz wychowanie fizyczne, prawda?

Pokonana, skinęłam głową i wycofałam się, drzwi się zamknęły.

Przebiegłam przez kampus, prosto do stołówki, jednak gdy weszłam do środka, poczułam, że nie jestem głodna. Wzięłam tylko

ze stołu solniczkę i schowałam ją do kieszeni.

Gdy dotarłam do trawnika, reszta klasy już się zebrała nad jeziorem, przed posągiem Wielkiej Niedźwiedzicy. Poranek był

mglisty i chłodny, w oddali pohukiwała sowa. Wszyscy rozmawiali o Nathanielu.

- To musiał być jakiś uczeń - mówiła Rebecca. -Ktoś, kto go znał. To nie był przypadek, że zakopano go dokładnie pod sceną.

- Ale dlaczego Nathaniel? - spytała Greta.

A dlaczego Eleanor? - spytałam siebie. Co oni mieli wspólnego? Mnie, pomyślałam.

Na szczęście nie miałam czasu zastanawiać się nad tym odkryciem, spomiędzy drzew wyszła nasza nauczycielka WF-u, Miriam

Hollis. Wyglądała jak mężczyzna, rozsadzała ją energia i miała męski głos, który przechodził w pisk, gdy była wzburzona.

Przez cały czas nosiła szorty, nawet wieczorem, gdy robiło się zimno.

- Nie wiedziałam, że pora na drzemkę. - Sprawdziła godzinę. - No dobrze. Więcej życia.

Wychowanie fizyczne bardziej przypominało szkołę przetrwania. Na każdej lekcji mierzyliśmy się z jakimiś trudnościami,

które wymagały od nas nie lada umiejętności. Strzelanie do ptaków z procy. Ucieczka przed potencjalnym napastnikiem.

Budowanie szałasów, podczas burzy w środku lasu, co jak dotąd było najbardziej nieprzyjemnym doświadczeniem.

- Pływanie! Każdego roku tysiące ludzi ginie w zimnej wodzie. Dlaczego? Ponieważ nigdy nie doskonalili swoich umysłów

i nie kontrolowali swoich ciał! Dlatego dzisiaj będziemy się uczyć, jak przystosować się do niskiej temperatury wody i jak

utrzymać się na powierzchni.

Podniosłam rękę.

- Źle się czuję, czy mogę iść do pielęgniarki?

- Nie ma mowy - odparła. Westchnęłam. Cóż, warto było spróbować.

- Jedynie martwi unoszą się na powierzchni, ponieważ nie mogą utonąć. Musicie sprawić, by wasze ciało czuło się równie

dobrze nad, jak i pod wodą. Nasze pierwsze ćwiczenie będzie polegało na unoszeniu się na powierzchni wody przez trzydzieści

sekund, bez poruszania rękami i nogami.

Ustawiliśmy się rzędem na trzeszczącym pomoście, gdzie nawet przy brzegu było głęboko. Lustro wody było ciemne i

nieruchome. Gdy wszyscy się rozbierali do kostiumów kąpielowych, poszłam na koniec szeregu i wyjęłam z kieszeni solniczkę.

Nie miałam ochoty pływać, ale skoro dyrektorka mnie widziała, musiałam pojawić się na lekcji. Musiałam też zobaczyć

Nathaniela. Na pewno widział napastnika, który pogrzebał go żywcem, musiał go widzieć.

Pani Hollins przechadzała się wzdłuż szeregu, wykrzykując polecenia.



- Podciągnij szorty - poleciła Brettowi. Podciągnął, a ona przewróciła oczami. - Wyżej! Nikt nie chce oglądać twoich

pośladków! - Brett poczerwieniał, kilka dziewcząt zachichotało.

- Rebecca chce - szepnęła Bonnie. Odkręciłam solniczkę, upewniłam się, że nikt nie patrzy, wsypałam do ust sporą garść soli i przełknęłam.

Nikt niczego nie zauważył. Emily Wurst ścisnęła ręcznik, który z trudem osłaniał jej ogromną sylwetkę. Jednym szybkim

ruchem pani Hollis złapała go i odrzuciła na bok. Kilku chłopców zaczęło chichotać, ale przestali, gdy nauczycielka podeszła do

nich i zmiażdżyła ich wzrokiem. Zaczęłam się pocić. Po mojej skórze przebiegł dreszcz, zadygotałam. Usiłowałam nad tym

zapanować, ale nie mogłam. Oddychając coraz głębiej, pochyliłam się nad ziemią.

- Stań prosto! - rozkazała pani Hollis do Neila Simonsa, który się garbił, drapiąc się po nosie. - I na litość boską, przestań

dłubać w nosie!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ten dźwięk mnie niemal ogłuszył, zasłoniłam uszy rękami.

- Wyprostuj się - powtórzyła pani Hollis, tym razem do Minnie Roberts. Jej nierówny warkocz wydawał się teraz jeszcze

dłuższy. Moje oczy zaczęły łzawić, zamrugałam, patrząc, jak świat zwalnia. - Stań prosto - powiedziała do mnie. Jej słowa

zahuczały mi w uszach. Nogi odmówiły posłuszeństwa, a kolana się ugięły, pochyliłam się i z pluskiem wpadłam do wody.

Szok spowodowany zimną wodą ścisnął mi płuca, wybijając z nich powietrze. Udało mi się na chwilę wynurzyć, a potem

znowu poszłam pod wodę, nie byłam w stanie utrzymać się na powierzchni. W przeciwieństwie do świata na górze, ten pod

wodą był wytłumiony i niewyraźny. Wszystko poruszało się powoli i bezgłośnie - wodorosty falowały, ryby sunęły między

kamieniami i roślinami. Usiłowałam się zmusić do ruchu, ale było tak przeraźliwie zimno...

A potem coś uderzyło w wodę nade mną. Początkowo widziałam tylko białą smugę wpadającą do jeziora. W końcu przede

mną zamajaczyła postać. Zrozumiałam, że to Dante, jego koszula zafalowała. Światło słońca przebiło się przez wodę. Podpłynął

szybkodo mnie, chwycił mnie za rękę i zaczął wyciągać na powierzchnię.

Wyłynęliśmy, zakrztusiłam się wodą. Gdy wyciągał mnie na pomost, zarzuciłam mu ręce na szyję. Wszyscy skupili się

wokół nas, ale pani Hollis ich odepchnęła. Dante wziął czyjś ręcznik i przykrył mnie. Błądziłam wzrokiem po jego sylwetce, od

spodni przyklejonych do ud po prześwitującą i mokrą koszulę. Jego skóra lśniła w słońcu, pierś unosiła się i opadała, woda

spływała z włosów na szyję. Skąd on się tu wziął? Nie był w mojej grupie.

Wszyscy pochylali się nade mną, ich twarze zlały się w jedno.

- Renee - powiedział jakiś głos - trzymaj się. Skinęłam głową i zamknęłam oczy. Poczułam, jak podnoszą mnie czyjeś ręce, jak ktoś niesie mnie przez trawnik, między drzewami, ścieżką do Kolegium Arche-balda.

- Renee, dobrze się czujesz? - zapytał Dante, gdy już nikt nie mógł nas słyszeć.

Skinęłam słabo głową.

- Widzisz mnie? Ile palców pokazuję?

Zamrugalam. Włosy przykleiły mi się do twarzy; jedyne, co widziałam, to mieszaninę rozmazanych barw. Może właśnie tak

Dante widział.

- Zjadłam sól - wyjaśniłam słabym głosem. - Muszę zobaczyć Nathaniela, a to był jedyny sposób, żeby się do niego dostać.

Starł wodę z moich brwi.

- Cii - uspokoił mnie łagodnie. - Nic nie mów. Odpoczywaj.

- Skąd się tam wzięłeś? I

- Szedłem do bramy, gdy zobaczyłam cię ze ścieżki. Potem wpadłaś do wody, więc ruszyłem ci na

pomoc.

Zamknęłam oczy, i tak jedyne, co widziałam, to zarys twarzy Dantego, białej i jasnej jak słońce.

- Dziękuję... Siostra Irmgard zmarszczyła brwi, widząc mnie ponownie, a ze sposobu, w jaki rozmawiała z Dantem,

wywnioskowała, że ma poważne wątpliwości co do mojego stanu. Jednak gdy przyłożyła dłoń do mojego czoła, a potem

zbadła puls, jej spojrzenie stało się poważne i skupione.

- Co jej się stało? - zapytała Dantego, który nadal trzymał mnie na rękach.

Dante zerknął na mnie.

- Zjadła sól.

Pielęgniarka rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Czemu miałyby to zrobić?

- Stołówkowe jedzenie jest raczej mdłe.

Siostra Irmgard nie doceniła jego poczucia humoru. Zawołała inną pielęgniarkę, którą nazywała Wendy, i poleciła:

- Przygotuj pokój numer 3 i kroplówkę. Puls dziewięćdziesiąt.

- Wszystko będzie dobrze, prawda? - zapytał Dante. Wendy zniknęła, a siostra Irmgard zignorowała jego

pytanie, poszła korytarzem do izby przyjęć.

- Połóż ją tutaj - poleciła i Dante umieścił mnie delikatnie na kozetce. Stał z boku, gdy osłuchiwała mnie stetoskopem i

mierzyła mi ciśnienie. Gdy zrozumiała, że jeszcze tu jest, wyprosiła go.

Dante próbował protestować.

- Mogę zostać?

- Absolutnie nie - zaprzeczyła, a jej zęby zgrzytnęły. Zanim jednak Dante zdążył wyjść, do izby przyjęć weszła dyrektorka.

Pielęgniarka pochyliła się nad stolikiem z lekarstwami.

- Pan Berlin - powiedziała, a potem zauważyła mnie na kozetce. - I panna Winters. Jak szybko z powrotem. - Przeszła przez

pokój, jej obcasy stukały o podłogę.

- Wpadłam do jeziora - tłumaczyłam słabo.

- Zjadła sól, oto, co zrobiła - rzuciła niecierpliwie pielęgniarka. - I napiła się sporo wody. Musi teraz odpocząć.

- Pan Berlin skoczył za nią do jeziora? - zapytała dyrektorka w zamyśleniu.

Nikt nie odpowiedział.

- Jakie to rycerskie - zwróciła się do Dantego. - Jakby znajome?

Co chciała przez to powiedzieć?

- Wprawdzie bardzo mi miło, że tak często widuję was w różnych sytuacjach kryzysowych, nie tracę jednak nadziei, że

doczekam się dnia, w którym zaczniecie poświęcać więcej uwagi nauce. - Postukała palcami w stół.

Milczeliśmy. Dyrektorka bez słowa wyszła.

- A teraz wypoczywaj - powiedziała siostra Irm-j gard. - Zostawię cię na obserwacji, ale na pewno nic ci nie będzie.

Chciałam coś dodać, ale z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk. Popatrzyłam na pielęgniarkę po raz ostatni i zasnęłam.

Obudziłam się. Wypłynęłam z ciemności w mżące światło jarzeniówek. Skrzydło szpitalne było jedynym miejsce w

kampusie, gdzie można było zapalać światło elektryczne po zachodzie słońca. O dziesiątej pielęgniarka zbadła mnie po raz

ostatni i poszła do swojego pokoju. Poczekałam, aż drzwi się zamkną i światło zgaśnie, i wstałam. Moje ubranie leżało na blacie,

przej-rżałam je, szukając kurtki i wyjęłam z kieszeni okulary ! Nathaniela.

Szłam przez korytarz w szpitalnej koszuli. Mijałam kolejne sale, zaglądając do środka przez szyby w drzwiach, aż

wreszcie znalazłam Nathaniela. Pchnęłam cicho drzwi.

Kiedy weszłam do środka, w nos uderzył mnie ostry zapach. Musiałam na chwilę oprzeć się o ścianę. Odór był podobny do

palonych włosów w czasie seansu, tylko mocniejszy i bardziej intensywny. Zapach rozkładu. Co się dzieje, gdy nieumarli zostają

pogrzebani? Otworzyłam okno, do pokoju wpadł wiatr, moja koszula załopotała.

Nathaniel leżał na łóżku, pod białym cienkim prześcieradłem widać było zarys kruchej ciała. Krążyła nad nim wielka

czarna mucha, odgoniłam ją. Na twarzy miał ziemiste smugi, oczy zamknięte. Bez okularów wyglądał na starszego i

zmęczonego - znacznie starszego niż był w rzeczywistości. Policzki zapadły się, pod oczami pojawiły się sińce. Obok łóżka

stało składane krzesło, usiadłam na nim, patrząc, jak Nathaniel porusza się na łóżku. Miało się wrażenie, że śpi, ale

nieumarli nigdy nie sypiali.

- Renee - szepnął, mrużąc oczy. Podskoczyłam z wrażenia. Nie wiedziałam, że jest przytomny.

- To ja.

- Co tu robisz?

- Musiałam cię zobaczyć i zjadłam trochę soli. Wbił we mnie spojrzenie.

- Jak się czujesz?

- Super - głos mu się załamał. - Za kilka dni mnie wypuszczą.

Nie byłam tego taka pewna, wyglądał, jakby nie miał siły nawet usiąść.

Pomacał ręką szafkę, szukając okularów.

- Wiesz, że sól jest konserwantem? - zapytał. Cały Nathaniel. Leży na łożu śmierci i jak gdyby nic opowiada o właściwościach chemicznych soli.

- Mam je. - Podałam mu zgubę. - Znalazłam na trawniku.

- Dzięki. - Drżącymi palcami założył okulary na nos.

- Lepiej?

-

W porządku. Jestem tylko zmęczony. Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem. Nie wyglądał dobrze.

- To nic - powiedział słabym głosem, jakby brakowało mu tchu. - Jedynie trochę ziemi.

Usiadłam na krześle. Nadal nie chciał się przyznać, że jest nieumarłym.

- Zostałeś pogrzebany. Oboje wiemy, co to dla ciebie znaczy. Nie musisz mnie okłamywać. Wiem, kim jesteś, i nie ma to dla

mnie żadnego znaczenia.

Dotknęłam jego ręki, ale ją cofnął.

- W porządku - uspokoiliam go. - Jesteś w porządku. Przez kilka minut panowała cisza, w końcu się odezwałam:

- Jak to się stało?

- Gdy pokazałaś mi teczki, które znalazłaś w pokoju Gideona, zainteresowało mnie to. Wróciłem, żeby je przejrzeć, ale

zniknęły. Byłem pewien, że to Gideon, że cię śledził i zabrał je z powrotem, więc wśliznąłem się do jego pokoju, żeby ich

poszukać.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

- Nie wiem. Nie jestem taki jak ty. Nie mówię wszystkiego od razu.

Gniotłam brzeg szpitalnej koszuli. Nathaniel dostał ataku kaszlu; chciałam mu przynieść szklanek wody, ale odmówił.

- Trochę to trwało, ale w końcu je znalazłem. Przy okazji natknąłem się też na pamiątnik Eleanor.

Pokręciłam głową.

- Jak to? - Kompletnie zapomniałam, że został skradziony!

- Znalazłem go w pokoju Gideona, w środku były jego notatki po łacinie, dokąd Eleanor chodzi i co robi. Niektóre punkty

jej rozkładu zajęć były zakreślane, jakby uczył się ich na pamięć.

A więc to Gideon zabił Eleanor, pomyślałam. Ale dlaczego?

- Czemu nikomu nie powiedziałaś? - zapytałam wstrząśnięta. - Nadal go masz?

- Nie. Zabrałem go z pokoju Gideona i pobiegłem do gabinetu dyrektorki, i po drodze wpadłem na polanie na Brandona

Bella. Pomyślałem, że skoro jest w Straży Uczniowskiej, to równie dobrze mogę pokazać go jemu.

Ale gdy Brandon zobaczył teczkę Eleanor, jej pamiętnik i te wszystkie notatki, dostał szału. Zaczął mnie oskarżać o napaść na

Eleanor, pytał, czemu to zrobiłem, obrażał mnie. Ciągłe powtarzał: „Dlaczego ją zabiłeś?, Dlaczego ją zabiłeś?” Próbowałem mu

wyjaśnić, że przecież ona żyje, ale to tylko rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Tłumaczyłem, że to nieporozumienie, że to Gideon

ukradł jej pamiętnik, ale on był zbyt wściekły, by mnie usłyszeć. Zaciągnął mnie do internatu chłopców i tam zamknął w

schowku na szczotki. Gdy mnie wypuścił, trzymał w ręku szpadel i jutowy worek. Próbowałem się wyrwać, ale był silniejszy.

Zakneblował mnie, założył mi worek na głowę i wyprowadził na polanę.

Przez cały czas powtarzał: „Ukarzę cię dla przykładu, tak jak ty to zrobiłeś z Eleanor. W końcu zrozumiecie, czym grozi

zabijanie niewinnych ludzi!” W pewnym momencie zatrzymaliśmy się, zawołał go profesor Chortle. Próbowałem krzyczeć, ale

nie mogłem, słyszałem, jak Brandon kłamię, że powtarzamy rolę przed przedstawieniem. Profesor Chortle był niezorientowany

w temacie i mu uwierzył. Brandon zaprowadził mnie na polanę, a co się stało potem, już wiesz.

Zatkało mnie z wrażenia. Brandon pochował Nathaniela żywcem? To by znaczyło, że wiedział o nieumarłych! Wiedział, że

Eleanor stała się nieumarłą, że Nathaniel był nieumarłym. Albo to był kolosalny zbieg okoliczności..

- Ale jak? Dlaczego? Dlaczego Gideon zabił Eleanor, przecież ledwie ją znał? - spytałam.

- Nie wiem - odparł Nathaniel miękko. - Teraz to Brandon ma jej pamiętnik i tamte tecki.

Pewnie to właśnie pamiętnik przeglądał, gdy wcześniej tu byłem..

Nathaniel zaniósł się suchym kaszlem.

- Na pewno wszystko w porządku?

- Już ci mówiłem. Ale nie jestem pewien, czy z tobą wszystko w porządku.

Zmarszczyłam brwi.

- Co masz na myśli?

- Gideon miał również twoją teczkę. Nie zdążyłem do niej zajrzeć, ale na pewno tam była.

- Dlaczego miałby oglądać moją teczkę? Przecież nawet nie wie, kim jestem.

- Nie mam pojęcia. Ale widocznie jest w niej coś, co go interesuje. Pytanie, które powinnaś sobie zadać brzmi: czy ty wiesz,

kim jesteś?

## **Straż Uczniowska**

Była już noc, gdy wysliznęłam się ze skrzydła szpitalnego do internatu dziewcząt. Dantego nigdzie nie znalazłam, poszłam

do mojego pokoju, Eleanor nie było. Pewnie siedzi w bibliotece, pomyślałam. Zamknęłam drzwi. Tylko jeden człowiek mógł

udzielić mi odpowiedzi. Był ostatnią osobą, z którą chciałam teraz rozmawiać, ale nie miałam wyjścia. Podniosłam słuchawkę i

wykręciłam dziewięciocyfrowy numer. Po trzech sygnałach odebrał Dustin:

- Rezydencja pana Wintersa.

- Czy zastałam dziadka?

- Panienska Winters! - zdziwił się Dustin. - Oczywiście, jedną chwileczkę.

Czekałam, aż przełączy.

- Renee?

Moje imię, wymówione barytonem dziadka, zabrzmiało mocno i ostatecznie.

- Czego jeszcze mi nie powiedziałaś? - zapytałam. Zapadła długa cisza.

- Renee... Czy czułaś kiedykolwiek, że coś cię przyciąga?



Natychmiast pomyślałam o Dancem.

- Tak.
- Nie mówię o miłości, lecz o czymś innym, bardziej magnetycznym.

- Tak - wyrwało mi się.

- Dobrze. A czy pamiętasz, jak opowiadałem, że poprzedni dyrektorzy zbudowali tunele pod terenem szkoły w celu

zapewnienia bezpieczeństwa plebeju-szom?

- Tak.

- Podjęto jeszcze jeden środek. Utworzono Straż Uczniowską.

- Ale oni nic nie robią! Nawet nie pomagają pani Lynch patrolować korytarzy!

- Patrolowanie korytarzy nie należy do ich obowiązków.

Stropiona czekałam, co powie dalej.

- Straż Uczniowską tworzą żywi uczniowie, posiadający dar wyczuwania śmierci. Ciężko określić na pierwszy rzut oka, kto

jest żywy, a kto nieumarły. Strażnicy to potrafią i ta umiejętność, często dziedziczna, przejawia się już we wczesnym

dzieciństwie. Nauczyciele wyławiają takich uczniów w drodze testów kwalifikacyjnych i wybierają ich do Straży Uczniowskiej,

której rolą jest chronienie zarówno żywych, jak i nie-umarłych. Gdy strażnicy już zostaną wybrani, dyrektorka informuje ich o

nieumarłych, przedtem ich rozkład zajęć niewiele się różni od twojego. Jednak Straż Uczniowska służy nie tylko zapewnieniu

ochrony innym uczniom, to również początek treningu, który przygotowuje ich do tego, z czym mogą się zetknąć poza szkołą.

Po ukończeniu akademii większość strażników kontynuuje swoją pracę. Strażnicy są zjawiskiem unikatowym, przeszkoleni

strażnicy jeszcze rzadszym. Akademia jest jedną z kilku szkół rozwijającą specyficzne umiejętności osób, którzy są w stanie

pojąć, jak je wykorzystają.

- Czy nieumarli wiedzą o strażnikach?

- Wiedzą, że są ludzie, którzy potrafią wyczuwać śmierć. O samych strażnikach nie wiedzą.

- Dyrektorka von Laark jest strażniczką?

- Tak.

- I wszyscy nauczyciele?

- Zgadza się. Ścisnęłam słuchawkę.

- A więc dyrektorka i Straż Uczniowska mogą zabijać uczniów?

- Wyłącznie wtedy, gdy uczeń jest nieumarłym i złamał regułę wspólną dla całej społeczności uczniowskiej: nie zabijaj.

Słuchawka opadła mi na ramię, gdy w moim umyśle pojawił się rysunek Minnie. Straż Uczniowska pochowała Cassandrę, to

była kara za odebranie duszy Benjaminowi. Minnie przez cały czas miała rację...

- Czyli dyrektorka albo Straż Uczniowska mogą zabić nieumarłego? To nie jest w porządku.

- Dlatego właśnie istnieje Akademia Gottfrieda, żeby nauczyć nieumarłych, że nie wolno zabijać. I żeby nauczyć strażników

używania swoich umiejętności wyłącznie w ostateczności.

W przypadku Nathaniela to nie zagrało, pomyślałam. Brandon Bell był strażnikiem, dlatego wiedział o nieumarłych,

wiedział, kim stała się Eleanor. Ukarzał Nathaniela, nie dochodząc, czy ten naprawdę jest winien.

- To nie jest w porządku.

- Któż może zawyrokować, co tak naprawdę jest słuszne, a co nie? - zapytał dziadek.

- Czyli są profesorowie i jest Straż Uczniowska. Są jeszcze inni?

- Tak, są jeszcze inni strażnicy, choć generalnie są niezwykle rzadkością. Zwykle na jednym roku jest ich zaledwie kilku,

czasem tylko jeden. Mogą też różnić się poziomem umiejętności, których jest kilka, podobnie jak jest kilka poziomów bycia

nieumarłym, dlatego właśnie przeprowadzamy test kwalifikacyjny. Poziom wrażliwości na śmierć może być bardzo różny.

Mierny strażnik jest w stanie wyczuć szkielet ukryty w krzakiach oddalonych o kilka metrów, a więc podobnie jak zwykły

człowiek, ale nie zdołałby odnaleźć martwego ptaka po przeciwległej stronie kampusu. Do Straży Uczniowskiej wybiera się

jedynie najbardziej utalentowanych, szkoli się ich i trenuje. W przeciwnym razie byłoby to jak wręczenie naładowanego

pistoletu człowiekowi, który nie potrafi obchodzić się z bronią.

Zapadła długa cisza, próbowałam zrozumieć to wszystko, co właśnie usłyszałam, poukładać to sobie w głowie.

- Czyli strażnicy jednocześnie chronią i zabijają nieumarłych? Nie rozumiem.

- Strażnicy są łowcami, ale mogą być również sędziami. Cięży na nich ogromna odpowiedzialność. Muszą

zdecydować, czy nieumarły jest groźny, czy nie. Jeśli tak, strażnik może go pochować. Dlatego strażników, którzy potrafią

wyczuwać śmierć, nie może zastąpić policja. A ty jesteś jedną z nich.

- Ja? - Zdziwiłam się i zaczęłam myśleć o tych wszystkich rzeczach, które robiłam, nie wiedząc dlaczego, i które

przydarzały się tylko mnie. Czy to możliwe, że działo się tak dlatego, że byłam strażniczką? Byłam inna, zawsze byłam

inna. Ale to wydawało się zbyt proste...

- Nie... to po prostu... to nie może być prawda.

- Renee, masz wszystkie cechy strażnika.

- Ale ja nie mogę. . Niczym się nie wyróżniam! Nie mam żadnego specjalnego, szóstego zmysłu!

- Znalazłaś martwych rodziców w lesie.

- To był przypadek. Zobaczyłam samochód przy drodze. Zbieg okoliczności.

- Gdy byłaś pierwszy raz w tym domu, grałaś z Du-stinem w krokieta i znalazłaś martwego ptaka na brzegu trawnika.

- Bo tam potoczyła się piłka. To nie moja zasługa, to po prostu kiepskie uderzenie... - urwałam, przypominając sobie

pierwsze zajęcia z ogrodnictwa, gdy znalazłam martwego jelonka. Albo gdy odkryłam martwą mysz w bibliotece. Albo jak w

różnych zakątkach mojego pokoju znajdowałam martwe pająki i owady.

- Śmierć zawsze cię przyciągała, zawsze znajdowałeś jakieś martwe stworzenia. Potrafisz ją wyczuć i to było wiadomo od

dawna. Twoja mama opowiadała, że już jako mały brzdąc wracałeś z podwórka z martwymi owadami zaciśniętymi w rączce.

Podczas jednej z moich wizyt, miałeś wtedy jakieś sześć lat, znalazłeś za lodówką martwą mysz, uwięzioną w pułapce.

Cuchnęła, widocznie leżała tam od wielu dni, ale tobie to nie przeszkadzało. Przyniosłeś ją i pokazałeś nam przed obiadem.

Twój ojciec chciał ją po prostu wyrzucić, ale ty uparłeś się, żeby wyprawić jej pogrzeb. *Sepultura*, jak to nazywamy. Tak samo

postępowałeś ze wszystkimi swoimi zmarłymi zwierzątkami.

- *Sepultura* -powtórzyłam. Druga przyczyna śmierci w dokumentach Cassandry.

- Pochówek. Preferowany sposób zapewniania nie-umarłym wiecznego spoczynku, w każdym razie w tych okolicach.

Liczne reguły w akademii zostały wprowadzone w celu chronienia strażników podczas pełnienia obowiązków. Na przykład

gaszenie światła po godzinie policyjnej.

Ale w tej chwili nie interesowało mnie, co się kryje za szkolnymi regułami.

- Nie miałam pojęcia. Ale jeżeli jestem strażniczką, to chyba powinnam o tym wiedzieć intuicyjnie?

- Nieświadomi swego talentu strażnicy, tacy jak ty, trenują przez rok na jednych zajęciach, w czasie których nauczyciele

mają okazję ocenić ich umiejętności. W twoim przypadku to ogrodnictwo.

- Ogrrodnictwo? - powtórzyłam, myśląc o tym wszystkim, co robiliśmy na lekcjach. Zakopywanie cebulek, poznawanie

gleby, zajęcia na cmentarzu, rośliny o właściwościach leczniczych, topografia śniegu...

- Innym kandydatom też nie mówi się o istnieniu nieumarłych, pozwalając, by odkryli to sami. Proces dowiadywania się

jest niezwykle ważny, odróżnia przeciętnego strażnika od wybitnego. Tak niepokojącej

o szokującej informacji, jak istnienie nieumarłych, nie można po prostu usłyszeć, to trzeba dogłębnie poczuć. Dlatego tak bardzo

nie chciałem ci o tym mówić, chociaż równie mocno pragnąłem to zrobić.

- Czyli jestem... mordercą?

- Nie. Strażnikiem.

- Strażnicy zabijają ludzi.

- Strażnicy zabijają tylko tych, którzy już nie żyją. Ta umiejętność jest zapisana w genach, dziedziczona z pokolenia na

pokolenia. Twój praprapradziadek, dyrektor Theodore Winters, był właśnie tym człowiekiem, który stworzył Straż

Uczniowską. On również posadził ten wielki dąb, właściwie to drzewo naszej rodziny.

Każda generacja była związana z Akademią Gottfrieda, wiele osób służyło jako strażnicy, nawet po ukończeniu akademii. Twoja

matka i twój ojciec również.

- Moi rodzice? Ale oni byli nauczycielami!

- A jak myślisz, dlaczego zginęli? Nie natknęli się przecież przypadkiem na nieumarłych! Dla innych to zagadka, ale

nie dla nas. Gaza, monety to przedmioty, które pomagają pochować nieumarłych! Monety na powiekach zapożyczono od starożytnych Greków, którzy wierzyli, że zmarli muszą zapłacić Charonowi za prze

wiezienie

przez Styks. Gazy używano do mumifikacji.

- Chcesz przez to powiedzieć, że moim rodzice byli nieumarłymi?

- Nie, skądże, to niemożliwe. Nieumarłym można zostać jedynie poniżej dwudziestego pierwszego

roku życia. Chodziło mi o to,

że wpadli na ślad groźnego nie-umarłego i szukali go, by go pogrzebać. Nie udało im się, a on odebrał im duszę.

- To dlaczego mieli gazę w ustach?

- Aby ich dusze nie opuściły ciał. Mumifikacja nie tylko zapobiega powstawaniu z martwych, ale utrzymuje

również dusze w ciałach żywych. Twój rodzice sami włożyli sobie gazę do ust, ale widocznie zrobili to nie dość szybko.

Byłam wstrząśnięta. Zostali zabici przez nieumarłych? Trudno mi było to zaakceptować, a jeszcze trudniej pogodzić

się z tym, że tak naprawdę wcale ich nie znałam.

- Dlaczego mi o niczym nie powiedzieli?

- Twój rodzice chcieli, żebyś żyła normalnie. Dlatego się pokłóciliśmy, nie zgadzałem się z tym. Nie miałem nic

przeciwko normalnemu życiu, byłem przeciwny ukrywaniu przed tobą twoich talentów. Nie możesz uciec przed tym,

kim naprawdę jesteś, nie możesz

tego zmienić. Zresztą, dlaczego miałabyś to robić? Po-1 siadasz wyjątkowy dar. Nie musisz go używać, ale to ty J powinnaś

podjąć decyzję, nie twoi rodzice. Ja chciałem I cię uczyć. Oni byli przeciwni. j Myślałam nad tym wszystkim, co mi powiedział. 1

Czy dlatego czułam się tak dziwnie obok Dantego - bo | byłam strażnikiem, podświadomie pragnącym go zabić?

- Więc... więc miałabym zabijać nieumarłych?

- Tylko niektórych.

- Ale ja nie chcę nikogo zabijać! - Pomyślałam i o Dantem. - Nie zrobił nic złego!

- To zabójcy, w każdym razie niektórzy. Zdaję sobie sprawę, że wielu z nich nie rozumie sytuacji, w jakiej się znalazło,

czasem nawet nie uświadamiają sobie, że są martwi. Jedyne, co rozumieją, to że coś się zmieniło.

Nie czują smaku jedzenia,

są niewrażliwi na pogodę, czują w sobie pustkę, która domaga się zapełnienia. Szukają swojej duszy instynktownie, tak jak

zwierzęta szukają pożywienia.

- Skoro to instynkt, dlaczego mielibyśmy się wtrącać? Jeśli to część naturalnego cyklu, czemu nie zostawimy całej sprawy

własnemu biegowi?

- My również jesteśmy częścią natury, dla której najwyższą wartością jest życie. Bez życia nie byłoby niczego! I co jest

wartościowsze: życie dziecka czy życie nieumarłego, który miał już swoją szansę?

Pomyślałam o Dancie i o człowieku, który ma teraz jego duszę. Skąd można wiedzieć, czy jego życie jest więcej warte niż

życie Danciego? Jak w ogóle można to porównywać?

Dziadek przerwał moje rozmyślenia.

- Renee, to jest coś, z czym się urodziłaś. I zawsze będzie wewnątrz ciebie, nieważne jak bardzo będziesz z tym walczyć.

Każdy talent może być użyty w dobrych albo w złych celach. Jeśli uważasz, że to nie w porządku, użyj swojego talentu, by

to naprawić. Działaj z tym, co masz.

- Miałabym się uczyć, jak zabijać nieumarłych? Nawet gdybym chciała, a tak nie jest - pokreśliłam z mocą - nie

wiedziałabym jak.

- Jest kilka możliwości. Jednym ze sposobów zabicia nieumarłego jest kompletne zniszczenie jego ciała. Ogień, eksplozja,

tym podobne. Jednak według mnie to sposób dość drastyczny, który łatwo może wyrwać się spod kontroli. Ogień się

rozprzestrzeni i nagle mamy pożar w Kalifornii. Metodą alternatywną jest pochówek lub mumifikacja. Twój rodzice wybrali tę

metodę. Jest trudniejsza i bardziej niebezpieczna, ale uważali ją za bardziej humanitarną.

Przełknęłam ślinę. Nie podobała mi się żadna z tych opcji.

- Naturalnie, jest jeszcze jedna możliwość. Nawinęłam kabel na palec, czekając, co powie.

- Uczenie nieumarłych, jak cenne jest życie innych. To właśnie robili twoi rodzice jako nauczyciele.

- A ty? Czy ty też jesteś strażnikiem?

- To jest w naszej krwi. W twojej krwi.

- Strażnik - powtórzyłam powoli.

Usiadłam na krześle, gdy coś sobie uświadomiłam. Jeśli Dante odnajdzie swoją duszę i będzie próbował ją odzyskać, ja będę

musiała go zabić. Jeśli nie, zacznie się rozkładać. Bez względu na to, co się stanie, będę musiała patrzeć, jak umiera.

Dziadek mówił coś jeszcze, ale już nie słuchałam. Chciałam jak najszybciej zakończyć tę rozmowę, więc powiedziałam, że

muszę już iść. Odłożyłam słuchawkę, włożyłam płaszcz i wyszłam przez kominek.

## **Męski balet**

Biegłam korytarzem w piwnicy i wysliznęłam się przez wyjście przeciwpożarowe w zimną noc Nowej Anglii. Musiałam

znaleźć Dantego i opowiedzieć mu o wszystkim. Gdy już byłam na zewnątrz, poszłam za budynek i już miałam wejść na

ścieżkę, gdy usłyszałam, że ktoś szepcze moje imię:

- Renee!

Podskoczyłam, ale uspokoiłam się, widząc, że to Dante czeka na mnie w cieniu podestu.

- Szukałem cię w skrzydle szpitalnym, ale nie było cię tam. Wszystko w porządku?

Przyłożyłam palec do ust, rozejrzałam się i zaciągnęłam go za budynek.

Opowiedziałam mu ze szczegółami o wszystkim. No, prawie o wszystkim.

- Ale nadal nie rozumiem, dlaczego Gideon zabił Eleanor.

Dante się zastanowił.



- Zesłój wiosny, gdy Gideon podejrzewał, że Cassandra nie żyje, wpadł we wściekłość i chciał się zemścić.

- Dlatego szukał teczek - wymruczałam. - Żeby dowiedzieć się, czy została pochowana, a jeśli tak, kto to zrobił.

Dante skinął głową.

- I widocznie musiał znaleźć w nich jakiś istotny dowód.

Ramiona mi opadły, gdy zrozumiałam, co to było.

- Rysunek Minnie i jej zeznania! Przecież mówiła, że Cassandrę zabił Brandon Bell!

- A ponieważ zamordowanie Brandona mogłoby być trudne, jest przecież strażnikiem, Gideon postanowił zabić jego siostrę

- rzekł Dante. - I nie tylko zabić. Przemienił ją w nieumarłą, bo wiedział, że to najbardziej zaboli Brandona.

- Brandon zrozumiał, co się stało z Eleanor - mówiłam dalej - i dostał szału. Chciał ukarać tego, kto zabił jego siostrę,

zobaczył Nathaniela z jej teczką i pamiątkiem i uznał, że to on. Pogrzebał go pod sceną, żeby dać nauczkę innym nieumarłym.

Zemsta - dodałam - niczym w greckiej tragedii.

- Brandon oszalał - rzekł Dante. - Dokonał samosądu.

Zapanowała cisza, którą przerwałam po dłuższej chwili.

- Musimy komuś o tym powiedzieć. Dante się rozejrzył.

- Zostań tu. Pokręciłam głową.

- Nie ma mowy. Powiedz, niby dlaczego nie mogę pójść z tobą?

- Bo to niebezpieczne.

- A dla ciebie to jest bezpieczne?

- Renee, ja już nie żyję. A ty jesteś śmiertelna, możesz zostać ranna.

Wzięłam głęboki oddech.

- Tak właściwie to nie do końca tak..

I wtedy opowiedziałam mu, że jestem strażniczką i że niemal wszyscy w mojej rodzinie byli strażnikami. Gdy już

wyrzuciłam to z siebie, zamknęłam oczy, j nie chcąc oglądać jego reakcji. Nie odzywał się dłuższą chwilę, a potem pochylił się i

pocałował mnie w czoło.

- Jesteś doskonała - stwierdził.

I wtedy czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię.

- Przyłapani na gorącym uczynku! Krzyknęłam, odwróciliśmy się i ujrzeliśmy panią

Lynch, stojącą za nami i uśmiechającą się triumfalnie. '; Ścisnęła moją rękę tak mocno, że jej paznokcie wbijały mi się w skórę.

- Do gabinetu dyrektorki! - rzuciła prawie nieprzytomna z podniecenia.

Pokręciłam głową.

- Nie, proszę, możemy to wyja... ' Dante mi przerwał.

- To moja wina. Zmusiłem Renee, żeby się tu ze mną spotkała. To moja...

- To bardzo szlachetne z twojej strony - przerwała mu Lynch. - Ale śmiem w to wątpić. - A potem, nadal ściskając moją

rękę, ruszyła szybkim krokiem do gabinetu dyrektorki.

Było już późno, w pustym Kolegium Archebalda panował półmrok. Wszystkie sekretarki poszły już do domu albo do swoich

pokoi. Patrzyłam na portrety wiszące na ścianach, pani Lynch ciągnęła nas do gabinetu. Dwukrotnie zastukała do drzwi,

otworzyła jej dyrektorka.

- Znów przyłapałam tych dwoje na dworze po godzinie policyjnej! - oznajmiła pani Lynch.

- Dziękuję ci, Lynette - odparła dyrektorka, patrząc to na mnie, to na Dantego. - Wejdźcie. - Zamknęła za nami drzwi i

powiedziała: - Rozgoście się.

Dwa krzesła, które zwykle stały przed jej biurkiem, zniknęły, stanęliśmy na środku pokoju, a dwa koty kręciły się wokół

nóg Dantego.

Dyrektorka von Laark usiadła za biurkiem i złożyła ręce.

- To prawdziwe zrządenie losu. Chciałam dziś wezwać was do siebie, ale jak widać, wasz lekceważący stosunek do

regulaminu zrobił to za mnie.

Poruszyłam się niespokojnie.

- Domyślacie się, dlaczego chciałam się z wami dzisiaj spotkać?

- Nie - odpowiedzieliśmy jednocześnie. Odchyliła się na oparcie krzesła.

- Nathaniel nie zabił Eleanor! - wypaliłam. - To Gideon DuPont! To on ją zamordował, bo chciał się zemścić za Cassandrę. To

on ukradł pamiętnik Eleanor i napisał w nim te wszystkie rzeczy, to on zabrał teczki!

Dyrektorka założyła okulary wiszące na łańcuszku na jej szyi.

- Naprawdę? - Wyglądała na szczerze zaskoczoną, ale zupełnie się nie przejęła, tak jakbym opowiadała jej ciekawostki z

życia flamingów. - Powiadomię o tym profesorów i Straż Uczniowską.

Dante i ja wymieniliśmy zdumione spojrzenia. Dlaczego się nie przejęła?

Dyrektorka zabębniła palcami o biurko.

- Zazwyczaj nie interesuję się życiem prywatnym moich uczniów. Moja rola w szkole ogranicza się do nauczania. Jednak w

waszym przypadku - machnęła ręką - jest inaczej, wasz związek mnie interesuje.

- Nasz związek? - zapytałam powoli. Dlaczego akurat nasz? Dante przesunął się w moją stronę, teraz nasze ręce prawie się

dotykały.

Dyrektorka zignorowała moje pytanie.

- Po wydarzeniach ubiegłej wiosny bacznie pana obserwowałam, panie Berlin. Gdy w szkole pojawiła się panna Winters,

również miałam na nią oko. A gdy odkryłam, że łączy was coś więcej niż przyjaźń... Cóż, delikatnie mówiąc, przeżyłam szok.

Co za nieprzewidziany zwrot wydarzeń! Przez cały rok myślałam, że mam kontrolę nad uczniami, że wszystko zależy ode mnie

i że nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć, i nagle coś takiego spadło na mnie jak grom z jasnego nieba.

Jak na komendę na jej kolana wskoczył kot. Głaskała go długimi, posuwistymi ruchami, aż zaczął mruczeć.

- Szczęśliwym zbiegiem okoliczności oboje macie skłonność do pakowania się w kłopoty. Nasze spotkania potwierdziły

tylko moją teorię, pozwalając mi lepiej wam się przyjrzeć.

- Przyjrzeć? - zapytał Dante. Dyrektorka znów zlekceważyła jego pytanie.

- Początkowo nie byłam pewna, ale teraz nie mam już cienia wątpliwości.

O co jej chodzi? - zastanawiałam się. Przypomniałam sobie wszystkie nasze wizyty w jej gabinecie, usiłując zrozumieć, do

czego zmierza.

- Aż tak jesteśmy interesujący? - zapytał Dante. Jego głos brzmiał spokojnie, ja też się uspokoiłam. Skoro Dante się nie

denerwował, to i ja nie miałam powodu do zmartwień.

- Znacie *Siódmą medytację* Kartezjusza? Nie odpowiedzieliśmy.

- Doniosłe dzieło - powiedziała von Laark niemal do siebie. - Zostało zakazane... Wiedzie dlaczego?

- Bo traktowało o nieumarłych - wypaliłam. - A to miała być tajemnica.

Dyrektorka uniosła długi palec.

- Tak. I nie. W tej pracy Kartezjusz nie tylko przedstawił swoje odkrycia dotyczące nieumarłych, ale również proces, w

wyniku którego mogą oni odzyskać swoją śmiertelność. Proces, uważany za mit, ponieważ nigdy żaden nieumarły nie odnalazł

własnej duszy.

Pod osłoną mojego płaszcza Dante splótł swoje palce z moimi.

- Oto najbardziej nurtujące pytania! Co by się stało, gdyby nieumarły odnalazł swoją duszę i ją odzyskał? Czy na powrót

stałby się człowiekiem? Czy zdołałby oszukać śmierć?

Dante ścisnął mi dłoń, moje serce zaczęło bić znacznie szybciej.

- Ale zanim się tym zajmiemy, chciałabym zadać wam kilka pytań. - To nagłe przejście do zwykłej rozmowy przeraziło

mnie. Spłoszona zerknęłam na Dantego, ale on całą uwagę skupiał na dyrektorce. - Panie Berlin, kiedy pan umarł?

Dante nie odpowiedział, dyrektorka wstała i zrobiła krok w jego stronę.

- Na pewno pamięta pan, w którym to było roku?

- Szesnaście lat temu.

- A dokładnie?

- Dwudziestego sierpnia 1994 roku. Wpatrzona w dyrektorkę, niemal nie słuchałam, co mówił Dante, ale kiedy usłyszałam datę, znieruchomiałam.

Dyrektorka odwróciła się do mnie.

- Czy poznaje pani tę datę, panno Winters? Oczywiście, że poznawałam. Dwudziesty sierpnia.

Tego dnia znalazłam ciała moich rodziców. Tego samego dnia skończyłam szesnaście lat. W jednej chwili

uzmysłowiłam sobie straszliwy fakt, który zmieniał całe moje życie.

Dante zmarł w tym samym dniu, w którym się urodziłam.

Nie odezwałam się, Dante i tak wszystko wyczytał z mojej twarzy. Nareszcie zrozumiałam tę dziwną łączność istniejącą między

nami. To, że Dante zawsze wyglądał, jakby trawiło go pożądanie, że gdy był przy mnie, z trudem nad sobą panował. Że w tej

samej chwili mówiliśmy te same rzeczy, a moje ciało drętwiało, gdy mnie dotykał. Że blisko niego czułam się tak, jakby wysysał

ze mnie wszystkie uczucia. Że tylko przy mnie odczuwał zapachy i smaki. To dlatego ciągnęło nas do siebie i dlatego, jak teraz

zrozumiałam, nie mogliśmy ze sobą być.

To ja miałam duszę Dantego.

- Jak się czujesz, gdy jesteś przy niej? - spytała dyrektorka, jej ciemne oczy wpatrywały się w Dantego z ciekawością. -

Wydaje ci się, że żyjesz?

Ale Dante nie patrzył na nią, patrzył na mnie, jakby miał nadzieję, że powiem coś, co dowiedzie, że dyrektorka nie ma racji.

- To, co mam zamiar zaproponować, będzie bezbolesne, a może nawet przyjemne, w każdym razie dla jednego z was. -

Podeszła do mnie i przemówiła głębokim władczy tonem: - Chcę, żebyś oddała mu jego duszę.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - zapytał Dante.

- Dlatego, że cię kocha. I dlatego, że ma twoją duszę. Pomyśl o swojej sytuacji - zwróciła się do mnie. -Zostało mu zaledwie

kilka lat istnienia, a ty możesz to zmienić.

Zrobiło mi się niedobrze, gdy uzmysłowiłam sobie, że ona ma rację. Ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, głos Dantego przeciął

powietrze:

- Nie. Nie zrobi tego. Nie pozwolę jej.

Jego ciało spięło się, gdy zrobił krok w stronę dyrektorki. Cofnęła się.

- Możesz ze mną zrobić, co zechcesz - powiedziała cicho. - Ale to niczego nie zmieni. Renee już zawsze będzie wiedziała, co

powinna zrobić. Do niczego jej nie zmuszam. - Zerknęła na drzwi i dodała: - Nie są zamknięte.

Dante rzucił jej podejrzliwe spojrzenie, a potem wziął mnie za rękę.

- Chodź, Renee.

Ale ja się nie ruszyłam.

- Renee, chodźmy.

- Nie - zaprzeczyłam. - Zaczekaj. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Dyrektorka się uśmiechnęła.

- Widzisz? Są rzeczy gorsze niż bycie nieumarłym. Na przykład patrzeć, jak umiera ktoś, kogo kochasz, choć wiesz, że

mogłaś mu pomóc.

Zrobiło mi się zimno, gdy wyobraziłam sobie moje życie bez Dantego.

Odwrócił się do mnie.

- Renee, nie. Jeśli oddasz mi swoją duszę, umrzesz.

- Na pewno nie umrze - poprawiła go dyrektorka. - Jedyne stanie się nieumarłą. Nie byłaś ciekawa, jak to jest, nigdy nie

czuć bólu? Nie czuć bólu nawet po stracie rodziców?

Byłam. Spojrzałam na Dantego. W jego oczach było nieme błaganie.

Dyrektorka mówiła dalej:

- Pragnienie pozostania przy życiu za wszelką cenę to fanaberia współczesnych ludzi. W świecie starożytnym człowiek

dążył do tego, by umrzeć śmiercią honorową. Pomyśl o tym, co mogłabyś zyskać poprzez śmierć. Nie tylko dałabyś życie

osobie, którą kochasz, ale rzuciłabyś światło na jedną z największych tajemnic wszech czasów, tajemnicę śmierci! Jeśli dasz życie

drugiemu człowiekowi, czy wiesz, jakie to będzie miało znaczenie dla świata? Możliwości są nieskończone!

-Renee, nie musisz tego robić. Są inne sposoby. Dyrektorka się zaśmiała.

- Nie ma. Za pięć lat umrzesz, a ona spędzi resztę swojego długiego, samotnego życia dręczona świadomością, że mogła cię

uratować, ale tego nie zrobiła.

- I co nam to da? Po prostu zamienimy się rolami! - zaprotestował Dante.

Odwróciłam się do niego.

- Zyskamy czas - odpowiedziałam. - Nie chciałbyś tego?

Dante utkwiał wzrok w podłogę, pokręcił głową.

- Chcę ciebie. Teraz. Taką, jaka jesteś.

- Nie rozumiesz? Nie możesz mnie mieć. Życie jednego z nas oznacza śmierć dla drugiego. Jedno z nas musi umrzeć, a ja wolę

umrzeć, niż żyć bez ciebie.

Dante odwrócił się do mnie i ujął w dłonie moją twarz.

- Renee. - Patrzył mi prosto w oczy, a jego głos brzmiał błagalnie. - Miałem już swoją szansę, przeżyłem moje życie. A teraz

mam ciebie i to mi wystarcza. Nie pragnę śmiertelności.

Dyrektorka podeszła do mnie, położyła mi rękę na ramieniu. Gdy przemówiła, jej głos był cichy, głęboki i mroczny.

- Albo jego życie, albo twoje - powiedziała. Oczy Dantego błagały mnie, bym tego nie robiła.

- Nie.

- Nie boję się śmierci. - Patrzyłam na Dantego i to była prawda. - Boję się życia bez ciebie.

Spojrzałam na dyrektorkę, która się uśmiechała, rozumiejąc moją decyzję. Odwróciła się, żeby wziąć czarny notes, gdy Dante

odskoczył ode mnie i pchnął ją na biurko.

- Renee, uciekaj! - zawołał, trzymając ją za nadgarstki i próbując przygwoździć do biurka.

- Nie - zaprzeczyłam. - Nie zostawię cię!

- Uciekaj! - krzyknął, walcząc z dyrektorką. Mimo podeszłego wieku i szczupłej figury kobieta

była bardzo silna. No tak, przecież była strażnikiem, i to utalentowanym. Patrzyłam, jak walczą. Chciałam pomóc, ale nie

wiedziałam jak. Wkrótce Dante przycisnął ją do ściany, spadły książki i bibeloty z półek. Patrzyła zimno, gdy pochylił się nad

nią, a ja nagle zrozumiałam, co chce zrobić.

- Dante, nie! Ale on nie słyszał.

- Dante, przestań, proszę cię, przestań! Nie jesteś mordercą!

Z serwantki spadł wazon, rozbijając się na podłodze.

- Proszę - błagałam, z mojej piersi wyrwał się szloch. - Proszę, przestań...

I wtedy, o dziwo, się uspokoił.

Ktoś dwa razy zapukał. Zastygliśmy. Drzwi się otworzyły i do środka weszła pani Lynch, ciągnąc Gi-



deona za ramię.

-Znalazłam go, jak się kręcił przy...

Urwała na widok szokującej sceny, jaką ujrzała w gabinecie. Ja kuliłam się w rogu, a Dante przyciskał dyrektorkę do ściany,

nachylając się do jej twarzy.

- O mój Boże - szepnęła pani Lynch. - O mój Boże. . Puściła Gideona i uniosła linijkę, gotowa włączyć

się do walki, ale w tym momencie chłopak zatrzasnął jej drzwi przed nosem i zamknął je na klucz. Słyszałam, jak się

awanturuje na korytarzu, gdy Gideon przekręcił zamek drugi i trzeci.

Dante nadal trzymał w uścisku przerażoną dyrektorkę. Gideon popatrzył na niego i powiedział:

- Zrób to. Śmiało, przecież to morderczyni. Dante się nie odezwał.

- Proszę - przekonywałam cicho drżącym głosem. -Nie jesteś taki jak on. Nie jesteś mordercą.

Gideon się zaśmiał.

- Nie jest? Każdy może zostać mordercą, to zależy od okoliczności. Nawet ty, Renee.

- Dante - rzuciłam błagalnie. - Chodź do mnie.

I zobaczyłam, jak gniew odpływa z jego twarzy. Opuścił ramiona, rozluźnił uścisk i odepchnął dyrektorkę. Gideon zdjął

marynarkę i rzucił na oparcie krzesła.

- Skoro ty nie chcesz, ja to zrobię. Podszedł do niej i przycisnął usta do jej ust.

Jego blada skóra nabierała koloru, jakby krew pod nią zaczęła szybciej krążyć. Dyrektorka walczyła zaciekle, okładając jego

plecy pięściami, pokój wypełniły stłumione krzyki.

- Nie! - zawołałam. - Zaczekaj! Ale Gideon nie miał zamiaru czekać.

Powoli ręce dyrektorki stawały się coraz bledsze, słabsze, w końcu opadły bezwolnie. Patrzyłam przerażona, jak jej nogi drgają

konwulsyjnie, jak zastygają w skurczu, gdy wszystko się kończy.

Przycisnęłam rękę do ust, nie odrywając oczu od jej stóp. Poczułam się tak, jakbym obserwowała śmierć moich rodziców.

Opuściłam ramiona, nie byłam w stanie dłużej tego znieść.

Gdy wreszcie oderwałam wzrok od podłogi, zobaczyłam, że Gideon idzie w moją stronę - ale to już nie był ten chłopak,

którego znałam. Sprawiał wrażenie silniejszego, w jego oczach płonął głód, który dusza dyrektorki jedynie rozbudziła.

Cofnęłam się, opierając się o ścianę. Gideon rozluźnił krawat i podwinął rękawy, miał zaczerwienioną twarz, żyły na jego rękach

pulsowały życiem.

Podniósł mnie jednym szybkim ruchem i przysunął twarz do mojej twarzy.

- Nie! - usłyszałam krzyk; Dante podbiegł do nas i odepchnął napastnika.

Krzyknęłam cicho i upadłam, a oni zaczęli walczyć. Gideon był silniejszy, dusza dyrektorki dodawała mu sił. Koty skryły się

w kącie i przeraźliwie miauczały, a oni szamotali się, rozrzucając książki i papiery, rozbijając witrynę w gablotce za biurkiem

dyrektorki. Szpadle, które tak naprawdę były narzędziami pogrzebowymi strażników, upadły z brzękiem na podłogę.

Patrzyłam przerażona, jak Dante pchnął Gideona na biurko. Klepsydra rozbiła się o podłogę, piasek i szkło rozsypały się wokół

mnie.

Krzyknęłam głośno, gdy szkło przecięło mi skórę, Dante odwrócił się natychmiast do mnie, a Gideon wykorzystał jego

nieuwagę, uwolnił się z jego uchwytu, złapał okulary w szylkretowych oprawkach i wybiegł na korytarz.

-

Wszystko w porządku? - zapytał Dante, klękając obok mnie.

- Tak. - Skinęłam głową, mówienie przychodziło mi z trudem.

- Zostań tu. - Dotknął mojego policzka. - Żebym wiedział, że jesteś bezpieczna. - A potem chwycił

szpadel, który wypadł z

rozbitej gabloty, i pobiegł za Gideonem.

Podniosłam się i ruszyłam za nim. j

Dogoniłam ich na polanie. Byli pod wielkim dę-s bem, krążąc wokół dołu, w którym Brandon pogrze-\* bał Nathaniela.

Robotnicy otoczyli dół żółtą taśmą, zo-v stawiając cienką drabinkę sznurową. Gideon w swoim garniturze, Dante w

regulaminowym stroju. Wymachiwali szpadlami. Za każdym razem, gdy Dante próbował dosięgnąć Gideona, ten w ostatniej

chwili robił unik -podskok, piruet, arabeska, istny męski balet.

Podeszłam z boku, gdy Dante wznosił szpadel nad głową Gideona, i zamknęłam oczy. Nie chciałam patrzeć, jak to się

skończy, chociaż wiedziałam, że przecież obaj już nie żyją. Jednak gdy Dante opuścił szpadel na głowę Gideona, ten odchylił się

i wyrwał broń z jego rąk, a później złamał trzonek na pół.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Gideon pochwycił Dantego i przewrócił na ziemię, spychając niebezpiecznie blisko

krawędzi dołu. Jeśli Dante spadnie, to będzie koniec. On nie może znaleźć się pod ziemią, a ta wyrwa miała co najmniej pięć

metrów głębokości. Zanim zdołam go wydostać, Gideon go zrzuci. Patrzyłam przerażona, jak przytrzymuje Dantego za szyję.

Musiałam coś zrobić. Byłam strażniczką. Powinnam sobie poradzić.

Bez zastanowienia złapałam złamany trzonek szpadla Dantego, podbiegłam i z całych sił wbiłam go w plecy Gideona.

Zaskoczony, odwrócił się, odepchnął mnie od siebie i wyciągnął odłamek z pleców. Zaczął iść w moją stronę, jego

koszula nasiąkała krwią. Cofałam się po trawie, a on zbliżał się do mnie z trzonkiem w ręku. Nim zamknęłam oczy,

zobaczyłam, jak Dante skoczył na niego od tyłu - Gideon upadł na mnie, a drewniany trzonek wbił mi się w ciało.

Krzywiąc się, próbowałam go wyciągnąć, ale nie miałam siły. Słyszałam tylko szamotaninę obok, która powoli zaczęła

odpływać. Usiłowałam nie zamykać oczu, ale powieki same opadły. Wtedy usłyszałam, że Dante mnie woła, poczułam,

że chwytła mnie za rękę, gdy oboje wpadaliśmy do głębokiego dołu.

- Renee - głos Dantego odbijał się słabym echem w ciemności.

Z jękiem wyciągnęłam w końcu trzonek i otworzyłam oczy. Leżałam na stercie ziemi i kamieni w katakumbach pod wielkim

dębem.

- Jesteśmy pod ziemią. - Patrzyłam, jak Dante usiłuje wstać. Po drugiej stronie jaskini zobaczyłam poplamione trawą spodnie

Gideona i jego mokasyny.

Dante przytulił mnie.

- Wszystko dobrze? - spytał łagodnie. Zarzuciłam mu ręce na szyję i ukryłam twarz w koszuli. - Nie martw się. - Jego głos

brzmiał coraz słabiej. - Wydostanę cię stąd. - Podniósł mnie z wysiłkiem i trzymając się drabinki sznurowej, wyniósł mnie z

powrotem na twardy grunt.

Dante się zachwiał i oboje upadliśmy na ziemię, nasze ręce i nogi były splecione niczym korzenie drzewa. Ostatnim

wysiłkiem odsunął się ode mnie. Leżał na trawie, a ja niemal czułam, jak uchodzi z niego życie.

- Dante. - Wyciągnęłam rękę, w końcu udało mi się go dotknąć. Popatrzył na mnie, jego oddech stawał się coraz płytszy. - Co

mam zrobić?

- Po prostu zostań przy mnie - odparł ledwie słyszalnie. Otworzył dłoń, ujęłam ją, łzy spływały mi po policzkach.

Dlaczego człowiek docenia życie dopiero wtedy, i gdy ma je stracić? Miałam umrzeć, i ta świadomość i sprawiała, że czułam

się bardziej żywa. Po raz ostatni przyjrzałam się światu. Daleko stąd Annie siadała do obiadu ze

swoją rodziną, mój dziadek

popijał herbatę i oglądał popołudniowe wydanie wiadomości, dziewczyny na moim piętrze kończyły odrabiać lekcje i

szukowały się do snu. Czułam się tak, jakby dzieliły mnie od nich całe lata świetlne. Wszyscy mieli mnóstwo czasu na to, by

cieszyć się życiem - tymi wszystkimi drobnymi przyjemnościami, za którymi już zaczynałam tęsknić. Pierwsze zimne tchnienie

jesieni, głucha cisza, gdy właśnie wyłączysz telewizor, zapach pieczonego kurczaka... Te rzeczy istniały już tylko w moim

umyśle, a za chwilę nie będzie już nawet tego.

Po raz ostatni sunęłam wzrokiem po twarzy Dantego -jego nos, wargi, oczy, takie smutne i takie piękne. .

Wszystko było takie znajome i tak niezgłębione zarazem. Tak to właśnie jest, częścią wartości życia jest świadomość, że

możesz utracić wszystko, co cię otacza. Kochałam go, pomyślałam. Kocham go. I niech to będzie moje pożegnanie.

Wyciągnęłam rękę do jego policzka, po raz ostatni dotykając jego skóry. Dante próbował się odwrócić, ale przyciągnęłam go

do siebie.

- Kocham cię - szepnęłam.

I zanim zdążył cokolwiek zrobić, pocałowałam go. Tak naprawdę. Bo jeśli mogłam mu coś dać, to chciałam to zrobić.

Nagle poczułam jego dłoń na moim karku, przyciągnął mnie do siebie z siłą, jakiej nie czułam nigdy wcześniej. Poddałam

się jego uściskowi; powietrze wyszło z moich płuc, krzyknęłam i zacisnęłam ręce na trawie. Świat, który znałam, odpłynął.

### **Przedwczesna śmierć Dantego Berlina**

Czułam, jak powoli wypływa ze mnie całe ciepło, jakby ktoś je ze mnie upuszczał. Nagle ogarnęła mnie feeria wspomnień.

Sceny z poprzedniego życia rozbłyskiwały w moim umyśle i gasły, ludzie i miejsca przemieszani ze

sobą w chaosie jak we śnie.

Annie, moi rodzice, Kalifornia, Wes - z trudem ich poznawałam, ich postacie były mgliste i nierealne, jakby całe moje życie

przed Akademią Gottfrieda było nieprawdziwe, wymyślone. Czułam się coraz słabsza, mój oddech stawał się coraz płytszy. A

potem nagle się obudziłam.

Byłam przed internatem dziewcząt. Leżałam na trawie. Zapadła noc. Czy byłam martwa? Nie wiedziałam. Przeciągnęłam się

i wstałam, czułam się, jakbym leżała tu od wielu godzin. Miałam na sobie dziwnie znajome, ale nie moje ubranie - koszulę i

spodnie wytarte na kolanach. Pochyliłam się i popatrzyłam na nie, i wtedy usłyszałam ruch z boku budynku, czyjeś miękkie

kroki na ziemi. Cofnęłam się w cień i czekałam.

Ale to nie była dyrektorka czy pani Lynch. To byłam ja. Miałam na sobie mój płaszcz, brązowe włosy rozpuściłam na

ramionach. Ładnie wyglądam, pomyślałam.

Nie byłam w stanie zapanować nad moimi ustami, wymówiłam jedno jedyne słowo:

- Renee.

Odwróciła się do mnie, na jej zaskoczony twarzy odmalowała się ulga, a potem przyłożyła palec do ust i pociągnęła mnie za

budynek.

- Szukałem cię w skrzydle szpitalnym, ale tam cię nie było. Dobrze się czujesz? - słowa wyszły z moich ust, zanim zdążyłam

zdać sobie sprawę, że coś mówię. To było to samo zdanie, które Dante powiedział do mnie tego wieczoru, nim pani Lynch

zaprowadziła nas do gabinetu dyrektorki. Próbowałam przestać mówić, ale nie panowałam nad moim ciałem. Wstałam i otrzepałam spodnie z ziemi.

Moje poprzednie „ja” stało przede mną, mówiąc coś o strażnikach i dyrektorce, ale nie słuchałam, wiedziałam przecież, co mi

powie. Zamiast tego patrzyłam na nią z zachwytem.

Nie przeżywałam na nowo swojego życia, przeżywałam życie Dantego.

- Jesteś doskonała - szepnęłam do mojego poprzedniego „ja”.

Scena odpłynęła i zostałem przeniesiony do ciemnej klasy w Kolegium Horacego. Stałem w cieniu, z mojego ubrania ciekła

woda, Renee była obok mnie, jej ubranie przyklejało się do ciała.

- Jako twój nauczyciel mógłbym kazać ci napisać sto razy... - zacząłem mówić.

Dawna Renee popatrzyła na mnie wyzywająco. Po jej nosie spłynęła kropla wody.

- Co takiego miałabym napisać? Zrobiłem krok w jej stronę.

- *Cupido* - rzuciłem.

To słowo miało w sobie głębię, jakby było czymś więcej niż tylko głoskami. Wymówienie go przyszło mi naturalnie, znacznie

łatwiej niż słowa angielskie. Łacina była jednym językiem, w którym mogłem wyrazić swoje uczucia tak otwarcie.

Głos Renee zadrżał.

- Co to znaczy?

Popatrzyłem w jej oczy, rejestrując jej reakcję.

- Czy mogę coś zrobić? - zapytałem.

Nie protestowała, więc pochyliłem się, wyciągając rękę do jej policzka. Moje palce musnęły jej skórę, miałem wrażenie, że jest

zbyt czysta, bym mógł jej dotknąć.

A wtedy zrobiła coś, czego się nie spodziewałem - przysunęła się do mnie, a jej szczupłe nogi dotknęły moich. Z pożądaniem,

nad którym nie potrafiłem zapanować, przycisnąłem ją do tablicy, moje ręce znalazły się na jej pośladkach. Po raz pierwszy od

wieków poczułem zapach - zapach jej włosów, ciepło jej oddechu na mojej szyi. Wpatrzyłem się w jej usta, niemal czułem ich

smak.. Wypełniło mnie bolesne uczucie pożądania, pochyliłem się nad Renee, a potem szybko

odwróciłem głowę i

pocałowałem ją w policzek.

- Renee - szepnąłem jej do ucha. - Renee... - Musiałem to powiedzieć, żeby poczuć, że to wszystko dzieje się naprawdę, że

ona naprawdę stoi przede mną, że trzymam ją w ramionach.

Podniosła rękę do mojej twarzy, zamknąłem oczy, czując miękkość jej dłoni. Gdy przesuwiała palcami po mojej skórze,

budziły się zmysły, których nie czułem od lat. Moje nos, oczy, wargi, wszystko drżało pod jej dotykiem.

- Czy czujesz się inaczej, gdy jesteś obok mnie? Tak, pomyślałem. Tak.

Pokój rozpląnął się, dawna Renee wysunęła się z moich ramion, a ja znów znalazłem się na zewnątrz, na trawniku. Było

ciemno i pusto, stałem pod drzewem, wpatrując się w wielki dąb. Drzewo kołysało gałęziami, trzeszcząc i skrzypiąc na wietrze,

ale ja nie czułem zimna, nie czułem nawet podmuchów wiatru na skórze.

Z ciemności wyłoniły się dwie postacie, Gideon i Vi-vian. Szedłem za nimi, zmierzali przez polanę do internatu dziewcząt.

Rozmawiali, ale słowa porywał wiatr. Podeszedłem bliżej, a gdy mijałem dąb, usłyszałem czyjś głos. „Jak umarłeś?” Delikatny

dźwięk głosu Renee odbił się w mojej głowie. Odwróciłem się, myśląc, że może stoi za mną, ale nie było tu nikogo prócz

Gideona i Vi-vian, trawnik był pusty.

Obrazy z przeszłości rozbłysły w moim umyśle - nie mogłem tego powstrzymać. Ocean, woda zamykająca się nad moją

głową, a potem martwa cisza śmierci.

Zamknąłem oczy, próbując nad tym zapanować i w końcu mi się udało. Odetchnąłem z ulgą i usiadłem pod dębem, próbując

zrozumieć, co się właśnie stało. Gideon i Vivian szli do internatu, rozmawiali szeptem. Chciałem pójść za nimi, ale głos Renee



powrócił. „Gdzie jesteś?”

Tym razem nie miałem czasu, by stawić opór. Wielki dąb, polana, drzewa, jesienny wiatr - moją głowę wypełniły obrazy i

choć właśnie byłem na dworze wśród tego wszystkiego, wizje w moim umyśle wydawały mi się bardziej realne. Oparłem się

o drzewo, obejmując głowę rękami, próbując przejąć kontrolę nad moimi myślami, gdy wszystko wokół mnie pociemniało.

Znalazłem się w obserwatorium. To był już zupełnie inny dzień, wrześnie słońce świeciło przez szklany sufit, wszyscy

wchodzili do klasy, witając się na pierwszych zajęciach po wakacjach. Siedząca przede mną Greta właśnie opowiadała Maggie,

jak spędziła lato, i wtedy drzwi się otworzyły, wszedł Nathaniel, a z nim Renee. Miała krótsze włosy, jej twarz nadal nosiła

ślady letniej opalenizny. Renee rozejrzała się nerwowo po klasie i usiadła z tyłu z Nathanielem. Gdy popatrzyła na mnie, jej

oczy zrobiły na mnie wrażenie, były szare i smutne. Nie wiem dlaczego, ale poczułem ukłucie zazdrości, gdy zobaczyłam, że

Nathaniel pochyla się do niej i szepcze jej coś na ucho, jakby byli starymi znajomymi.

Profesor Starking wszedł do klasy i zaczął wyczytywać pary laboratoryjnych partnerów. Gdy wyczytał „Renee Winters”,

byłem tak pewien, że za chwilę wyczyta moje nazwisko, że wstałem z miejsca w chwili, gdy powiedział: „Dante Berlin”.

Usiadłem obok niej, jej obecność była niczym żywioł. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc patrzyłem na tablicę. Zaczął się

wykład o prawie przyciągania, ale nie słuchałem. Z moim ciałem działo się coś dziwnego. Poczułem jakby mrowienie i chyba

nawet powiew wiatru, który wpadał przez okno. Mogłem słyszeć odgłosy natury - szelest liści, świergot wróbli na gałęziach,

wszystko łączyło się, tworząc jakby melodię. Renee pochyliła się, żeby wyjąć zeszyt z torby i wtedy poczułem zapach jej

szamponu. W końcu odwróciła się do mnie.

- Czemu ciągle się na mnie gapisz? - wymruczała pod nosem.

Głos miała cichy i łagodny, zaskoczyła mnie jej prostolinijność. Jak mogłem na nią nie patrzeć?  
Popołudniowe słońce

wpadało przez szklany sufit, oświetlając jej twarz ciepłym blaskiem, czyniąc z niej zjawiskową istotę z innego świata, którą

posłało mi przeznaczenie. Nie, nie mogła się dowiedzieć, że przyglądałem się jej, bo właśnie się zakochałem.

- Masz długopis na policzku. Tutaj - powiedziałem i od razu tego pożałowałem.

Zaczerwieniła się, speszona, i zaczęła wycierać twarz.

Nagle scena „skoczyła” do przodu.

- A więc myślisz, że jestem czarujący? - Pochyliłem się, bo tak bardzo pragnąłem być bliżej niej. - Właśnie dlatego mi się

przyglądasz?

- Powiedziałabym raczej: niepokojący. I nie, nie dlatego, jestem tylko ciekawa.

- Ciekawa? - zapytałem, usiłując zapanować nad pragnieniem przytulenia jej, pocałowania. - Czego?

Jej głos zadrżał.

- Czemu z nikim nie rozmawiasz?

- Myślałem, że właśnie to robię. Odpowiedziała coś, ale prawie nie słyszałem. Dziesiątki myśli przelatywały mi przez głowę.

Skąd

ona się tu wzięła? Gdzie była przez całe moje życie? Co lubi, a czego nie znosi? Czy pozwoli mi się poznać? Ale zamiast tego

powiedziałem coś bardziej sensownego:

- Dokładnie o tym myślałem.

Przesunąłem palcami nad jej piegami, jakbym chciał je pozbierać. Powiedziała, że jest z Kalifornii. Wyciągnąłem do niej rękę pod

ławką.

- Jestem Dante.

Przygryzła wargę, jakby czuła się niepewnie.

- Renee - odparła w końcu i wyciągnęła swoją dłoń, drobną i delikatną.

Gdy nasze dłonie się zetknęły, jej ciało zastygło, a ja poczułem jej ciepło, płynące do mnie. Na jej twarzy pojawiło się

zdenerwowanie, speszenie, w końcu oszołomienie. Cofnąłem rękę i siedziałem nieruchomo, próbując zrozumieć, co się właśnie

stało. Renee siedziała sztywno na swoim miejscu, nie patrzyła na mnie i nie odzywała się do końca lekcji. Między nami zawisło

napięcie, zadziały potężne moce, którym żadne z nas nie zdołałoby się oprzeć. A potem wszystko zalała czerń.

Po chwili obraz znów nabrał ostrości - biegłem drogą gruntową. Nie panowałem nad nogami, nie wiedziałem, gdzie jestem,

nigdy przedtem tutaj nie byłem - to było jakby ogromne pole otoczone ogrodzeniem. Pole było płaskie i porośnięte żółtą wysoką

trawą, w oddali po lewej stronie widać było stodołę i koryto z wodą, pewnie dla koni. Dalej stały inne domy rozrzucone na

rozległej przestrzeni i wyglądające identycznie z tym, do którego prowadziła droga. Dom był niewielki, kwadratowy, z

gontowym dachem oraz werandą okalającą budynki i zastawioną starymi meblami. Wiatr kołysał fotelem na biegunach.

Znowu wszystko rozpląnęło się w czerni, a potem zobaczyłem, że stoję w drzwiach sypialni w moim domu. W łóżku leżała

dziewczynka, pod kołdrą widać było zarys jej nóg. Nie poznałem jej, ale wiedziałem, że to moja siostra. Zasłony były

zaciągnięte, w pokoju panował mrok. Włosy miała rozrzucone na poduszce, mamrotała coś pod nosem. Głos miała stłumiony i

nie mogłem zrozumieć, co mówi, podszedłem bliżej, ale nic mi to nie dało, im bliżej podchodziłem, tym mniej wyraźny był

dźwięk.

Zamrugałem mocno i zobaczyłem, że jestem w samolocie i przytulam moją siostrę Cecelię. Była owinięta kocem, oczy miała

zmęczone i przygnięte, twarz spoconą, rozgorączkowaną.

- Wszystko będzie dobrze - mówiłem szeptem. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Obok nas siedzieli mężczyzna i kobieta, rodzice, choć ich nie poznawałem. Mężczyzna ubrany był we

flanelową koszulę i robocze spodnie poplamione tłuszczem. Miał oczy Dantego. Kobieta, otulona szalem, pochylała się nad

Cecelią, gładząc ją po głowie. Płakała.

Nagle usłyszeliśmy jakiś trzask, potem nierówną pracę śmigieł, gdy zwoleli. Zaczęliśmy spadać, mój ojciec wykrzykiwał

słowa modlitwy za konających.

Świat znowu poczerniał, znalazłem się pod wodą. Wiedziałem, że to moje ostatnie chwile na ziemi. Fale były potężne,

tonąłem. Słona woda szczypała w oczy i gardło, próbowałem się wynurzyć, lecz nie zdołałem. Świat wokół mnie zasnęła

błękitna mgła, wokół mnie zaroiło się od pęcherzyków powietrza, które wirowały niczym ławica ryb. Wyciągnąłem rękę,

chciałem je złapać - i wszystko zgasło.

I wtedy dwie ręce wyciągnęły mnie ze wspomnień. Moje ciało zadygotało, poczułam, jak Dante mnie opuszcza, jak jego

wspomnienia wysuwają się ze mnie. Nasze usta rozłączyły się i odetchnęłam.

## **Renesans**

Ponowne narodziny. Powinnam była doskonale wiedzieć, że to jest moje przeznaczenie. Wskazywało na to nawet znaczenie

mojego imienia. Renee. Renesans. Odrodzenie.

W jednej chwili otworzyłam oczy.

Ktoś mnie niósł korytarzem, a potem znaleźliśmy się na zewnątrz. Było tak jasno, że musiałam przymknąć oczy. Czy byłam

martwa? Czy Dante był martwy? Próbowałam się poruszyć, ale to okazało się trudne, moje nogi były sztywne i zdrętwiałe.

Powoli otworzyłam jedno oko. Miałam na sobie luźną szpitalną koszulę, ktoś niósł mnie ścieżką do kaplicy. Odwróciłam

głowę i spojrzałam w górę - to był Dante.

- Cześć - powiedziałam drżącym głosem. Dante spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

- Cześć.

Przełknęłam ślinę.

- Czy jestem martwa?

Dante skręcił w lewo. Ścieżka była pusta. Musi być bardzo wcześnie, pomyślałam.

- Nie.

- Żyję?

Westchnął.

- Nie.

Napawałam się nowym światem. Z ziemi wyrastały kwiaty, na drzewach pojawiały się pączki - pierwsze oznaki życia po

długiej, mrocznej zimie.

- Jak długo..

Nie musiałam kończyć.

- Dziesięć dni.

- A ty? Czy ty?... Dante uciekł wzrokiem. Odetchnęłam. A więc pocałunek zadziałał!

- Dokąd idziemy?

- Zobaczysz.

Teraz wyglądał doroślej, bardziej męsko. Powiedziałam, że jest dobrze wystany niczym stare wino. Zaśmiał się.

- Czy już ci mówiłem, że jesteś romantyczką? Uśmiechnęłam się.

Znaleźliśmy się na cmentarzu za kaplicą, teraz porośniętym makami.

- Wyciągnij ręce. - Pomógł mi rozłożyć ręce. Niósł mnie przez pole czerwieni. Gdy moje zimne palce

dotykały kwiatów, te się

pochylały, naszą drogę znaczył pas zieleni.

Zamrugałam. Nie mogłam uwierzyć, że tak będzie wyglądać teraz moje życie. Że to wszystko dzieje się naprawdę. Że życie

może być takie piękne.

Dante położył mnie na środku pola; leżeliśmy obok siebie, nasze ręce stykały się, patrzyliśmy na odbicie chmur w naszych

oczach.

- Chciałabym budzić się tak każdego dnia.

- Nie mogłabyś się budzić, nie śpiąc.

Dopiero po chwili dotarł do mnie sens jego słów. Ciągle jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że jestem nieumarłą.

Podciągnęłam koszulę z lewej strony, spojrzałam na mój brzuch tam, gdzie wbił się kawałek trzonka. Ku mojemu zdumieniu

rana się zagoiła, została tylko nierówna różowa blizna w kształcie czaszki. Dante przesunął po niej palcami.

- Twój dziadek ma dziś po ciebie przyjechać - powiedział.

- Czy on wie? Dante pokręcił głową.

- To bez znaczenia.

- Dlaczego?

- Renee, to nie jest to, czego pragnę.

- My?

Dante się uśmiechnął.

- Nie, mam na myśli to. - Pocałował moją bliznę. -Przyniosłem cię tutaj, żebyśmy mogli być sami. Żebyśmy mogli się

pożegnać.

- Jak to pożegnać?

- Tylko na lato. Ale musisz mi obiecać, że stąd odejdziesz i zostawisz mnie tutaj.

- Chyba nie masz zamiaru mnie pocałować? Dante skinął głową.

- Nie możesz! Nie pozwolę ci!

- Wiem. - Wsunął dłoń w moją rękę i pochylił się tak nisko, że jego usta niemal dotykały moich. - Ale nie zdołasz mnie

powstrzymać.

Zamknęłam oczy, czując eksplozję wrażeń zmysłowych w moim ciele. Ścisnęłam jego palce.

- Dlaczego to robisz? Ja chcę, żebyś żył!

- Dlatego - sunął palcem po moim policzku - że prawdziwa miłość jest bezinteresowna.

- Już za tobą tęsknię - szepnęłam. Dante zerwał kwiat i włożył mi go za ucho.

- Jestem z tobą. Zawsze.

A potem pochylił się i mnie pocałował.

## **Podziękowania**

*Tedowi Malawerowi, dzięki któremu to wszystko się zdarzyło, Ań Lewin i wszystkim w Hyperionie za zrobienie ze mnie lepszego pisarza i*

*przekształcenie mojego rękopisu w coś dużo piękniejszego, niż mogłabym sobie wyobrazić, oraz Donnie Bray za to, że zaryzykowała i dała*

*szansę mnie i mojej książce.*

*Dziękuję Gary'emu Shteyngartowi, Binnie Kirshen-baum, Nicholasowi Christopherowi z warsztatów literackich z Uniwersytetu*

*Columbia za ich bezcenne uwagi w trakcie powstawania tej książki.*

*Dziękuję także L.J. Moore za Romulusa i Remusa oraz za ogromną znajomość łaciny i historii starożytnego Rzymu.*

*Dziękuję Nathanielowi za bycie „bytz”; Brandonowi za jego perwersyjną znajomość zombie, Katherine i Bec, dzięki którym nie*

*zwariowałam, a także wszystkim moim wyjątkowym przyjaciółom, którzy użyczyli moim bohaterom swoich imion.*

*I wreszcie - dziękuję Kwi, mojemu prawdziwemu Dan-temu, za jego dowcipy i przyjaźń, mojej rodzinie - mamie, tacie, Paulowi oraz*

*kociakom, starszemu i młodszemu - za ich entuzjazm, humor i liczne „użyteczne” sugestie odnośnie do zombie.*

*Dziękuję Wam.*

# Document Outline

- Prolog
- ❖❖
- Akademia Gottfrieda
- Przebudzenie
- ❖❖
- Ogrodnictwo
- Zapomniana historia
- Szepty
- ❖❖
- ❖❖
- Skradzione teczki
- ❖❖
- Salon Pierwszy
- Si❖ medytacja
- Martwy las
- Tragedia w g❖h
- Pogrzebanie Nathaniela Welcha
- ❖❖
- ❖❖
- ❖❖
- Renesans
- ❖❖